

Karen  
Kingsbury

*Domino  
wszystko*



Shane i ja rozmawialiśmy o miłości. O prawdziwej miłości. Oboje uważamy, że to bardzo dziwne, że nasi rodzice nie rozumieją, co do siebie czujemy. Traktują nas tak, jakbyśmy byli parą dzieciaków niemających żadnego pojęcia o tym, co to miłość. A czego się nauczyłam, odkąd jestem z Shane'em? Że prawdziwa miłość w V klasie czeka w śnieżycy na twoim ganku, żebyście mogli iść razem do szkoły. Że w VII klasie przynosi ci baton czekoladowy, kiedy się przewracasz i przybiegasz na metę ostatnia podczas turnieju.

Prawdziwa miłość w samym środku lekcji algebry szepcze coś o twoim różowym lakierze do paznokci, tak że nawet podczas matematyki nie przestajesz się uśmiechać, i przez całe liceum w piątek trzyma dla ciebie miejsce w stołówce. Nawet jeśli wszyscy inni baseballiści uważają cię za głupią.

Prawdziwa miłość ma czas słuchać o twoich nadziejach i marzeniach, kiedy rodzice są za bardzo zajęci komitetem rodzicielskim, klubem dobroczynnym albo biznesem w banku. Prawdziwa miłość zostaje w sobotę do późna i robi z tobą ciasteczka czekoladowe, posypuje cię mąką, wrzuca skorupki do miski z białkami i dba o to, żebyś zapamiętała ten wieczór do końca życia. Prawdziwa miłość myśli, że jesteś ładna, nawet gdy masz włosy związane w koński ogon i nie stoisz prosto. Prawdziwa miłość to to, co jest między mną a Shane'em.

Oficyna Wydawnicza „Vocatio”



ISBN 978-83-7492-060-5



Karen  
Kingsbury

*Domino  
wszystko*

Oficyna Wydawnicza „Vocatio”  
Warszawa



## *Prolog*

### *Boże Narodzenie*

Nareszcie.

Emily Anderson całe życie czekała na tę chwilę.

Pudło leżące na podłodze u jej stóp skrywało w sobie nadzieję całego życia... całego jej życia. W środku mogło znajdować się okno, rzut oka, ścieżka ku przeszłości, ku czasom wciąż ukrytym za znakami zapytania. A jeśli jednak nie? Jeśli nie ma tam nic?

Przez chwilę siedziała nieruchoma jak kamień, wpatrując się w karton. Wątpliwości osaczyły ją niczym letnie chmury burzowe. To ostatnia szansa. Jeśli w środku są tylko pamiątki z liceum, zdjęcia w ramkach i stare misie, będzie wiedzieć, że doszła do kresu możliwości.

I że cudu nie będzie, że to już koniec poszukiwań rodziców.

Położyła dłonie na zakurzonej kartonowej pokrywie i przejechała palcami po napisie. „Rzeczy Lauren”. Pudełko musi mieć przynajmniej 19 lat.

Coś podeszło jej do gardła, przełknęła ślinę i minęło. „Mamo...”. Patrzyła na imię swojej matki. „Zostawiłaś mi jakiś ślad?”. Zamknęła oczy i przytuliła pudełko. *Boże, proszę, niech coś tam będzie.*

Na dole dziadkowie szykowali kolację. Podarowali jej ten czas. Ukochany dziadziusь wyszukał ten stary karton gdzieś w garażu, między kilkunastoma innymi zapomnianymi pudłami w kącie pełnym pajęczyn. Wiedział, ile to będzie dla niej znaczyć, jak długo czekała na taki przełomowy moment.

- Emily, skarbie - odezwał się, gdy tamtego dnia wróciła z uczelni. - To należało do twojej mamy.

Trzymał pudło w dłoniach. Choć była wysoka, przy nim wciąż czuła się ma-  
lutka. Musiał przekrzywić głowę i spojrzeć spoza kartonu, żeby ją zobaczyć.

- Zanioś do ciebie do pokoju. Będziesz potrzebować trochę czasu.

Właśnie.

Otworzyła oczy i wpatrywała się w pudło, uporczywie, długo, przewiercając się w myślach przez starą tekturę. Jakby sądziła, że zdoła zajrzeć do środka, jeszcze zanim rozedrze karton i dowie się na pewno. Paniczny lęk tłukł się dookoła niej. Wzięła dwa głębokie wdechy. A jeśli wszystko obejrzy i nie znajdzie nic? Znowu dwa wdechy. Daj spokój, dziewczyno. Spokojnie.

Spięła się w środku, zacisnęła usta, wydeła policzki. *Boże, niech to już będzie za mną. Tam musi coś być.*

Ileż to razy modliła się o jakiś klucz, znak? Jakiś ślad prowadzący do rodziców, choćby tylko na jeden dzień? Zapytałaby ich, dlaczego odeszli, czemu nigdy nie zainteresowało ich, co dzieje się z ich córeczką?

Porwała ją fala uczuć, ściskając gardło, zaciskając powieki. Wspomnienia wróciły jak zapomniani koledzy ze szkolnej ławy, ci okropni, którzy wyśmiewają się, kiedy nie wybiera się nas podczas zabawy.

Nagle znowu znalazła się w przedszkolu, podczas uroczystego śniadania w Dniu Matki. Wraz z kolegami i koleżankami ozdabia materace jasnozielonymi odciskami dłoni i pięknie namalowanymi kwiatami wyrastającymi z każdego palca. Śpiewają piosenkę. Emily zdaje się, że słyszy dziecięce, fałszujące głosiki, jak wykrzykują: „Wszystko dziś dla Mamy... bo Mamę kochamy!”.

Tak jak wszystko, co wiązało się ze Świętem Matki, również te słowa Emily kierowała do babci.

Już wtedy wiedziała. Jako jedyna w przedszkolu nie miała mamy. Jako jedyną mama opuściła ją, kiedy miała zaledwie kilka tygodni. Teraz patrzyła na tę siebie z przedszkola, a wspomnienie późniejszych wydarzeń wróciło w każdym bolesnym szczególe...

- Babciu - spytała - gdzie jest moja mama? Wiesz?

Babcia jakby się zdenerwowała.

- Nie, maleńka. Razem z dziadkiem próbowaliśmy ją znaleźć, ale nam się nie udało.

Wtedy Emily poczuła się tak, jakby się zgubiła. Tak jak wtedy w parku, gdy nie mogła znaleźć dziadka. Przyszedł jej do głowy pomysł. Wygładziła odświętną sukienkę i zaczęła bujać nogami obutymi w lakierki.

- Może ja ją znajdę.

- Kochanie - babcia pogłaskała ją po głowie. - Ona chyba nie chce, żeby ją znaleźć.

No i tyle.

Emily wzdrygnęła się i odetchnęła głęboko, z ulgi, że wspomnienie odeszło. Ale przyszło następne. Miała 13 lat i cała ósma klasa upływała jej na „uświadamianiu”.

- Dziwnie się czuję, kiedy rozmawiamy w szkole o tych rzeczach - zwierzyła się raz przy obiedzie koleżance. - To przecież taka prywatna sprawa.

- Pogadaj z mamą - uśmiechnęła się koleżanka. - Z mamą świetnie się o tym rozmawia.

Uczucie pustki i straty było straszne, Emily wydawało się, że w sercu ma dziurę, dziurę tak ogromną, że koleżanka bez wątpienia mogła patrzeć przez nią na wylot. Tego dnia po powrocie do domu Emily obiecała coś sobie.

„Kiedyś odnajdę rodziców. Odnajdę i już”.

Przesunęła dłonią po twarzy, jakby chciała zetrzeć z głowy niepokojące myśli. Otworzyła oczy i wpatrzyła się w pudło.

Dziadkowie w końcu zainstalowali Internet. I nastąpiły długie dni wystukiwania na klawiaturze imienia i nazwiska matki - L-a-u-r-e-n A-n-d-e-r-s-o-n - i przeszukiwania spisów nauczycieli, naukowców, gwiazd sportu. Ale nigdy - w ani jednym spośród tysięcy rezultatów wyszukiwania, choć za każdym razem wstrzymywała oddech z ekscytacji - nie znalazła matki. To samo z ojcem. Popołudnia upływały na beznadziejnych poszukiwaniach w każdy sposób, jaki tylko przyszedł jej do głowy. Ale choć miała już 18 lat, nie była ani trochę bliżej znalezienia go. Tym, czego chciała - czego zawsze pragnęła - była prawda. Mgliście szczegóły, które znała, tworzyły co najwyżej niewielki zbiór punktów. Nigdy na tyle bliskich, żeby można je połączyć.

Pokrywkę oblepiły pajęczyny, Emily starła je ręką. Oparła dłonie na starym, zniszczonym pudle i myślała.

Czy to możliwe? Czy ten karton zawiera te tajemnice - tajemnice, które mogłyby odpowiedzieć na pytania dręczące ją przez całe życie? Czemu matka odeszła? Gdzie jest? Dlaczego nie odezwała się od czasu swojej ucieczki? Czy rodzice skontaktowali się ze sobą?

Chwyciła za pokrywkę. Może... może odkryje na tyle dużo klocków, że uda się z nich zbudować jakąś ścieżkę? Może ta ścieżka doprowadzi ją do całej historii?

Nie mogła czekać dłużej, odgięła tekturowe skrzydełka. To nie sen. Za chwilę zobaczy rzeczy matki, dotknie ich, przeczyta, poczuje zapach. Serce biło jej tak mocno i szybko, że zastanawiała się, czy dziadkowie na dole słyszą.

Zerknęła do środka. Na wierzchu leżały oprawione w ramki zdjęcia rodziców. Sięgnęła ręką i uniosła je ostrożnie. Pod spodem znajdowały się klasowe książki pamiątkowe i poskładane listy pisane odręcznie. Serce zabiło jej mocniej. Czekały ją godziny oglądania. Wyjmując z pudła poszczególne przedmioty, kładła je na łóżku, wpatrując się w każdy nawet w chwili sięgania po następny.

Czy w listach znajdzie wyznania miłości taty do mamy, a może coś, co rzuci światło na ich wzajemne uczucia albo na plany, jakie snuli, kiedy już urodzi się

dziecko? Przeczyta je później. Teraz będzie dalej szperać, musi przejrzeć całe pudło, na wszelki wypadek.

Na wypadek, gdyby odpowiedzi znajdowały się gdzieś na samym dnie.

Znów sięgnęła do kartonu i wyciągnęła kolejny plik zdjęć i albumów ze zdjęciami, a gdzieś po dwóch trzecich drogi w głąb - sfatygowanego pluszowego misia. Dopiero, gdy miś znalazł się na wierzchu, spostrzegła coś, co kazało jej walczyć i krzyczącemu sercu gwałtownie się uciszyć.

Pamiętniki. Osiem... może z dziesięć. A pod nimi jakieś zeszyty, dziesiątki zeszytów.

Rozgrzebała rzeczy z wierzchu i wyjęła pamiętniki, kładąc je na łóżku koło zdjęć, ksiąg pamiątkowych i listów. Potem wyjęła pierwszy zeszyt i otworzyła go. Kartki były trochę wystrzępione i pożółkłe, ale zapisane narracją i dialogami. Emily przerzuciła kilka i wstrzymała oddech.

Znalazła. Brakujące ogniwo.

Jej matka jest pisarką! Odłożyła notatnik na łóżko i sięgnęła po kolejny. Ten był grubszy, a na okładce ktoś - pewnie matka - napisał: „Lauren kocha Shane'a”. Emily wpatrywała się w te słowa i czuła szczypanie łez w oczach. Ręce jej się trzęsły, gdy przejechała kciukiem po napisie.

Przesunęła się w głąb łóżka, aż oparła się o ścianę. Podłożyła pod plecy poduszkę, rozsiadła się wygodnie.

Ślady, których szukała przez całe życie, musiały być tu, ukryte gdzieś między tekturowymi okładkami tych zeszytów w formie kołonotatnika. W tych opowieściach napisanych przez jej matkę, opowieściach, które pozostawiła.

W opowieściach o miłości jej rodziców. I może w opowieści o ich stracie. Może nawet o tym, dlaczego odeszli, pozostawiając swoje maleństwo.

Przygryzając wargi, Emily odwróciła na pierwszą stronę.

I uważnie, żeby najmniejszy szczegół nie uszedł jej uwadze, zaczęła czytać.

# *Rozdział 1*

*12 marca 1988*

Śmierć przyjaźni następuje zwykle powoli i niepostrzeżenie, jak erozja górskiego zbocza po latach obfitych deszczów. Trochę nieporozumień, okresowy brak kontaktu, upływ czasu - i tam, gdzie kiedyś dwie kobiety dzieliły ze sobą całe lata wspomnień, łez, rozmów i śmiechu, gdzie były sobie bliższe niż siostry, teraz stoją dwie obce sobie osoby.

Ale Angela Anderson nie miała kiedy zastanawiać się nad tym, nic bowiem nie ostrzegło jej, że lada moment dojdzie do takiej śmierci. Śmierć jej przyjaźni z Sheilą Galanter była nagła i nastąpiła po południu 12 marca 1988 roku, w chwili, gdy Angela wypowiedziała jedno jedyne zdanie:

- Lauren chce zatrzymać dziecko.

I to był koniec. Wystarczyło spojrzeć na twarz Sheili.

Lauren, nastoletnia córka Angeli, od dziesiątego roku życia kochała się w Shane'ie, synu Sheili. Obydwie rodziny należały do chicagowskiej wyższej klasy średniej, szczyciły się sześciocyfrowymi dochodami rocznymi, były dobrze znane we wszystkich odpowiednich kręgach towarzyskich w mieście i należały do najbardziej elitarnych klubów. Mężowie byli współwłaścicielami jednego banku, wszystko więc wskazywało na to, że przyszłość ich dzieci jest z góry ustalona.

We wspólne popołudnia, gdy Angela i Sheila zwierzały się sobie, utyskując na nadęte damulki z towarzystwa, planując wyprawy do Londynu i żaląc się na



dwa kilo, jakie przybyły im podczas ostatnich świąt, snuły czasami marzenia o wspólnej przyszłości ich dzieci. Po studiach przyjdzie czas na zaręczyny, pierścionek i oczywiście ślub.

Potem, żeby dać dzieciom szansę na samodzielne podjęcie tej decyzji, zaśmiewały się z własnej głupoty, a marzenia ulatywały. Ale w miarę upływu lat Shane coraz bardziej durzył się w Lauren, i taka możliwość przestała wydawać się głupia, a zaczęła być realna. Kiedy oboje byli w liceum, w czasie przerw meczów baseballowych Shane zaczął napomykać o ślubie jak o czymś oczywistym.

- Kiedy ożenię się z państwa córką - mawiał do Angeli i jej męża Billa - możemy we czwórkę jeździć na wakacje do Meksyku.

Albo odwracał się do swoich rodziców i pytał:

- Gdzie najlepiej urządzić wesele?

Bezceremonialne deklaracje Shane'a krępowały Lauren i bawiły dorosłych, ale każdy skrycie wierzył, że tak się naprawdę stanie. Że nadejdzie dzień, kiedy już dzieciaki skończą studia - zapewne Wheaton College - kiedy Shane znajdzie swoje miejsce w rodzinnym First Chicago Trust, wtedy on i Lauren pobiorą się. A cała czwórka - Angela z Billem i Sheila z Samuelem - będą dożywać swoich dni nie tylko jako przyjaciele i współnicy z interesach, ale i jako rodzina. Rodzina pod każdym względem.

Bomba wybuchła w wigilię Bożego Narodzenia.

Lauren i Shane poprosili, aby wszyscy spotkali się po kolacji w domu Galanterów. Sheila wrzuciła z tej okazji do piekarnika mrożone ciasto. Choć nie wiedziała, co to za okazja.

Lauren wyglądała biednie i blade, a jej jaśniutkie włosy wydawały się białe na tle czarnego swetra wydzierganego na drutach.

- Shane i ja... - urwała i nie zamknąwszy ust wpatrywała się w czubki swoich tenisówek. - Mamy wam coś do powiedzenia.

Shane siedział przy niej, trzymając ją za rękę. Dłonie mieli kurczowo zaciśnięte i siedzieli jak na szpilkach. Dopiero wtedy Angela zrozumiała, że to, co usłyszą, nie będzie dobrą nowiną. Shane otoczył Lauren ramieniem, jakby chciał ją osłonić. Wysoki, ciemnowłosy, silny, był typowym potomkiem swych greckich przodków. Przy nim cera i włosy Lauren zdawały się jeszcze jaśniejsze.

- Lauren chciała powiedzieć - Shane przejechał językiem po dolnej wardze i dokończył drżącym głosem - że jest w ciąży. To był przypadek, ale... - spojrzał prosto na swojego ojca. - To był przypadek.

Angela nigdy potem nie zapomniała ciszy, jaka wypełniła wtedy pokój.

Chciała chwycić Billa za rękę, ale nie odważyła się poruszyć. Nie mogła nawet odetchnąć ani nawet przetrwać tego, co usłyszała. To było niemożliwe. Shane i Lauren byli dobrymi dziećmi. Razem spędzali mniej czasu niż na treningach w swoich dyscyplinach - Lauren w sprincie, a Shane w celowaniu, rzucaniu i uderzaniu.

Wychowywali się w kościele! Może i rodzice nie byli przesadnie religijni, ale dzieci co sroda chodziły przecież na spotkania młodzieżowe! Czy to nic nie znaczy?

Shane, stojący naprzeciwko dorosłych, przysunął się do Lauren i wyszeptał jej coś do ucha. Na ich twarzach malował się strach i wstyd.

Kiedy po chwili Angela otrząsnęła się, spojrzała na przyjaciółkę. Sheila siedziała w nienaturalnej pozie, skamieniała. Obok niej Samuel wbił łokcie w kolana i zwiesił głowę.

Ale to wyraz twarzy Sheili Angela odczuła w sercu jak policzek. Sheila wbiła oczy w Lauren, a jej wzrok, gniewny i wyteżony, wwiercał się w nią jak laser. W jej oczach nie było szoku, przerażenia, smutku. Było w nich oskarżenie.

Sheila odezwała się pierwsza.

- Tak - wstała i wygładziła zagięcia na spodniach. - Kiedy... termin?

Shane zamrugał powiekami.

- Ehm... - spojrzał na Lauren - w połowie lipca, tak?

- Tak.

Próbowała wyprostować się na krześle, ale wyglądało na to, że jest jej słabo. Skrzyżowała ręce na brzuchu i znów oparła się o Shane'a.

Angela miała ochotę podejść do niej, wziąć ją w ramiona i kołysaniem odpędzić ból, tak jak to niegdyś robiła, gdy mała Lauren wracała do domu smutna po jakimś ciężkim dniu. Ale teraz chodziło o coś nieporównanie więcej. Podejść do Lauren na oczach wszystkich oznaczałoby w pewnym sensie akceptację sytuacji. „Skarbie”. Angela uchwyciła się siedzenia krzesła i nie ruszyła się z miejsca, nie spuszczać wzroku z Lauren. „Skarbie, tak bardzo mi przykro”.

Sheila znów przejęła inicjatywę.

- Jesteś oczywiście za młoda na matkę.

Spojrzała na Samuela, ale on dalej wbijał wzrok w podłogę. Z powrotem skierowała wzrok na Lauren.

- Dziecko oddasz do adopcji, jak rozumiem?

Angela już miała coś powiedzieć. Dlaczego Sheila jest tak niedelikatna? Nie musi wszystkiego planować od razu.

Wstrzymała oddech. Przyjaciółka jest pod wpływem szoku. Otóż to. Wszyscy są pod wpływem szoku. Jak można mówić o adopcji, skoro jeszcze nie dotarła do nich nawet sama myśl o dziecku?

Bill chrząknął.

- Nie śpieszmy się tak, Sheilo - mówił łagodnym głosem, choć Angela wy czuła w nim pewne rozczarowanie. - To nie jest łatwe dla nikogo z nas. Pozwólmy dzieciom wypowiedzieć się do końca.

- Właściwie - Shane przeniósł wzrok z Billa na swoich rodziców - to... my chcemy zatrzymać dziecko. Skończymy liceum, potem ja pójdę na studia, tak jak planowałem.

Oblizał usta, mimo to jego słowa brzmiały tak, jakby przykleiły się do podniebienia.

- Nie będzie nam łatwo.

Popatrzył na Lauren i przejechał dłonią po włosach.

- Ale wiemy, że sobie poradzimy. Jesteśmy pewni.

Wściekłość, jaka w tym momencie zapłonęła w oczach Sheili, była czymś nowym, czymś, czego Angela jeszcze nie знаła. Przyjaciółka energicznym krokiem podeszła do okna, zatrzymała się, odwróciła się na pięcie i wlepiła wzrok w Shane'a.

- W życiu nie słyszałam nic równie idiotycznego.

Myśli Angeli pędziły jak szalone. Wszyscy wokół wygłaszają jakieś radykalne oświadczenia, deklaracje, które mają na zawsze zmienić ich dotychczasowe życie. Lauren w ciąży w połowie pierwszej klasy liceum? W wieku 17 lat zostanie matką? Jak nieodpowiedzialne i jak skryte są te ich dzieci! Jak nisko sobie Shane ceni cnotę Lauren! I jakby tego było mało, Sheila już przekreśliła dziecko, już je przekazała obcej rodzinie. A zamiar Shane'a, żeby wychowywać dziecko, a zarazem za rok pójść na studia, w ogóle się nie liczy?

To wszystko nie miało sensu. Koniec końców po krótkiej wymianie zdań zgodzili się co do jednego: z decyzjami trzeba poczekać. Kiedy wszyscy wstali i zapadła krępująca cisza, Angela wzięła Billa za rękę i podeszli do Lauren. To jej córeczka, jedyne dziecko.

Wpatrywała się w twarz Lauren. Wszystkie jej marzenia względem niej legły w gruzach, bezpowrotnie. Miała ochotę nią potrząsnąć, zganić, że zaprzepaściła wszystko, w co wierzyła, nakrzyczeć, że spowodowała nadciągającą katastrofę.

Bo Angela w najgorszych snach nie spodziewałaby się takiej wieści.

Lecz przecież dla Lauren ta wieść musiała być jeszcze gorsza. Pośród głuchego milczenia, które było w tej chwili już nie tylko krępujące, ale wręcz niezręczne, Angela w końcu wyciągnęła ramiona do Lauren. To życie Lauren zmieni się teraz najbardziej. Cóż więc pozostaje, jak przytulić ją i okazać tę miłość i wsparcie, których tak potrzebuje? Po chwili dołączył do nich Bill i objął obydwie ramionami. Angela nie wiedziała, jak długo tak stali. W końcu opuścili ręce i wyszli.

Nie minął tydzień, a Angela i Bill doszli do wniosku, że Sheila - choć nazbyt pośpiesznie - zapewne trafnie oceniła sytuację. Najlepszym wyjściem będzie oddać dziecko. Dzięki temu możliwa będzie dalsza nauka w liceum, no i nie zaprzepaści się szans na studia. W Sylwestra wzięli Lauren na rozmowę i podzielili się przemyśleniami.

- Chcemy ci pomóc znaleźć ośrodek adopcyjny - Angela położyła dłoń na ramieniu córki. - Tak będzie najlepiej dla wszystkich, a szczególnie dla dziecka.

Lauren wdrygnęła się jak oparzona.

- To nie jest wasza sprawa - jej szeroko otwarte oczy skakały gwałtownie od Angeli do Billa. - Ani sprawa rodziców Shane'a.

Położyła dłoń na brzuchu, jakby chciała uchronić swoje nienarodzone dziecko przed życiem, na które sama nie będzie mieć wpływu.

- Shane ma pewien plan. Będzie mógł iść na studia.

- To się nie uda, Lauren - Bill założył ręce na piersiach i jeszcze bardziej zmarszczył czoło. Całe życie uwielbiał swoją córkę. Teraz jego oczy wyraźnie mówiły, że cierpi, przygnieciony brzemieniem kłopotów, które na nią spadły. - Jesteście za młodzi, żeby wychowywać dziecko. Gdzie będziecie mieszkać?

Angela z całych sił starała się panować nad sobą.

- Poza tym jesteś bystrą dziewczyną. Skrzywdzisz i siebie, i dziecko, jeśli postanowisz je teraz wychowywać. Powinnaś myśleć o studiach, a nie o pieluchach.

- Jestem pisarką, mam - walczyła z każdym słowem, czerwieniejąc. - Do tego studia mi niepotrzebne.

- Owszem. Powiedz jej coś - Angela spojrzała na Billa.

- Mama ma rację.

Objął Lauren ramieniem.

- Skarbuniu, to nie jest dobry czas. Pomyśl tylko o tym dziecku.

Lauren wyrwała się mu i pobiegła do swojego pokoju. Jej płacz wypełniał dom przez cały tydzień. Tak ponuro upłynęły święta. W niedzielę Lauren zadzwoniła do Shane'a i rozmawiali długie godziny. Gdy w końcu wyszła z pokoju, jej oczy były opuchnięte od łez. Angela i Bill próbowali z nią rozmawiać, ale miała im do powiedzenia tylko kilka słów:

- Nie zrobimy tego.

Pociągnęła nosem i przejechała dłonią po oczach.

- Nie oddamy dziecka.

Dyskusja ciągnęła się odtąd dzień po dniu przez długie tygodnie, ale w rozmowach z Sheilą i Samuelem Angela i Bill starali się unikać tego tematu. Po feriach znów zaczęła się szkoła, a Lauren i Shane zdołali ukryć wszystko przed kolegami. Sheila Galanter dzwoniła przynajmniej trzy razy w tygodniu i wygłaszała słowa brzmiące jak ultimatum:

- Angela, przemów jej do rozumu. Nie chcę, żeby przez ten jeden błąd dzieci straciły wszystko.

Angela powinna była dostrzec symptomy już w tych pierwszych miesiącach roku, powinna była przeczuć, co się zbliża. Suchy ton głosu Sheili przez telefon, nienadchodzące zaproszenia na kolację i wspólne weekendy. Ale stosunki zmieniły się głównie między mężczyznami. Inwestorzy już od lat przychodzili do Billa i Samuela z ofertami kupna ich banku. Obydwaj co jakiś czas rozmawiali na ten temat, rozważając sprzedaż i zainwestowanie dochodu w coś nowego, może też przeprowadzkę na przedmieścia. Ale nigdy nie były to rozmowy dość poważne.

Do czasu, gdy Lauren i Shane oznajmili swą nowinę.

Kiedy pod koniec stycznia pojawiła się kolejna oferta zakupu, cała czwórka postanowiła nie zwlekać dłużej. Choć wcześniej rozmawiano o przenosinach na przedmieścia Chicago, to już w marcu Galanterowie oznajmili swoje nowe plany.

- Wyprowadzamy się do Los Angeles.

Oszłupiała Angela wodziła wzrokiem od przyjaciółki do Samuela. Wpadli niespodziewanie, mówiąc, że mają coś do powiedzenia jej i Billowi. Tylko jej i Billowi.

Nie dzieciom.

- Mamy tam pewne inwestycje. To kawał drogi, ale przecież będziemy się widywać.

Uśmiech Sheili wyglądał na wymuszony.

- A i dzieci od siebie odpoczną.

Angela i Bill długie godziny nie mogli się zdobyć na to, żeby powiedzieć Lauren, i ostatecznie postanowili zachować tę nowinę dla siebie. Do przeprowadzki zostało jeszcze kilka miesięcy i nie było sensu dodatkowo podsycać wzajemnych uczuć dzieci. Gdy potajemne plany Galanterów prędko nabrały konkretnych kształtów, Sheila wciąż wydzwaniała do Angeli.

- To twoja córka. Przemów jej do rozsądku. Tych dzieci nie można obciążać taką odpowiedzialnością. Jeszcze na to za wcześnie.

Przy kolejnej rozmowie ciągnęła temat:

- Może powinnaś powiedzieć Lauren, że myślimy o wyprowadzce. Może wtedy zmieni zdanie.

Angela przeraziła się.

- Mam ją szantażować? Powiedzieć, że jeśli zostawi dziecko, to zostanieie?

- Ja tylko chcę powiedzieć, że to może pomóc jej w decyzji. Angelo, my musimy wiedzieć. Powiedz nam, co ona zamierza.

Cała sytuacja przypominała te śmieszne skaczące piłeczki, które raz odbite latały rykoszetem w nieprzewidzianych kierunkach. Angela jeszcze dwa razy rozmawiała z Lauren o jej planach, ale córka nie wahała się ani przez chwilę.

Razem z Shane'em chcą zatrzymać dziecko. Zaraz po liceum pobiorą się i zaczną wspólne życie.

I nadszedł ów dzień, gdy Angela nie mogła już dłużej zwodzić Sheili. 12 marca zaprosiła przyjaciółkę do siebie, żeby oznajmić jej nowinę.

Podawała kawę ze śmietanką i obydwie usiadły na tak dobrze sobie znanej werandzie domu Andersonów.

Angela od razu przeszła od rzeczy.

- Lauren chce zatrzymać dziecko.

Położyła ręce na kolanach. Siedziały na białych fotelach z wikliny, promienie słońca wpadały przez okno. Bill był w nowym banku w Wheaton, godzinę drogi z Chicago i załatwiał formalności. Lauren była w szkole.

- Bzdura - Sheila machnęła ręką w powietrzu, jakby chciała wymazać słowa Angeli. - Jest za młoda, żeby wiedzieć, czego chce.

- Sheilo, posłuchaj - Angela patrzyła jej w oczy. - Nie jestem w stanie jej tego wyperswadować. I nie zrobię tego.

Twarz Sheili stężała, a policzki poczerwieniały.

- Oczywiście, że jesteś w stanie. Jesteś jej matką. Ona jest niepełnoletnia. Zrobi, co jej każesz.

- Ty mówisz poważnie, prawda?

- Śmiertelnie poważnie - ton głosu Sheili ledwie dostrzegalnie się podniósł.

- Uważasz, że mogę zmusić córkę do oddania jej dziecka? - Angela zmrużonymi oczami patrzyła na kobietę siedzącą obok. Kiedy to Sheila zrobiła się taka nieczuła? - Może i jest niepełnoletnia, ale dziecko jest jej. Nie mogę tej decyzji podejmować za nią.

- Oczywiście, że możesz.

Sheila odstawiła filiżankę z kawą i przesunęła się na krawędź kanapy. Choć mówiła zniżonym głosem, jej ostry ton świdrował przez rosnące napięcie.

- Mój syn ma przed sobą przyszłość. Nie zostanie tu i nie będzie czekał, aż jego ciężarna dziewczyna urodzi - nad jej brwiami pojawiła się cienka warstewka potu. - Wykluczone.

- Jego ciężarna dziewczyna?! - Angela roześmiała się, ale w tym śmiechu nie było nic z żartu. - Więc tym w tej chwili jest Lauren? Jego ciężarną dziewczyną? Shane też jakby ma z tym coś wspólnego.

- Shane to młody chłopak - Sheila wypluwała słowa. - Jeśli dziewczyna jest chętna, jaki nastolatek nie skorzysta z okazji?

Angelę przeszedł zimny dreszcz.

- Hola, hola! - wstała i z góry patrzyła na kobietę, którą dotąd uważała za przyjaciółkę. Czyżby w ogóle jej nie znała? - Mówisz o Lauren.

- Nie - Sheila podniosła dłoń. Jej palce drżały. - Rozmawiamy o przyszłości mojego syna.

Wsunęła się trochę głębiej na sofę, a jej zmarszczone czoło wygładziło się nieco.

- Angelo, bądź rozsądna. Ostatnią rzeczą, jakiej nasze dzieci potrzebują, jest przebywanie ze sobą choćby o chwilę dłużej. My wyprowadzamy się na początek czerwca. Shane jedzie z nami. I to tyle.

Mówiła chłodnym, obojętnym tonem.

Angela poczuła, jakby ktoś kopnął ją prosto w brzuch. Jak mogła tak się pomylić co do tej kobiety, ufać jej tyle lat?

- Przyjaźniłyśmy się wiele lat, Sheilo.

- A przyszłość mojego syna będzie trwać jeszcze dłużej. Przykro mi, Angelo - ton głosu Sheili złagodniał nieco. - To nie twoja wina. Po prostu - zmrzyły oczy z determinacji - nasze dzieci muszą się rozstać.

Te słowa postawiły ich przyjaźń na linii ognia. Angelę zdenerwował ton Sheili i jej oskarżenia, z których wynikało, że w kwestii ciąży Lauren Shane jest ofiarą, a Lauren winowajczynią. Ale było w tym coś jeszcze. Coś, co pozwoliło Angeli rzucić okiem w przyszłość.

Bo spostrzegła wyraźnie, jakie życie czeka jej córkę z Sheilą Galanter jako teściową.

## I

Życie pośród oskarżeń, wstydu i wiecznego niezadowolenia. Przeszłość będzie nieustannie wywlekana, analizowana i komentowana poprzez porozumiewawcze chrząknięcia i pogardliwe spojrzenia. Już na samą myśl Angelę bolało serce. Nigdy by nie chciała, żeby córkę czekał taki los. Jak Sheila śmie myśleć w ten sposób o Lauren, tak jakby to Shane był jedynym poszkodowanym?

- Dobrze - Angela wyprostowała się i wpatrzyła się w Sheilę. - Zgadzam się. Sheila aż oparła się o ścianę, konflikt się skończył tak niespodziewanie.

- Naprawdę?

- Tak. Absolutnie.

Teraz głos Sheili zniżył się niemal do szeptu:

- A co z dzieckiem?

Angela знаła odpowiedź na to pytanie równie dobrze jak własne imię i nazwisko. Lauren zatrzyma dziecko. A ona i Bill zrobią wszystko, żeby pomóc jej w roli samotnej matki. Tak długo, jak długo będzie ich potrzebowała.

Chrząknęła.

- Porozmawiamy jeszcze z Lauren. Myślę, że masz rację. Damy radę ją do tego przekonać. Szczególnie, jeśli Shane zniknie z jej życia.

Było to oczywiście kłamstwo. Lauren nigdy nie odda dziecka. Ale wypowiedzenie tych nieprawdziwych słów przyszło Angeli z łatwością, bo sama dojrzała do zerwania stosunków z Galanterami. Nawet nie drgnęła jej powieka.

- Tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Na twarzy Sheili pojawiła się ulga.

- Właśnie. To by było coś strasznego - mieć wnuka na drugim końcu kraju i o tym nie wiedzieć.

Angela miała ochotę zerwać się na równe nogi i wykrzyzczyć jej prosto w twarz: „Ty już masz wnuka! Wewnątrz mojej córki! Jesteś taka zaślepiona i próżna, i pusta. Zrobiłabyś wszystko dla reputacji swojego syna. Nawet to!”.

Ale zamiast tego wstała i wskazała ręką w kierunku drzwi.

- Odda dziecko. Nic się nie martw.

Założyła ręce na piersiach i cofnęła się krok w stronę tylnego wyjścia.

- A teraz muszę cię przeprosić, mam trochę roboty. Tak jak powiedziałaś, nie ma sensu dłużej udawać, że się przyjaźnimy.

Przez chwilę Sheila wyglądała tak, jakby miała ochotę przeprosić za tamte słowa. Ale ta chwila minęła. Podniosła się, wzięła torebkę i kluczyki do samochodu i poszła w kierunku wyjścia.

W uszach Angeli dźwięk zamykanych drzwi brzmiał jak wystrzał armatni, a coś w głębi jej serca chwyciło ostatni haust powietrza, zadrżało i umarło. Angela dobrze wiedziała, co to takiego było.

To była jej przyjaźń z Sheilą Galanter.



## Rozdział 2

Z rodzicami działa się coś nie tak.

Lauren siedziała w toyocie camry Shane'a, zaparkowanej tuż pod domem jej rodziców, i po prostu to czuła. Coś nieomal jak jakaś moc, zbyt potężne, żeby oni sami czy nawet rodzice mogli sobie z tym poradzić. Na przednią szybę od półtorej godziny spokojnie padał śnieg, teraz już nic nie było widać. I takie też było ich życie. W zamknięciu, bez możliwości wyjrzenia na zewnątrz, bez szans, żeby ktoś zajrzał do nich do środka.

Shane obiema dłońmi chwycił kierownicę i patrzył przed siebie, w białą nicłość. Znali się nawzajem, odkąd tylko sięgali pamięcią. Shane zawsze pierwszy z całego towarzystwa uśmiechał się albo żartował. Ale w ostatnich miesiącach zamknął się w sobie i zrobił się niespokojny, jak ktoś schwytyany w pułapkę i szukający wyjścia.

- A może - spojrzał na nią, prosto w jej duszę - powinniśmy po prostu pojechać przed siebie i nigdy nie wracać?

- Może.

Przekreśliła się i oparła o drzwi.

Tego wieczoru mieli iść do kina, ale zamiast tego krążyli po ulicach, wystraszeni i milczący. W szkole nikt nie wiedział o ciąży, ale wkrótce wszystko wyjdzie na jaw. To był już czwarty miesiąc. Już ledwo co dopinała dzinsy. Rzeczywistość zaczynała ścisnąć ich jak imadło.

Rok wcześniej razem z tatą oglądała film, w którym głównego bohatera zamknięto w sali bez drzwi i okien.

Z głośników dudniła demoniczna muzyka, a ściany pomieszczenia przybliżyły się coraz bardziej, nie dając temu człowiekowi żadnej szansy ucieczki, żadnej drogi na zewnątrz. I już, gdy były o włos od zmiążdżenia go, spostrzegł jakieś drzwiczki zapadowe i uratował się.

W takim właśnie położeniu są teraz ona i Shane. Ściany się przybliżają - ale żadnych drzwiczek zapadowych nie ma. Żadnej drogi ucieczki w zasięgu wzroku.

Nie mieli zamiaru spać ze sobą - ale stało się. I nie jeden raz, a kilka. Tylko kilka razy. Lauren patrzyła na swoje dłonie. Jej palce drżały. Najlepszy dowód, że z dnia na dzień było z nią coraz gorzej. Tak bardzo walczyła o to, żeby rodzice dali jej trochę swobody. Żeby jej ufali. Wymuszenie na nich pozwolenia, żeby chodziła razem z Shane'em na spotkania grupy młodzieżowej w kościele, bardzo wiele ją kosztowało. W końcu ustąpili. Dali jej trochę swobody.

Może zbyt dużo.

Gdy minęło lato, rodzice zaczęli im pozwalać przesiadywać razem przy zamkniętych drzwiach. Z początku Lauren była tym podekscytowana. Ale teraz... Potrząsnęła głową. Co oni sobie wyobrażali, że co dzieje się za tymi drzwiami? Szczególnie w tym ostatnim roku, odkąd Shane dostał samochód i odwoził ją do domu dopiero wtedy, gdy rodzice już dawno spali. „Ufamy ci - powiedziała jej raz mama. - Póki jesteście razem z Shane'em”.

Poczuła, że robi jej się niedobrze. A dlaczego? Dzięki temu miałyby być bezpieczniejsze? Tak długa znajomość jak jej znajomość z Shane'em czyni wszystko jeszcze bardziej niebezpiecznym, a nie mniej. Było im ze sobą tak dobrze, że poluznienie hamulców, pójście na całość wydawało się zwykłą koleją rzeczy po pocałunku. Do chwili, aż było już po wszystkim.

Za pierwszym razem, gdy skończyli i ubrali się, byli śmiertelnie przerażeni. „Bóg nas pokarze” - powiedziała Lauren.

Shane nie zaprzeczył. W tamtym tygodniu nie poszli na spotkanie młodzieżowe. Na dwa kolejne też nie. Łatwiej im wtedy było nie iść, nie patrzeć w oczy prowadzącym i kłamać, że wszystko jest świetnie, że modlą się, czytają Biblię.

A kara nadeszła, a jakże. Pozytywny wynik testu ciążowego sześć tygodni później. Od tamtej chwili między nią a Shane'em zmieniło się wszystko. Wszystko prócz tego jednego: że się kochali. I nie była to wcale szczenięca miłość. Kochali się z autentycznością i tęsknotą, która całkowicie ich pochłaniała. To prawda, wszystko zepsuli i teraz tego żałowali. Jeden z prowadzących grupę młodzieżową wiedział o wszystkim i kilka razy spotkał się z nimi i ich rodzicami, żeby razem modlić się i prosić Boga o mądrość.

Ale kara pozostała. Lauren miała 17 lat i była w ciąży, a przyjaźń jej rodziców z rodzicami Shane'a najwyraźniej znikła. Ojcowie mieli nawet zamiar za-

kończyć swą współpracę w interesach. Gdzie teraz będą pracować, kiedy sprzedadzą swój bank?

Ilekróć Lauren o tym pomyślała, odbierało jej dech. Znow zaczęła przyglądać się Shane'owi.

Zacisnął szczęki, jego wzrok był nieobecny. Prawą dłonią uderzył kierownicę.

- Nie mogę tego znieść - jego głowa opadła na oparcie siedzenia. - Coś się dzieje, ale nikt z nich nie chce nic powiedzieć.

- Powiedz mi jeszcze raz o banku.

Lauren bolał żołądek. Pochyliła się i analizowała profil Shane'a.

Shane zamknął oczy.

- Słyszałem, jak tato rozmawia przez telefon. Mówił coś o sprzedaży banku i że wszystko będzie sfinalizowane za parę tygodni. I że wtedy będzie mógł zainwestować. W coś nowego.

Poruszyła się, nagle przerażona.

- Jeśli sprzedają bank, to czemu moi rodzice nic mi nie powiedzieli? Tego nie mogę rozumieć.

Przez dłuższą chwilę milczał, potem odwrócił się, a jego ręce opadły z kierownicy.

- Lauren... - jego rysy złagodniały. - Jest coś jeszcze.

Ukrył jej palce w swoich dłoniach. Jego oczy powiedziały jej więcej, niż mógł wyrazić słowami - że ją kocha, że chce to wszystko pomyślnie załatwić, ale że jest tylko nastolatkiem i po prostu nie wie jak. Przejechał kciukami po grzbietach jej dłoni.

- Co? - wypowiedziała to słowo ledwie słyszalnie. Jej gardło było tak wyschnięte, że z trudem przełykała ślinę. Nie mogła sobie wyobrazić, że jest jeszcze coś, że jeszcze coś mogłoby być nie tak.

Na moment zwiesił głowę, a potem spojrzał jej prosto w oczy.

- Chyba się wyprowadzamy.

Strach znow wykrzywił jego rysy, zamrugał powiekami, żeby się otrząsnąć.

- Wyprowadzacie się?

Powoli pokręciła głową, nie chcąc, żeby to słowo w nią zapadło, nie chcąc mieć z nim nic wspólnego.

- To było podczas tej samej rozmowy.

Z trudem przełknął ślinę.

- Tato powiedział coś o podróży do Los Angeles w czerwcu, kiedy skończy się szkoła.

- Los Angeles?

Zamarła, ale gdzieś w środku czuła dreszcze.

- Dlaczego... dlaczego mieliby to zrobić?

Wyraz jego twarzy był poważny, poważniejszy niż kiedykolwiek dotąd.

- Chyba próbują nas rozdzielić.

Puścił jej dłonie i przejechał palcami przez włosy.

- Lauren, nie wiem, co robić. Nie pozwolę im nas rozdzielić. Nawet jeśli miałbym zamieszkać na ulicy, nie pozwolę.

Serce jej waliło, oddech stał się szybki. To nie może być prawda. Jego rodzina nie zabierze go przecież nagle na drugi koniec kraju, i to na miesiąc z kawalkiem przed narodzinami dziecka.

- W czerwcu? - wyjąkała, z trudem wydobywając głos. - Czyli w czerwcu mieliby się wyprowadzić do LA?

Wpatrywał się w jej oczy.

- Jestem pewien, że twoi rodzice wiedzą. Oni wszyscy wiedzą. Tylko nam nie mówią - oczy mu zwilgotniały, zacisnął zęby. - Nie mogą tego zrobić. Musimy poznać ich plany, żeby z nimi walczyć, zgoda?

Walczyć z jej rodzicami? Kiedy już w końcu zaakceptowali fakt, że będzie miała dziecko? Gdyby nie jej rodzice i jego rodzice, kogo by mieli na tej ziemi? Kto by ich wspierał? Chciała zapytać o to Shane'a, ale zagryzła wargi. Podniosła dłoń i koniuszkami palców dotknęła jego policzka.

- Dowiem się, co tylko zdołam.

Prędko skinął głową i znów spojrzał na pokrytą śniegiem przednią szybę. Jego wzrok był wciąż poważny, jakby przebiegał nim przez listę możliwości i próbował znaleźć jakąś sensowną.

W końcu popatrzył na nią i smutno potrząsnął głową.

- Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje.

- Ja też nie.

Spojrzała na zegarek. Było po północy, czas wracać do domu. Przytuliła się do niego i pocałowała go, powoli i z czułością. Od chwili odkrycia, że jest w ciąży, pozwalali sobie tylko na pocałunki od czasu do czasu. Nieomal tak, jakby odnaleźli drogę do tych czasów, kiedy Shane nie miał jeszcze samochodu, kiedy ich fizyczny związek ograniczał się tylko do trzymania się za ręce i sporadycznych pocałunków.

- Lauren.

W jego wzroku dostrzegła jakąś ujmującą determinację.

- Obiecay mi, że nic się nie zmieni. Bez względu na to, co będą próbowali nam zrobić.

Musiała już wracać do domu, ale on ciągle mocno trzymał jej dłonie. Zrobiła jej się ciepło w środku i przysunęła się bliżej, obejmując go za szyję.

- Kocham cię, Shane. Nie pokocham nikogo innego.

- Chcę być starszy - wyprostował się. Jego oczy były szeroko otwarte i poważne. - Chcę zbudzić się jutro i mieć 25 lat, skończone studia, pracę i obrączkę na palcu.

- Obrączkę? Ślubną?

- Tak.

Ujął jej twarz w dłonie.

- Chcę się z tobą ożenić. Zawsze tego chciałem. To jest nasze życie, nasz problem. I musimy go rozwiązać, mimo że jesteśmy młodzi - oddychałem ciężko, niemal oszalały z poczucia beznadziejności. - Nie pozwolę ci odejść.

Pocałował ją jeszcze raz.

- Kocham cię, Lauren. To nieważne, ile mam lat, nigdy nikogo nie będę tak kochał. Nigdy.

- Ja też ciebie kocham, Shane. Nie będziesz musiał z tego zrezygnować. Obiecuję.

Wypowiedziała te słowa prosto do jego serca, a kiedy zrozumiała, że dłużej nie da rady powstrzymywać łez, otworzyła drzwi i wyszła w śnieg. Odwróciła się jeszcze i pomachała mu, po czym stawiając lekkie, ostrożne kroki weszła na dróżkę.

Już w domu oparła się o drzwi wejściowe i czekała, aż usłyszy odjeżdżający samochód. Im gorzej sprawa wyglądała, tym bardziej go kochała, tym większą miała pewność, że jakoś sobie w przyszłości poradzą. Gdyby tylko rodzice dali im szansę.

Nagle dobiegł ją głos ojca, dochodzący z gabinetu w dalszej części domu. Poszła w tamtym kierunku. Co on mówi? Coś o banku? Zwolniła kroku. Nie może wiedzieć, że wróciła. Na palcach podeszła do framugi drzwi, żeby lepiej słyszeć.

- Jak to daleko stąd? - to był głos matki. Widocznie przeglądała jakieś papiery, szelest utrudniał rozumienie słów.

- Tylko niecała godzina. Miasto jest piękne, świetne szkoły. Lauren latem urodzi i zacznie ostatnią klasę z czystym kontem, bez obciążeń.

- No, nie wiem - matka była sceptyczna. - Jeśli zatrzyma dziecko, to będziemy mieć na głowie coś więcej niż tylko studniówki i aplikacje na studia.

- Zatrzyma, nie zatrzyma, w każdym razie chcę, żeby mogła zacząć z czystym kontem. Wiesz dobrze, jak to będzie wyglądać tutaj, Angelo. Już zawsze będzie tą prymuską, której przydarzyła się ciąża ze szkolną gwiazdą baseballa.

Lauren ogarnął gniew, ale nie poruszyła się. Może mają coś jeszcze do powiedzenia, nie może uronić ani słowa.

- Dajże spokój, Bill - głos matki zmiękł nagle. - Shane to ktoś więcej niż szkolna gwiazda baseballa.

- Wiem - słowa ojca, wypowiedane szybko i z rozgoryczeniem, padały jak grad podczas letniej burzy. - Ale w tej chwili trzeba ich rozdzielić. Tak będzie dla nich najlepiej.

- A Sheila i Samuel znaleźli coś w LA?

- Wszystko na to wskazuje - po raz pierwszy w tej rozmowie w głosie ojca zabrzmiała pewna ulga. - Wyjeżdżają w pierwszej połowie czerwca.

Urwał na chwilę.

- Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, jak ciężko współpracuje się z Samuelem Galanterem. On musi wszystkim rządzić. Jego żona zresztą też.

- To byli nasi przyjaciele - matka mówiła cicho, z rezygnacją. - Wygląda na to, żeśmy ich nie znali.

- I za kilka miesięcy znać nie będziemy - podsumował uszczypliwie. - Jak ten chłopak miał czelność wykorzystać moją małeńką? Zobaczmy, ile będzie miał czasu na następne spotkania, kiedy już zamieszka w Kalifornii.

Lauren nie miała zamiaru słuchać tego dłużej. Wpadła do gabinetu, ujmując się pod boki.

- Nie słuchacie, czy ktoś wchodzi?

Rodzice otworzyli usta ze zdumienia, było widać, że to dla nich szok.

- Lauren! - matka zerwała się na równe nogi. Próbowwała się uśmiechnąć, ale jej uśmiech zamarł, jeszcze zanim dotarł do oczu. - Nie... nie słyszeliśmy, jak wchodzisz.

- Właśnie widzę - chodziła w tę i z powrotem, patrząc to na matkę, to na ojca. - Czyli maczacie palce w tej całej Kalifornii? - poczerwieniała z oburzenia.

- Nie maczamy w tym palców - matka podeszła do niej i dotknęła jej ramienia. - Nigdy nie mieszalibyśmy się do cudzych decyzji o przeprowadzce, skarbie.

- Ale tak właśnie to wygląda, co? - mówiła coraz głośniejsze. Z wściekłością spojrzała na ojca. - Ty i pan Galanter sprzedaliście bank i każdy idzie w swoją stronę. A jeśli to rozdzieli mnie i Shane'a, to już trudno, co?

- Galanterowie chyba się wyprowadzają, to prawda - głos matki brzmiał spokojnie. To był zły znak. Im bardziej mama się denerwowała, tym spokojniej mówiła. - To ma wpływ na nasze decyzje, bez wątpienia. Sprzedajemy bank, więc...

- O właśnie! - teraz Lauren już krzyczała. - Właśnie! Jak to jest, że dowiedziałam się o tym od Shane'a? Dlaczego nie dowiedziałam się wcześniej?

- Nie podnoś głosu, moja panno - ojciec wstał i podeszedł do niej, wymierzając w nią palec. - W tej rodzinie od lat prowadziliśmy interesy nie konsultując się z tobą. Owszem, masz 17 lat, owszem, jesteś w ciąży, ale to nie oznacza, że jesteś dorosła, a już z pewnością nie oznacza, że będziesz wtajemniczana we wszystko, co robi mama i ja.

Ton jego głosu zranił ją do głębi. Shane miał rację. Sprzedaż banku, pomysł z wyprowadzką - to wszystko było częścią gigantycznego planu rozdzielenia ich. Podeszła do ojca i wzięła go za rękę.

- Dlaczego, tato? Czemu nam to robicie?

Zacisnęła wargi i odwrócił wzrok. W końcu znów spojrzeł jej w oczy, tym razem łagodnie.

- Jeśli idzie o ciebie i Shane'a, nie może być mowy o żadnych „was”. Jesteście jeszcze dziećmi, dziećmi i tyle. Musimy was chronić przed wami samymi,

Lauren - w jego głosie usłyszała wzruszenie. - Za bardzo cię Kocham, żeby po-  
stąpić inaczej.

Jej świat przechylił się nagle na bok, przekrzywił się tak, że zastanawiała się, czy kiedyś jeszcze stanie w normalnej pozycji. Zerknęła na matkę, sojusznika w tym wszystkim, ale nie otrzymała poparcia. Mama nawet na nią nie spoj-  
rzała. Kroczek po kroczeniu, Lauren wycofała się z pokoju. Jej serce waliło tak mocno, że obawiała się, czy nie słychać tego w całym pomieszczeniu.

- Nie uda się wam! - znów mówiła głośno, głośno i zimno.

- Lauren, w ten sposób mówić do nas nie będziesz - niedawna łagodność znikła z głosu ojca. - Wróć do swojego pokoju i zastanów się nad sobą. Mojej córce nie przystoi takie zachowanie.

Oślupiała, potrząsnęła głową. Nie mogła tego wszystkiego pojąć - ani jego słów, ani jego gestów, ani tonu jego głosu. Wszystko to zlało się w jedno, a ona le-  
dwie zdołała wyszeptać:

- Nie uda się wam.

Łzy napłynęły jej do oczu, zamazując wzrok. Nie mogła przez nie wyraźnie  
widzieć twarzy ojca, mimo to starała się utkwić w nim wzrok.

- Ja go Kocham, tato. Ta sprzedaż banku, przeprowadzka... - gardło jej ze-  
sztywniało i nie mogła mówić dalej.

- Skarbie - znów odezwał się łagodnie. - Cóż ty możesz wiedzieć o miłości?

Poczuła ból w piersiach, nie mogła nawet nabrać powietrza. Stać tak blisko  
tych dwojga i wiedzieć bez cienia wątpliwości, co zrobili, że knuli przeciwko niej  
i Shane'owi.

Nadal mówiła cicho, głosem nabrzmiałym od bólu, przejmującego ją na  
wskroś.

- Bez względu na to, co zrobicie wy i jego rodzice, my pozostaniemy razem.  
Nie możecie żyć naszym życiem.

Odwróciła się i pobiegła do siebie. Już miała rzucić się na łóżko, gdy przy-  
pomniała sobie o dziecku. Cudownym małym dziecku. To nie jego wina, ale  
sytuacja jest, jaka jest. Usiadła na łóżku i położyła się na boku. Trzymając obie  
dłonie na brzuchu, pozwoliła łzom płynąć bez przeszkód.

Chciała tylko jednego - kochać Shane'a. Jak to się stało, że wszystko tak  
powariowało, poplątało się? Więc ona i Shane są młodzi. I co z tego? Czy to zna-  
czy, że nie mają prawa spróbować jakoś tego sobie ułożyć? Znaleźć sposób na wy-  
chowanie dziecka i wspólne życie?

Ogarnęła wzrokiem swój pokój - ładne meble, luksusową pościel. Jej rodzi-  
ce mają tyle pieniędzy, że nie wiedzą, co z nimi robić, rodzice Shane'a zresztą  
też. Tylko że jakoś nie mogą pojąć, jak należy kochać. Im dłużej myślała o ich do-  
mach, samochodach, zasobnym życiu, tym większy ogarniał ją gniew. Gdyby byli  
biedni albo średnio zamożni, tak jak rodzice większości jej kolegów i koleżanek,  
ten problem w ogóle nie wydałby się im szczególnym problemem. Jej ciąża była-

by bez wątpienia rozczarowaniem, ale Lauren zostałyby w domu i wychowywałyby dziecko, a Shane odwiedzałyby ich w każdej wolnej chwili. A potem, kiedy już skończyliby liceum, pobraliby się i wszystko ułożyłoby się dobrze.

To przez te pieniądze - i przez władzę i prestiż, jakie się z nimi wiązą. To przez to sytuacja wydaje się bez wyjścia. Wtedy po raz pierwszy w głowie zaświtał jej pomysł. Niedorzeczny, zwariowany. Na swoim prywatnym koncie ma pięć tysięcy dolarów. To pieniądze, jakie miała wydawać na ciuchy albo koktajle owocowe. A gdyby tak uciec razem z Shane'em? Gdyby wziąć te pieniądze i rozpocząć życie na własny rachunek? Przecież mogłoby się udać!

Ale pomysł umarł równie szybko, jak się narodził. Nie może uciec z Shane'em. Nie w chwili, gdy oczekuje dziecka. Potrzebuje opieki lekarskiej i pomocy rodziców, jeśli ma się nauczyć, jak być matką. A jednak ta myśl nie opuszczała jej. Leżąc tak, patrząc w sufit i rozmyślając o Shane'ie i ich niepewnej przyszłości, znów przypomniała sobie tę scenę z filmu. Człowiek w sali o przybliżających się ścianach i te drzwi zapadowe, dzięki którym uciekł.

To właśnie oni, czyż nie? Dokładnie taka sama sytuacja. Zасыpiając, myślała jeszcze o pułapce, w jakiej się znaleźli, o tym, że ściany zamykają się nad ich planami i przyszłością. Musi być jakieś wyjście, na pewno. Poczeka, aż urodzi się dziecko, i wtedy wyjmie swoje pieniądze. Ta myśl ożyła w niej na nowo, wlewając w serce odrobinę nadziei.

To prawda, ściany się zamykają. Ale może, być może w ich więzieniu też są jakieś drzwi zapadowe.



## Rozdział 3

Shane Galanter miał wrażenie, że tonie.

Nie mógł przestać myśleć o czymś, co zdarzyło się pewnego lata kilka lat wcześniej, o przerażającym wspomnieniu, które pasowało jak ulał do obecnej sytuacji.

Z paroma kolegami żeglowali po Jeziorze Michigan. Każdy po kolei skakał z łodzi i płynął pięćdziesiąt metrów tam i z powrotem. Ktoś miał stoper, zrobili się z tego zawody. Ktoś bił czyjś rekord o parę sekund, więc wszyscy chcieli próbować od nowa.

Shane płynął właśnie po raz trzeci z kolei, gdy wtem zerwał się silny wiatr. Uderzył w niego akurat w chwili, gdy zaczynało mu brakować sił. I nagle znalazł się półtora kilometra od brzegu, 50 metrów od łodzi, nerwowo machając rękami w wodzie, ale wcale nie posuwając się naprzód.

„Ratunku!”.

Ale wiatr poniosł jego krzyk w innym kierunku. Wszyscy koledzy stali akurat tyłem, z wyjątkiem tego, który trzymał stoper, ale on też nie patrzył.

Shane coraz rozpaczliwiej bił nogami wodę, ale wcale nie zbliżał się do żaglówki. Wtem fala uderzyła mu prosto w twarz i nabrał całe usta wody. Właśnie wtedy zrozumiał, co się dzieje. Zaczyna tonać, i to tuż pod boki kolegów. Łykał coraz więcej wody i co kilka sekund coraz bardziej się zanurzał, tracąc całą energię i nie posuwając się ani trochę.

Nagle któryś z kolegów wstał i wyciągnął rękę w jego stronę. „Ej! Galanter w opałach!”.

Znów uderzyła w niego fala, znów napił się wody.

Chłopcy przestawili żagle i czterech zaczęło wiosłować. Po kilku minutach dopłynęli do niego i wciągnęli go do łodzi. Ciągłe pamiętał, jak się wtedy czuł. Połykanie wody, wrażenie opadania z sił, świadomość, że dłużej nie da rady.

Tak samo jak teraz.

Pograżył się aż po głowę, tyle że tym razem w zasięgu wzroku nie ma ani żaglówki, ani brzegu, ani żadnej pomocy. Ale jedno jest pewne. Jeśli już ma utonąć, to chce o wszystkim wiedzieć. Dokładnie, w najdrobniejszych szczegółach.

Kiedy wrócił do domu po treningu baseballowym, poszukał ojca i znalazł go w gabinecie na piętrze.

Poszedł do niego i zamknął za sobą drzwi, akurat w chwili, gdy ojciec podnosił wzrok znad sterty papierów. Miał ołówek za uchem i uśmiech na twarzy.

- Jak trening?

Shane utkwiał w nim wzrok, zaskoczony.

- Jak trening? - zaśmiał się z goryczą. - Moja dziewczyna jest w ciąży, moi rodzice przechodzą jakiś kryzys wieku średniego, a ty mnie pytasz, jak trening?

Ściągnął czapkę i przygładził włosy.

- Miła odmiana, tato. Jeśli chcesz znać szczerą odpowiedź.

Ojciec określił się na krześle w jego stronę i założył nogę na nogę.

- Dobra, Shane - wskazał na skórzaną kanapę przy biurku. - Siadaj. Chyba chcesz pogadać.

- Chcę porozmawiać? - gniew ogarnął go na dobre. Był w nim, kiedy się budził i kiedy szedł spać. - Ja muszę porozmawiać! A to jednak co innego.

- Zgoda - ojciec skinął głową w zamyśleniu. - To mów, co cię gryzie?

Shane usiadł na skraju kanapy i oparł łokcie na kolanach. Utkwił wzrok w oczach ojca.

- Czemu nie powiedzieliście mi o Kalifornii?

Na twarzy ojca odbiło się zaskoczenie. Bez wątplenia nie był przygotowany na takie pytanie. Przez chwilę zbierał myśli, po czym zmarszczył brwi w ten charakterystyczny, wyćwiczony już sposób. Ten, którego - jak Shane zaobserwował - używał względem matki, kiedy coś szło nie po jego myśli.

- Zainwestowaliśmy tam, synu. Przecież wiesz o tym.

- Mieszkamy tu od 12 lat i nigdy jakoś nie mówiłeś poważnie o przenosinach do Kalifornii - Shane starał się mówić spokojnym tonem. Utrata panowania nad sobą nic by mu nie pomogła, choć czuł, że wszystko się w nim gotuje.

- Jesteś jeszcze dzieckiem, synu - ojciec zmrużył oczy, a jego ton był niemal protekcjonalny. - Nie o wszystkim ci mówimy.

Serce Shane'a uderzyło o żebra.

- Czyli to prawda? Jedziemy do Los Angeles?

Ojciec zawahał się chwilę, jakby rozważał, czy zaprzeczyć, albo próbował odwlec ten moment. W końcu westchnął ciężko i powoli pokiwał głową.

- Tak.

Zacisnął usta i jeszcze wolniej skinął głową.

- W czerwcu.

- Nie możemy!

Shane zerwał się na równe nogi, gotowy w coś kopnąć.

- Tato, to jest miesiąc przed narodzinami dziecka.

- Za moich czasów w takim przypadku czerwiec byłby wprost idealnym czasem na przeprowadzkę.

Ledwie ojciec wypowiedział te brutalne słowa, już było widać, że ich żałuje. Otworzył usta, ale z powrotem je zamknął. Przycisnął do czoła zaciśniętą pięść i spjrzał na Shane'a.

- Przepraszam. Nie to chciałem powiedzieć.

Shane rozparł się na sofie.

- Właśnie dokładnie to chciałeś powiedzieć. Przeprowadzacie się, żebym nie mógł być z Lauren.

- Nie o to chodzi - w głosie ojca było słycać zmęczenie i zniechęcenie.

- Rozmawialiśmy już od pewnego czasu o sprzedaży banku, a pojawiła się dobra oferta.

Unióśł ręce w górę.

- Nadszedł na to czas. Cóż tu więcej mówić?

- Tato, ale dlaczego Kalifornia? - Shane zaśmiał się ze smutkiem. - Dlaczego nie wyprowadzić się na przedmieścia, jak rodzice Lauren? Przecież mógłbyś inwestować tutaj, to pewne.

- Zainwestowaliśmy już wcześniej w Kalifornii - ojciec wstał i podszedł do biblioteczki. Zdjął z górnej półki jakieś zdjęcie w ramce i wpatrzył się w nie. Było to zdjęcie Shane'a w jego drużynie baseballowej w pierwszej klasie.

Odwrócił się i znów spotkali się wzrokiem.

- Synu, twoja matka i ja nie tak wyobrażaliśmy sobie twoje życie. Że przed ostatnią klasą liceum zostaniesz ojcem. Rozumiesz?

Odłożył zdjęcie z powrotem na półkę.

- Chcemy dla was jak najlepiej. Dla ciebie, dla Lauren i dla dziecka. Dla was wszystkich.

- Dobra - Shane znów wstał. W środku wrzał jeszcze bardziej, oddychał coraz ciężiej. - W takim razie wytłumacz mi, w jakim sensie rozdzielenie nas ma być dobre dla kogokolwiek.

Kiedy ojciec nic nie odpowiedział, Shane odwrócił się i wybiegł z gabinetu. Musi znaleźć Lauren, zobaczyć się z nią, powiedzieć jej prawdę. Rodzice chcą go zabrać do Kalifornii, trzeba znaleźć jakiś sposób, żeby mógł zostać tu, przy niej.

Może jeśli teraz poprosi ją o rękę, to wystarczy? Wtedy mogliby być już razem przez resztę liceum. Potem on poszedłby na studia, a pewnego dnia zostałby pilotem, o czym zawsze marzył.

Nie miał wiele. Jego samochód i pieniądze - wszystko należało do ojca. Z wyjątkiem pieniężnych prezentów urodzinowych, jakichś 400 dolarów przechowywanych w skarbnice pod łóżkiem. Pobiegł do siebie, wyciągnął skarbnicę, wyjął plik banknotów. Przeliczył naprędce i zorientował się, że nie ma nawet tyle. Ale na razie wystarczy.

Rodzice chyba nie będą mogli ich rozdzielić, jeśli będą zaręczeni. Jego rodzice czy jej - ktoś z nich w końcu się opamięta i pozwoli im zostać razem. Dzięki temu będą mogli od początku być wspólnie razem z dzieckiem, a gdy skońcżą szkołę, wezmą ślub.

Matka była na zakupach, więc w domu był tylko on i ojciec. Shane wepchnął banknoty do portfela, a portfel wcisnął do kieszeni dżinsów. Zbiegł po schodach, wskoczył do auta i pojechał do centrum handlowego. Tam chyba zawsze mają jakieś promocje na biżuterię. Znał rozmiar jej palca, ponieważ kiedy parę miesięcy przed jej ciążą przyjechali tu do kina, przed seansem wpadli do sklepu jubilerskiego. To były wygłupy na niby, ale zapamiętał rozmiar. Szóstka. Pani za ladą powiedziała, że Lauren ma piękne, smukłe palce. Zaparkował i wbiegł do środka. Wszedł do pierwszego z brzegu butików z biżuterią i od razu podszedł do ekspedientki.

- Chcę kupić pierścionek - wyrzucił ostatkiem tchu. Zdawało mu się, że w kieszeni ma milion dolarów.

- Oczywiście - odezwała się starsza pani z delikatnymi zmarszczkami na policzkach i czole. - Pierścionek dla dziewczyny, kawalerze, tak?

Już miał zaprzeczyć, wyjaśnić, że to ma być pierścionek zaręczynowy. Ale zanim cokolwiek powiedział, uświadomił sobie, jak to by zabrzmiało. Po prostu śmiesznie. Ma siedemnaście lat, w dodatku wszyscy mu mówią, że ze swoją chłopięcą twarzą wygląda jeszcze młodziej. Popatrzył w oczy ekspedientce.

- Yy tak. Tak. Dla dziewczyny - zmusił się do nerwowego uśmiechu. - Mają państwo coś takiego?

Kobieta wstała i zaprowadziła go do przeszklonej lady z mniejszymi pierścionkami. Niektóre miały małe białe kamyki, inne różowe albo błękitne. Kilka wyglądało na diamentowe.

Popatrzył na kobietę.

- Chcę kupić coś prawdziwego.

- Naturalnie - znów się uśmiechnęła. - Diament?

- Tak.

Diament, zdecydowanie. Kochał Lauren Anderson od IV klasy podstawówki. Dzięki niej czuł się tak, jak nigdy wcześniej. Była zabawna i bystra, i była jego najlepszą przyjaciółką.

Nie może być nic innego, tylko diament.

- Dobrze. Ale jakiego rozmiaru kamień? - złożyła ręce i przekrzywiła głowę. - Diamenty są w różnych rozmiarach. Pełny karat, połówka, ćwiartka i tak dalej.

Shane'owi zaświeciły się oczy.

- Niech będzie pełny karat.

Matka miała coś takiego. Pierścionek z pełnym karatem będzie dobry dla Lauren.

- Tak jest - otworzyła ladę od środka i wyciągnęła aksamitną podkładkę z ośmioma pierścionkami wetkniętymi w osobne zagłębienia. Każdy z nich błyszczał, roztaczając nad szklaną ladą tęczę kolorów.

- Ceny zaczynają się od 1500 dolarów.

Nagle zrobiło mu się słabo. Woń prażonej kukurydzy i bułeczek cynamonowych wypełniła powietrze, przyprawiając go o mdłości. Spojrzał na kobietę i twardo pokręcił głową.

- Za tyle nie - ramiona opadły mu nieco. - Mam 380 dolarów.

- Zobaczmy - kobieta włożyła podstawkę z jaśniejącymi pierścionkami z powrotem do lady. - Mamy coś w podobnych cenach. Może opiłki diamentowe. W sumie byłoby jakieś ćwierć karata.

Pierścionki, które przyniosła tym razem, były znacznie mniejsze i nie tak pełne blasku. Starał się nie skrzywić, ale nie mógł się powstrzymać.

- Hmm...

Wtem przyszedł mu do głowy pomysł. Nie potrafił ukryć podniecenia w głosie.

- Czy można na nich grawerować?

- Jak najbardziej. To będzie dodatkowo 20 dolarów.

Zerknęła przez ramię na starszego mężczyznę za szklanym przepierzeniem.

- Ma pan szczęście. Mąż wszystko graweruje. Może to zrobić na poczekaniu, jeśli ma pan chwilę czasu.

- Świetnie.

Ręce miał mokre od potu. Wytrzeł je o dzinsy.

- Poczekam.

Pomogła mu wybrać pierścionek w rozmiarze sześć i w cenie, na którą mógł sobie pozwolić, łącznie z kosztem grawerowania. Pierścionek był nieduży. Opiłki diamentowe tworzyły pośrodku błyszczące serduszko, a obrączkę wykonano z białego złota. Był ładny i nadawał się w sam raz.

Czekając, myślał o pogadankach, które słyszał na spotkaniach młodzieżowych od czasu, gdy on i Lauren współżyli ze sobą. Nawet przedwczoraj była taka. Lauren nie przyszła na spotkanie - rodzice już jej nie puszczali. Ale to co usłyszał, trafiło mu prosto do serca.

Jeden z duszpasterzy zajmujących się młodzieżą pokazał dwa arkusze z bloku technicznego - jeden czerwony, drugi niebieski.

- To jesteście wy: ty i twoja dziewczyna.

Trzymając w górze, przejechał wzrokiem po sali. Potem wyjął buteleczkę kleju i popryśkał nim jedną stronę jednego z arkuszy. Przycisnął obydwie kartki do siebie.

- Tak się dzieje, kiedy ty i twoja dziewczyna uprawiacie seks.

Położył sklezione kartki na swoim pulpicie i przez 20 minut mówił na temat ciała. O tym, że Bóg poprosił swój lud, aby przeznaczyci swoje ciała na świątynię Ducha Świętego. I że seksualna rozwiązłość nigdy nie jest dobra dla ludzi wierzących.

- Właściwie... - prowadzący uśmiechnął się. Shane bardzo go lubił. Był młodszy niż większość duszpasterzy i wypowiadał się tak jak większość chłopaków. - Właściwie seks to świetna rzecz. A jest świetna dlatego, że to Bóg ją wymyślił. I jest świetna tylko wtedy, gdy robi się to w małżeństwie. Bo Bóg tak zaplanował od samego początku.

Nagle spowaźniał.

- Seks w każdej innej sytuacji to grzech, tak mówi Bóg. A mówi tak dla naszego własnego dobra. Seks poza małżeństwem wyrządza nam krzywdę. Zawsze tak będzie, czy się z tym zgadzamy, czy nie.

Podszedł do pulpitu i wziął dwa sklezione arkusze papieru. Uchwycił obydwie za rogi i powoli odrywał je od siebie tak, że siedzący przed nim młodzi ludzie widzieli tylko ich zewnętrzne strony.

- Widzicie? - odrywał dalej, do chwili aż zostały całkiem rozdzielone. - Z zewnątrz wygląda, że wszystko jest w porządku. I tak sobie myśli wielu z was. „Też mi coś. Kocham się ze swoją dziewczyną, i co z tego? Nikomu krzywdy nie robimy”.

W sali zapadła cisza, młodzi ludzie wpatrzyli się w dwa arkusze kartonu. Zdawało się, że każdy wiedział, co teraz nastąpi. Prowadzący odwrócił obydwie arkusze na drugą stronę. Czerwony arkusz był poklejony i podarty, z przyklejonymi do niego kawałkami niebieskiego. Na niebieskim arkuszu z kolei miejscami były przyklepione maleńkie kawałki czerwonego. Obydwie arkusze od tyłu wyglądały okropnie.

- Patrzcie - podniósł arkusze jeszcze trochę wyżej. - Bóg każe nam zczekać z tym aż do małżeństwa, ponieważ seks poza małżeństwem wyrządza nam krzywdę. Czasami tę krzywdę widzą wszyscy naokoło. Czasami wie o niej tylko sam Bóg i my. Ale wniosek jest jeden: seks poza małżeństwem pozostawi nam blizny i już nigdy nie będziemy tacy jak przedtem.

Te słowa jakoś uleciały z pamięci Shane'a. Zamrugał powiekami i spostrzegł grupę młodych ludzi w jego wieku. Akurat mijali sklep jubilerski. Byli z innego konkurencyjnego liceum, położonego kilka kilometrów dalej na wschód.

Dwie dziewczyny i trzech chłopaków, wszyscy w kurtkach szkolnych mistrzów sportu. Szczęśliwi, beztroscy.

Miał ochotę krzyknąć: „Nie róbcie tego! Nie zostawajcie sami, nie ryzykujcie, nie róbcie po swojemu! Biblia ma rację co do seksu!”. Ale tylko patrzył, jak odchodzili, śmiejąc się, przekomarzając i należycie korzystając ze wszystkich uroków licealnego życia.

Odwrócił się i spojrzął na starsze małżeństwo, pracujące nad jego pierścieniem. Dlaczego nie posłuchał? Dlaczego jemu i Lauren wydawało się, że okpią los, że ujdzie im na sucho coś tak złego? Ławka, na której siedział, była zimna i niewygodna. Tak samo czuł się w głębi duszy. Wstał i wyszedł na zewnątrz. Gdyby można jakoś cofnąć czas, powiedzieć Bogu, że się żałuje i chce się dostać drugą szansę...

Nie chodziło o to, że nie chciał tego dziecka. Chciał. Chciał dziecka i Lauren, i tego życia, jakie mogli wieść wspólnie. Ale żałował, gorzko żałował, że nie posłuchali Boga. Patrzył w górę przez szklane okienko w dachu centrum handlowego. *Boże... tak bardzo Ciebie potrzebujemy. Proszę...*

Zerknął na sklep jubilerski i na właścicieli pracujących nad pierścieniem.

*Proszę, niech to się jakoś łoży.*

Przyszedł mu do głowy pewien werset z Biblii. Ten młody duszpasterz nosił od czasu do czasu koszulkę z takim napisem. Wielkie różowe litery na seledynowym tle głosiły: *Jestem świadomy zamiarów, jakie zamyślam co do was.*

Nie bywał w kościele zbyt często - rodzice nigdy jakoś nie przywiązywali szczególnej wagi do niedzielnych nabożeństw - ale ten werset znał na pamięć. Był to ulubiony werset w gronie jego kolegów, ponieważ mówił o czymś, *czym* każdy z nich się martwił - o jutrze. „Jestem bowiem świadomy zamiarów, jakie zamyślam co do was - wyrocznia Jahwe - zamiarów pełnych pokoju, a nie zguby, by zapewnić wam przyszłość, jakiej oczekujecie”. To było napisane u Jeremiasza 29,11.

Westchnął i odczuł to w całym ciele, nawet w kolanach. Akurat wtedy starsza pani skinęła na niego ręką i kiwnęła głową. Pierścionek był gotowy. Podszedł do lady i przyjrzał mu się. Słowa, które polecił wygrawerować, odzwierciedlały jego uczucia co do tego okresu w ich życiu.

*Pomimo wszystko.*

Pomimo wszystko - bo choć Lauren ma 17 lat i jest w ciąży, choć ich przyszłość i przyszłość ich dziecka wisi na włosku, on ją kocha. Kocha ją, tak jak zawsze kochał, szczerze i zdecydowanie. Pomimo wszystko - bo bez względu na to, kiedy zobaczy ona ten pierścionek i odczyta napis na nim, te słowa wciąż będą prawdziwe. Pomimo że teraz im ciężko, pomimo że nie są pewni, co będzie dalej.

Pomimo wszystko... on ją kocha.

To prawda, postąpili źle. Ale on jej nie opuści. Nie opuści jej, póki słońce wschodzi, póki po zimie nadchodzi wiosna.

Zapłacił za pierścionek, a kobieta włożyła go do małej szkatułki z popielatogo aksamitu.

- Jestem pewna, że dziewczynie się spodoba - powiedziała.

Jej mąż zza przepierzenia mrugnął do niego.

- Miłość w młodym wieku jest czymś bardzo cennym.

Shane przygryzł wargi. Gdyby tylko wiedzieli... Podziękował, wcisnął torebkę bezpiecznie do kieszeni płaszcza i wyszedł z centrum handlowego. Już od szóstej klasy podstawówki zastanawiał się, jak to będzie, kiedy poprosi Lauren Anderson o rękę. Planował, że zabierze ją na szczyt jakiejś pięknej góry albo na piaszczystą plażę nad oceanem. Uklęknie przed nią i powie, że bez niej jako jego żony jego życie nie będzie pełne.

Ale teraz czas nie sprzyjał podobnym wyznaniom.

Jest połowa kwietnia, za dwa miesiące rodzice będą chcieli go zabrać do Los Angeles. Musi zacząć realizować swoje plany już teraz, znaleźć jakiś sposób na pozostanie razem. Bądź co bądź, to on jest mężczyzną. To do niego należy zapiekowanie się nią i dzieckiem, a to byłoby z pewnością niemożliwe z odległości 5000 kilometrów.

Podjechał pod jej dom i zapukał do drzwi. To też było coś nowego. Dotąd pukał krótko i od razu wchodził. Ale teraz czuł się... jak niemile widziany. Matka Lauren wyjrzała przez boczne okno i usłyszała, jak woła Lauren.

Po kilku minutach Lauren podeszła do drzwi, patrząc na niego zdumionym wzrokiem.

- Nie wiedziałam, że przyjedziesz.

Miała na sobie zbyt obszerną bluzę, spuszczoną na wierzch dzinsów.

Myśl o tym, że jej ciążę już zaczyna być widać, przeraziła go nagle. Kolejny dowód, że naprawdę tonie. Spojrzał na tamto okno, ale nie zobaczył już jej matki.

- Cześć.

- Cześć.

Wyszła na ganek i założyła ręce na piersiach.

Jej wzrok był smutny - jak zawsze w ostatnim czasie - ale w kącikach ust błąkał się uśmiech.

- Czułam dzisiaj, jak dziecko się ruszało.

- T a k ?

Przepełniło go uczucie zdumienia, tętniące życiem i lękiem, i obezwładniająca miłością - wszystkim naraz. Nie wiedział, co powiedzieć. To było coś, co mieli świętować wspólnie we wspólnym domu za dziesięć lat, już po ślubie i w wieku odpowiednim do posiadania zaplanowanych dzieci.

A jednak to dziecko w niej było ich dzieckiem. Co z tego, że za młodzi, skoro to dziecko co dnia jest większe. Wyciągnął rękę i dotknął palcami jej brzucha. Był twardy i trochę bardziej okrągły niż zwykle. Podniósł wzrok i spojrzał jej prosto w oczy.



- I jakie to uczucie?

- Jak skrzydełka motyla - zachichotała. - Shane, mnie się zdaje, że to dziewczynka.

Ruszyła jednym ramieniem - i nagle wyglądała tak jak ta słodka, głupiutka dziewczynka, w której zakochał się wiele lat temu.

- Wyobrażam sobie, że jej paluszki łaskoczą mi brzuch. Takie to właśnie uczucie.

- Coś podobnego! - założył ręce na piersiach i potrząsnął głową. - Nie umiem sobie tego wyobrazić.

- Tobie pierwszemu o tym powiedziałam.

Spuściła nieco głowę, jej oczy były wielkie i jakby nieśmiałe.

- Szkoda, że tego nie czułeś. To coś niesamowitego.

- Szkoda...

Przestąpił z nogi na nogę i sięgnął do kieszeni. Do tej, w której ukrył szkatułkę z pierścionkiem. Było za chłodno na spacer, a w jej domu panowała zbyt napięta atmosfera.

To nie był odpowiedni czas na randkę, ale sytuacja zmuszała go do działania. Jeśli nie zapyta jej teraz, straci kolejny dzień, kolejny dzień bez planu i sposobu na pozostanie razem, nawet gdyby jego rodzice mieli przeprowadzić się na Marsa.

Zakasał i złapał się rękami za szyję.

- Zimno dziś.

- A ha .

Nie zaprosiła go do środka. Kolejny zły znak.

- Może porozmawiamy w twoim samochodzie?

Pomysł był idealny.

- Koniecznie.

Uśmiechnął się do niej, ale jej nie pocałował. Jej matka mogła patrzeć przez okno.

Słońce zachodziło, a śnieg, który późnym popołudniem stopniał, teraz zamrzął i był jak ślizgawka. Ostrożnie doszli do samochodu i usiedli na przednich siedzeniach, Shane za kierownicą, Lauren koło niego. Gdy zamknęli drzwi, jej uśmiech zgasł.

- Coś jeszcze się stało? Chodzi o twoich rodziców?

- Nie, nic z tych rzeczy.

Czuł, że coś podchodzi mu do gardła. Nie przypomina sobie, żeby przed ciążą Lauren kiedykolwiek płakał. Ale w ciągu ostatnich kilku miesięcy kilka razy czuł, jak łzy napływają mu do oczu. Teraz też.

- Lauren...

Jak to zrobić?

To nie tak miało wyglądać, nie tak sobie wymarzył. Mimo to gdyby nawet zawiesił transparent na Empire State Building, nie mógłby być bardziej szczyry w swych uczuciach.

Miała zabawną minę. Coś na kształt uśmiechu, ale niezupełnie.

- O co chodzi, Shane?

Z trudem przełknął ślinę. Potem wyjął z kieszeni małą popielatą szkatułkę i podał jej. Uniosła brwi i wodziła wzrokiem od szkatułki do niego i z powrotem. Otworzył wieczko i pokazał pierścionek w środku. Łamał mu się głos, kiedy dawał jej to pytanie, zza każdego słowa wyzierały emocje.

- Wyjdź za mnie, Lauren. Nie dzisiaj ani jutro. Ale kiedy tylko będzie to możliwe, dobrze? Przecież zawsze mogę iść na studia i zostać pilotem.

Zaśmiał się nerwowo.

- Pamiętasz? Zawsze chciałem latać.

- Shane!

Wpatrywała się w pierścionek. Potem położyła dłoń na ustach. Potem wyciągnęła rękę i cofnęła ją.

- Może ty go wyjmiesz? I założysz mi na palec?

Roześmiał się i nawet sam ocenił ten śmiech jako nerwowo. Wszystko przebiegało niezupełnie po jego myśli. Spotkał się z nią wzrokiem.

- Czy to znaczy, że się zgadzasz?

- Au! - na chwilę zaparło jej dech, potem zachichotała. - Przepraszam!

Nagle jej oczy spowaźniały. Usiadła prosto, wygładzając zagniecenia na bluzie.

- Tak, Shane. Wyjdę za ciebie.

- To dobrze - uśmiechnął się i roześmiał się niepewnie. Wyjął pierścionek ze szkatułki i upuścił na ziemię. - Aj!

Pierścionek odbił się od dźwigni hamulca ręcznego i zsunął się pod fotel.

- Spróbuję go wyjąć - wsunęła dłoń w szczelinę przy siedzeniu i macała palcami przez kilka chwil.

- Hmm. Nie masz latarki?

Shane próbował się opanować, ale nie mógł. Już ani minuty dłużej. Śmiech z początku wstrząsał nim cichymi spazmami. Kiedy Lauren spostrzegła, że sytuacja go rozbawiła, też zaczęła się śmiać. Wkrótce oboje zaśmiewali się do łez, odrzuciwszy głowy w tył.

- Wiesz co? - Shane wziął w końcu głęboki oddech i wytarł oczy.

- Co? - jeszcze chichotała i trudno jej było mówić.

- Tak będzie, kiedy się pobierzemy - znowu się roześmiał. - Pomyłka za pomyłką.

- Ale - nabrała powietrza - będziemy się razem uczyć. Dlatego się nam powiedzie.

- Tak. I jeszcze coś, czego zabrakło nam na początku - teraz mówi już całkiem spokojnie, bez śladu śmiechu w głosie. - Bóg będzie pośrodku tego wszystkiego.

- Tak.

Zmarkotniała.

- Myślisz, że On nam przebaczy? To znaczy, czy myślisz, że to już koniec kary?

- Lauren, ja nie wiem, czy to była Jego kara.

Położył lewą rękę na kierownicy, a głowę przechylił w kierunku Lauren.

- Twoja ciąża to był skutek. No, może i kara też. Ale było to coś, co zdarzyło się, bo sami się o to prosiliśmy.

- Chcesz powiedzieć - na jej twarzy pojawiła się nadzieja - że według ciebie Bogu dalej na nas zależy? Pomimo tego, co zrobiliśmy?

- Tak, myślę, że Mu zależy. Wiesz, co wczoraj usłyszałem?

Przez następne pół godziny opowiadał jej o niebieskim arkuszu i czerwonym arkuszu i jak obydwa wyglądały po sklejeniu i rozerwaniu. Potem opowiedział jeszcze o pozostałej części pogadanki.

Wniosek był jasny. Owszem, wszystko zepsuli. „Niektórzy z was tutaj w tej sali prawdopodobnie już zawalili sprawę” - powiedział prowadzący. Ale chodziło o to, żeby przedstawić te błędy Bogu, powiedzieć Mu, że się żałuje. „A od tej chwili będziecie żyć już Jego mocą i w Jego światłości, będziecie chodzili Jego drogą”.

- Widzisz - ujął jej dłonie w swoje - musimy znaleźć ten pierścionek, ponieważ chcę się z tobą ożenić, Lauren. Wtedy znów będziemy jedną całością i, hm, nasze odwrotne strony nie będą wyglądać na takie zapaprane.

- Zgoda - znowu się zaśmiała. Ale o tym, co opowiadał, właściwie nie powiedziała nic.

Rozumiał to. Musiała się czuć winna, a przez to czuła się daleko od Boga. Co nie znaczy, że kiedyś czuła się blisko Niego. Kiedy im się to przytrafiło, dopiero zaczynali zbliżać się do Niego. Shane powściągnął chęć ciągnięcia tego tematu. Kiedyś Lauren poczuje się blisko Boga. Jeśli się pobiorą, na pewno tak się stanie. Ponieważ on z każdym dniem jest coraz bardziej pewny, że nie potrafi już żyć bez Boga.

- Spróbuję jeszcze raz.

Wsunęła palce pod fotel z boku i przez pół minuty szukała po omacku. Potem jej oczy zaświeciły się, wyciągnęła pierścionek i podniosła go do góry.

- Proszę uprzejmie.

Spojrzała na pierścionek, a potem na Shane'a.

- Jest piękny. Teraz możesz mi go włożyć.

- Ale najpierw przeczytaj - pokazał palcem. - Tu od środka.

Podniosła pierścionek do światła latarni.

- „Pomimo wszystko”?

Spojrzała na niego. I znów spojrzała na pierścionek i znów przeczytała. A gdy to zrobiła, nagle zrozumiała. Wahała się przez chwilę, i patrząc teraz na Shane'a mrugała powiekami, żeby powstrzymać łzy.

- Pomimo wszystko nie straciliśmy tego, tak? Tego, co zawsze mieliśmy?

- Tak. Kocham cię, Lauren. Pomimo że wydaje się, jakby wszystko w tym życiu powariowało. Kocham cię bez względu na wszystko.

Wziął pierścionek z jej ręk, a kiedy wkładał go jej na palec, oboje się uśmiechali. To był dobry znak, światełko nadziei, że może znajdą jakąś wspólną drogę i wszystko sobie ułożą.

Może jedni bądź drudzy rodzice pozwolą im się pobrać po skończeniu liceum i dadzą im pokój do dyspozycji. Na pewno początki będą ciężkie. Będą gafy, śmiechy i niezręczności. Ale będą mieć siebie nawzajem.

Pierścionek z tymi maleńkimi okruchami diamentowymi błyszczał w słabnącym świetle dnia. Shane ujął jej rękę i przejechał kciukiem po białym złocie. Przez ułamek sekundy zdawało mu się, że to nie żaden pierścionek zaręczynowy, ale maleńkie, miniaturowe koło ratunkowe. Coś, czego można się uchwycić, tak żeby choć przez moment utrzymać głowę nad powierzchnią wody. Tak żeby opuściło go to uczucie topienia się i żeby wiedział, że Bóg rzeczywiście ich kocha i że im przebaczył. Że mają przed sobą wspólną przyszłość i że czeka na nich nadzieja.

Pomimo wszystko.

## Rozdział 4

Angela Anderson zamartwiała się.

Już od miesiąca dzieci codziennie mówiły o ślubie i nie sposób było odwieść ich od tego zamiaru. Najwyraźniej postanowili przekonać i jednych, i drugich rodziców, a zaczęli od niej i Billa.

- Chcemy się pobrać - nowinę oznajmił wyprostowany, wysoki Shane z Lauren stojącą obok. - Zaręczyliśmy się. Musimy być razem. Jeśli... - zawahał się - jeśli moi rodzice się wyprowadzą, chciałbym zapytać, czy mógłbym mieszkać tu, w państwa zapasowej sypialni, do czasu, aż na jesieni skończę 18 lat. Wtedy - z trudem przełknął ślinę - weźmiemy ślub.

Bill wzięł głęboki oddech i nieomal rzucił się na chłopaka:

- Po pierwsze, wcale nie jesteście zaręczeni i nie jesteście...

- Jesteśmy, tato! - Lauren zrobiła krok w przód i podniosła lewą rękę. Po raz pierwszy zobaczyli pierścionek. Na moment oboje - Angela i Bill - zamilkli. - Jesteśmy zaręczeni i musimy być razem. Shane ma rację.

- Proszę mi nie przerywać, moja panno! - Bill jeszcze nie skończył tyrady. - Nie jesteście zaręczeni, ponieważ jesteście za młodzi. Nie zamieszkacie razem i nie pobierzecie się teraz, przed ostatnią klasą liceum. To nie ma najmniejszego sensu - zniżył głos. - Im szybciej to zrozumiecie, tym lepiej.

Kłótnia rozgorzała na dobre, a Angela czuła, że za chwilę pęknie jej serce. Jej mąż wpadł w furję, ale ona dostrzegała jego strach. Zwierzył jej się wcześniej

z lęku, że tracą Lauren. „Byliśmy tacy... tacy bliscy sobie - wyglądał przez okno ich sypialni. - Czasami zastanawiam się, czy nie straciliśmy jej na dobre”.

Teraz, kiedy tak słuchała, jak walczy z córką, te jego słowa nie dawały jej spokoju. Ale nie tylko oni cierpieli. Na twarzy Shane'a widać było zawód, a w oczach Lauren przeraźliwą rozpacz. Ich córka chce tego tak samo jak Shane, to jasne. Co wobec tego? Czy ona i Bill słusznie zmuszają ją i jej ukochanego do rozstania? Czy słusznie nie dają im szans na wspólne życie?

W końcu Shane i Lauren wyszli, ale Lauren próbowała jeszcze dwa razy tego samego tygodnia. Z rozmowy na rozmowę wątpliwości Angeli narastały, a po miesiącu w murze jej pewności pojawił się nagle wyraźny wyłom. Shane przekonywał też swoich rodziców, ale i oni rzecz jasna nie chcieli mieć nic wspólnego z ich planem. Nie było mowy, żeby Lauren przeniosła się razem z nimi na zachód. I tak, pozbawieni pomocy i jednych, i drugich rodziców, młodzi praktycznie nie mieli wyjścia.

Shane nie miał własnego samochodu ani pieniędzy, ani miejsca do mieszkania. Przez jakiś tydzień rozważał rzucenie szkoły i najęcie się do pracy w pobliskim obskurnym barze drobiowym. W końcu jednak - jak podejrzewała Lauren - jego ojciec pomógł mu w rachunkach i udowodnił, że nawet gdyby pracował tam 60 godzin tygodniowo, i tak nie zarobiłby na mieszkanie, samochód i chleb. Nie mówiąc o utrzymaniu żony i dziecka.

Nie, nie mieli szans na wspólne życie bez pomocy z zewnątrz.

Ale nie tylko z tego powodu majowe tygodnie upływały w napięciu i cierpieniu. Sheila dzwoniła co kilka dni. I choć przedtem zawsze miło się z nią gawędziło, można się było odprężyć i pośmiać, teraz rozmowy kręciły się wokół jednego.

- I co? - głos Sheili zdawał się coraz ostrzejszy z rozmowy na rozmowę.  
- Zdecydowała się w końcu? Ona musi oddać to dziecko, Angelo. Sama powiedziałaś, że do tego dojdzie. Doprawdy, przecież możesz jej pomóc podjąć tę decyzję.

Angela westchnęła ciężko i wyjaśniła po raz któryś z kolei, że decyzja należy do Lauren i Shane'a. Oczywiście, że ona będzie doradzać oddanie dziecka, tak byłoby najlogiczniej i najlepiej dla wszystkich.

- Ale jednego nie rozumiesz - powiedziała w końcu Sheili.

- Czego niby?

- Że nasze dzieci się kochają. Już od bardzo dawna.

Sheila zachnęła się w sposób dający do zrozumienia, że absolutnie się z tym nie zgadza.

- A cóż one mogą wiedzieć o miłości!

„A cóż wy możecie wiedzieć o miłości!”. To zdanie cieszyło się wśród dorosłych ogromnym powodzeniem. Nawet Angeli się podobało. Takie ładne i zgrabne, no i dawało podstawę do sterowania dziećmi, decydowania za nich. Bo jakie one mogą mieć pojęcie o miłości?

A może to nieprawda?

Ta obawa jak drzazga utkwiła w jej sumieniu, i choć bardzo się starała ją ignorować i nie zauważać jej, to nie była w stanie się jej pozbyć. W połowie maja Lauren była w siódmym miesiącu, i ciążę było już widać. Angela chciała, żeby córka zrezygnowała ze szkoły, bo koledzy zaczną gadać. Lauren stwierdziła, że koledzy i tak będą gadać. Miała rację. Wtedy już całe ich otoczenie wiedziało, że Lauren jest w ciąży.

Angelę to wszystko bolało jeszcze bardziej z powodu utraty przyjaźni Sheili. Ta kobieta była dla niej jak siostra, dzieliła się z nią najgłębszymi lękami, największymi radościami i obawami.

Teraz Sheila stała się mniej wyrozumiała, za to niechętnie nastawiona do Lauren, a nawet do niej. W końcu Angela podjęła decyzję. Nie dopuści, żeby jej córka przez całe życie musiała znosić nienawiść rodziny Shane'a. Tych dwoje musi się rozstać - to postanowione.

Ich uczucie na pewno nie wygasło. Ale do Angeli należy teraz wybić Lauren z głowy pragnienie zamieszkania z rodziną, w której rodzice nie chcą mieć z nią nic wspólnego. Wie, co ma teraz zrobić, a wszystko dla dobra Lauren. Z miłości do niej.

W najbliższą sobotę Angela zaprosiła Sheilę do siebie i obie jak zawsze usiadły na werandzie. Przypatrywała się jej, ostrożnie dobierając słowa.

- Sheila, wiem, na co liczysz. Masz nadzieję, że Bill i ja zdołaliśmy przekonać Lauren do oddania dziecka do adopcji.

- Tak - Sheila położyła ręce na kolanach. Starała się nie patrzeć Angeli zbyt długo w oczy. - Angelo, to szaleństwo, żeby dziewczyna w jej wieku zostawiła sobie dziecko. Tyle już razy o tym rozmawialiśmy... - urwała. - No więc... po to mnie zaprosiłaś?

- N i e .

Angela wzięła głęboki oddech i opanowała się. Rozmyślała o tym już od wielu dni i doszła do wniosku, że tylko to im pozostało, że to jedyny sposób na rozwiązanie problemu.

- Chodzi o nasze dzieci i o nasze plany na najbliższy miesiąc.

- O *nasze* plany? - Sheila podniosła wzrok i przez ułamek sekundy wyglądała jak dawna Sheila. Ta miła, tolerancyjna, ta gotowa słuchać i śpieszyć z pomocą w każdej sytuacji. W każdej sytuacji - z wyjątkiem tej jednej.

- T a k .

Angela napełniła filiżanki kawą. Łyknęła ze swojej i odstawiła ją. Billa nie było, nadzorował prace ekipy przycinającej gałęzie drzew w pobliżu nowej siedziby banku w Wheaton. Lauren była u siebie na górze. Pisała, teraz dużo więcej niż przedtem. Angela przymknęła oczy i zebrała siły, żeby przedstawić swój plan.

- Myślę, że powinniśmy poczekać przynajmniej miesiąc, zanim wymienimy się numerami telefonicznymi. To znaczy, po przeprowadzce.

Sheila zrobiła dziwną minę, ale stopniowo jej twarz rozpogodziła się.

- A co powiemy dzieciom? Że nie chcemy, żeby ze sobą rozmawiały?

- Nie, w żadnym wypadku. Możemy - zniżyła głos, za nic nie chciała, żeby usłyszała to Lauren - zrzucić winę na operatora telefonicznego. Uruchomienie nowego połączenia trwa nieraz tygodniami. Dzięki temu Lauren będzie mogła urodzić i przemyśleć sprawę bez tej presji codziennych rozmów z Shane'em i rozbienia wszystkiego tak, jak gdyby wciąż byli parą.

Ramiona Sheili rozluźniły się, a wyraz jej twarzy był nieomal miły.

- Niezła myśl - spojrzała na Angelę, a jej oczach było błaganie o wyrozumiałość. - Cieszę się, że mnie wspierasz w tej sprawie. Abstrahując już od kwestii przyjaźni, musimy troszczyć się o nasze dzieci. Są za młodzi, żeby być ze sobą w ten sposób.

- Racja - Angela nie była tego wcale taka pewna. Ale tylko tyle pozostało między nią a Sheilą: ciąg ruchów i odruchów, machinalne powtarzanie utartych reakcji. - Zobaczymy, może uda się utrzymać ich z dala od siebie przez miesiąc czy półtora.

- A zatem kiedy będziemy już w LA - a Shane jedzie z nami, czy mu się podoba, czy nie - podam ci nasz nowy numer, ale ty dasz go Lauren nie wcześniej niż po 45 dniach. Możesz do mnie zadzwonić i podać mi swój nowy numer, ale ja nie dam go Shane'owi wcześniej niż po takim samym okresie. O to ci chodzi?

- Zgadza się.

- Uważam, że to znakomity pomysł. Dobry plan.

- To prawda. Też tak sędzę. Potrzebują trochę czasu osobno.

Angela skrzywiła się, wypowiadając to kłamstwo. Lauren i Shane wyrzekliby się ich na całe życie, gdyby to słyszeli. Ale ta rozmowa nie miała na celu uszczęśliwić Sheilę ani przekonać ją, że dzieci dojdą do siebie przebywając osobno. Ta rozmowa miała na celu ochronić Lauren przed wrogością rodziny Shane'a. W tym celu Angela była gotowa kłamać, nawet jeśli na krótką metę zraniłoby to Lauren.

Spojrzała na Sheilę.

- To tylko miesiąc, może półtora. Potem mogą znów nawiązać kontakt i zobaczymy, co będzie.

Sheila wstała.

- Świetnie.

Spojrzała na zegarek.

- Muszę już iść. Mamy dziś w kościele uroczystą kolację.

Po raz ostatni spotkały się z Angelą wzrokiem. Tym razem Sheila powstrzymała się przed epatowaniem jej tym fałszywym uśmiechem, który w ostatnich miesiącach Angela widywała tak często. Teraz tylko nieznacznie uniosła kąciki ust.

- Angelo, to nie jest łatwe dla żadnej z nas... - urwała. - Proszę, daj mi znać, jeśli dojdiesz z Lauren do jakiegoś porozumienia. Jest wiele wspaniałych rodzin



pragnących adoptować dziecko. To byłoby ze strony Lauren wielkie poświęcenie, ale powinna to rozważyć.

Angela miała ochotę splunąć jej w twarz. Wielkie poświęcenie dla Lauren? Owszem. I wielkie zwycięstwo Sheili. Podeszła kilka kroków do drzwi i otworzyła je szeroko, tak żeby Sheila nie została dłużej, niż to konieczne. I wtedy, skoro Sheila była już na odchodnym, Angela dorzuciła jeszcze kolejne kłamstwo.

- Sheilo, co do adopcji, to miałam rację. Lauren z każdym dniem coraz bardziej skłania się ku temu.

- Naprawdę?! - oczy Sheili rozświeciły się tak samo, jak rozświeciły się, gdy ogłaszali wyprzedaż sezonową u Bloomingdale'a.

Angeli zrobiło się niedobrze. Zagryzła wargi i skinęła głową.

- Tak. Jestem absolutnie pewna.

I Sheila poszła, wśród wylewnych zapewnień, że wszystko będzie dobrze, półśmiechów, uwag, że wszystko toczy się swoim torem, w życiu wszystko w końcu się układa, każda zmiana jest jak nowa pora roku, którą należy smakować, i nic nigdy nie pozostaje dłużej takie samo.

Cisza, jaka zapadła po wyjściu Sheili, była dla Angeli pierwszą spokojną chwilą tego ranka. Usiadła na kanapie, oparła się wygodnie i zamknęła oczy. Zdobyła się na to. Przekonała Sheilę, żeby trzymała się z dala od jej życia, od życia jej córki. Przynajmniej przez miesiąc lub dłużej.

Oznaczało to, że Lauren będzie mogła urodzić w spokoju, bez tych nieustających telefonów i dyrektyw Sheili, dlaczego i kiedy najlepiej będzie oddać dziecko.

Kiedy tak siedziała, cały przebieg porannej rozmowy wydał jej się dobry, z wyjątkiem jednego, tego samego, co nie dawało jej spokoju już od miesiąca: Co będzie, jeśli miłość jednak dzieciom nie przejdzie? Co będzie, jeśli Sheila i oni wszyscy, dorośli, mylą się? Co będzie, jeśli to nie wiek decyduje o tym, czy ktoś naprawdę rozumie miłość i czy ta miłość jest prawdziwa?

Angela skrzyżowała ramiona i objęła się za boki. To nastolatki, jasne, że się z tym pogodzą. Pocierpiają jakiś czas. Ale przeboleją stratę i po miesiącu czy później zapewne spojrzą na sprawy inaczej i dojdą do wniosku, że rozstanie dobrze im zrobiło. Jeśli tak się stanie, to może się nawet okazać, że Lauren postanowi oddać dziecko do adopcji.

I rzeczywiście wszyscy na tym skorzystają.

Zamrugała oczami i otworzyła je, wstała i powoli poszła na górę do pokoju Lauren. Zapukała cichutko.

- Wejdz - głos Lauren był zmęczony i roztargniony. Shane cały dzień miał trening baseballa, więc większość czasu spędziła w swoim pokoju, pisząc.

- Nad czym pracujesz? - Angela usiadła na skraju łóżka córki. Wspomnienie rozmowy z Sheilą wryło się w jej umysł. Czuła się jak zdrajczyni.

- Piszę opowiadanie.

Podniosła jakiś niebieski zeszyt.

- Mam ich tu mnóstwo.

- A o czym będzie?

- O dziewczynce imieniem Emilia. Jest księżniczką w jakimś dalekim kraju, gdzie mieszkają tylko same króliki, niedźwiedzie i lisy. Całe życie nie wie, gdzie szukać swojego księcia, aż spotyka pewną kobietę mieszkającą po drugiej stronie gór.

- Aha - Angela pokiwała głową. - Uwielbiam tę twoją wyobraźnię.

- Wyobraźnię bez dyplomu uniwersyteckiego? - uśmiechnęła się do matki.

Miała na palcu pierścionek od Shane'a. Oboje ciągle wierzyli, że prędzej czy później jedni lub drudzy rodzice dadzą za wygraną i pozwolą im mieszkać razem przez następne sześć miesięcy. Jak powiedział Shane w poprzednim tygodniu, mogliby się pobrać nawet teraz, za zgodą rodziców. Co nie znaczyło, że ktokolwiek miał zamiar takiej zgody udzielić.

Angela milczała przez chwilę, Lauren zapisała kolejne kilka zdań. Potem zamknęła zeszyt i spojrzała na matkę.

- Po co przyszła pani Galanter?

Angelę dręczyły wyrzuty sumienia, ale zmusiła się do uśmiechu.

- Rozmawialiśmy o ich przeprowadzce. Nie zdecydowali się jeszcze, który dom kupić w Kalifornii.

- Shane ma dziś rozmawiać ze swoim tatą. Być może pozwoli mu zamieszkać z którymś kolegą z drużyny baseballowej - uśmiechnęła się zadowolona.

Nie było co do tego wątpliwości. Lauren ciągle wierzyła, że wszystko się ułoży, że nie zostaną rozdzieleni.

Angeli przypomniał się ton głosu Sheili. „Shane jedzie z nami, czy mu się podoba, czy nie”. Chrząknęła i spróbowała uśmiechnąć się do córki.

- Nie jestem pewna, kochanie.

- A ja jestem.

Położyła zeszyt przy łóżku i usiadła po turecku koło swojej poduszki.

- Bóg coś wymyśli.

- Bóg? - Angelę dziwnie ścisnęło serce. To przecież ona jest matką. Rozmowa o Bogu w takich sytuacjach powinna była wyjść od niej i od Billa. I tak by się stało pewnego dnia, gdy nie byłiby już tak zabiegani, kiedy zamieszkaliby na przedmieściu Wheaton i życie byłoby prostsze. Wtedy chodziliby co niedziela do kościoła i pomyśleliby nad tym, jak znaleźć Bogu więcej miejsca w ich życiu.

Lauren patrzyła przez okno spokojnym, zamyślonym wzrokiem.

- Gdybyśmy zeszłego lata więcej rozmawiali o Bogu, no wiesz, że to On powinien być najważniejszy, to może nie popełnilibyśmy tylu błędów.

Milczały przez chwilę, na dworze zaczął siać drobny deszcz. W końcu Angela znalazła słowa, których szukała.

- Powiedz mi, co czujesz do Shane'a - odezwała się łagodnie, już bez tej pogroźki w głosie, która w nim brzmiała podczas ich wielu rozmów od początku roku. - Tak naprawdę.

Lauren zmarszczyła nos i leciutko ściągnęła brwi.

- Mamo, przecież wiesz, co czuję.

- Wiem, co mówisz. A mówisz to, co powinnaś. Jesteś w ciąży. Co innego możesz mówić jak to, że go kochasz? Ale co to tak naprawdę dla ciebie oznacza?

Lauren powoli wypuściła powietrze i znów spojrzała przez okno.

- To oznacza, że bez względu na to, co się stanie, nawet jeśli go ode mnie zabiorą, część mnie już na zawsze pozostanie z nim.

Spojrzała na matkę.

- Część jego zawsze pozostanie ze mną.

Trzymała dłonie wciśnięte pod kolanami, ale teraz wyciągnęła lewą rękę.

- Ten pierścionek będę nosić już zawsze, mamo - uśmiechnęła się. - Shane Galanter kocha mnie tak, jak nikt inny już nigdy nie będzie. Ujmuje się za mną zawsze, gdy nikt inny tego nie robi, wierzy we mnie nawet wtedy, gdy sama w siebie nie wierzę. Wszyscy - w jej głosie słychać było śmiech - uważają, że jesteśmy za młodzi, żeby wiedzieć cokolwiek o miłości. Ale ja patrzę na ciebie i tatę i na Galanterów, na to, jak skończyła się wasza przyjaźń, i wiesz, co sobie myślę?

Angela czuła, że ściska się jej gardło, że dławią ją emocje.

- Co ?

- Że dorosłość wcale nie pomaga wiedzieć, co to jest miłość.

Nie chciała płakać, nie kiedy patrzy Lauren. A jednak łzy popłynęły. Nie mogła mówić, więc pochyliła się i przytuliła córkę. Tuliła ją tak długą chwilę. A kiedy kilka minut później wychodziła z jej pokoju, wątpliwość co do tego, co zamierzają zrobić dzieciom, przestała być już drobnym cierniem drażniącym jej sumienie.

Stała się pełnowymiarowym sztyletem.

Tego wieczora Lauren nie mogła się doczekać wizyty Shane'a. Nie powiedziała rodzicom, że ma przyjść, a teraz było już po jedenastej i oboje rodzice byli w łóżku. Siedziała przy oknie i patrzyła na deszcz. Siąpił cały dzień, ale teraz krople zrobiły się większe i cięższe.

Na drogach było pusto. Shane powinien zjawić się lada moment. Na jej kolanach leżało opowiadanie, nad którym akurat pracowała, najnowsze. Odkąd tylko nauczyła się, jak trzymać ołówki w ręce, pisywała historie, szczególnie wtedy, gdy serce przepeśniały niepokojące uczucia. Wpatrywała się teraz w zeszyt w swoich dłoniach i przekartkowała go aż na początek odczytała napis na pierwszej stronie: „Pomimo wszystko - nasza historia. Napisała Lauren Gibbs”.

Po jej ustach błąkał się uśmiech. Lauren Gibbs to był jej pseudonim literacki. Dawno temu przeczytała to nazwisko w jakiejś książce i coś z niego - coś

pasującego do jej charakteru a może jakaś tkwiąca w nim siła - przyłgnęło do niej.

Kiedy je znalazła, pobiegła do ojca, z trudem panując nad entuzjazmem. „Tato! To idealne nazwisko”.

Czytał akurat gazetę. Jej strony zaszeleściły w jego dłoniach, kiedy zgiął je w pół i pochylił się, żeby na nią spojrzeć.

- Co takiego?

- Nazwisko w tej książce - pokazała mu. - Jest w sam raz.

Powoli wrócił do lektury gazety. Jego wzrok błędził między artykułem a Lauren.

- To świetnie, skarbie.

- Tato! - fuknęła na niego. - Wcale nie słuchasz.

- Co? - gazeta obsunęła się kilka centymetrów i spojrzał na Lauren. - Oczywiście, że słucham. Podoba ci się ta książka.

- Nie! - prychnęła. - Podoba mi się nazwisko bohaterki tej książki.

Zamrugał oczami.

- Nazwisko bohaterki?

- Tak. Lauren Gibbs - znów uśmiechnęła się szeroko. - Czy to nie brzmi wspaniale?

Tata zaśmiał się.

- Moim zdaniem Lauren Anderson też brzmi całkiem nieźle.

Lauren wbił się w pamięć ten incydent. Ojciec mógł nie dostrzec w tym nazwisku niczego nadzwyczajnego. Ale ona jak pomyślała, tak zrobiła.

Posługiwanie się nim, kiedy pisała opowiadania, było sposobem na utrzymanie dystansu. W jej wyobrażeniu Lauren Gibbs nie była siedemnastoletnią uczennicą liceum. Była kobietą światową i mądrą, o gruntownym wykształceniu, zafascynowaną polityką międzynarodową. Przemierzała świat, spotykając ciekawych ludzi z rozmaitych kultur.

Z takiej perspektywy pisała, jak gdyby ona sama prowadziła życie swojego alter ego.

Pobiegła wzrokiem w dół strony. W pierwszej linijce było napisane: „Patrzyła na niego ze swojego niepozornego miejsca przy stole obiadowym. Miała zapamiętać ten dzień do końca swego życia - dzień, kiedy zakochała się w Shane'ie Galanterze”.

Z oddali dobiegł ją odgłos samochodu, zamknęła zeszyt. Co jakiś czas czytała Shane'owi swoje opowiadania, ale teraz tego nie robi. Mają zbyt dużo do roboty. Odłożyła zeszyt i znów wyjrzała przez okno. Oto wielka szansa, na którą czekali. Jego ojciec obiecał mu, że porozmawiają o możliwości zamieszkania na jeden rok u jednego z kolegów z drużyny baseballowej. To by było idealnie. To by oznaczało, że jego rodzice znikną z horyzontu. Biorąc pod uwagę, jak jego matka traktuje ją ostatnio, dobrze by było trzymać się na odległość.

Za zakrętu wychyły światła samochodu, zmrużyła oczy, wpatrując się w ciemność. Tak, to on. Zajechał swoją toyotą camry pod ich dom i wyłączył silnik. Patrzyła, jak wychodzi z samochodu, widziała, jak nieco kuli barki, jak powoli idzie.

Wyprostowała się trochę i wtem uderzyła ją pewna myśl, myśl, którą przez ostatni miesiąc próbowała odrzucać. A jeśli jego ojciec nie pozwolił? Jeśli upiera ją się, żeby Shane jechał z nimi? Nie, nie zrobią tego przecież. Nie mogą, skoro ona nosi pierścionek od niego. Skoro są zaręczeni i mają się pobrać.

Był już prawie przy drzwiach, gdy dobiegła do nich, otworzyła i dała mu znak ręką, żeby nic nie mówił i wszedł. Kiedy zamknęła drzwi, oparła się o nie i wpatrzyła się w jego oczy.

- Pozwoli ci, prawda?

- Lauren.

Spuścił wzrok i w tej samej chwili odpowiedź była równie jasna jak sierpniowe niebo nad Chicago. Kiedy podniósł oczy, błyszczały od łez.

- Chce, żebym jechał do LA i tam dokończył szkołę. Tylko do czasu, aż skończę szkołę. Wtedy zrobi wszystko, żeby nam pomóc.

Pokój zaczął się kołysać, nie zdziwiłaby się, gdyby sufit nagle upadł im do stóp.

- Ty... wyjeżdżasz? Za miesiąc?

- A co ja mogę innego zrobić? - w jego głosie pobrzmiwała złość. - Lauren, ja nie mam nic. Ani samochodu, ani pracy, ani wykształcenia, nawet marnych 20 dolarów.

Przytulił ją. Po chwili wyprostował się i znowu na nią popatrzył. Smutek w jego oczach był tak przejmujący, że aż bolał.

- Moja mama twierdzi, że myślisz o oddaniu dziecka.

Potrząsnęła głową, załamana.

- Nigdy, Shane. Przenigdy.

Objęła go w pasie i przylgnęła kurczowo.

- Dlaczego ona ciągle to powtarza?

- Nie tylko ona - jego głos brzmiał ciepło, łagodnie. - Twoja mama powiedziała to samo.

- Co? - cofnęła się o krok i potrząsnęła głową. - Czy ty tego chcesz?

- Oczywiście że nie - sięgnął ręką po jej dłonie, ale nie podeszła bliżej. - Tyle tylko że... w ciągu najbliższego roku nie możemy sami o niczym decydować.

Odwrociła się do niego tyłem i wpatrzyła się w okno. Dreszcz zaczął się w jej ramionach i doszedł do dłoni. Jeśli Shane wyjedzie, to może powinna oddać dziecko. Jak sobie poradzi bez jego pomocy? Jej rodzice obiecali pomoc, ale najwyraźniej nie pochwalają tej decyzji. Dreszcz dotarł do ud, kolan, a w końcu trzęsło się już całe jej ciało.

Podszedł i objął ją, opierając dłonie na powiększonym brzuchu.

- Ja chcę mieć to dziecko, Lauren. Myślałem, że pojawi się za 10 lat, ale pomimo to chcę go.

Obrócił ją, tak że stali twarzą w twarz.

- Nigdy nie myśl, że go nie chcę.

- Naprawdę wyjeżdżasz?

- Nie poddam się. Będę dalej szukał jakiegoś sposobu, naciskał na tatę i próbował do ostatniej chwili coś załatwić.

Chwytał jej dłonie.

- Obiecuję.

- Wiem. Tylko że... - teraz już dzwoniły jej zęby. - Jeśli nic z tego nie wyjdzie, to został nam razem tylko miesiąc.

- Mogą mnie zabrać z Chicago, ale nie mogą mnie zabrać z twojego życia. Lauren, skończmy szkołę. A potem będziemy razem. Mój tata obiecał.

Chciało jej się krzyczeć, płakać, złapać go za rękę i pobiec gdzieś daleko, najdalej, jak się da. Ale nie mieli wyjścia. Ściany codziennie przybliżały się coraz bardziej. Poczowała ruszające się dziecko i łzy napłynęły jej do oczu.

- Shane, znajdź jakiś sposób - wyrwał jej się szloch i ukryła twarz w jego ramieniu. Proszę. Nie poradzę z tym sobie bez ciebie.

Obejmował ją, szepcząc obietnice, że spróbuje, że może jest jeszcze coś, o czym nie pomyśleli. Ale kiedy w końcu odjeżdżał tej nocy, była pewna, że nie tylko ona zdaje sobie sprawę z ich sytuacji. On też.

Miłość miłością. Do pożegnania pozostał jeszcze miesiąc.

## Rozdział 5

Dni mijały jak minuty, każdy zabarwiony innym zestawem nowych i przerażających emocji.

W niektóre popołudnia Lauren jechała z Shane'em nad jezioro i spacerowała wzdłuż brzegu, rozmawiając o tym, jak to będzie, kiedy będą już razem. Nie zwracali uwagi na dziwne spojrzenia mijających ich ludzi. W swych jasnych długich włosach Lauren nie wyglądała nawet na 17 lat. Naokoło szeptano.

Ale ich to nie obchodziło. Za bardzo byli pochłonięci swoim światem, żeby przejmować się tym, co myślą inni. Nawet rodzice.

- Rozmawiam z jedną nauczycielką, może wynajmie mi pokój - powiedział Shane w pewne słoneczne popołudnie, gdy siedzieli na plaży. - Znasz ją. Pani Tilp.

- Pani Tilp, ta od różniczek? - Lauren zmrużyła oczy, patrząc w słońce. Jej brzuch był naprężony, dziecko mocno cisnęło.

- Mhm. Ona i jej mąż mają wolny pokój. Usłyszałem, jak rozmawia o tym z inną nauczycielką. I zapytałem, czy mogłaby wynająć. No wiesz, na najbliższy rok. Jesienią moglibyśmy się pobrać i zamieszkać tam razem z dzieckiem.

Nie brzmiało to zbyt obiecująco.

- A powiedziałaś jej, że to chodzi o ciebie? A raczej o ciebie, o mnie i o dziecko?

- Na razie tylko, że o mnie - poprawił czapkę na głowie. - Pomyślałem, że zapytam o was dwoje, kiedy się już zgodzi.

Nazajutrz Shane miał już odpowiedź. Nauczycielka nie chciała wynajmować pokoju uczniowi. Zwłaszcza niepełnoletniemu. Potem Shane popróbowwał szczęścia u sąsiada trzy domy dalej, samotnego emeryta.

Kiedy możliwości odpadały jedna po drugiej, Lauren nie chciała już wierzyć, że wszystko jakoś się ułoży. Wieczory, gdy Shane wracał ze szkoły, już niemal zawsze spędzali razem. Czuli się niezręcznie w swoich domach, Shane zabierał ją więc samochodem, parkowali gdzieś i rozmawiali.

- A imiona? - zapytał pewnego wieczoru. Rozważali już parę, ale nie podjęli decyzji. - Musimy zaplanować, na wszelki wypadek.

- Na wypadek czego? - Lauren badawczo spojrzała mu w oczy i od razu pojęła.

- To znaczy, jeśli zabiorą cię do Kalifornii?

Zacisnął usta i skinał głową. Spojrzał na jej brzuch i podniósł wzrok.

- Mam jedną propozycję.

Cudownie było tak siedzieć z nim, udawać, że są taką zwyczajną parą spodziewającą się dziecka. Oparła się o drzwiczki samochodu i uśmiechnęła się szeroko.

- Dla chłopca czy dziewczynki?

- Dla dziewczynki.

- No dobra, to jakie?

Dziecko poruszyło się i przytknęła tam dłoń.

- Zobacz.

Wzięła jego dłoń i położyła ją na swoim brzuchu.

- Jeszcze tego nie czujesz.

- Co ty?

Dotykał jej delikatnie i czekali. Dziecko znów się poruszyło, a twarz Shane'a rozpromieniła się.

- No nie... Niesamowite!

Teraz położył jej na brzuchu obydwie dłonie i głaskał miejsce, gdzie wyczuł dziecko. Potem pochylił się i wyszeptał:

- Ej ty, mała, poczułem. Mocno kopiesz.

Dziecko znów się poruszyło, a Lauren czuła się taka szczęśliwa, że przpuszczała, że cała promienieje. To był pierwszy kontakt Shane'a z ich dzieckiem. Nagle cała jej ciąża stała się czymś normalnym, prawdziwym i cudownym. Tak, jak powinno być.

Shane jeszcze raz przejechał dłonią po jej brzuchu, oparł się o drzwiczki i powiedział:

- No to posłuchaj: Emily.

Oczy mu się świeciły.

- Co ty na to?

- Podoba mi się.



Wyobraziła sobie córkę - bo to była córka, miała absolutną pewność - ubraną na różowo, w koronki, z tym słodkim, kobiecym imieniem. Ona myślała o czymś bardziej nowoczesnym - Justine albo Tabitha. Ale ujęło ją, że to Shane wybrał imię.

- Nie wiedziałam, że zastanawiasz się nad imionami dla dzieci.

- O niczym innym nie potrafię myśleć - zaśmiał się cicho. - O szkole prawie wcale nie myślę, bo ciągle marzę o tobie i dziecku, kiedy się urodzi i czy... - jego uśmiech zgasł. - Czy będziemy wtedy razem.

Puściła mimo uszu te ostatnie słowa. Jeśli tylko rodzice pozwolą, to Shane będzie z pewnością najlepszym ojcem na świecie.

Innym razem zapytała go:

- A jeśli chłopiec?

- To nie wiem - zrobił zabawną minę. - Może Josh albo Jared. Coś w tym rodzaju.

Te rozmowy zawsze budziły w Lauren takie samo uczucie. Jakby bawili się w dom w cieniu nadciągającej nawałnicy. Mimo to dzięki takim zwyczajnym pogawędkom o imionach łatwiej było im znosić te dni.

Szczególnie że każdy z nich przybliżał datę wyprowadzki rodziców Shane'a.

Kiedy został już tylko tydzień, doszło do rozmowy, której Lauren spodziewała się przez cały ten czas.

- Muszę wyjechać - po głosie Shane'a można było poznać, że płakał. - Skończy szkołę w Kalifornii i wtedy przyjadę i cię odnajdę. Za każdą cenę. I coś wymyślimy.

Nawet wtedy nie była gotowa dać za wygraną. Cały tydzień próbowała przemówić rodzicom do rozsądku.

- Błagam, zróbcie coś! - łąpała matkę za rękę, ojca za ramię. - Kochamy się. Nie chcemy się rozstawać. Proszę, pomóżcie nam!

Rodzice słuchali i raz na jakiś czas w jakiś sposób wyrażali jej współczucie. Ale nigdy nie zaoferowali pomocy.

Już pod koniec tego ostatniego tygodnia Lauren zastała raz matkę w kuchni i przyparła ją do muru.

- Zadzwoń do Galanterów. Zaprosz ich tu. Powiedz, że nie damy sobie rady z dała od siebie. Mamo, proszę.

- Lauren, sprawa wygląda inaczej. Galanterowie dali nam jasno do zrozumienia, że nie chcą mieć nic wspólnego z naszą rodziną.

To było jak ta kurcząca się sala. Bez drzwi. Bez okien. Bez wyjścia.

W końcu nadszedł niedzielny wieczór. Shane razem z rodzicami miał wyjechać nazajutrz rano, miał więc przyjechać, żeby się pożegnać. Lauren poszła w kierunku drzwi, chcąc wyjść na zewnątrz.

- Nie wychodź, kochanie - zawołała matka z kuchni. - My też chcemy się pożegnać.

- Nie chcecie. Nie obchodzi was ani trochę, że wyjeżdża.

Lauren mówiła ostrym tonem. Stosunki między nią a rodzicami układały się gorzej niż kiedykolwiek. Jeśli nie chcą pomóc Shane'owi zostać tutaj, to co ich to jeszcze obchodzi? Wszyscy są przeciwko nim. Trzasnęła za sobą drzwiami, wyszła na chodnik przy ulicy i czekała. Miała na sobie sprany za duży żółty podkoszulek i granatowe szorty ojca. Jej brzuch był teraz wielki, tak ogromny, że aż ją przerażał. Choć na zewnątrz było duszno i gorąco, ogarnęły ją dreszcze. Jak doszło do tego, że wszystko tak stanęło na głowie? Dlaczego nie słuchali swojego duszpasterza, kiedy jeszcze mieli szansę normalnie skończyć liceum tak jak wszyscy ich koledzy?

Tego wieczoru księżyc był w pełni, oblewając światłem drzewa i rozrzucając cienie wokół miejsca, gdzie stała. Z oddali dobiegł ją odgłos samochodu, zmrużyła oczy, patrząc na zbliżające się światła. To był on. Znała dźwięk silnika jego auta.

Kiedy zatrzymał się i wysiadł, od razu się zorientowała, że płakał. I że dalej płacze. Wsadził ręce do kieszeni, obszedł samochód od przodu i podszedł do niej.

- Lauren... - objął ją ramionami i próbował przytulić. Ale jej brzuch był tak ogromny, że wyszło to niezręcznie i wycofał się. - Mam tylko 10 minut. Tata chce, żeby firma przeprowadzkowa zamocowała wóz na ciężarówce.

Wpatrzyła się w jego twarz.

- A gdybyśmy oddali dziecko, czy wtedy zostaliby?

- N i e .

Przejechał palcami po jej brwi aż na skronie.

- Już o tym rozmawialiśmy - jego wzrok był pełny znaków zapytania.  
- Chcesz oddać dziecko?

- Oczywiście że nie - pociągnęła nosem i poczuła, jak wali jej serce. - Ale nie jestem w stanie sama poradzić sobie z dzieckiem, bez ciebie. Moi rodzice mnie nie wesprą, Shane.

Cofnęła się o krok.

- Nie wiem, co robić.

Złapał ją za rękę i kciukiem wyczuł pierścionek zaręczynowy.

- Pamiętasz, co tam jest napisane?

Zamrugała powiekami, próbując dostrzec go wyraźniej.

- T a k .

- „Pomimo wszystko”, Lauren. Kiedy wszystko się wali, ja i tak cię kocham. I tak chcę się z tobą ożenić.

Minuty upływały jedna za drugą, aż w końcu pozostał im jeszcze tylko długi, rozpaczliwy uścisk i pośpiesznie wypowiedane obietnice.

- Zadzwoń.

Shane wysunął się z jej uścisku i ruszył w kierunku auta.

- Będę czekać - podeszła krok bliżej.  
- Rok szybko minie - zatrzymał się jakiś metr od drzwiczek. - Przyjadę, obiecuję.

- Spotkamy się tam, kiedy skończysz szkołę.  
- T a k .

Zmrużył oczy, próbując zająrzeć poza jej strach i niepewność. Jego policzki były mokre.

- Musisz dotrzymać tej obietnicy.  
Kolejny krok.

- Dam ci znać, jak tylko zacznę pracować.

Już miał wsiąść do samochodu, ale przez chwilę tylko patrzył jej w oczy. Rozumiała, co robi. Te parę sekund miało wystarczyć także i jej. Potem nadzwyczajnie spokojnym głosem powiedział:

- Nigdy nie będę nikogo kochał tak jak ciebie, Lauren. Nigdy.  
Masowała się po gardle i z trudem przełknęła ślinę, próbując wydobyć słowa.  
- Ja też. Póki żyję.

Powiedzieli już sobie wszystko. Wsiadł do samochodu i odjechał. Dopiero wtedy zwróciła uwagę na ból w brzuchu. Niezbyt dokuczliwe, nic poważnego. Po prostu uczucie bólu.

Tak jakby dziecko w środku cierpiało.

Angela próbowała nie patrzeć, ale nie mogła się powstrzymać.

Siedziała po ciemku w dużym pokoju, patrząc przez okno na Lauren i Shane'a żegnających się, przytulających i płaczących. I potem, kiedy on odjechał, na Lauren opadającą na trawnik, z twarzą w dłoniach. I wtedy właśnie to spadło na Angelę - przytłaczające wyrzuty sumienia. „Maleńka, wszystko będzie dobrze” - szeptała, przytykając palce do chłodnej szyby. - Damy sobie radę”.

Siedziała tak jeszcze, kiedy podszedł do niej Bill i położył dłoń na jej ramieniu.

- Dojdą do siebie - powiedział cichym, pewnym głosem. Nigdy nie dopuszczał innej możliwości.

Angela zrozumiała: Lauren była dla Billa kimś bardzo drogim. Instynkt jej ochrony był w nim przepotężny. W taki sposób starał się uchronić ją przed czymś, co uważał za bolesne. Gdyby ona i Shane zostali razem, na pewno zatrzymałaby dziecko, nawet jeśli nie była to najmądrzejsza decyzja. A gdyby tak się stało, nie miałyby szans na normalne wejście w dorosłość, na skończenie liceum, studiów. Co więcej, gdyby wyszła za Shane'a, związałyby się z teściami, którzy przestali już ją lubić.

Bill nie miał wątpliwości. Rozdzielenie Lauren i Shane'a było najlepszym wyjściem dla wszystkich. Angela chciała czuć podobnie, ale na razie całą jej energię pochłaniało łapanie oddechu. Położyła dłoń na dłoni męża.

- A jeśli nie? - odwróciła się i popatrzyła na niego, a jej serce zaczęło bić jakimś dziwnym rytmem. - A jeśli nie dojdą do siebie? A może nie mamy racji, Bill? To myśmy do tego doprowadzili, my i Galanterowie.

Zachmurzył się i popatrzył przez okno na córkę.

- To jeszcze dzieci. Nie wiedzą, co jest dla nich dobre. Myślę - wysunął nieco brodę - że wszyscy dobrze wiemy, że najlepiej będzie, jeśli Lauren odda dziecko.

Angela poczuła, że wzbiera w niej gniew.

- Już o tym rozmawialiśmy. Ona chce je zatrzymać, wiesz o tym.

- Ale skoro Shane'a nie ma... - wzruszył ramionami. - Skoro znikł z horyzontu, to myślę, że zmieni zdanie.

Wyprostował się i na koniec ścisnął jej ramię.

- Taką mam nadzieję.

Odwrócił się i poszedł do pokoju. Usłyszała, jak włącza telewizor, a potem głos spikera mówiącego o meczu Redsów i White Soksów i kto był gwiazdą tego wieczoru.

Angela patrzyła, jak odchodzi, i wyrwał jej się cichy szloch. Potrząsnęła głową. Na pewno jego pobudki były szczerze, ale jak to możliwe, że przyczynił się do rozdzielenia dzieci i nigdy nie odczuł nawet najlżejszej wątpliwości? Wspólnie z Galanterami manipulowali przyszłością dzieci w każdy możliwy sposób. Przeżyli razem ponad 10 lat, a jednak cała czwórka spokojnie patrzyła na śmierć ich wspólnej przyjaźni. Potem zgodzili się, że utrzymają w tajemnicy swoje numery telefonów. Przynajmniej przez miesiąc. Że wtedy może Lauren zmieni zdanie i odda dziecko do adopcji. Angela wyjrzała przez okno na Lauren i pomimo ciemności widziała to, co było oczywiste: Lauren płakała. Łkała samotnie na tej wilgotnej trawie wczesnego lata, i nie było nikogo, kto by ją pocieszył. Po plecach Angeli przeszedł zimny dreszcz i zadrzała. Ta myśl nie chciała jej opuścić, nie dawała chwili wytchnienia. Ta sama myśl, która dręczyła ją przez cały ostatni tydzień, cały ostatni miesiąc. Tak, w jakiś pokretny sposób cała czwórka usiłowała zrobić to, co najlepsze dla dzieci.

Ale co na Boga będzie, jeśli się pomylili?

Shane ledwie widział przez łyzy.

Był najlepszym graczem w drużynie, chłopakiem, którego nikt nie ośmieliłby się zaczepić w szatni ani w żadnym innym miejscu. Ale w ciągu ostatniego miesiąca czuł, jak dzień po dniu jego życie rozpada się. I nic nie mógł na to poradzić. Zobaczył przed sobą czerwone światło i zahamował. Przycisnął pięści do oczu i potarł. Nie do nich będzie należeć ostatnie słowo, nie, jeśli tylko będzie mógł coś poradzić. Mogą go zabrać z Chicago, daleko od Lauren i dziecka, i wszystkiego, co wymarzył sobie na przyszłość. Ale nie mogą zmienić tego, co do niej czuje.

Przez całe życie wyobrażał sobie siebie jako przedsiębiorcę, inwestora jak ojciec, człowieka, który wyrobi sobie licencję pilota i będzie sam latał na ważne spotkania. Ale w ostatnim miesiącu to się zmieniło. Teraz inaczej patrzył na rodziców i ich świat, i wszystko, co sobą przedstawiali. Gdzieś w jakimś momencie pieniądź stał się nimi, tym, czym sami są. Przestał być tylko atutem, używanym jako narzędzie. Ich tożsamością stało się zgromadzone bogactwo. Właśnie to bogactwo nie dopuszczało możliwości, żeby jedyny syn państwa Galanterów został ojcem w wakacje przed ostatnią klasą liceum.

I o to właśnie chodziło w tej przeprowadzce, mogli mówić mu, co chcieli. Jeśli udałoby się im przenieść go na drugi koniec kraju i zapisać do nowej szkoły, w której nikt go nie zna, to życie toczyłoby się dawnym rytmem. Bez zmartwień, bez trosk i z przyszłością świetlaną jak złoto.

Tak jakby poprzez rozdzielenie go z Lauren prawda mogła zniknąć.

Tymczasem prawda była jaśniejsza niż kiedykolwiek. Życie, jakie miał wieść w przyszłości, nie mogło w niczym przypominać życia jego rodziców. Cel i sens znajdzie w czymś innym, nie w pieniądzach. I znajdzie je razem z Lauren i ich dzieckiem, ich dziećmi.

Przypomniał sobie wrażenie, jakiego doznał, wyczuwając dłońmi ruchy dziecka. Dziecko rosnące w Lauren należało do niego. I on spędzi całe życie na nauce, jak być ojcem.

Światło zmieniło się na zielone i Shane wjechał na skrzyżowanie. Łzy już obeschły i przestały płynąć. Zamiast nich pojawiło się postanowienie, silne na tyle, aby przetrwać całe życie. Ponieważ prawda, którą widział tak wyraźnie, była następująca: naprawdę nie zdoła pokochać nikogo tak, jak kocha Lauren Anderson. Pewnego dnia, kiedy tylko zdoła do tego doprowadzić, znowu się odnajdą. Wtedy do pierścionka, który już jej dał, doda obrączkę z białego złota.

I zostaną ze sobą już na zawsze.

## Rozdział 6

Determinacja Lauren wzrastała z każdą wypłakaną łzą. Ona i Shane znów będą razem, wcześniej czy później. W dzień po wyjeździe Shane zadzwonił z budki telefonicznej gdzieś w Oklahomie. Na linii były zakłócenia, ale rozumiała większość słów.

- Mama mówi, że z początku nie będziemy mieć telefonu - jego głos brzmiał jak z oddali, nerwowo, pośpiesznie. - Jesteśmy na stacji benzynowej. Nalewają paliwa, nie mam dużo czasu.

Lauren nie bardzo rozumiała.

- Nie będziecie mieć telefonu?

Dlaczego to wszystko wygląda na jakiś spisek przeciwko nim?

- Shane, każdy ma telefon. Więc dlaczego?

- Rodzice twierdzą, że to trochę potrwa. Ze względu na to, gdzie znajduje się nasz dom. Chyba całe osiedle jest nowe i firmie telefonicznej trochę to zabierze.

Ogarnęła ją panika.

- My wyprowadzamy się w piątek - przejechała ręką po czole, próbując zebrać myśli. - Też będziemy mieć nowy numer. Więc jak się z tobą skontaktuję, jeśli nie będziesz miał telefonu?

- Moja mama będzie rozmawiać z twoją. Nie bardzo wiem jak, może w pracy u twojego ojca czy gdzieś - teraz mówił spokojniej, ale w tle słyszała dźwięk uruchamianego silnika.

- Lauren, zadzwoniłem, bo chcę, żebyś o czymś pamiętała. Że jeśli nie zadzwonię, to i tak będę o tobie myślał. To się nigdy nie zmieni. Dojdziemy jakoś do tych numerów, nawet jeśli to potrwa parę tygodni.

Odetchnęła.

- W porządku. Skoro nasze mamy już to obmyśliły.

- Obmyśliły. Musiały... - urwał. - Muszę iść. Ale jak ty się czujesz?

- Dobrze. Serce dziecka mocno bije.

- A ty... nie zmieniłaś zdania co do niczego, prawda?

Czemu wciąż ją o to pyta? Zacisnęła zęby.

- Już mówiłam. To postanowione, jasne?

- Jasne. Wiesz... muszę lecieć. Kocham cię, Lauren. Zadzwonię, jak tylko będę mógł.

- Ja też cię kocham.

Rozłączyli się - i to miał być już ostatni jej kontakt z Shane'em.

Teraz razem z rodzicami przeprowadziła się do zupełnie innej miejscowości pod Wheaton, pełną godzinę drogi z miasta. Mieli nowy numer telefonu i gdy już się rozpakowała, spytała matkę:

- Skąd Shane ma wziąć nasz nowy numer telefonu?

- Czekam, aż jego mama się z nami skontaktuje, skarbie. Poda nam numer, kiedy będą mieli podłączony telefon.

- Ale jak się do nas dodzwoni, skoro my też mamy nowy numer? - do porodu pozostały dwa tygodnie i przez większość czasu Lauren czuła się nieszczególnie. - Mamo, ja muszę z nim porozmawiać.

- No tak - matce nawet nie drgnęła powieka. - Ten operator ma jakiś serwis informacyjny, kochanie. Przez najbliższe trzy miesiące każdy może zadzwonić na nasz stary numer i dowiedzieć się, jaki jest nowy.

W sercu Lauren zaświtała nadzieja. Serwis informacyjny!

- Naprawdę? - nie pomyślała o tym. - Więc Shane może zadzwonić lada moment?

- Oczywiście - matka uśmiechnęła się.

Minęły jeszcze trzy dni, czyli razem dwa tygodnie od czasu ostatniej rozmowy z Shane'em. Bolał ją kręgosłup, więc przeszła się do skrzynki pocztowej przed domem. Gdzie on jest, co robi? Czy już się wypakowali i przywykli do nowego otoczenia? W jakim rejonie Los Angeles mieszkają? Na przedmieściach czy bliżej centrum? Dlaczego wcześniej go o to nie spytała?

Zamyślona weszła z powrotem do domu. Ojciec był w nowym banku, tym koło Town Square, a matka była w jego gabinecie z dekoratorką wewnątrz, wybierając próbki zasłon.

Lauren poszła do kuchni, usiadła na fotelu obrotowym i wpatrzyła się w telefon. Dlaczego nie dzwoni? Przecież żadna firma nie trzymałaby ich tak długo bez telefonu.

Ale widocznie tak jest, widocznie jeszcze ich nie podłączono.

Bo Shane zadzwoniłby przy pierwszej nadarzącej się okazji. Postukała w telefon palcem. W tej samej chwili poczuła ściśnięcie w brzuchu, trwało to jakieś pół minuty. Fałszywe skurcze. Miała je już od kilku dni. Zrobiła kilka szybkich wdechów i wydechów i spróbowała przypomnieć sobie ich ostatnią rozmowę.

Co on mówił? Że zadzwoni, kiedy tylko będzie mógł, tak? Pozwoliła tej myśli pozostać na chwilę w głowie. Dlaczego nie może znaleźć jakiejś budki? Może pojechać z rodzicami do supermarketu albo na stację benzynową, albo gdziekolwiek indziej w Los Angeles. Budki są wszędzie. Mógłby zadzwonić na stary numer i usłyszeć informację o nowym. W takim razie dlaczego wciąż nie dzwoni?

Przejechała palcem po słuchawce. Może w tym serwisie informacyjnym podają zły numer, pomylili jedną czy dwie cyfry, i Shane nie może się dodzwonić? I stopniowo, zrywami narodziła się w niej pewna myśl. Przecież ona też może zadzwonić na ich stary numer. Wtedy sama usłyszy nagranie i upewni się, czy podają dobry numer. Czemu nie pomyślała o tym wcześniej!

Z głębi domu dobiegł beztroski śmiech matki. W ostatnich dniach większość czasu spędzała z dekoratorką, ojca prawie nie było w domu. Posiedzenia zarządu z nowymi udziałowcami, intensywny program szkoleń z nowych systemów operacyjnych, spotkania z personelem.

Więc może to do niej należy ustalenie, jak skontaktować się z Shane'em.

Podniosła słuchawkę i wybrała swój stary numer. Jedyńka, numer kierunkowy, a potem siedem cyfr, znanych jej równie dobrze jak jej własne imię. Kiedy wstukała wszystkie cyfry, czekała na sygnał. Ale się nie doczekała. Usłyszała za to dziwny dźwięk, a potem mechaniczny głos wyrecytował: „Wybrany numer został odłączony. Nowy numer abonenta jest nieznanym”.

Co? Nowy numer jest... Powoli, jak opadające kostki domina, podłoga zaczęła usuwać się jej spod nóg. Mocniej złapała słuchawkę. Wciąż było słyhać nagranie. „...został odłączony. Nowy numer...”.

Matka ją okłamała. Nie było innego wytłumaczenia.

Odłączyli stary numer, ten, który znał Shane, i specjalnie nie zostawili nowego. Powód był równie szokujący, jak oczywisty. Nie chcieli, żeby z nim rozmawiała. Przenieśli ją na przedmieścia, a teraz uniemożliwili kontakt przez telefon.

Zerwała się na równe nogi. Trzasnęła słuchawką.

- Mamo! - huk głosu wypełnił cały dom. - Chcę z tobą porozmawiać.

Śmiech matki dobiegający z innego pokoju nagle ustał.

- Lauren... jestem zajęta. Później, dobrze?

Wypadła z kuchni, pobiegła korytarzem i wbiegła do gabinetu. Dekoratorka patrzyła osłupiałym wzrokiem. Lauren gniewnie spojrzała na matkę.

- Muszę z tobą porozmawiać w tej chwili - w jej głosie pobrzmiwała z trudem hamowana złość. Wyszła z powrotem na korytarz i poszła w stronę kuchni. Tam obróciła się i czekała.



Matka szepnęła do dekoratorki coś, czego Lauren nie zrozumiała, cicho wyszła na korytarz i spotkała się z Lauren wzrokiem. Powinna być na nią wściekła. Bądź co bądź Lauren przerwała jej spotkanie służbowe, i to takim tonem, który przedtem nigdy nie uszedłby jej płazem.

Ale gdy matka zbliżała się do kuchni, w jej wzroku nie było ani trochę gniewu. Była tam troska, niepokój i lęk. Lęk przede wszystkim. Mama poczekała, aż będzie już bardzo blisko, i wtedy założyła ręce na piersiach.

- Zaczął się poród?

- Czy wyglądam tak, jakby zaczął się poród? - rzuciła oschle. Mówiła wciąż zbyt głośno, ale nie przejęła się tym. - Tutaj nie chodzi o mnie, mamo. Tutaj chodzi o ciebie - wskazała na telefon stojący z tyłu na biurku. - Zadzwoiłam na nasz numer, na nasz stary numer.

Matka spojrzała na telefon, a potem znowu na nią. Lęk w jej oczach był coraz wyraźniejszy.

- I co?

- Przestań udawać zdziwienie.

Miała ochotę krzyczeć. Nie mogła już bardziej panować nad tonem swego głosu.

- Doskonale wiesz, co chcę teraz powiedzieć.

- Lauren, uważaj, jak ze mną rozmawiasz.

- Nie brzmisz zbyt przekonująco.

Wpatrzyła się w oczy matki. Kim jest ta kobieta stojąca przed nią? Przez całe życie matka była jej przyjaciółką, sojuszniczką. Pierwszą osobą gotową słuchać i doradzać, kiedy w rozmaitych okresach koleżanki knuły przeciwko niej albo kiedy uwzięła się na nią jedna z nauczycielek. Ale odkąd tylko zaszła w ciążę, matka działała przeciwko niej na każdym kroku. Matka i ojciec, i rodzice Shane'a też.

Matka przestąpiła z nogi na nogę.

- Powiesz mi wreszcie, o co chodzi?

Lauren krzyknęła cicho.

- Przestań! Wiesz dobrze, o czym mówię! Przestań mnie okłamywać! - zacisnęła pięści. - Nie zostawiliście nowego numeru w tym serwisie. Jeśli Shane próbował dzwonić po naszej przeprowadzce, to niczego się nie dowiedział. Nie ma żadnego numeru, żadnego sposobu, żeby do mnie dotrzeć.

- C o ?

Matka podeszła do aparatu. Podniosła słuchawkę, wstukała kilka numerów i potrzymała chwilę przy uchu. Po kilku sekundach spojrzała na Lauren i odłożyła słuchawkę.

- Nie podają nowego numeru.

- Tak. I ty o tym wiedziałaś - jej złość rosła ze słowa na słowo. Kiedy mówiła, jej brzuch znów chwycił skurcz. Skrzywiła się i wymierzyła palec w matkę.

- Okłamałaś mnie.

- Nie, Lauren. Daję ci słowo - w jej głosie było zaskoczenie i nagle pojawiło się oburzenie, gdy zarzut do niej dotarł. - Powiedziałam tacie, żeby podał nowy numer, kiedy wyłączali... - urwała i powoli podeszła do telefonu. - Powiedziałam mu...

Skurcz był teraz gorszy niż wcześniej, silniejszy niż poprzednie tego dnia.

- Chcesz powiedzieć, że tata to zrobił, że ty nie miałaś z tym nic wspólnego? Jak mogła jej ufać? Jak mogła wierzyć któremukolwiek z nich?

- Tylko jakie to ma znaczenie? Oboje postanowiliście rozdzielić nas siłą. Powinam była uciec z Shane'em - teraz już krzyczała, a prawda docierała do jej serca.

Matka potrząsnęła głową, mówiąc łagodniej niż wcześniej:

- Lauren, zapewniam cię, że tego nie zrobiłam.

Znów wzięła słuchawkę i tym razem wstukała krótszy numer.

- Dzień dobry, mówi Anderson. Chciałam rozmawiać z mężem.

Lauren usłyszała już dość. Cóż to ma za znaczenie, którego to z nich wina? Jedno z jej rodziców zataiło ich nowy numer, po to żeby rozdzielić ją i Shane'a. Czując, jak kręci się jej w głowie, pobiegła na górę do swojego pokoju.

Wtedy właśnie dopadł ją pierwszy naprawdę bolesny skurcz. Przeszył brzuch i przycisnął do skraju łóżka. Zgięła się wpół, próbując wytrzymać. Kiedy minął, położyła się na materacu i oparła głowę na poduszce. Było jeszcze za wcześnie na przyjście na świat dziecka, ale skurcz, który ją złapał, był na pewno taki, jak te właściwe.

Wpatrywała się w sufit, a w jej żyłach płynęła rozgrzana do czerwoności wściekłość. Jak rodzice mogli zrobić coś podobnego! Zdradzili ją - i jak teraz ona skontaktuje się z Shane'em? Z oddali dobiegały ją niektóre słowa matki:

- Ale Bill, myślałam, że zostawisz tam numer. Lauren bardzo się zdenerwowała. Teraz myśli, że zrobiłam to celowo i...

Kolejny bolesny skurcz, silny i konkretny. Przekręciła się na bok i podciągnęła kolana do brzucha. Każdy oddech przychodził z trudem do chwili, aż ból ustąpił. Wtedy już wiedziała na pewno. To prawdziwe skurcze. A jeśli są tak częste, to znaczy, że poród prawdopodobnie się zaczął.

- Mamo! - zawołała na tyle głośno, na ile zdołała.

Matka zjawiła się po paru minutach.

- Lauren, ojciec miał zamiar zostawić numer, ale...

- Ja rodzę - wyrzuciła, próbując złapać oddech. - Strasznie mnie boli.

Znów dopadł ją ból i krzyknęła na cały głos. Usłyszała, że na dole dekoratorka zabiera swoje rzeczy i woła „do widzenia”. Dźwięk zamykanych drzwi rozległ się akurat w chwili, gdy skurcz ustąpił.

- Jedziemy do szpitala - matka pomogła jej wstać, zadzwoniła w kilka miejsc i w ciągu pół godziny były już w szpitalu rejonowym. Planowali, że urodzi w Chicago, w znajomym szpitalu, ale teraz nie było już czasu. Personel miejscowego Central DuPage pośpiesznie przewoził ją na salę porodową.

- Poród rozpoczął się już jakiś czas temu - powiedział im lekarz. - Dziecko przyjdzie na świat najpóźniej za godzinę.

Lauren była przerażona, zła i wyczerpana. Kiedy fale bólu przychodziły jedna za drugą, ledwie mogła oddychać. Próbowwała skupić się na słowach doktora. Co on mówi? Najpóźniej za godzinę? Jak to możliwe? Miała termin za dwa tygodnie. I do chwili odkrycia kłamstwa rodziców czuła się znakomicie. Teraz brakowało jej tchu, ból promieniował aż do klatki piersiowej i do pleców. Nie mogła nawet pozbierać myśli. Kontakt z Shane'em kompletnie się urwał, a ona za godzinę zostanie matką. Na dodatek i to, że rodzice nie są po jej stronie.

Matka dotknęła jej łokcia.

- Będę tutaj, skarbie. Tata już jedzie.

Lauren jęknęła. Chciała powiedzieć matce, żeby sobie poszła. Gdyby jej naprawdę zależało, pomogłaby jej odnaleźć Shane'a. Ale nadszedł kolejny skurcz i nie mogła już powiedzieć nic.

Nagle naszło ją pewne wspomnienie. Razem z matką poszła na przyjęcie z okazji narodzin dziecka u sąsiadów. Miała może 13 lat.

- A jeśli ja nie będę umiała urodzić dziecka? To znaczy, kiedy przyjdzie moja kolej? - zapytała matkę, naprawdę zaniepokojona tą myślą.

Matka ścisnęła jej rękę.

- Będę wtedy z tobą, Lauren. Powiem ci, czego się masz spodziewać, pomogę ci przez to przejść. Wszystko pójdzie dobrze.

Tak wyglądały ich stosunki, zanim zaszła w ciążę.

I oto teraz przechodzi dokładnie przez to, co niegdyś tak ją wystraszyło. Matka rzeczywiście jest przy niej, ale tylko pozornie. Ich stosunki zrobiły się napięte i trudne, tak jakby ta kobieta obok nie była wcale jej mamą, ale kimś, kto tylko tak samo wygląda.

- Wszystko dobrze? - matka przysunęła krzesło bliżej. Założyła nogę na nogę i pochyliła się nad nią, z troską widoczną w zmarszczkach na czole. - Potrzeba ci czegoś?

- Tak.

Lauren miała właśnie chwilę przerwy między skurczami. Przejechała językiem po wardze i utkwiała wzrok w matce.

- Shane'a.

Matka nie zadała już więcej tego pytania.

Lekarz nie pomylił się w swoich szacunkach. Dokładnie 50 minut po przybyciu do szpitala, jedynie przy minimalnym użyciu środków przeciwbólowych, Lauren urodziła dziewczynkę ważącą 2,80 kg. W chwili, gdy lekarz podniósł ją do góry, do oczu Lauren napłynęły łzy. To była jej córeczka, jej dziecko. Cząstka jej i Shane'a. Zakryła usta dłonią i potrząsnęła głową w zdumieniu.

- Jest... prześliczna.

Lekarz uśmiechnął się, matka, siedząca na krześle obok, też płakała. Lauren z jakiegoś powodu zaniepokoiły łzy matki. Czy płacze dlatego, że to nie tak miało wyglądać, czy może dlatego, że jest zbyt młoda, żeby zostać babcią?

Była to chwila, która już nigdy nie miała się powtórzyć - narodziny jej pierwszego dziecka. Była to chwila, kiedy jej matka powinna przeżywać radość, a nie ból.

W przypadku Lauren łzy były oczywiście łzami radości, ale też i smutku. To była jej córka, jasnowłosa piękność, która na zawsze miała pozostać jej częścią, częścią jej życia. Ale Shane powinien tu być, przy niej, zobaczyć ich córkę w chwili jej narodzin. Ile czasu upłynie, zanim dowie się, że ją ma, zanim jego rodzice pozwolą mu polecieć do Chicago i zobaczyć ich dziewczynkę.

Tego wieczoru jej rodzice na zmianę trzymali dziecko na rękach, nie przestając mówić tego wszystkiego, co przystoi świeżo upieczonym dziadkom.

- Ma brodę Lauren... jest prześliczna.

- A popatrz na te niebieskie oczy!

Matka już nie płakała. Kiedy rodzice mieli już wracać do domu, byli w doskonałych humorach. Obiecali zjawić się nazajutrz rano.

Nikt nie mówił nic o adopcji.

Kiedy wyszli, Lauren przytuliła córkę mocno do piersi. To, że rodzice usiłują jej trzymać ją z dala od Shane'a, jest okropne, ale na szczęście przynajmniej nie próbują jej zmusić do oddania córeczki. Przypatrywała się jej twarzy.

- Cześć, malutka. To ja, twoja mamusia.

Maleństwo wierciło się trochę, ale nie spuszczało wzroku z oczu Lauren.

- Jestem ci potrzebna, prawda, malutka?

Ten mały skarb w jej ramionach ufał jej całym swoim jestestwem. Lauren nie miała pojęcia, co robi, żadnego planu, dokąd teraz pójść ani jak odnajdą Shane'a. Ale odnajdą go. Pojadą do niego, kiedy tylko się da. Przynajmniej tyle jest mu winna.

Pod koniec tej pierwszej nocy nadała dziewczynce imię: Emily.

Teraz będzie naciskać na rodziców, żeby zrobili, co w ich mocy, aby pomóc jej odnaleźć Shane'a. Razem coś by wymyślili, tak żeby wcześniej czy później stać się normalną rodziną. Mała Emily potrzebuje też taty. W uniesieniu i cudowności tych pierwszych godzin macierzyństwa Lauren była gotowa iść do Kalifornii choćby boso i na piechotę, z Emily w ramionach, byle tylko odnaleźć Shane'a. Jeśli rodzice nie zechcą pomóc, odnajdzie go sama. Przyglądała się pierścionkowi. Podniosła rękę i przytknęła go do policzka.

Wszystko, byle tylko cała ich trójka znalazła się razem.

Żeby było tak, jak powinno być.

Tak, jak ma być już na zawsze.

## Rozdział 7

Lauren zdecydowała: odnajdzie Shane'a.

Z każdym mijającym dniem coraz bardziej utwierdzała się w tym postanowieniu. Odnajdzie go, i to wkrótce. Dziecko miało już cztery tygodnie, kiedy poczuła się dość silna, aby porozmawiać o tym z rodzicami.

Była ósma wieczór w poniedziałek, pierwszy tydzień sierpnia. Lauren ukołysała Emili do snu i ułożyła w łóżeczku. Potem cicho poszła wyłożonym wykładziną korytarzem do gabinetu rodziców. Często spędzali tam czas po kolacji. W pomieszczeniu znajdowało się francuskie okno prowadzące na zadaszony ganek. Było to jedno z najprzyjemniejszych miejsc w domu.

Była już prawie przy drzwiach, gdy dobiegł ją głos ojca. Brzmiał surowo i z goryczą. Lauren przystanęła i słuchała.

- Nie chcę nic wiedzieć o jego zamiarach, czy ty tego nie rozumiesz, Angelo?

Zaśmiał się gorzko.

- Właściwie teraz jest dokładnie tak, jak chciałem. Nasza córka nie potrzebuje żadnych kontaktów z tą rodziną, z tą kobietą.

- Oboje są tacy sami - matka mówiła zmęczonym głosem. Często tak mówiła od czasu przeprowadzki. - Sheila nie chce, żeby Lauren zawracała głowę jej synowi, ale Samuel całkowicie ją popiera. Uwierz mi, pomysł rozdzielenia dzieci jest autorstwa ich obojga.

- No tak, to fakt, rzeczywiście - mówił głośniejszym głosem niż przedtem. - Więc dlaczego miałbym odbierać telefony od tego chłopaka? No dobrze, zadzwonił do banku, i co z tego?

- Bill - matka mówiła wolniej i spokojniej. - Pomyśl, co ty mówisz. Rozmawiamy o Shane'ie, kochanie. Przez wszystkie te lata był dla nas praktycznie jak członek rodziny, zapomniałeś?

Westchnęła tak głośno, że Lauren usłyszała to na korytarzu.

- Daj spokój, Bill. Chłopak wydzwaniał do banku i szuka ciebie, a ty każesz sekretarce mówić, że tu nie pracujesz? Czy to jest w porządku?

Lauren poczuła, jak uginają się pod nią kolana. Przedpokój zaczął wirować wokół niej, oparła się o ścianę. Shane dzwonił do banku, do nowego banku jej ojca? I usłyszał, że to nie ten bank? Więc co sobie pomyślał? Czy w ogóle ma pojęcie, na jakie przedmieście Chicago się przenieśli, do jakiej dzielnicy? Zacisnęła powieki i zmusiła się do słuchania.

- Oczywiście, że to jest w porządku, Angelo. To, co Sheila i Samuel mówili o naszej córce, to, jak ją traktowali... Angelo, Lauren to moje dziecko. Nie chcę, żeby przebywała wśród ludzi, którzy jej nie lubią. Jeśli nie będzie z Shane'em, to nie będzie też z jego rodzicami.

Matka milczała przez chwilę i Lauren zastanawiała się, czy przypadkiem nie płacze. W końcu odezwała się:

- Jak mogło do tego dojść? To byli nasi przyjaciele. Najlepsi przyjaciele.

- Jednego się nauczyłem - odparł ojciec rzeczowym tonem. - Granie w karty i wspólne wyjazdy na urlop nie zawsze oznaczają, że się kogoś zna. Sądziłem, że znam Sheilę i Sama - mówił z goryczą. - Ale sama widzisz, jak się zachowali. Dla nich liczy się wyłącznie Shane. Byliby gotowi podpalić nasz dom, gdyby dzięki temu mogli swego chłopaka uchronić przed odpowiedzialnością.

Na chwilę zapadła cisza. Lauren trzęsła się cała, było jej niedobrze. Oto dowód, którego szukała, znak, że rodzice po prostu i zwyczajnie knują przeciwko niej i Shane'owi. Teraz opuści ten dom, zniknie z ich życia, nie oglądając się wstecz, i dopiero kiedy razem z Shane'em jakoś się urządzą, pomyśli o tym, żeby znów połączyć się z rodziną. Ale nie wcześniej. Już miała wpaść do gabinetu, ale wstrzymała się, na wypadek, gdyby miała usłyszeć coś jeszcze.

I usłyszała.

Po kilku chwilach odezwała się matka:

- I co powiedział? Zostawił jakąś wiadomość?

- Przedstawił się mojej sekretarce, że mówi Shane Galanter, i powiedział, że szuka Billa Andersona.

Ojciec westchnął ciężko.

- Uprowadziłem wcześniej sekretarkę, że gdyby dzwonił ktoś o nazwisku Galanter, ma odpowiadać, że pomylił bank. Że nie ma nikogo o moim nazwisku.

Matka jęknęła.

- Bill, dzieci tęsknią za sobą. A jeśli nie mamy racji?

- Chronimy Lauren - ojciec był szorstki i nieugięty. - To dla jej własnego dobra, ponieważ ją kocham. Poza tym ona nigdy się nie dowie.

- Owszem, dowiem się - Lauren weszła do pokoju, ciągle trzymając się framugi drzwi, żeby nie upaść. Głowa jej pękała i ledwie trzymała się na nogach. Szeroko otwartymi, nieruchomymi oczami wodziła wzrokiem od matki do ojca.

- Tato, wszystko słyszałam. Shane zadzwonił do ciebie do pracy, a ty kazałeś jakiejś... jakiejś kobiecie powiedzieć mu, że to pomyłka.

Miała ochotę wrzeszczeć na niego, krzyczeć na oboje, że nie mieli prawa tak robić. Ale to już się stało. Pozostała w niej tylko jakaś przeraźliwa lodowatość, niepokój, który nie dawał się opisać.

- Lauren - ojciec zerwał się na równe nogi. Przez chwilę miał otwarte ze zdumienia. Ale prędko doszedł do siebie. - Oboje potrzebujecie czasu z dala od siebie. Galanterowie i my tak się umówiliśmy. To jest ważne, żebyście mogli sobie przemyśleć, co chcecie dalej robić.

- My już wiemy, czego chcemy - cała trzęsa się w środku, a jej głos urywał się co kilka słów. - Ty i mama nie macie pojęcia, czego ja chcę.

Przycisnęła rękę do piersi.

- Czego Shane i ja chcemy. My musimy być razem.

- W porządku - ojciec rzucił spojrzenie na drugi koniec pokoju. Jakby na jego sygnał, odezwała się matka.

- Pomożemy ci go znaleźć, skarbuniu. To nie będzie trudne. Tata ma swoje dojścia... - przerwała. - Tak jak mówił tata, wszyscy uważaliśmy, że dobrze będzie dać wam trochę czasu z osobna. Skarbie, gdybyś słyszała, jak wyraża się o tobie pani Galanter...

- Ona mnie nie interesuje. Shane mnie interesuje - mówiła coraz głośniejsze i znów wszystko do niej wróciło. - Doprowadziliście tylko do tego, że rozdzieliliście nas.

- Staraliśmy się wam pomóc.

- Ten brak telefonów, spreparowanie informacji w serwisie informacyjnym, a teraz jeszcze to: Shane dzwoni do banku i słyszy kłamstwo.

Roześmiała się, ale cicho i smutno.

- Serdecznie ci dziękuję za pomoc, mamó.

Spojrzała na ojca.

- Tobie, tato, też.

Odwróciła się do wyjścia, ale matka zerwała się z krzesła, przebiegła pokój i już była przy niej.

- Dokąd idziesz?

Lauren nie miała zamiaru nadal zwierzać się rodzicom.

- Do siebie.

Spojrzała przez ramię na matkę.

- Nie mam już nic do powiedzenia.

Rodzice widać czuli podobnie, bo gdy wychodziła, nie powiedzieli już nic. Dopiero gdy była w korytarzu, usłyszała głos matki.

- Lauren, przepraszam cię. My... my naprawdę nie chcieliśmy cię zranić.

Przystanąła i na chwilę zacisnęła powieki, zatrzymując gwałtowny napływ łez, które szczypały jej oczy.

- Wiem.

Zamrugała powiekami i ogładnęła się na nich ostatni raz.

- Wiem.

Kiedy szła przez dom, a potem w górę po schodach do swojego pokoju, była pewna, że matka mówi prawdę. W jakiś dziwaczny, pokręcony sposób to, co ona i ojciec zrobili, żeby rozdzielić ją i Shane'a, zrobili naprawdę z tą myślą, że tak będzie dla niej najlepiej.

Ale w jakimś zakamarku swojego sumienia musieli też wiedzieć, że robią źle. Siadła na brzegu łóżka i popatrzyła na wprost, na łóżeczko Emiliy. Malutka wierciła się i cicho kichnęła.

Lauren wstała i podeszła do niej.

- Ej, mała, wszystko w porządku? Mamusia jest z tobą.

Nachyliła się i dotknęła jej czoła. Było ciepłe, ale być może od kołderki albo od upalnej letniej nocy. Zmarszczyła czoło i poprawiła przykrycie, tak żeby mała nie leżała pod tyłoma warstwami.

Najbardziej zdumiewającą cechą świeżo upieczonej matki okazała się intensywność miłości odczuwanej do córki. Dla małej Emiliy była gotowa zrobić wszystko i była gotowa udowodnić to choćby jutro. Znów przytknęła dłoń do jej czoła. Chyba jednak nie jest aż takie ciepłe.

- Wszystko będzie dobrze.

Powinna być wściekła na rodziców, zdruzgotana ich zdradą, śmiertelnie obrażona za to, co spotkało Shane'a i ją. Ale patrząc na córkę, czuła, jak ogarnia ją uczucie wolności. Ona i Emiliy poradzą sobie same. Pochyliła się nad łóżeczkiem i ucałowała córkę w policzek. Potem podeszła do szuflady w swojej szafce nocnej i ze środka wyciągnęła kopertę. Było w niej 5000 dolarów, pieniądze, które podjęła tego dnia ze swojego konta osobistego. Ponieważ jej pieniądze nadal były zdeponowane w banku z siedzibą w centrum miasta, musiała wpierv znaleźć jego lokalny oddział. Matka sądziła, że Lauren poszła z Emiliy tylko po zakupy do supermarketu, ale ona po drodze zaszła do banku. To jej pieniądze. Prezenty, które dostawała przez lata, pieniądze, które zarobiła za pilnowanie dzieci. Część pieniędzy była od rodziców, ale tylko prezenty urodzinowe i świąteczne albo nagrody za celujące stopnie na świadectwie. Czuła się tak, jakby miała w ręku milion dolarów. Z taką ilością gotówki dojadą z Emiliy do Los Angeles, znajdą jakiś dach nad głową i zaczną szukać Shane'a. Spróbuje w tamtejszych bankach, w miejscach, gdzie mógłby pracować jego ojciec. A kiedy znów zacznie się szko-



ła, jeśli trzeba, będzie szukać w każdym liceum w Los Angeles. Rodzice pogodzą się z tą decyzją. To, co niewybaczalne, zrobiła już wcześniej.

Poprzez jej ciążę ona i Shane rzucili na swoje rodziny cień hańby, zbyt długi, ciemny i szeroki, by można się spod niego wydostać. Jedynym sposobem na dalsze szczęśliwe i wolne życie było odszukanie Shane'a.

Kiedy zasypiała, usłyszała, jak Emily kichnęła jeszcze dwa razy. Nie ma się co martwić. Pewnie takie tam siąkanie, przez które wszystkie niemowlęta przechodzą w pierwszych miesiącach życia. A jeśli skończyłoby się to przeziębieniem, to mogą zająć do byle supermarketu po drodze do Kalifornii i znaleźć jakieś lekarstwo.

Nazajutrz rano ojciec wyszedł wcześniej bez słowa pożegnania. Matka zajrzała do pokoju i poinformowała, że spędzi dzień z dekoratorką wnętrz.

- Dziś kupujemy dodatki. Poszukamy w paru tutejszych butikach - matka uśmiechnęła się nieśmiało. - Nie gniewasz się już na tatę za tę historię w banku, co? - urwała na chwilę, unosząc w górę końcówki ust. - Ty i Shane już lada dzień będziecie w kontakcie. Pomożemy wam.

- Niby jak, mamgo?

Kołysała Emily w ramionach. Walizki stały spakowane w szafie.

- Ja nie mam jego numeru telefonu, a on nie ma mojego.

Zmrużyła oczy.

- A gdzie on właściwie mieszka? Wiesz może?

Ramiona matki opadły nieco.

- W Los Angeles. Tyle mi powiedzieli.

- No a firma jego ojca? Miał inwestycje w LA, to jakie to są? I gdzie?

- Stacje benzynowe, mam wrażenie. I może jakieś nieduże lotnisko - przygryzła wargi. - Tak mi się przynajmniej wydaje.

- Sama widzisz - ni to zaśmiała się, ni to jęknęła. - Dlaczego mówisz, że niedługo będziemy w kontakcie? Shane odszukał bank taty, czyli całkiem nieźle mu poszło, biorąc pod uwagę, że startował od zera, nie?

Matka spuściła wzrok, ale kiwnęła głową.

- Tak. Tak, rzeczywiście.

- Czyli on znalazł ten bank, a tam ktoś mówi mu, że to nie to miejsce. Że nie ma tam żadnego Billa Andersona - starała się mówić cicho, żeby nie zbudzić Emily. - Dlaczego więc uważasz, że teraz już będę w stanie znaleźć Shane'a?

Na drzewie koło okna śpiewała para drozdów. Matka podniosła wzrok i ledwie dostrzegalnie wzruszyła ramionami.

- Zadawałam sobie to pytanie całą noc - matka objęła się mocno rękami w pasie. - Szczerze mówiąc, Lauren, nie mam pojęcia. Muszę wierzyć, że on cię odnajdzie, ale nie wiem jak.

- Może gdyby nasz numer telefonu był w książce telefonicznej - bardzo nie podobał się jej ten sarkazm w jej własnym głosie. Czuła się okropnie i nieswojo, jakby ją i matkę rozdzielił cały świat.

- Lauren - westchnęła matka. - Wiesz, że nie możemy dać numeru do książki telefonicznej ze względu na stanowisko ojca w banku. Zawsze tak było, u Galanterów zresztą też.

Tyle jej wystarczyło. Musi jechać do Shane'a. W Kalifornii czy na księżycu, musi go znaleźć. Przytuliła Emily.

- Kocham cię, mamó, zawsze będę - łamał jej się głos. - Ale nie mieści mi się w głowie, coście mi z tatą zrobili.

Matka podeszła i mocno objęła ramionami ją i Emily. Kiedy cofnęła się, spojrzała jej głęboko w oczy.

- Ja też cię kocham, skarbie. Przepraszam. Naprawdę.

Odwróciła się i wyszła.

Kiedy Lauren usłyszała trzask zamykających się drzwi na dole, położyła Emily do łóżeczka. Z sercem podchodzącym do gardła dorzuciła do walizek jeszcze po parę rzeczy. Wszystkie ubranka Emily, a dla siebie aż za dużo ubrań.

Wychodząc z pokoju z walizkami w obu rękach, zatrzymała się i obejrzała. Obrzuciła pokój wzrokiem: pudełko z opowiadaniem i albumami ze zdjęciami, szkolne książki pamiątkowe i pamiątki z dzieciństwa, które skończyło się tak nagle. Zawsze będzie mogła po nie wrócić, kiedy już znajdzie Shane'a. Jediną zabraną pamiątką było zdjęcie jej i Shane'a oprawione w ramkę, coś, co położy sobie przy łóżku. Aby bez względu na to, jakie następne miejsce nazwie domem, miała codziennie bodziec do poszukiwań.

Dopiero wtedy pośle po resztę rzeczy.

Wpakowała walizki do auta i wróciła po Emily. W jej łóżeczku położyła tylko kartę z notatką: „Pojechałam do Shane'a. Zadzwonię, kiedy go znajdę. Uściski. Lauren”.

O czwartej po południu były już 500 kilometrów od Wheaton. Wszystko wyglądało jasno i obiecująco. Niebo było czyste, na mapie leżącej na siedzeniu obok trasa była jasno wytyczona. Kobieta w miejscowym automobilklubie pomogła jej wyszukać najlepsze autostrady i miejsca na nocleg. Dotrze do Kalifornii w ciągu sześciu dni, tam odnajdzie Shane'a i będą już razem. Tylko jedna rzecz ledwie uchwyttnie przejmowała ją niepokojem.

Emily na tylnym siedzeniu ciągle kichała.

## *Rozdział 8*

Stało się coś strasznego.

O szóstej wieczór Angela Anderson była już tego pewna. Zadzwoiła do Billa w banku i z całych sił próbowała ukryć panikę w głosie.

- Nie widziałeś Lauren?

- Lauren? - z tonu jego głosu wywnioskowała, że jest zajęty. - Oczywiście, że nie. Jest w domu z dzieckiem. Przecież wiesz.

- Bill, tu jej nie ma. Chyba gdzieś wyjechała.

- Skoro nie ma jej w domu, to oczywiście jest, że wyjechała - wyczuła jego zniecierpliwienie. - Kochanie, mam teraz spotkanie. Pewnie jest w sklepie i za parę minut wróci.

- A jeśli... jeśli wyjechała?

- Wyjechała gdzie?

- Po prostu wyjechała. Myślę, że wyjechała na dobre, może odszukać Shane'a - Angeli ledwie udawało się panować nad głosem. - Nie zostawiła żadnej kartki, w każdym razie nie znalazłam. Patrzyłam w jej pokoju, wszędzie.

Westchnął z przesadną emfazą.

- Jest na zakupach.

- Też tak myślałam, Bill, ale ja już jestem w domu od godziny. Nie byłaby na zakupach tak długo.

Zawahała się.

- Mam złe przeczucie.

- No dobrze, posłuchaj - w jego głosie była teraz czułość. - Rozejrzyj się jeszcze raz w jej pokoju, może coś jednak znajdziesz. Mowa o Lauren, kochanie. Przecież ona nie zrobi nic szalonego.

Ogarnął ją spokój. Bill ma rację. Lauren ma poukładane w głowie. Przed zajściem w ciążę była wzorową uczennicą, zawsze mówiła, dokąd idzie, wołała zostać w domu i grać z rodzicami i Shane'em w scrabble czy remika niż brylować na szkolnej potańcówce. Oczywiście, że nie zabrałaby Emily i ot tak nie wyjechała.

Żeby się jednak upewnić, musiała jeszcze raz sprawdzić jej pokój. Pobiegła na górę ze strasznym przeczuciem w sercu. Otworzyła drzwi do pokoju Lauren i obrzuciła wzrokiem jej łóżko. Tym razem spostrzegła coś, czego nie zauważyła wcześniej. Znikło zdjęcie Lauren i Shane'a, które zawsze stało przy łóżku. Angela jeszcze raz zajrzała do łóżeczka Emily. Pościeli też nie ma. Kiedy za pierwszym razem zaglądała do pokoju Lauren, uznała, że prześcieradła i kocyki poszły do prania. Teraz serce waliło jej aż w gardle. A jeśli pościeli nie ma z innego powodu? Podeszła bliżej, powoli i z lękiem.

Na materacyku leżała kartka papieru, coś, czego przedtem nie spostrzegła.

Jej serce wołało, żeby prędko wyszła z pokoju, zbiegła na dół i wmówiła sobie, że Lauren i Emily są tylko w sklepie, że nie pojechały dalej. Ale kartka nie dawała jej spokoju. Przełamała się i podeszła do łóżeczka, a tam wstrzymując oddech, sięgnęła po kartkę i przeczytała ją. „Pojechałam do Shane'a. Zadzwoń, kiedy go znajdę. Uściski. Lauren”.

Poczuła, jakby ogień płynął jej przez żyły, mieszanka adrenaliny i strachu w połączeniu z szokiem, który nie pozwalał uwierzyć własnym oczom.

- Nie... - wypowiadając to słowo, jeszcze raz odczytywała kartkę. - Lauren, nie. Nie! - jej ręka trzęsła się tak, że ledwie mogła odcyfrować słowa.

Co Lauren zamierza? Razem z Emily nie dadzą rady same dotrzeć na drugi koniec kraju. Lauren nigdy nie prowadziła samodzielnie auta dłużej niż godzinę czy dwie naraz. Ma tylko 17 lat! Skąd będzie wiedzieć, które autostrady wybrać, jak dostać się z Chicaga do Los Angeles?

Angela biła się z myślami, gdzie najpierw zadzwonić. Z kartką ściśniętą w dłoni zbiegła na dół. Bill. Musi wiedzieć pierwszy. Trzy razy próbowała wybrać jego numer, zanim wstukała go poprawnie. Był na linii w niespełna minutę.

- I co? - Angela wyczuła nerwowe napięcie w jego głosie. - Jest w domu?

Angela opadła na najbliższe krzesło i chwyciła się dłonią za włosy. Pomyśl! Powiedz coś. Ścisnęła mocno słuchawkę i zdołała wydobyć głos.

- Wyjechała. Razem z Emily. Znalazłam kartkę.

- Kartkę? - teraz już słuchał uważnie. Słyszała, jak gdzieś w tle zamknęły się drzwi. - Co tam jest napisane?

- Pojechała do Kalifornii odszukać Shane'a. Zadzwoń, kiedy go znajdzie. Jęknął z niedowierzaniem.
- Ależ Angelo, to absurd. To jeszcze dziecko. Ona nie ma pojęcia, jak dojechać tak daleko.
- Ani jak zajmować się malutką.
- Zaraz będę w domu. Dzwoni na policję i powiedz, co się stało - teraz mówić pośpiesznie, jakby chciał jak najszybciej rozwiązać problem. - Angelo, i módl się. Nie zniósłbym, gdyby coś jej się stało - wyczuła coś dziwnego w jego głosie. - Nie zniósłbym.
- Powiedziała mu, że zrobi, co tylko będzie mogła, rozłączyła się i zadzwoniła na miejscowy komisariat.
- Nasza córka uciekła z domu. Potrzebujemy państwa pomocy.
- Proszę chwileczkę zaczekać.
- Połączono ją z innym funkcjonariuszem.
- Posterunkowy Rayson. Pani córka uciekła?
- T a k .
- Angela przyłożyła dłoń do piersi. Jej serce biło tak szybko, że prawie nie wyczuwała uderzeń.
- Dzisiaj.
- W porządku, zacznijmy od wieku - w jego głosie brzmiało współczucie, ale wyczuła, że jest to dla niego rutynowa rozmowa.
- Ma 17 lat. I... niedawno urodziła dziecko.
- Funkcjonariusz zawahał się.
- Dziecko... Czy dziecko jest z nią?
- Tak. Ma cztery tygodnie. Córka spakowała parę walizek, z tego co zauważyłam, i obie z wnuczką dziś wyjechały. Chyba rano.
- Proszę pani, czy pani oczekuje ode mnie spisania raportu o 17-letniej uciekinierce z własnym dzieckiem?
- Tak - Angela zacisnęła pięści. On jej nie pomoże. Zmusiła się do kolejnych słów. - Czy... czy to jest jakiś problem?
- Raczej tak - z drugiej strony dobiegł ją szelest papierów. - Proszę pani, ona jest już prawie dorosła, a ponieważ ma czterotygodniowe dziecko, możemy uznać, że wyjechała z własnej woli i nie doszło tu do żadnego przestępstwa, czy tak?
- Zdecydowanie. Zostawiła kartkę - Angela uchwyciła się blatu przed sobą i wbiła wzrok w kartkę. - Napisała, że jedzie do Kalifornii odszukać ojca dziecka.
- No dobrze - w jego głosie było słychać rezygnację. - Proszę nas zawiadomić, gdyby nie odezwała się w ciągu paru tygodni. Może będzie można poprosić kogoś w Kalifornii, żeby zajął się sprawą.
- Co?! - wykrzyzczała to słowo. - Proszę pana, my potrzebujemy pomocy! Ona ma tylko 17 lat! Prawo jazdy ma od niespełna roku!
- Obawiam się, że patrzymy na tę sprawę trochę inaczej.

Odczekał chwilę.

- Formalnie może nie być dorosła, ale ponieważ ma dziecko, za taką ją uważamy. Dziewczęta w takim wieku wiedzą już dość dobrze, czego chcą. To jest sprawa rodzinna.

- No a... - lekko poklepała się po czole. Myśl, Angela. Myśl. - A raport w sprawie zaginięcia? Nie mógłby pan takiego spisać, mimo że jest już prawie dorosła?

- Taki raport można spisać o osobie w każdym wieku, proszę pani. Ale dopiero po 24 godzinach od zaginięcia - w jego głosie pobrzmiwała wątpliwość. - Ale muszę być z panią szczerzy. Nie możemy angażować ludzi w sprawie każdego takiego raportu.

Nie pojmowała, co się dzieje. Zdawało jej się, że pokój trzęsie się pod jej stopami, a wszystkie kolory zlały się w jedno. Policja nie może pomóc? Więc po co jest policja? Jej córki nie ma, jedzie jedną z dziesiątek tras do Kalifornii. Los Angeles. LA to ogromne miasto, gigantyczne. Jak Lauren znajdzie tam Shane'a? A co gorsza, jak ona i Bill znajdą tam swoją córkę?

Kiedy przyszedł Bill, ciągle siedziała w tym samym miejscu, kartkując żółte strony w poszukiwaniu jakiejś pomocy. Skontaktowała się z trzema prywatnymi detektywami, ale każdy twierdził, że jeszcze za wcześnie na działanie. Przez najbliższy tydzień Lauren będzie w drodze. Jeśli zechce zadzwonić, zadzwoni. Jeśli nie zechce, niewiele można na to poradzić. Musi dotrzeć do Los Angeles i gdzieś tam zamieszkać, dopiero wtedy można będzie konkretnie pomóc.

Bill wszedł, postawił rzeczy na blacie kuchennym i położył dłoni na jej ramieniu.

- To co, policja już się zabrała do roboty?

Spojrzała na niego i na moment ogarnęła ją nienawiść. To on im to zrobił. On i Galanterowie. Zgodziła się na to, bo ją przekonali. Wzbudzili w niej przeświadczenie, że dzieciom naprawdę będzie lepiej osobno. Ale czy ona przez cały czas nie wątpiła w tę decyzję? Kiedy patrzyła, jak się żegnali w tamtą noc w mieście, czy nie wiedziała, że tak się skończy?

Zamrugła powiekami, otrząsając się z gniewu. Na nienawiść będzie czas później. Teraz trzeba znaleźć Lauren i Emily.

- Policja nie pomoże.

Wyjaśniła mu sytuację.

- Kontaktowałam się z kilkoma prywatnymi detektywami, ale wszyscy twierdzą, że to za wcześnie.

Wahał się, ale tylko kilka sekund.

- W takim razie nie mamy wyboru.

Odwrocił się i podszedł do kredensu. Miał to w zwyczaju po powrocie z pracy - zrobił więc to samo co zwykle, jak gdyby nie chodziło o nic gorszego niż mandat drogowy. Wziął szklanke i nalał do niej wody z lodem.

- Trzeba poczekać, aż tam dojedzie - łyknął wody. - Na pewno zadzwoni.  
- Bill - wstała, głośno trzaskając krzesłem o szafkę. - Co ty mówisz?! Twoja córka uciekła. Zabrała swoją nowo narodzoną córeczkę, naszą wnuczkę, a ty...  
- pokazała na niego ręką - spokojnie nalewasz sobie szklanek wody i mówisz mi, że zadzwoni? - cała się trzęsła, mówiła głośno i lodowatym tonem. - Nie mogę uwierzyć, co się z ciebie zrobiło. Czasami wydaje mi się, że nienawidzę cię za to, co jej zrobiłeś.

Trzymał jeszcze szklanek w dłoniach, ale odstawił ją. Spotkali się wzrokiem i na jego twarzy pojawił się ślad wyrzutów sumienia.

- Angelo, uspokój się.

Podszedł do niej i próbował dotknąć jej ramienia, ale odskoczyła jak oparzona.

- Nie dotykaj mnie.

Przytknęła palec do jego piersi.

- Ja tego nie chciałam, Bill. Myśmy sami ją wypędzili, czy ty tego nie widzisz? - łzy napłynęły jej do oczu, drapało ją w gardle. - Dla każdego z was, dla każdego z nas liczyło się tylko to, jak to wszystko wygląda. Dzieci trzeba było rozdzielić - ale niby dlaczego? Dlatego, żebyśmy mogli udawać, że nic się nie stało. Udawać, że Lauren nie zaszła w ciążę i że wszystko jest w absolutnym porządku, tak?

- Mów ciszej, proszę cię - choć mówił łagodnym tonem, Angela wiedziała, że wciąż nie dociera do niego, co ona czuje. - Wszystko się ułoży. Zobaczysz.

- Nie, nie ułoży się. Dopuszciliśmy do tego, a teraz... teraz być może już nigdy jej nie zobaczymy.

Obróciła się na pięcie i wybiegła na korytarz w stronę swojej sypialni. Cemu wszystko stanęło na głowie? Gdzie są Lauren i Emily? Nie była pewna, czy zdoła żyć bez nich. Nagle pojęła, że jej córka zawłaszczyła kawałek jej serca, akurat ten kawałek, który rozumiał życie, jego sens, cel wstawania co rano. Teraz, gdy Lauren odeszła, ta część Angeli umarła.

Ta część zdolna do miłości.

Również do miłości do człowieka, którego niegdyś poślubiła.

Emily była chora. To już nie ulegało wątpliwości. Były w drodze od całych dwóch dni, a dziecko miało gorączkę. Lauren krążyła po ulicach Oklahoma City, próbując podjąć jakąś decyzję. Już wcześniej zajęła do apteki i kupiła coś przeciwbólowego, na zmniejszenie gorączki Emily. To było przed godziną i najwyraźniej poskutkowało, ale mała ciągle wydawała niepokojące dźwięki. Kichała, kaszłała, a teraz jeszcze charczała przy każdym wdechu.

Lauren czuła, jak powoli ogarnia ją lęk i rozpacz. Dokąd zabrać Emily? Ma pieniądze, wystarczy na wizytę u lekarza, ale co dalej? Czy dadzą dziecko do szpitala? Czy dowiedzą się, że Lauren jest 17-letnią uciekinierką z domu? I co potem? Może na zawsze stracić córkę.

Emily na tylnym siedzeniu zaczęła płakać i przez to charczała jeszcze mocniej.

- J u ż dobrze, skarbuniu, już dobrze. Mamusia jest przy tobie.

Te słowa zawisły wewnątrz małego dusznego samochodu i śmiały jej się w nos. Mamusia jest przy tobie? I co z tego? Nie ma pojęcia, jak być matką, bo inaczej jej maleństwo nie byłoby chore. Już miała wrócić na autostradę i jechać do następnego miasta, kiedy spostrzegła tablicę z napisem „Szpital”.

Dodała gazu i zajechała na parking przed budynkiem. Mogła przynajmniej poprosić, żeby ktoś obejrzał Emily. Nie byłoby w tym nic podejrzanego. Zaparkowała i zabrała fotelik z tylnego siedzenia.

Po wejściu do izby przyjęć stanęła, roztrzęsiona, z wyschniętymi ustami. W sali czekały już inne osoby, większość odwróciła się i spojrzała na nią. Czy zorientowali się, że uciekła? Czy to widać? A personel tego miejsca? Co im powie? Jak wytłumaczy sytuację, jeśli nie powie prawdy?

Blondynka za kontuarem uśmiechnęła się.

- Mogę pomóc?

- Tak - Lauren spojrzała na Emily, a potem na nią. - Moje dziecko zachorowało.

Kobieta wręczyła Lauren podkładkę do pisania i długopis.

- Proszę wypełnić formularz zgłoszeniowy, a obejrzymy pani dziecko, jak tylko zwolni się jakiś gabinet.

- Dobrze.

Formularz zawierał kilkanaście pytań, na niektóre nie umiała odpowiedzieć. Na przykład adres. Numer telefonu. Zostawiła też puste miejsce z danymi w razie potrzeby pilnego kontaktu i z danymi krewnych. Ale wypełniła datę urodzenia Emily i zaznaczyła, że nie mają ubezpieczenia. Podpisała formularz i oddała go. Zawołano je pięć minut później. Kobieta z izby przyjęć zaprowadziła ją do jakiejś sali.

- Proszę zaczekać. Za chwilę przyjdzie doktor West.

- Dziękuję.

Lauren usiadła na krześle w rogu i położyła fotelik z Emily u swoich stóp. Dotknęła czoła córeczki i przeszedł ją dreszcz. Było bardziej gorące niż przedtem. Rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę? - wyjąkała Lauren. A jeśli wezwali policję albo odeślą ją do domu? Może poznali, że uciekła?

Drzwi otworzyły się i weszła ładna czarnoskóra kobieta.

- Jestem doktor West - przedstawiła się, wyciągając dłoń do Lauren. - Popatrzmy na pani dziecko. Proszę łaskawie ją rozebrać, wszystko z wyjątkiem pieluszek.

Lauren podniosła Emily z fotelika i położyła ją na chłodnym stole. Mała zaczęła płakać, a rozbierając ją, Lauren spostrzegła, że jej twarz jest cała czerwona.



- Chyba się przeziębiała.

Kiedy na rozgrzanym ciele Emily pozostała tylko pieluszka, lekarka przytknęła stetoskop do jej klatki piersiowej. Przesunęła go trzy razy, aż w końcu podniosła wzrok z zatroaskaną twarzą.

- W płucach coś się dzieje. Pani mieszka gdzieś niedaleko?

- Czy to przeziębienie?

- Nie jestem pewna - kobieta lekko zmarszczyła brwi. - Gdzie pani mieszka? Być może trzeba będzie ją przyjąć na oddział. Chciałabym dać ją na prześwietlenie.

Lauren ogarnęła panika. Położyła dłoń na głowie Emily i pogłaskała ją.

- Nie jestem stąd. Właśnie... jestem w drodze do Kalifornii - spojrzała na córkę. - Przenosimy się tam.

Lekarka poczekała, aż Lauren na nią spojrzy.

- Hmm... Wie pani co? Proszę chwilę poczekać.

Orzuciła jeszcze Emily szybkim spojrzeniem i wyszła.

Lauren nie potrafiła głębiej odetchnąć. Gdzie ta kobieta poszła? Wezwie policję, a może kogoś z ubezpieczalni? Może sprawdzi jej nazwisko, a rodzice zdążyli już zgłosić zaginięcie? Wtedy na pewno zjawi się policja. Emily płakała, zwijając się na stole. Lauren przypatrywała się jej, wyrazowi jej oczu. Nie wyglądała na tak bardzo chorą. Może wystarczyłyby tabletki przeciwbólowe i syrop na kaszel, dopóki nie znajdzie jakiejś pomocy? Było tylko jedno miejsce, do którego mogła się zwrócić, choć wyglądałoby to na kompletną porażkę. Ale jej ubezpieczenie zdrowotne, wszystkie dokumenty ubezpieczeniowe, wszystko jest w Chicago. Nie ma innego wyjścia, jak wracać.

A potem, kiedy Emily wyzdrowieje, znowu wyruszą do Kalifornii.

- Wszystko dobrze, maleńka - gaworzyła do Emily po dziecięcemu, wsuwając jej maleńkie rączki do śpioszków. Po dwóch tygodniach praktyki szło jej to sprawnie, ale teraz czuła się niespokojna, jakby robiła wszystko źle. Kiedy mała była już ubrana, Lauren wzięła ją i przytuliła, lekko kołyszając, żeby ją uspokoić.

Po minucie Emily ucichła, kwiląc tylko od czasu do czasu. Lauren spojrzała na zegar na ścianie. Nic dziwnego, że dziecko jest zdenerwowane. Już cztery godziny nie jadła, na pewno umiera z głodu.

Ta myśl przypominała jej pewne wydarzenie. Miała może 11 lat, leżała w łóżku z grypą, ale zeszała na dół i znalazła matkę w kuchni.

- Mamo, jestem głodna. Mogę coś zjeść?

- To wspaniały znak - matka przytuliła ją do siebie i głaskała po tyle głowy.

- Dziewczynki odzyskują apetyt, kiedy lepiej się poczują.

Potem te słowa matki jakoś uleciały jej z pamięci. A więc głód oznacza, że dziecko nie jest aż takie chore? Takiej wtedy powiedziała matka. Usiadła i ułożyła koszulę tak, żeby nakarmić córkę. No jasne. Emily była głodna jak wilk. Jedząc, słodko cmokała.

Może to tylko o to chodzi? Trochę zmarzła, dostała gorączki, była bardzo głodna. Dużo tego dnia przejechały. Trzeba było zatrzymać się wcześniej.

Weszła lekarka. W rękę trzymała formularz wypełniony przez Lauren.

- Lauren - odezwała się łagodnie. - Widzę, że nie podałaś żadnych danych na wypadek konieczności pilnego kontaktu ani danych najbliższej rodziny.

- Nie.

Spojrzała na Emili. Dziecko wyglądało teraz na znacznie szczęśliwsze, zadowolone, że zjadło. Potem popatrzyła na lekarzkę.

- Nie, w tej chwili nie mamy żadnej rodziny. Jedziemy rozpocząć nowe życie w Kalifornii.

- Rozumiem - lekarka oparła się o stół i powoli nabrała powietrza. - Ale ty jesteś niepełnoletnia, prawda?

Lauren gorączkowo szukała właściwej odpowiedzi. W formularzu nie podała swojego wieku, więc skąd lekarka mogła to wiedzieć? Może skontaktowała się z policją albo dowiedziała się, że zgłoszono jej zaginięcie? Lauren przełknęła ślinę i już miała potrząsnąć głową i zaprzeczyć czemuś podobnemu, gdy poczuła, że przytakuję.

- Tak. Mam 17 lat... 18 będę miała przed Gwiazdką.

- Wiesz, co myślę?

- Co takiego? - Lauren jeszcze mocniej przytuliła Emili.

- Myślę, Lauren, że potrzebujesz pomocy. W Oklahoma City mamy pracowników pomocy społecznej, którzy mogą ci pomóc, kiedy Emili będzie na oddziale. Mogą ci znaleźć jakieś miejsce do mieszkania, kiedy twoja córeczka będzie na leczeniu.

Lauren potrząsnęła głową i spojrzała na córkę.

- Właściwie to wydaje mi się, że już jej się bardzo polepszyło. Je - znów podniosła wzrok na lekarzkę. - Myślę, że mogła być po prostu głodna.

- A ja obawiam się, że może mieć zapalenie płuc - lekarka zmarszczyła czoło. - Nie mogę być tego pewna bez prześwietlenia, ale martwię się o nią.

- A co się stanie, kiedy taki pracownik pomocy społecznej mi pomoże? Co będzie później? - naszła ją straszna myśl. Mogło to oznaczać możliwość odebrania jej Emili. Czyż nie tak agencje rządowe postępują z takimi matkami jak ona? Z matkami zbyt młodymi, żeby odpowiednio zadbać o dziecko?

- To się okaże w swoim czasie.

Lekarka znów zmarszczyła czoło, ale Lauren nie dostrzegała w niej gniewu. Jedyne współczucie, jakiego nie doznała od żadnego z rodziców. - Wszyscy będą się starać, żebyście ty i Emili pozostały razem. Tego jestem pewna. Chyba musimy też sprawdzić rejestr osób zaginionych. Żeby się przekonać, czy nie zgłoszono twojego zaginięcia.

- Rejestr osób zaginionych? - Lauren poczuła, że musi uważać. Do tego nie można dopuścić. Przyjdzie policja, zadbają o to, żeby Emili znalazła się w szpi-

tal, potem zabiorą Lauren na posterunek i zadzwonią do rodziców. Wmiesz się w to jeszcze pomoc społeczna i gdy Emily lepiej się poczuje, nie będą chcieli jej oddać 17-letniej uciekinierce z domu. Potem odtransportują Lauren do rodziców. Może już nigdy więcej nie zobaczyć córki.

Musiała grać na zwłokę.

- No dobrze - oblizła wargi. - W takim razie zabiorę jeszcze parę rzeczy z samochodu. Porozmawiamy, jak wrócę, dobrze?

- Zgoda.

Lekarka wyprostowała się i dotknęła czoła Emily.

- Nie jest już takie ciepłe.

Nie jest takie ciepłe! To dobry znak - znak, że Lauren może zabrać Emily i popędzić z powrotem do domu, i zapewnić jej potrzebną opiekę, nie ryzykując wmieszania się w sprawę pomocy społecznej i policji.

Włożyła córeczkę z powrotem do fotelika i podziękowała lekarce.

- Zaraz wracam.

Kiedy wyszły z gabinetu, doktor West poszła w innym kierunku niż one. Lauren chciała co prędzej wybiec z budynku. Ma tylko parę minut, żeby odjechać niezauważona. Ale nie może odejść bez zapłacenia. Wyjęła z torebki banknot 20-dolarowy i zostawiła w recepcji, bo akurat nikogo nie było przy biurku. Nie oglądając się już, prędko wyszła.

Jechała tak szybko, jak się dało, i ani się obejrzała, jak była na autostradzie. Emily spała. Wtedy, po raz pierwszy od chwili opuszczenia domu, Lauren pomyślała o Bogu. W tym czasie, gdy była w ciąży, Shane cały czas mówił o wierze i o Bogu, i o Jego planach względem nich. Lauren nigdy do końca nie rozumiała, dlaczego właściwie Bóg miałby mieć dla nich jakieś plany.

A jednak powiedziała Mu, że żałuje, że tak wszystko zepsuli, że współżyła z Shane'em, skoro można było uniknąć tego całego zamieszania, gdyby tylko postępowali właściwie. Zostało jej to odpuszczone, tak przynajmniej twierdzili prowadzący spotkania młodzieżowe. Tak twierdził też Shane. Mimo to ciągle czuła się podle, że sprawiła rozczarowanie.

Jeśli Bóg jest jej Ojcem w niebie, to z pewnością stracił już ochotę, żeby zwracać sobie nią głowę.

Ale teraz, skoro Emily jest chora i tysiące kilometrów dzieli je od miejsca, gdzie mogą uzyskać pomoc, nie ma innego wyjścia, jak wołać o pomoc.

- Panie, to znowu ja! - wyszeptała głośno. - Proszę, pomóż mi! Będę jechać szybko, nie będę się zatrzymywać po jedzenie, tylko po paliwo. Proszę, doprowadź nas do domu, tak żeby Emily mogła uzyskać pomoc. Boże, niech ona nie umrze.

Nagle uświadomiła sobie, że łzy płyną jej po policzkach.

Co ona robi? Zwraca w Oklahoma City i jedzie do Chicago? W ogóle nie powinna była opuszczać domu. Mogła pozwolić мамie zająć się Emily. Wtedy mogłaby sama pojechać za Shane'em, nie ryzykując zdrowia córeczki.

- Boże, jestem najgorszą matką. Ale Ty jesteś naszym Ojcem. Dla nas obydwu. Proszę, doprowadź nas bezpiecznie do domu. I proszę, bardzo proszę, niech Emily będzie zdrowa.

Chciała usłyszeć jakąś odpowiedź, może jakiś donośny głos z głośników samochodowych, coś, co by jej powiedziało, że wszystko będzie dobrze. Ale odczuła tylko, że musi się śpieszyć. Tak jakby sam Bóg mówił jej, że Emily może być bardziej chora, niż im wszystkim się zdaje. Docisnęła pedał gazu i przyśpieszyła o kolejne 15 kilometrów na godzinę.

Ale równie prędko zwolniła. Nie może dać się zatrzymać za przekroczenie prędkości. To by nie pomogło żadnej z nich.

- Boże, ratuj!

*Córko, daję ci mój pokój... Zawsze jestem z tobą.*

Ta odpowiedź być może nie rozbrzmiała z głośników, ale rozległa się w jej sercu. *Zawsze jestem z tobą.* Jaka to cudowna świadomość. Lauren czuła, że jej serce odpowiada na te słowa. Nie jest sama, jadąc w mrok i mając przed sobą jeszcze 15 godzin autostrady, zanim zdoła zapewnić pomoc Emily. Jedzie, a Bóg jest obok. Sam Bóg.

Oparła się o fotel i rozluźniła uchwyt na kierownicy. On dowiezie je bezpiecznie do domu i pomoże Emily wyzdrowieć. Wszystko w końcu będzie dobrze. Pokój, który wydawał się naprawdę prosto z nieba, pozostał z nią przez następną dobę.

Dopiero na ostatniej prostej wszystko znów zaczęło się walić. Emily cały czas płakała i nic już jej nie pomagało. Cała była rozpalona, a z każdym oddechem jej malutka klatka piersiowa unosiła się coraz wyżej. Lauren zjechała na jakiś przydrożny parking i wsunęła się na tylne siedzenie. Pochyliła się i zamknęła drzwi na zamek. Było ciemno że oko wykol, a nieopodal, przy źródleku z wodą, stała jakaś grupka podejrzanie wyglądających typów. Długo nie można tu stać. Wyciągnęła Emily z fotelika i poczuła, jak strach w niej tylko rośnie. Ciało jej córki było ciągle gorące.

- Jesteś głodna, malutka?

Emily coraz bardziej charczała, ale dopiero kiedy okazało się, że nie chce jeść, Lauren przeraziła się na dobre.

- Boże, Boże! Tak Cię potrzebuję! Błagam, spraw, żeby jadła...

Mocno tuliła córkę, próbowała pomóc jej ssać, ale wszystko na nic. Emily była za bardzo chora. Lauren dała jej troszeczkę syropu na kaszel i następną łyżeczkę proszku przeciwbólowego. Mimo to dziewczynka przez następne pięć godzin jazdy ciągle płakała. Pod koniec tego czasu wydawała się już tak chora, że Lauren ledwie mogła skupić się na jeździe.

Przez cały czas obwiniała się za bycie złą matką, za brak doświadczenia, za myślenie, że można zabrać noworodka w podróż na drugi koniec kraju. Ale w tych ostatnich godzinach jej gniew skierował się przeciwko rodzicom. To nie

jej wina, ale ich. Rozmyślnie rozdzielili ją i Shane'a. Gdyby on nie wyjechał, ona nigdy nie musiałaby wsiadać do auta i zabierać Emily w podróż.

Całą tę sytuację spowodowali rodzice. Oni i Galanterowie. Ludzie, którzy powinni najbardziej kochać ją i Shane'a, prawie ich zniszczyli. Zdradzili ją jej własni rodzice, pozwalając Galanterom wyjechać bez pozostawienia jakiegokolwiek informacji. Teraz powód tego był jasny. Rodzice Shane'a i jej nie mieli najmniejszego zamiaru więcej się kontaktować. Byli gotowi poświęcić przyjaźń dla zachowania pozorów.

Lauren rozboleł brzuch, kiedy to do niej dotarło.

Pozory. Do tego się wszystko sprowadza. Shane może teraz żyć bez ciężaru odpowiedzialności nastoletniego ojca. A skoro Shane'a nie ma, to może ona zdecydować się oddać dziecko i też dokończyć naukę w liceum bez żadnych trosk na głowie. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem rodziców, Emily byłaby teraz bezpieczna w ramionach jakiejś rodziny adopcyjnej.

Lauren zgrzytnęła zębami i przesuwała dolną szczękę od jednej strony ust do drugiej. Może mieli rację? Może powinna oddać Emily do adopcji? Czy taka jest odpowiedź na to wszystko? Przeszedł ją dreszcz na samą myśl o rozstaniu z córką. To niemożliwe. Całą sobą kocha Emily.

Nie. Zabierze ją do domu, rodzice udzielą jej potrzebnej pomocy, a potem może ich opuścić i nigdy już nie wrócić. Ponieważ oni nigdy nie zaakceptują jej taką, jaka jest, i nigdy nie zaakceptują Emily. Jej życie i życie jej córki zawsze będzie dla rodziców porażką. A ona nie dopuści do tego, żeby jej córka żyła w takiej atmosferze. Nie, nie mogą zostać. Skorzystają z pomocy, Emily poczuje się lepiej, a potem wyjadą.

I tym razem nie wrócą już nigdy.

## Rozdział 9

Angela siedziała sama w ciemności z twarzą ukrytą w dłoniach, gdy pod dom zajechał samochód. Serce podskoczyło jej do gardła. Podbiegła do drzwi akurat w chwili, gdy Lauren wychodziła z auta.

- Mamo! Pomóż mi!

Angela nie była pewna, od czego zacząć. Rzeczywistość ją przerastała. Lauren stała na podjeździe, a przecież jeszcze minutę wcześniej wyglądało na to, że już nigdy jej nie zobaczy. Ale ton jej głosu prędko sprowadził Angelę na ziemię. Wyszła na podjazd, podbiegła do córki i objęła ją. Kiedy Lauren pozostała sztywna i nie zareagowała, Angela cofnęła się o krok i złapała ją za ręce. I wtedy zobaczyła. W oczach jej córki płonął gwałtowny gniew i strach, wszystko razem wymieszane.

- Lauren... - ten strach udzielił się i jej. Podniosła rękę i dotknęła twarzy Lauren. - Co jest?

- Ona jest chora - Lauren odskoczyła od matki. Otworzyła tylne drzwi i wyjęła Emilię z fotelika.

Kiedy podnosiła dziecko, Angela gwałtownie nabrała powietrza. Dziecko było bezwładne, z twarzą czerwoną i w wysypce. Angela podeszła o krok.

- Jak długo to trwa?

Lauren przytuliła Emilię.

- Nie wiem - jej twarz była blada i poważna. Wyglądała tak, jakby nie spała od kilku dni. - Musimy zabrać ją do szpitala.

Szpital? Angela nie mogła pozbiierać myśli. Było już po jedenastej wieczór.  
- Pójdę po ojca. Już śpi, a powinien...  
- Nie! - Lauren otworzyła szeroko oczy. Wyglądała jak w amoku, jakby zalamana się nerwowo. - Nie chcę, żeby z nami jechał.

Podawała Emily Angeli.

- Weź ją i oceń, jak bardzo jest chora.

Angela wzięła dziecko na ręce i od razu poczuła gorączkę. Dziewczynka była cała rozpalona. Co gorsza, choć miała oczy otwarte, nie reagowała.

- Czy może jest zaspana?

- Nie - Lauren oddychała prędko, wycierając dłonie o szorty i chodząc po kilka kroków w tę i z powrotem. - Jest taka od kilku godzin. Nie chce jeść.

Angela przytknęła głowę do piersi niemowlęcia. Oddychanie przychodziło mu z największym trudem. Angela poczuła, że krew odpływa jej z twarzy. Dziecko było nie tylko chore - było śmiertelnie chore.

- Dobra - skinęła głową w stronę samochodu Lauren. - Położymy ją z powrotem na fotelik. Trzeba lekarza. Ja prowadzę.

Jechały w kompletnym milczeniu, Lauren na tylnym siedzeniu razem z Emily. Angela chciała zapytać, dokąd Lauren pojechała i dlaczego nie uzyskuje pomocy w żadnym z miast po drodze. Ale było na to za późno. Teraz liczyła się tylko Emily.

- Wszystko dobrze, malutka - gaworzyła Lauren do córki, ale Angela słyszała łyż w jej głosie, słyszała tłumiony szloch, przez który zdania zmieniały się w krótkie serie słów. - Mamusia jest z tobą, skarbuniu.

Kiedy dojechały pod szpitalną izbę przyjęć, Angela kazała Lauren wnieść Emily do środka. Zaparkowała samochód i gdy biegiem dołączyła do nich, pielęgniarka zabrała właśnie dziecko z rąk Lauren i wbiegła z nim za jakieś podwójne drzwi.

- Lauren - Angela przystanęła, nie wiedząc, co robić.

Lauren zerknęła przez ramię.

- Idź za nami.

Weszły do gabinetu lekarskiego, który mieścił się za podwójnymi drzwiami. W kilka sekund zjawił się lekarz i zaczął rozbierać dziecko. Po niespełna minucie podniósł wzrok z ponurą miną.

- Zapalenie płuc. Trzeba od razu zacząć leczenie. Antybiotyk dożylnie i od razu wspomaganie oddychania.

Wydał serię poleceń kilku asystentom i pielęgniarkom. Kiedy wszyscy zabrali się do roboty - jedna pielęgniarka robiła Emily zastrzyk dożylny, druga przygotowywała aparaturę z maleńką maską na twarz - lekarz dał znak ręką, żeby poszły za nim.

Na korytarzu pod salą, gdzie leżała Emily, skierował je do jakiegoś pomieszczenia z boku. Tam włożył notatnik pod pachę i spojrział wpierw na Angelę, a potem na Lauren.

- Muszę być z paniami szczerzy - miał bardzo zmartwioną minę. - Trzeba ją było przywieźć znacznie wcześniej. Obawiam się, że nie ma wiele szans.

Lauren zaczęła osuwać się na ziemię, najpierw niepostrzeżenie, a w końcu kolana załamały się pod nią. Angela podbiegła, żeby ją podtrzymać, ale Lauren już zemdląła.

- Potrzebna pomoc! - zawołał doktor i dwie pielęgniarki od razu ruszyły do dziecka. - Sole trzeźwiące, migiem!

Angela klęczała, z głową córki na kolanach.

Wszystko się waliło i nie mogła nic na to poradzić. Emily może nie przeżyć? Co strasznego jeszcze może się stać? A potem co jeszcze? Jak kiedykolwiek pogodzą się z Lauren po czymś takim? Chciała się modlić, ale zapomniała, jak to się robi. A poza tym - czy pytali Boga, co robić w sprawie Shane'a i Lauren? Więc jak teraz może prosić Go o pomoc? Zapewne już dawno temu umył od nich ręce.

Pielęgniarki były przy Lauren, przesuwając jej pod nosem sole trzeźwiące. Po kilku sekundach odzyskała przytomność, ale była śmiertelnie blada. Jej oczy płonęły, a Angela mogła sobie tylko wyobrazić, przez co przeszła. Musiała zawrócić do Chicago, gdy zrozumiała, jak bardzo dziecko jest chore. Pewnie jechała bez przerwy, przerażona, że nie zdąży.

Lauren już całkiem oprzytomniała. Usiadła i przetarła oczy. Na jej twarzy pojawiło się przerażenie i wbiła wzrok w lekarza.

- Gdzie ona jest?

- Pani córka jest w sali po drugiej stronie korytarza, panno Anderson. Robimy, co w naszej mocy

- Co to pan mówi? Zanim... zanim upadłam? - Lauren nie była w ogóle podobna do siebie. Strach w oczach nadawał jej wygląd osoby obłąkanej. - Coś o mojej malutkiej i o szansach.

Lekarz westchnął i pomógł pielęgniarkom postawić Lauren na nogi. Potem popatrzył jej prosto w oczy

- Dostaje wszystko, co jest jej potrzebne. Ale nie jestem pewien, czy to wystarczy.

- To znaczy? - Lauren mówiła szybko i twardo. - Niech pan powie, co to znaczy.

Lekarz spojrzał na siostry, a potem na Lauren.

- Pani córka jest bardzo, bardzo chora, panno Anderson - zacisnął usta i lekko pokręcił głową. - Jeśli przeżyje, to jedynie cudem.

- Lauren... - Angela poruszyła się, żeby złapać córkę za ramię, ale ona odsunęła się.

- Zostaw mnie.

Jej gniew trwał tylko moment. Kiedy odwróciła się do doktora, nie było już po nim śladu.

- Czy mogę usiąść w tej sali co ona? Nie... nie będę przeszkadzać?



- Proszę - skinął głową w stronę drzwi. - Może pani być z nią cały czas.

Angela popatrzyła na doktora.

- Czy ja też mogę zostać?

- Nie! - Lauren podniosła dłoń w proteście. W jej oczach płonął gniew. - Nie chcę tam ciebie. To jest...

Spojrzała na lekarza:

- Proszę nas na chwilę zostawić.

- Oczywiście.

Doktor rzucił Angeli krótkie spojrzenie, jakby pytał ją, czy z Lauren wszystko w porządku. Angela skinęła głową. Oczywiście nie wszystko było w porządku, ale we dwójkę jakoś sobie z tym poradzą.

- Będę tam często zachodził i sprawdzał, i informował panią na bieżąco... - zawahał się. - Przykro mi.

Kiedy wyszedł, wzrok Lauren zapłonął.

- Nie chcę, żebyś była tam z nami - wysyczała te słowa, a Angela cofnęła się o krok. Nigdy jeszcze nie widziała Lauren w takim stanie. Nigdy.

- Kochanie, myślę, że jednak powinnam zostać.

- Mamo, posłuchaj mnie - rozdrażnienie i obłąd zdawały się mijać, wyglądała już spokojniej niż w chwili, gdy zajechała przed dom. - Moje dziecko tam umiera dlatego, że mnie okłamałaś. Że okłamałaś mnie i rozdzieliłaś mnie i Shane'a, i nie dałaś mi innego wyboru, jak tylko jechać do niego - jej głos był podręcznikowym przykładem powstrzymanej furii. - Więc ja tam pójdę i będę z nią siedzieć, a ciebie nie chcę obok siebie. Ani obok niej. Czy to jasne?

Dreszcz przeszedł po plecach Angeli.

- Lauren, przepraszam. Ja nigdy nie chciałam, żeby to...

Lauren nie słuchała. Otworzyła drzwi, weszła do sali i zamknęła za sobą drzwi. Dopiero wtedy Angela odwróciła się i poszła z powrotem do poczekalni. Zostanie, aż Lauren zgodzi się znów z nią rozmawiać. Kiedy tak siedziała, była zbyt osłupiała, by płakać, zbyt zaszokowana, by zrobić cokolwiek, poza myśleniem o tym, co właśnie się stało. Przedtem zastanawiała się, jakie będą skutki rozdzielenia dzieci, jeśli nie wszystko pójdzie zgodnie z planem. Wątpiła w to, że Lauren i Shane'owi nic nie będzie, jak twierdzili pozostali. Zamartwiała się, co będzie, gdy okaże się, że się pomylili.

Teraz już wiedziała.

A najgorsze miało dopiero nadejść.

Lauren przez sześć godzin nie ruszyła się z krzesła. Przynęła je do łóżeczka Emili i obserwowała, jak ten i ów przychodzi i zajmuje się dzieckiem. Patrzyła, jak sprawdzają jej stan, jak zakładają plastikową maskę na twarz, żeby pomóc jej oddychać, jak lekarstwo po kropli kapie do jej żył.

Nieustannie błagała Boga o jedno: żeby w swoim sercu postanowił pozwolić Emily żyć.

Do drugiej, trzeciej nad ranem sprawy przedstawiały się straszliwie ponuro. Doktor sprawdzał jej stan i kręcił głową.

- Nie jestem pewien, czy wytrzyma, panno Anderson. Niemowlęta tak ciężko chore zwykle nie wracają do domu.

Pomiędzy jego kolejnymi wizytami patrzyła na Emily, bojąc się jej dotknąć. Co jakiś czas przytykała palce do czoła córki i przesuwała je po maleńkiej rączce.

- Przepraszam, Emily. Mamusia przeprasza.

Przez większą część nocy jej oczy były suche. Była zbyt wystraszona, by płakać, i zbyt zmartwiona, że mogłaby uronić choćby minutę modlitwy i pragnienia przywrócenia swojej maleńkiej do życia.

I wtedy, o czwartej nad ranem, doktor przyszedł z najlepszą wieścią tej nocy, najlepszą wieścią minionych dwóch dni.

- Liczba białych krwinek poprawiła się. Wygląda na to, że zareagowała na antybiotyki.

- Naprawdę? - Lauren zwykle nie mówiła dużo, gdy przychodził lekarz. Za bardzo bała się odpowiedzi. Ale tym razem przepełniła ją nadzieja, tak wielka, że nie mogła powstrzymać się do mówienia. - Chce pan powiedzieć, że może z tego wyjść?

- Tego nie wiem.

Badał Emily, przytykając stetoskop do jej klatki piersiowej i nasłuchując. Kiedy się wyprostował, spojrzął na Lauren.

- Słyszę poprawę. Jestem zdumiony, naprawdę. Jeśli tak dalej pójdzie, może prędko wyzdrowieć. Kiedy już dzieci przetrzymują kryzys, po 12 godzinach mogą nawet zacząć jeść - przerwał i zmarszczył brwi. - Ale panno Anderson, proszę jeszcze nie robić sobie zbyt wielkich nadziei. Pani córka jest nadal ciężko chora.

Kiedy lekarz wyszedł, Lauren nabrała całkowitej pewności. Emily przeżyje! Bóg wysłuchał jej wołania, spojrzął z nieba i dał im cud. Myślała o tym, co powiedział doktor. W ciągu 12 godzin Emily może się ocknąć i zacząć jeść. A jeśli tak, to ona, Lauren, będzie musiała być na tyle wypoczęta, żeby się nią zająć. Zwłaszcza że nie chce spędzić w Chicago więcej czasu, niż to konieczne.

Rozważyła możliwości. Tak naprawdę potrzebuje głównie snu. Może wsiąść w samochód, jechać do domu, przespać się osiem godzin i wrócić. Gdyby została w szpitalu, i tak nie pomoże Emily, a jeśli się nie wyśpi, na nic się swej córce nie przyda.

Przed wszystkim jednak musiała porozmawiać z matką. Gniew na nią nie przeszedł jej wcale, ale musi jej powiedzieć, że Emily ma się lepiej. Zasługuje na to, żeby wiedzieć chociaż tyle.

Oddech Emily brzmiał lepiej, znacznie lepiej. Lauren wahała się. Za nic nie chce stąd odchodzić, nie chce być z dala od córki, choćby na parę godzin. Ale nie ma wyboru, jeśli chce mieć dość sił, żeby zająć się Emily, kiedy się obudzi. Wstała i pochyliła się nad dzieckiem.

- Nie poddawaj się, Emily - ucałowała delikatny jak piórko policzek. - Kocham cię, malutka. Wróć rano.

Spojrawszy na nią po raz ostatni, wyszła z sali i poszła do poczekalni. Matka czuwała, siedząc na krześle w najdalszym końcu pomieszczenia. Spotkały się wzrokiem i Lauren poszła w jej stronę, nie patrząc jej już więcej w oczy, dopiero w ostatniej chwili.

- Emily się polepszyło. Lekarz mówi, że sam nie może w to uwierzyć - usiadła na krześle naprzeciwko matki. - Chcę nabrać sił, żeby zająć się nią, kiedy się obudzi. Pomyślałam, że pojedę do domu i trochę się prześpię.

Matka skinęła głową.

- Ja zostanę.

Lauren nie pomyślała o tym. Sądziła, że matka też pojedzie do domu, bo i ona potrzebowała snu.

- Jesteś pewna?

- Tak. Czuję się dobrze. Pójdę tam i posiedzę z nią, kiedy cię nie będzie.

Lauren przez chwilę zastanawiała się, czy nie przeprosić matki za tę wcześniejszą scenę. Ale stosunki między nimi przypominały wciąż poskręcany kłębek supłów. Trzeba by miesięcy na rozplątanie wszystkich przykrości i żalów. Teraz więc wstała, matka też. I choć wszystko w niej burzyło się na to, Lauren uściśnięła ją. Krótko, ale zawsze to jakiś początek.

Pojechała do domu, wśliznęła się wejściem od frontu i wdrapała się po schodach. Zasnęła, zanim jeszcze przyłożyła głowę do poduszki.

Kiedy się zbudziła, była już druga po południu. W domu panowała cisza. Od razu usiadła i spojrzała na łóżeczko. Gdzie jest Emily?

Dopiero po paru minutach przypomniała sobie, że nie przejechała nawet połowy drogi do Los Angeles, kiedy Emily się rozchorowała. I wszystko do niej wróciło.

Wyskoczyła z łóżka. Bardziej niż następnego oddechu łaknęła wiedzy o tym, jak się czuje Emily. Zadzwoiła na informację i dostała numer szpitala, a w minutę później rozmawiała już z pielęgniarką.

- Dzień dobry - Lauren przełknęła ślinę. Lęk minionej nocy powrócił. - Moja córeczka jest państwa pacjentką. Chciałam się dowiedzieć o jej stan.

- Jak się nazywa? - kobieta wydawała się miłą, nie taka zniecierpliwiona, jak to się nieraz zdarza pielęgniarkom.

- Emily Anderson.

- Dobrze, już sprawdzam. Zaraz wrócę.

*Boże, proszę... proszę...*

Sekundy upływały jak godziny, w końcu kobieta wróciła.

- Przepraszam, czy pani jest matką dziecka?

Lauren myślała, że serce z niej wyskoczy.

- Tak. Muszę wiedzieć... jak ona się czuje...

- No tak... Nie wiem, jak mam to powiedzieć. Ona odeszła. To się stało przed kilkoma godzinami. Przykro mi, że nikt do pani nie zadzwonił i...

Słowa pielęgniarki zrobiły się zbyt niewyraźne do słuchania. Odeszła? Emily, jej malutka dziewczynka, odeszła? Głowa Lauren opadła na jej rękę, a słuchawka ześliznęła się po policzku. Słyszała, że kobieta dalej mówi, ale to już nie miało znaczenia, nie robiło żadnej różnicy.

Jej malutka odeszła. Dopiero co, przed kilkoma godzinami... przed kilkoma godzinami. *Boże... Boże, gdzie Ty byłeś?*

Była najgorszą ze wszystkich matek.

Jej nogi i ręce, i serce zdrętwiały, opadła na kolana przy łóżku. *Błagałam Cię, Boże. Zawiodłeś nas. Moja malutka nie żyje, a mnie tam nawet nie było, żeby ją przytulić, powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Ty wiedziałeś... Musiałeś wiedzieć, że tak się stanie, i nie zrobiłeś nic, żebym została...*

Uchwyciła się krawędzi łóżka i próbowała złapać oddech, ale na próżno. Pokój kręcił się jak szalony, przechylił się mocno na bok. Z oddali dochodził ją jakiś metaliczny głos: „Jeśli chcą państwo wybrać numer, prosimy się rozłączyć i spróbować ponownie... Jeśli chcą państwo wybrać numer...”.

*Boże, dlaczego? Dlaczego nie pozwoliłeś jej żyć? Była wszystkim, co miałam, wszystkim, co się dla mnie liczyło. Wtedy popłynęły łzy, opóźnione przez wstrząs pustoszący całe jej jestestwo. Targały nią fale łez, wdzierając się do duszy. Emily już nie ma, a Shane nawet nie miał szans się z nią spotkać. Boże, czy to jest fair względem niego? Chciał być ojcem, a nawet nie miał szans jej poznać! Zaciśnęła powieki i cofnęła się pamięcią kilka miesięcy, kiedy była w ciąży i razem z Shane'em siedziała w jego samochodzie. Położył dłoń na jej brzuchu i poczuł, jak Emily kopie. Ten wyraz zdumienia i zachwytu na jego twarzy...*

Byłby cudownym ojcem, ale teraz...

Teraz nie będzie miał już szansy.

Wszyscy ją zawiedli. Jej rodzice i rodzice Shane'a. Nawet Bóg. „Czy ta kara nigdy się nie skończy?”. Ledwie wyszeptała te słowa, gniew powrócił gwałtownie i z furją, a ton jej głosu podniósł się.

- Czy to się nigdy nie skończy? - waliła pięściami w łóżko. Otworzyła oczy i wpatrzyła się w okno. - Boże, jak mogłeś pozwolić jej umrzeć? Dlaczego mi ją zabrałeś? Ona jeszcze... jeszcze nawet nie zaczęła żyć.

Szlochała swój gniew, swój żal, opuściwszy głowę na poduszkę.

- Emily... dziewczynko...

Przestała już się zmagać. W tej chwili potrafiła tylko wyobrazić sobie swoją ukochaną córeczkę tak, jak wyglądała na szpitalnym łóżku. Doktor powie-

dział, że jej się polepszyło, prawda? Więc co poszło nie tak? Łzy popłynęły jeszcze mocniej i Lauren zastanawiała się, czy wypełnią cały pokój i utonie w nich.

- Emily... maleństwo... mamusia przeprasza - słowa były stłumione, wypowiedane w pozwijaną stertę koców. - Powinnam była z tobą zostać, kochanie.

Próbowała złapać dech.

- Emily... Kocham cię, skarbieńku. Przebacz mi!

Upłynęło sporo czasu, ale w końcu łzy przestały płynąć tak obficie. A wtedy pozostała jej tylko pustka, która nie знаła granic, próżnia przejmująco zimna i czarna jak noc. Wciąż słyszała głos dobiegający ze słuchawki, wyłączyła to. Była tylko jedna osoba, z którą chciała teraz być, jedyna, która mogła ją objąć i nadać sens temu koszmarowi, w który zmieniło się jej życie.

Shane Galanter.

Chciała być z nim bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Wstała, powoli i ostrożnie, bo pokój wciąż wirował wokół niej. Po minucie odzyskała równowagę, powoli odetchnęła i wyszła z pokoju. Nie ma co dłużej zwlekać, rozglądać się, rozmyślać o wspomnieniach, które pozostawia za sobą. Wspomnienia jej malutkiej dziewczynki już na zawsze będą żyły w jej sercu, jedyny jasny promień w miejscu, które pozostanie ciemne do chwili, aż odnajdzie Shane'a.

Emily odeszła, a wraz z nią odeszła wszelka nadzieja na życie, jakie mogłyby wieść razem z Shane'em. Ale Shane wciąż był. Gdzieś daleko. Wyjeżdżając z przedmieść w kierunku autostrady, minęła szpital i pomyślała, czy powinna tam zajechać. Jeszcze raz wzięłaby swoje maleństwo w ramiona. Jej ciało na pewno jeszcze tam jest. A może już nie. Może zabrali ją już do kostnicy. Tak, pewnie tak. W żadnym razie nie może teraz iść do tego szpitala.

Miała ze sobą trochę zdjęć i cały miesiąc wspomnień o Emily Sue Anderson. Nie zdążyła nawet zobaczyć choćby martwego ciała córki. O zobaczeniu się z matką nie było mowy. Nie teraz, kiedy wszystkiego tego - w każdym najmniejszym szczególe - można było uniknąć, gdyby tylko rodzice ich nie rozdzielili.

Ona i Shane byliby razem, w domu, z Emily w ramionach. Lauren w porywie uczuć zjechała z drogi i wpatrywała się w szpital. Nie zapomni swojego ostatniego dnia z Emily. Obserwowania jej oddechu i wiary każdą swoją cząstką, że Bóg da im cud.

Mocno zacisnęła usta.

*Ale tego nie zrobisz, co? Ocenisz moje możliwości jako matki i postanowiłeś zabrać Emily do domu, do siebie? Boże, nigdy Ci tego nie wybaczę. Nigdy.*

Przycisnęła puste ramiona do piersi, wyobrażając sobie, że trzyma Emily, ciepłą, żywą, całkiem od niej zależną.

- Zawiodłam cię, kochanie... Mamusia przeprasza.

Łzy w jej sercu zmieniły się w szloch i Lauren opuściła głowę na kierownicę.

- Emily... gdybym jeszcze choć raz mogła cię przytulić.

Ale nie mogła. Bo wszystko przysięgło się przeciwko niej i Shane'owi. Nawet Bóg. *I co z tego, że Emily jest w niebie? Za mało dzieci tam masz? Musiałeś zabrać jeszcze moje?* Była tak zła, wystraszona i pusta w środku, że nawet ta jedna prawda - że Emily jest w lepszym miejscu - nic dla niej nie znaczyła.

I nie mogła nic znaczyć. Bo Lauren chciała jednego - jeszcze choć raz przytulić córkę.

Zamrugała powiekami, aż przetarł jej się wzrok. Wyjechała z powrotem na drogę i nie oglądając się, pomknęła w kierunku pierwszej autostrady. Koniec z Chicago, z rodzicami, z ich Bogiem... z każdym okrucieństwem przeszłości. Znajdzie Shane'a. Ułożą sobie życie. Może później, gdy już staną na nogi, wrócą do Chicago i porozmawia z rodzicami.

Mogliby ponaprawiać wzajemne stosunki. Nic już nie będzie takie samo, ale zawsze może wrócić do domu. Zabrać rzeczy.

Ale już nigdy więcej nie będzie mieć swojej małej Emily.

Ból przepełniał każdy jej oddech, gdy wyjeżdżała z miasta i zmierzała w stronę nowego życia w Los Angeles. Podróż miała potrwać pełne sześć dni. Trzeciego dnia sprzedała swój sportowy wóz dilerowi w Teksasie i za te pieniądze kupiła inne auto, porządne, czterodrzwiowe sedan, o niewielkiej ilości mil na liczniku. Był nie tylko bardziej ekonomiczny, ale i rodzice nie mogliby jej wytropić po tablicy rejestracyjnej. Nie przyjdzie im do głowy, że ma nowy samochód, a do momentu jego zarejestrowania w Kalifornii wymyśli jakiś sposób, żeby nie mogli się o tym dowiedzieć.

Piątego dnia podróży zaczęła martwić się o finanse. Zostało jej jeszcze 4.500 dolarów, ale pieniądze szybko topniały. Zanim zacznie rozglądać się za Shane'em, musi mieć jakiś plan, dach nad głową, pracę.

Zatrzymała się w mieście Northridge i drugiego dnia pobytu tam pojechała na Uniwersytet Stanowy Kalifornii, mieszczący się w samym centrum miasta. Na tablicy ogłoszeniowej trzy różne grupki dziewczyn poszukiwały współlokatorki. Jedno ogłoszenie wydało się najpoważniejsze z nich, a czynsz wynosił zaledwie paręset dolarów miesięcznie. Idealne dla jej budżetu.

Zadzzwoniła i po południu miała już gdzie mieszkać oraz współlokatorki wyglądające na sympatyczne. Jedna zapytała ją o wiek, ale zbyła to pytanie.

- Młodo wyglądam. Każdy mi to mówi - uśmiechnęła się, choć jej usta odwykły od tego. Uśmiechu nie było na jej twarzy od chwili wyjazdu z Chicago, odkąd opuściła miejsce, gdzie umarła jej córka. Ale nikomu o tym nie powie, a już zwłaszcza obcym. Nikomu, tylko Shane'owi.

Jedna z nich, filigranowa Amerykanka chińskiego pochodzenia, zaciekawiała się:

- Studiujesz na Cal State Northridge?

- Jeszcze nie - Lauren zarzuciła torebkę na ramię. - Muszę w tym semestrze zarobić na studia.

- Zaraz, jak ty masz na imię? - wysoka, szczupła brunetka oparła się o ścianę. W jej oczach zamigotały iskierki, a Lauren pomyślała, że gdyby znała ją dawno, dawno temu, może by się zaprzyjaźniły.

- Lauren.

- A masz nazwisko?

Chłodna fasada rozpękła się w połowie, ale tylko na moment. Lauren przejechała dłonią po zapięciu koszuli i uśmiechnęła się szeroko.

- Ach, przepraszam! Lauren Gibbs.

- Lauren Gibbs? - Chinka zrobiła osobliwą minę. - Gdzieś już to nazwisko widziałam.

Lauren wzruszyła ramionami.

- Jest dość popularne.

Zmuszała się do jednostajnego oddechu, nie chcąc się zdradzić.

- No a wy?

Miały na imię Kathy Song i Debbie. Rozmawiały o uczelni i zajęciach, a potem wszystkie zamilkły. Kathy, która wydawała się tam mieć najwięcej do powiedzenia, wyciągnęła rękę:

- Miło nam. Pierwszy czynsz płacisz w chwili wprowadzenia się.

- A teraz może być? - Lauren wyjęła portfel i wyciągnęła 200 dolarów.

Wszystkie się roześmiały. Lauren wyszła do samochodu po rzeczy. Cierpiała w środku. Więc to jest teraz jej życie. Kłamstwa, życie z dnia na dzień i udawanie kogoś, kim nie jest. Ból zagrzebała głęboko w sobie. Zamrugała powiekami, żeby odpędzić łzy. Dobra jest.

Chodzi tylko o to, żeby jakoś przetrwać do czasu odnalezienia Shane'a.

Pokój był nieduży, a dzieliła go z Song. Pół godziny zajęło jej rozpakowanie się i uporządkowanie jej części pomieszczenia. Na parapecie postawiła swoje zdjęcie z Shane'em. Zdjęcia Emily będzie trzymać w szufladzie. Kupi album, tak żeby częściej móc je oglądać.

Nazajutrz znalazła pracę kelnerki w Marie Callender's, restauracji prawie naprzeciwko jej mieszkania. Na aplikacji napisała „Lauren Gibbs”, a wszystkie dane adresowe podała zgodnie ze swoim nowym życiem, które rozpoczęła poprzedniego dnia. Miała już plan. Kiedy dostanie pierwszą wypłatę, wyrobi sobie dowód i prawo jazdy na nowe nazwisko. To jest możliwe. Zwłaszcza że nie ma jeszcze własnej legitymacji ubezpieczeniowej. Jedna z dziewczyn w restauracji powiedziała jej co nieco, od czego zacząć. Kiedy już załatwi sobie nową tożsamość, zarejestruje samochód i zacznie jakoś żyć.

Niedaleko Uniwersytetu w Northridge znajdował się miejscowy college. Skontaktuje się z tą szkołą i zda GED<sup>2</sup>. Potem zapisze się na zajęcia na tej uczel-

**" Egzamin General Education Development - w pewnym sensie amerykański odpowiednik polskiej matury, potwierdzający opanowanie wiedzy na poziomie liceum (przyp. tłum.).**

ni i będzie studiować przez pierwsze dwa lata. Potem przeniesie się do Cal State Northridge i zrobi dyplom z dziennikarstwa. Życie będzie takie, jak powinno. Przynajmniej z pozoru.

Tego popołudnia Lauren wróciła do domu i spostrzegła aparat telefoniczny na biurku w salonie. Z blatu wzięła bloczek z kartkami, z szuflady długopis.

Wprawdzie w sierpniu szkoła jeszcze się nie zaczynała, ale Shane powinien już być gdzieś zapisany. Sekretariaty na pewno kończyły wakacje wcześniej niż nauczyciele. Postukała w bloczek długopisem. Książka telefoniczna leżała opodal, sięgnęła po nią. W jednym z jej działów na początku wymieniono wszystkie okoliczne licea. Zaczęła od Canoga Park High School.

Podniosła słuchawkę i wybrała numer.

- Canoga Park High School, słucham?

- Dzień dobry - starała się nadać głosowi dorosłe brzmienie. Po wszystkim, co przeszła, nie było to nawet takie trudne. - Chciałabym potwierdzić, że mój syn zapisał się do państwa na najbliższy semestr.

- Bardzo proszę. To nowy uczeń?

„Działa!” - Lauren z trudem przełknęła ślinę.

- Tak. Właśnie przeprowadziliśmy się z Chicago.

- Dobrze, tylko wezmę spis nowych uczniów... - urwała na chwilę. - Jak nazwisko?

Zamknęła oczy i wyobraziła go sobie: ciemne włosy, błyszczące oczy, tak jak wyglądał ostatniego dnia, gdy się żegnali.

Kobieta czekała.

- Shane Galanter.

- Shane Galanter - kobieta powoli powtórzyła imię i nazwisko i w słuchawce rozległ się szelest dokumentów.

- No, niestety. Jeszcze się nie zapisał. Czy mam przyszykować dokumenty?

Lauren otworzyła oczy i przy nazwie Canoga Park napisała maleńkie NIE.

- Na razie nie - zaśmiała się grzecznie. - Porozmawiam z mężem. Przyjeździemy pod koniec tygodnia. Dziękuję.

Następna na liście była Taft High School.

Do trzeciej po południu przeszła już przez wszystkie szkoły w San Fernando Valley. Shane nie był zapisany do żadnej z nich. Nic nie szkodzi. Ma pokój i pracę, i plan na przyszłość. I nową tożsamość. Lauren Anderson już nie ma. Zmarła w tym samym dniu co jej córka. Zmarła w chwili, gdy pielęgniarka powiedziała jej, że Emily odeszła. Odtąd Lauren nie miała już rodziny, córki ani pragnienia, aby robić cokolwiek innego, jak tylko realizować swój jedyny życiowy cel: odnaleźć Shane'a. Będzie szukać, kiedy tylko się da, każdego dnia, każdej godziny. Nawet gdyby miało jej to zabrać całe życie.



## Rozdział 10

Shane nie mógł myśleć o niczym innym jak tylko o Lauren.

Oszukano ich, to było oczywiste. Tej całej sprawy z numerami telefonów nie sposób było wytłumaczyć inaczej jak tylko celowym ukartowaniem. Przy- najmniej ze strony rodziców Lauren. Kilka razy rozmawiał o tym z rodzicami i za każdym razem wydawali się zdziwieni.

Matka wyglądała na zaskoczoną, gdy po raz pierwszy powiedziała jej o komunikacie na starym numerze Lauren.

- Sądziliśmy, że zostawią nowy numer. Angela mówiła, że zostawią go na automatycznym nagraniu.

- Więc czemu nie zostawili? - Shane był gotów wsiąść do samochodu i jechać z powrotem do Chicago. Tyle że samochód nie należał do niego, a rodzice nie pozwalali mu jeździć dalej niż do centrum handlowego. Walcząc z uczuciem przygnębienia, patrzył na matkę i próbował zrozumieć sytuację.

- Co się mogło stać, jak myślisz?

- Szczerze? - na twarzy matki pojawił się ból. - Myślę, że może nie chcą mieć z nami nic wspólnego... z tobą nic wspólnego, Shane.

- Dlaczego? - zerwał się na równe nogi. - Wiedzą, jak bardzo Lauren i ja chcemy być razem. Nie mogę do niej zadzwonić, skoro nie znam numeru.

Zastanawiał się przez chwilę.

- A oni znają nasz?

Matka zmarszczyła czoło.

- Za bardzo nie mają jak poznać. Mieszkamy na nowym osiedlu, załatwienie telefonu trochę potrwa. Przecież wiesz - chwyciła go za rękę. - Wygląda na to, że postanowili zerwać znajomość. Bardzo mi przykro, synu.

Czas leciał, Shane obserwował kalendarz. Kiedy nadszedł termin rozwiązania Lauren, zaczekał, aż będzie sam w domu, jak każdego popołudnia. Ojciec zawsze był w swoim nowym biurze nieruchomości, matka spędzała tam wszystkie popołudnia, pomagając mu. Więc każdego popołudnia Shane wertował spisy szpitali w promieniu 150 kilometrów od Chicago.

- Moja dziewczyna ma rodzić - powiedziała recepcjonistce w pierwszym szpitalu na liście. - Muszę wiedzieć, czy została przyjęta do państwa.

- Proszę pana, obawiam się, że nie możemy udzielać informacji o pacjentach nikomu poza najbliższą rodziną.

Czuł, że ogarnia go frustracja.

- Czyli gdybym był jej mężem, powiedziałyby mi pani?

- T a k jest.

Nie trzeba mu było tego dwa razy powtarzać. Zadzwoił do następnego szpitala na liście.

- Moja żona ma teraz rodzić.

- Nazwisko?

Poczuł, jak ogarnia go nadzieja.

- Lauren Anderson.

W telefonie rozległ się odgłos klawiatury komputera.

- Nie, proszę pana. Nie ma nikogo o tym nazwisku.

Przeszedł do kolejnego szpitala. Kiedy skończył, chował listę gdzieś, gdzie rodzice nie mogliby jej znaleźć. Nie chodziło o to, że zabraniali mu jej szukać. Ale nie byli zadowoleni z ciąży Lauren i wyczuł, że lepiej zrobi, jeśli te telefony zachowa dla siebie.

Codziennie po wyjściu rodziców wyciągał listę z kryjówki pod łóżkiem i zaczynał od nowa. Termin Lauren przypadał na połowę lipca, a on dzwonił aż do końca miesiąca. Potem ogarnęła go panika. A jeśli coś stało się z dzieckiem albo jeśli Lauren wyprowadziła się z tamtego rejonu, albo postanowiła oddać dziecko?

Nieraz nocą nie mógł zmruzzyć oka, nie potrafiąc przestać myśleć o tym, jak ją odnaleźć. Była gdzieś na przedmieściach Chicago. Próbował dzwonić do informacji telefonicznej, ale żaden Bill Anderson z przedmieść Chicago nie był tym, o którego chodziło. Wtedy wpadł na pomysł dzwonienia do banków. W tamtym rejonie były ich dziesiątki, ale miał mnóstwo czasu. Przygotował następną listę i zaczął od początku.

- Dzień dobry, mój znajomy kupił niedawno bank w państwa okolicy. Próbuję go znaleźć. Może mi pani powiedzieć, czy to Bill Anderson jest u państwa właścicielem?

- Bill Anderson?
- Tak. To było parę miesięcy temu.
- Nie. Nasz właściciel nie zmienił się od 10 lat.

Większość odpowiedzi brzmiała podobnie. Tylko parę razy rozmówcy dawali mu cień możliwości. Raz zadzwonił do jakiegoś banku pod Wheaton i zaczął rozmowę tak jak zawsze:

- Znajomy kupił bank w państwa okolicy. Czy może mi pani powiedzieć, czy Bill Anderson jest od niedawna państwa właścicielem?

- Tak. Czy mogę poprosić o nazwisko?

Tak?! Shane był tak podekscytowany, że wstał i zaczął chodzić po pustej kuchni.

- Mam na imię Shane. Shane Galanter.

- Proszę chwileczkę zaczekać - kobieta zawiesiła rozmowę, a po chwili połączyła się z nim znowu. - Przykro mi, ale nasz właściciel nazywa się inaczej.

- Ale przecież pani powiedziała mi, że tak! - Shane przejechał palcami przez włosy i oparł ręce na kolanach. - Proszę jeszcze raz sprawdzić!

- Proszę pana, ja mam dużo pracy. Nie prowadzę rejestru właścicieli banku. Czy w czymś jeszcze mogę panu pomóc? Chciałby pan u nas otworzyć rachunek?

Shane trzasnął słuchawką. Próbował dzwonić do tego banku jeszcze trzy razy, ale już nigdy nie usłyszał takiej dziwacznej odpowiedzi jak za pierwszym razem.

Pod koniec kolejnego tygodnia okazało się, że obdzwanianie banków nie przyniosło skutku, i Shane zaczął się zastanawiać. Może ojciec Lauren przerzucił się na inne inwestycje, tak jak jego ojciec? Biuro nieruchomości albo firma ubezpieczeniowa, jakaś nowa branża? Możliwości było nieskończenie wiele, i znów znalazł się w ślepym zaułku.

Próbował kontaktować się z nielicznymi przyjaciółmi, którzy jeszcze Lauren pozostali, ale żaden nie znał jej nowego adresu ani telefonu. Poza tym większość z nich wykruszyła się wraz z nastaniem lata. Nastoletnie dziewczyny nie miały zwyczaju spędzać czasu akurat z tą spośród swego grona, która była w siódmym miesiącu ciąży.

Czas płynął, kończył się sierpień i za tydzień zaczynała się szkoła. Shane odchodził od zmysłów, próbując znaleźć Lauren. Teraz już na pewno urodziła, co oznaczało, że podjęła już decyzję. Albo uczyła się właśnie bycia matką z dzieckiem, albo zostawiła dziecko.

Pewnego wieczoru, kiedy milczał podczas kolacji, ojciec zapytał:

- Wszystko u ciebie w porządku, Shane?

- Nie mogę przestać o niej myśleć.

Ojciec ugryzł kęs kurczaka.

- O kim?

- O kim?! - wodził wzrokiem od ojca do matki. - Ty żartujesz?

- Kochanie, on mówi oczywiście o Lauren - matka przesunęła po stole miskę z puree ziemniaczanym. Spojrzała w jego stronę. - A próbowałeś jeszcze raz na stary numer? Może zostawili już nowy?

- Próbuję codziennie - przejechał widelcem przez zielony groszek na talerzu i odsunął krzesło od stołu. - Nie mogę jej znaleźć. Nie mogę tego znieść.

- Wiesz co, synu? Jakoś wytrzymasz przez najbliższy rok szkolny, a jeśli ona nie pojawi się do tego czasu, to pojedziemy jej poszukać.

Przez najbliższy rok? Shane wpatrywał się w niego. Czy on naprawdę uważa to za możliwe? Że oboje nie znajdą się przez cały rok? A dziecko? Przecież jest ojcem. Na pewno ma prawo spędzać czas z dzieckiem, spotykać się z nim.

Tego wieczoru wcześniej wrócił do domu. Skończyły się letnie rozgrywki baseballowe i miał jeszcze parę dni do początku szkoły. Otworzył szafę i wyciągnął pudełko spod jej tylnej ściany. Zamknął drzwi swojego pokoju i delikatnie uniósł to, co leżało na samym wierzchu. Oprawione zdjęcie, które Lauren dała mu pod koniec V klasy. Oboje byli akurat po zawodach w bieganiu, stali obok siebie, obejmując się za szyje. W tle widział jej rodziców, rozmawiających z jakimiś innymi dorosłymi. Zdjęcie robiła jego matka. Wciąż miał w uszach jej słowa.

- Ślicznie razem wyglądacie.

- Mama, przestań - wtedy za bardzo nie interesował się dziewczynami. Lauren była kumpelką. - Rób już to zdjęcie.

Kiedy je zrobiła, Lauren chwyciła swoją butelkę z wodą i opryskała go. Był kompletnie zaskoczony. Chwycił swoją butelkę i zaczął ją gonić, ale była szybka, no i zaczęła z handicapem. Biegli, a kiedy ją dogonił, zerwał korek ze swojej butelki. Oblał ją, zanim mu się wymknęła, i oboje zwijali się ze śmiechu, leżąc obok siebie na trawie, przemoczeni do suchej nitki.

Patrzył na zdjęcie. Wyblakło, a ich twarze wydawały się takie młode. Tak jakby to przydarzyło się parze zupełnie innych dzieci. Sięgnął ręką do pudełka i wyciągnął następną rzecz, kartkę ręcznej roboty, którą Lauren przygotowała na jego trzynaste urodziny. Na zewnątrz narysowała ludziki z kresek mające przedstawiać ich po przeciwnych stronach stadionu futbolowego. Przypomnieli mu się rodzice jego i jej, siedzący na stadionie podczas jednego meczu futbolowego w liceum. Rozmawiali i śmiali się, i obserwowali, co dzieje się na boisku. On i Lauren zeszli na dół za trybuny i tam, w cieniu stadionu, pocałowali się pierwszy raz w życiu.

- Ale nikomu nie mów, dobrze? - policzki Lauren były czerwone. Bardzo już chciała wracać na trybuny.

- Nie powiem. Możemy iść na przeciwne strony stadionu, co? - uśmiechnął się szeroko. - Wtedy nikt się nie domyśli.

- Dobra. Zróbmy tak.

Patrzył teraz na tę kartkę. Pożółkła trochę z biegiem lat. A ludziki z kresek były od siebie bardzo daleko. W środku Lauren napisała: „Jak leci po twojej stronie trybun?”.

Przejechał palcami po wierzchu kartki i znów wsunął rękę do pudełka.

Dlaczego wszystko się popsuło? To ich jako parę stawiali sobie za wzór koledzy. Ich rodziny się przyjaźniły. Oboje starali się trzymać z daleka od pułapek, w jakie wpadają inne pary - albo spędzanie ze sobą zbyt wiele czasu, albo zbyt bliski kontakt fizyczny. To ostatnie lato, to przez to tak wpadli. Patrząc wstecz, widział jasno, że musiało tak się skończyć. Większość czasu spędzali zupełnie sami i już wkrótce było im ze sobą nieomal zbyt dobrze.

Zajrzał z powrotem do pudełka. Było pełne kartek i listów. Sięgnął i wyjął jeden, złożony w mały kwadrat. Ostrożnie, żeby nie rozedrzyć papieru, otworzył i odszukał początek. „Shane, mieliśmy lekcję o zwierzętach w zoo i panna Erickson przydzieliła mi małąkę. Od razu pomyślałam o tobie. Pamiętasz małąki? W życiu tak się nie uśmiełam. Kocham cię okropnie. Lauren”.

Małąki. Mimo woli parsknął śmiechem. W szóstej klasie on i Lauren byli w zoo na zajęciach z przyrody. Przyłapano go, że gada z Lauren, i nauczycielka za karę kazała mu wygłosić przed całą klasą pogadankę o małąkach.

Wspomnienia znów się rozmyły. Sięgnął po kolejny złożony liścik. Na tym był obrazek narysowany przez Lauren. Przedstawiał myśliwiec odrzutowy z człowieczkiem w kokpicie. Dorysowała strzałkę do człowieczka i nagryzmoliła: „Kiedyś będziesz latał! Zabierz mnie ze sobą”.

I tak upływał ten wieczór, od jednego wyjątkowego zdjęcia czy listu do drugiego. W końcu zapakował wszystko z powrotem do pudełka i wsunął do szafy. Potrzebował jej, bez względu na to, gdzie teraz była. I wiedział, że ona też potrzebuje jego. Była jego najbliższym przyjacielem, dziewczyną w samym centrum najlepszych wspomnień z lat dorastania.

Wpatrzył się w ciemność za oknem. *Boże, Ty wiesz, gdzie ona jest i co robi. Muszę ją znaleźć. Boże, błagam. Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić.*

Odpowiedź nadeszła szybko i wyraźnie. *Idź za Mną, synu, idź za Mną.*

Te słowa zaskoczyły go. Od czasu przenosin do Los Angeles nie chodził na spotkania młodzieżowe ani nie czytał Biblii. Ale fakt, modlił się. Modlitwa wydawała się czymś coraz bardziej naturalnym.

Dobrze, więc będzie szedł za Jezusem. Ale co to znaczy, jeśli chodzi o Lauren? Kiedy jej powiedział, że nigdy nie będzie kochał nikogo tak jak jej, powiedział prawdę. Potrzebował jej jak wody, jak powietrza.

Będzie się za nią modlił i będzie jej szukał tak długo, aż ją znajdzie. Będzie szukał, póki żyje. I pewnego dnia - wierzył w to bez cienia wątpliwości - odnajdzie ją. I wtedy może razem przejrzą to pudło ze wspomnieniami i będą się śmiać ze wszystkich zabawnych chwil, które razem przeżywali.

Ludziki i stadion, a szczególnie rysunek myśliwca. To wszystko - i jeszcze dziecko. Nie mógł się doczekać.

## Rozdział 11

Bill Anderson był w biurze i robił coś, co zawsze robił zaraz po przebudzeniu od czasu, gdy Lauren odeszła.

Rozmawiał z Bogiem.

Oparł łokcie na biurku i ukrył twarz w dłoniach. *Boże, to znówu ja. Muszę z Tobą porozmawiać o Lauren.*

Gardło miał ściśnięte, wstrzymał oddech, żeby powstrzymać falę smutku. Zawsze chciał tylko ją kochać. Była jego najukochańszą maleńką, jedynaczką. Jego córką. Oczywiście marzył, że czeka ją świetlana przyszłość. Przed jej zajęciem w ciążę uważał, że jeśli ta przyszłość objęłaby i Shane'a, byłoby wspaniale. Wszyscy byliby zadowoleni. Ale gdy pojawiło się dziecko...

Wszystko się zmieniło.

Wbrew sobie odetchnął. Kiedy po raz pierwszy usłyszał o ciąży córki, był zdruzgotany. Nie mógł znieść, że jego dziewczynka dorosła tak szybko. Ale nie przyszło mu do głowy, żeby rozdzielać ją i Shane'a, dopóki nie zobaczył powierzchownej, przykrej reakcji Galanterów. Na samą myśl o tym znów wezbrał w nim gniew. Poruszył się na krześle. Jak Sheila i Samuel śmieli potraktować jego córkę tak, jakby była jakąś ładacznicą! Bo tak ją ostatecznie potraktowali. Im dłużej myślał o Galanterach jako potencjalnych teściach Lauren, tym bardziej rosły w nim złość i gorycz. Lauren zasługiwała na coś znacznie lepszego. Tyle że teraz jakoś wszystko obróciło się przeciwko nim.

*Boże, żałuję. Wziąłem sprawy w swoje ręce, a teraz... No cóż, jestem w sytuacji bez wyjścia. Zaciśnął dłonie w pięści i przycisnął je do oczu. Nie pozwalał, żeby Angela zbyt często oglądała jego płacz, ale łzy nie znikały z oczu, ilekroć pomyślał o Lauren. Co kilka minut nachodziło go nieprzeparte pragnienie, żeby wsiąść do samochodu i jechać za nią, przeszukać wszystkie drogi i dróżki między Chicago a Kalifornią, aż ją znajdzie, aż ją obejmie i powie, że bardzo żałuje.*

*Boże, ja to zrobiłem z miłości do niej. Przebaczone, że jej nie słuchałem, że myślałem, że ja wiem najlepiej. Błagam, daj mi drugą szansę. Ona jest tam całkiem sama i potrzebuje nas. Potrzebuje nas bardziej, niż się jej wydaje. Boże, dzięki Ci.* Wyprostował się i położył dłonie na biurku. Miał tego dnia jeszcze trochę do roboty, choć nic takiego, czym zwykle się zajmował. Rozmowy telefoniczne i spotkanie z prywatnym detektywem, kimś, kto mógłby pomóc mu odnaleźć córkę.

Podniósł bliżej oczu kartkę z telefonami i spostrzegł, że ręce mu drżą. Tęsknił za nią tak bardzo, że odczuwał to jako ból fizyczny, wrażenie, jakby coś przebijało go na wylot. Tak było zawsze - kiedy się budził i gdy co wieczór gasił światło. Gdzie ona jest, co robi? Jak sobie daje radę bez nich?

Westchnął drżącym głosem. Dobrze się modlił. Jego dziewczynka potrzebuje jego pomocy, gdziekolwiek jest, tak jak zawsze potrzebowała. Tyle że teraz rozumiał jeszcze coś, czego nie rozumiał przedtem.

Że i on sam rozpaczliwie jej potrzebuje.

Świadomość tego zaczęła do niego docierać.

Lauren znikła z ich życia i nie zamierzała powrócić. Minęły trzy miesiące i żadna z prób nie przyniosła najmniejszego rezultatu. Angela skończyła sprzątać kuchnię i postawiła czajnik na płycie. O tej wczesnej rannej godzinie zawsze lubiła napić się herbaty, to nadawało dniowi pozory normalności. Jak gdyby nie umierała każdego dnia po trochu.

Bill był w domu, bo był to poniedziałek, dzień tygodnia poświęcany na poszukiwania Lauren.

- Firma poradzi sobie beze mnie jeden dzień w tygodniu - powiedział jej raz. - A ja nie mogę przestać szukać. Nigdy.

Czajnik pobrząkiwał, woda w środku zaczynała wrzeć. Angela rozparła się na krześle i obrzuciła wzrokiem swoją kuchnię. Była jasna i przestronna, dokładnie taka kuchnia w dokładnie takim domu, o jakim razem z Billem zawsze marzyli. Ale ich marzenie się nie ziściło, ponieważ obejmowało jeszcze Lauren. Ona powinna tu być, cieszyć się ze swojej sypialni na górze, ekscytować się ostatnim rokiem nauki w liceum.

Jej utrata była dla nich obojga nieustającą udręką, i tak już miało pozostać do chwili, aż ją odnajdą. Założyła ramiona na piersi i usłyszała, że Bill wychodzi z pokoju.

- Robisz herbatę? - spytał.

- Tak - uśmiechnęła się, gdy stanął w drzwiach. - Zrobić ci?

- Pewnie.

Usiadł naprzeciwko niej, po drugiej stronie kuchennej wysepki.

- Umówiłem się na spotkanie z jeszcze jednym detektywem. Chce mieć więcej informacji, wszystko, co tylko sobie możemy przypomnieć z jej przeszłości. Wszystko, co mogłoby mieć jakieś znaczenie.

Angela wyjęła z kredensu drugi kubek i podała mu ze smutnym uśmiechem.

- Shane Galanter - poruszyła jednym ramieniem. - Jego osoba ma największe znaczenie, prawda?

Skulił się ledwie dostrzegalnie.

- Prawda.

Zamrugał powiekami, jego oczy były wilgotne.

- Dziś wieczorem znowu przyjdzie pastor Paul. I jeszcze trzy osoby na nasze studium biblijne.

Studium biblijne, rozmowy z duszpasterzami - to wszystko było dla nich takie nowe. Dlaczego nie odkryli bogactwa wiary wcześniej, kiedy jeszcze żyli swoim wymarzonym życiem, zanim jeszcze Shane i Lauren ulegli pokusie i życie stanęło na głowie? Jak inaczej wszystko mogłoby wyglądać, gdyby ona i Bill nauczyli córkę, jak ważna jest wiara. I gdyby sami się tego nauczyli.

Czajnik zaczął gwizdać, powoli, jednostajnie. Przekreśliła gałkę i zalała herbatę.

- Bardzo lubię te nasze spotkania. To, co nam pokazują. Tego właśnie nam trzeba.

Bill przygryzł wargi.

- Tego właśnie nam było trzeba już wiele lat temu.

Wziął herbatę, obszedł kuchenną wysepkę i ucałował ją czule.

- Przepraszam cię, Angelo. Będę to powtarzał codziennie, aż ją znajdziemy. To przeze mnie odeszła - cofnął się o pół kroku. - Prosiłaś, żebym to jeszcze raz przemyślał, a ja tego nie zrobiłem. Myślałem... wydawało mi się, że ją chronię. Że okazuję jej miłość.

- Wiem - podniosła na niego wzrok. - Musimy się po prostu modlić.

- I szukać - wziął kubek i ruszył do wyjścia, w stronę swojego gabinetu.

- Muszę jeszcze zadzwonić w parę miejsc przed spotkaniem z tym detektywem. Przypuszczam, że musiała już zapisać się do jakiegoś college'u. Detektyw prosił o listę uczelni, którymi mogłaby być zainteresowana.

- Dobrze.

Patrzyła, jak odchodził. Najpierw szukali jej po tablicy rejestracyjnej, potem w hotelach, w których mogła zatrzymywać się po drodze. Potem w hotelach w Kalifornii, teraz przyszła kolej na uczelnie.



To wszystko wydawało się daremnym trudem. Jedynym tropem, który przyniósł jakieś rezultaty, była tablica rejestracyjna. Według informacji zdobytych przez pierwszego detektywa Lauren sprzedała samochód w Nowym Meksyku. Najpewniej wykorzystała te pieniądze na zakup nowego wozu - i na tym ślad się urywał. Angela wzięła kubek w dłonie i pograżyła się we wspomnieniach, tak jak zawsze o tej porze dnia. Nie było żadnych sygnałów ostrzegawczych, żadnego znaku, że jej córka chce uciec. Spędziła całą tę noc przy łóżeczku Emily, a gdy o wpół do piątej nad ranem pojechała do domu, obiecała, że wróci, jak tylko trochę się prześpi.

Angela zamknęła oczy i wróciła pamięcią do tamtego dnia, analizując godzinę za godziną. Po południu zaczęła martwić się o Lauren, gdzie się podziewa. Zadzwoiła do domu, ale nikt nie odbierał. Wreszcie około szóstej zadzwonił do niej Bill.

- Zaraz jadę po ciebie... - zawahał się. - A jak tam Lauren?

Jej serce i umysł zamarły.

- Lauren jest w domu - przycisnęła słuchawkę do ucha, żeby słyszeć wyraźniej pośród zgiełku panującego w poczekalni.

- Nie ma jej tu - w jego głosie od razu usłyszała przestrasz. - Myślałem, że jest z tobą.

- Zaglądałeś do jej pokoju?

- Nie, ja myślałem... no, poczekaj, zajrzę.

Wrócił po krótkiej chwili. Głos miał jeszcze bardziej zdenerwowany.

- Nie ma. Wygląda na to, że spała w swoim łóżku, ale teraz jej nie ma. Może jedzie do ciebie.

Tamtego dnia w Angeli wciąż wrzał gniew na męża, wciąż nie potrafiła nawet z nim rozmawiać, nie odczuwając nienawiści na myśl o tym, co zrobił, rozdzielając Shane'a i Lauren. Nawet jeśli zrobił to z miłości. Kiedy rzucił, że Lauren może być w drodze do szpitala, Angela nie ciągnęła już tematu, tylko prędko zakończyła rozmowę, przytakując, że dobrze by zrobił, gdyby po nią przyjechał. Może i ma rację - mówiła sobie. Lauren na pewno jest w drodze do szpitala, nie może być inaczej. Przecież nie wyjechałaby z miasta i nie zostawiła Emily, i to bez żadnego wytłumaczenia. I nie dając żadnego znaku ostrzegawczego. Ale gdy minęło kolejne pół godziny, miała już pewność, z którą mógł się równać tylko odczuwany w środku ból.

Lauren odeszła.

Angela znów zadzwoniła na policję i znów otrzymała tę samą odpowiedź: odczekać 24 godziny i wypełnić formularz zgłoszenia osoby zaginionej. Szalała ze strachu na myśl o tym, że Lauren znów wyruszyła na poszukiwanie Shane'a, szczególnie że jest tak zdenerwowana. Po godzinie poszła do dyżurki pielęgniarek, próbując się dowiedzieć, czy Lauren czasem nie dzwoniła. Ze wszystkich relacji wynikało, że od czasu opuszczenia szpitala nad ranem z nikim już nie rozmawiała.

Jedyna szansa Angeli zaświtała podczas rozmowy z kobietą dyżurującą za kontuarem na pediatrii.

- A pytała pani na położnictwie? Czasami rozmowy są mylnie kierowane.

Podziękowała i pobiegła na drugi koniec korytarza, gdzie mieścił się oddział położniczy. Kobieta za kontuarem była grzeczna, ale rozkojarzona.

- Mogę w czymś pomóc? - trzymała w ręku jakąś powieść i najwyraźniej bardzo chciała powrócić do lektury.

- Bardzo proszę - Angela uchwyciła się biurka. - Moja córka powinna tu gdzieś być. Próbuję ustalić, czy dzwoniła.

- Jak nazwisko?

- Lauren Anderson. Mogła dzwonić i pytać o swoją córeczkę Emily.

W oczach kobiety pojawił się jakiś błysk, a jednocześnie zażenowanie.

- Wie pani co, zdarzyło się dziś coś dziwnego, i dopiero teraz zaczynam rozumieć - pokiwała głową. - Niewykluczone, że dzwoniła.

- Czemu... czemu pani tak sądzi? - Angela miała ochotę pobiec na drugą stronę kontuaru i potrząsnąć nią. Czemu nie mówi szybciej?

- No więc... - pielęgniarka zamknęła książkę i wyprostowała się. - Odebrałam telefon od kobiety pytającej o jakąś Emily Anderson - skrzywiła się.

- Byłam przekonana, że to jedna z naszych świeżo upieczonych mam. Widzi pani, mieliśmy tu noworodka Emmę Henderson, ale ona zmarła parę godzin wcześniej.

Angela czuła zamęt w głowie. Przycisnęła palce do skroni i wbiła wzrok w kobietę.

- Ale co z tego?

- Bardzo przepraszam - pielęgniarka zaśmiała się nerwowo. - Wydaje mi się, że pytała o Emily, a ja odpowiedziałam, że zmarła. Że zmarła parę godzin wcześniej - kobieta wertowała stertę papierów. - Kiedy się rozłączyła, uświadomiłam sobie, że mogła mówić o innym dziecku. Emily Anderson, Emma Henderson. Podobnie brzmi.

Angela miała ochotę krzyknąć.

- I to wszystko? Coś jeszcze mówiła?

- Właściwie... - uśmiech pielęgniarki przygasał. - Musiała się chyba zamyślić. Właściwie nawet nie powiedziała „do widzenia”. Po prostu odłożyła słuchawkę.

Pod Angelą ugięły się kolana.

- No ładnie.

- To pani córka? - pielęgniarka wyglądała na przejętą, ale już zabierała się z powrotem do lektury, usadawiając się wygodnie przed przejściem do kolejnego rozdziału.

- Tak - Angela cofnęła się o kilka kroków i potrząsnęła głową. - Proszę się nie przejmować.

- Naprawdę, po prostu przykra pomyłka - uśmiechnęła się niewyraźnie.
- Przepraszam, jeśli wynikły z tego jakieś kłopoty.

Jakieś kłopoty? Angela ledwie mogła ruszać nogami, wychodząc z oddziału położniczego i wracając na pediatryczny. Znalazła wolne krzesło w najdalszym kącie poczekalni i ukryła twarz w dłoniach. Fakty były mgliste, ale układały się w jedną całość. Jeśli Lauren dzwoniła i pytała o Emily i jeśli powiedziano jej, że dziecko zmarło parę godzin wcześniej, to mogła uznać, że...

Angela nie chciała kończyć tej myśli. Ani wtedy, ani teraz.

Herbata już nie parowała tak mocno, wzięła więc ciepły kubek i ścisnęła w dłoniach. Od tamtego dnia łatwiej było jej wierzyć, że Lauren uciekła z innych powodów. Że doszła do wniosku, że zanim będzie mogła być matką, musi znaleźć Shane'a, że w tym momencie życia nie jest w stanie udźwignąć tej odpowiedzialności.

Alternatywa była przerażająca.

Od strony schodów dobiegło cichutkie kwilenie. Angela spojrzała na zegar. Prawie jedenasta, czyli punktualnie. Od czasu odejścia Lauren jej dni byłyby niczym, gdyby nie rutyna zajęć. I całe szczęście. Codzienne zajęcia utrzymywały ją przy zdrowych zmysłach, dawały powód do dalszego życia.

Odstawiła kubek i poszła na górę. Z każdym krokiem powracało wspomnienie tamtego straszego dnia. Bill przyjechał do szpitala parę minut po jej rozmowie z pielęgniarką z położnictwa, a gdy dowiedział się, że Lauren znów odeszła, opadł na jedno z krzeseł w poczekalni i po raz pierwszy, odkąd go poznała, rozplakał się. Łkania, które słyszała przez resztę tego dnia, powiedziały jej, że nie jest wcale takim twardym, nieustępliwym człowiekiem, za jakiego już zaczynała go uważać. Był ojcem, który chciał jak najlepiej dla swojego jedyne dziecko, swojej córki. Ale wszystkie jego wysiłki z ostatniego pół roku obróciły się przeciwko niemu i teraz był tak samo przytłoczony bólem jak ona.

Nazajutrz wypełnili formularz zgłoszenia osoby zaginionej, ale na nic się to zdało. Pierwszy policjant, z którym rozmawiali, miał rację. Nikt na komisariacie nie miał zamiaru angażować ludzi i środków w poszukiwania 17-letniej uciekinierki, dziewczyny jadącej nowym wozem sportowym do Kalifornii.

Ale w następnych dniach coś się wydarzyło. Choć Angela i Bill nie przybliżyli się do odnalezienia Lauren, to przybliżyli się do siebie. Padli razem na kolana przy łóżku Lauren i zrobili coś, czego nigdy wcześniej razem nie robili. Modlili się. Od tamtej pory, choć dźwigali w sobie ból utraty Lauren, mieli siłę i nadzieję, niewytłumaczalną, niezmierną.

Płacz na górze rozbrzmiewał teraz głośniej.

- Idę, skarbie - Angela przyśpieszyła kroku. Zakręciła za róg, do pokoju, który powinien należeć do Lauren. Dziecko ściągnęło z siebie ostatni kocyk, rączki i nóżki machały w powietrzu, a płacz stał się przejmujący.

- Ciii, Emily. Już dobrze.

Wzięła dziecko w ramiona i przycisnęła do piersi. Lauren tyle traciła. Jej dziecko zmieniało się z tygodnia na tydzień, wyrastając już z wyglądu noworodka, a zyskując coraz więcej własnej osobowości i mimiki twarzy.

- Ciii, maleńka. Wszystko dobrze - przytuliła ją mocno i zniosła na dół, uspokajając cały czas. - Babcia podgrzeje butelkę, tak?

Emily uspokoiła się. Jej oczy były wielkie i niebieskie, gdy tak patrzyły wprost na nią. Wydała cichy dźwięk, a Angela odniosła wrażenie - nie po raz pierwszy zresztą - że ta mała będzie typem wojownika, dzieckiem, które wie, czego chce. Już teraz wiedziała, czego chce i kiedy, i nie pozwalała, żeby o tym zapomniano.

Angela podgrzała butelkę, wzięła Emily i usiadła w fotelu bujanym w salonie. Za chwilę zjawił się Bill. Stał za nimi i położył dłoń na ramieniu Angeli.

- Jest śliczna.

- T a k .

- Widzisz? - pochylił się i przejechał palcami od czoła Emily aż do jej policzka. - Podobna do rodziców.

- Widzę - Angela poczuła łzy w oczach i zamrużyła powiekami, żeby je odpędzić. Napłakała się już dość, za wszystkie czasy. Teraz Emily jej potrzebuje, i dla niej musi być szczęśliwa i pełna energii. - Chyba będzie miała ciemne włosy, jak Shane.

- I niebieskie oczy, jak Lauren.

- Mhm - uśmiechnęła się do dziecka, ale serce się jej krajało. - Czasami sama nie wiem, co bardziej boli: to, że Lauren nie ma, czy oglądanie jej codziennie w oczach Emily.

Bill nie powiedział nic. Po kilku minutach pochylił się i ucałował Emily w czoło. Potem wyprostował się, objął Angelę z boku i mocno uściskał.

- Dam ci znać, jak poszło tym nowym detektywom.

- Dobrze - chwyciła go za rękę i uścisnęła. - Będę się modlić.

Wyszedł przez drzwi do garażu. Słuchała, jak zapuszcza silnik i odjeżdża. Prywatni detektywi, rozmowy telefoniczne, rozpaczliwe szukanie śladów. To musiało im teraz wystarczyć, tylko na tym mogli się oprzeć w poszukiwaniach.

Przesunęła kciukiem po policzku Emily. Nie ulegało wątpliwości, że Lauren kochała swoją córkę, była całkowicie nią zauroczona. Owszem, chciała odnaleźć Shane'a, a jej podróż na zachód razem z Emily nie powiodła się. Ale nie wyszła-by tamtego dnia ze szpitala bez pożegnania. W każdym razie wyjaśniłaby, że musi znaleźć Shane'a i że chce im powierzyć odpowiedzialność za Emily. Na jakiś czas.

Ponieważ jednak tego nie zrobiła, Angela mogła w tej chwili wyobrażać sobie tylko najgorsze: Lauren jest przekonana, że Emily nie żyje. Z tego, jak zachowywała się w czasie choroby Emily, Angela mogła wnioskować, że za śmierć dziecka obwinia właśnie ją i Billa. Prawdopodobnie także siebie. I Boga. A skoro

zabrakło dziecka, z którym mogłaby się pożegnać, i pragnienia rozmowy z rodzicami, w ciągu tych kilku godzin na pewno znalazła się już kilkaset kilometrów od miasta.

Żal i wyrzuty sumienia przygniotły jej barki niczym cementowy pancierz. Skoro już dopuściła do siebie tę możliwość, skoro pozwoliła sobie pomyśleć, że dlatego właśnie Lauren odeszła, całość nabrała potwornego, lecz idealnego sensu.

Kiedy kilka godzin później wrócił Bill, przedstawiła mu tę teorię, żeby podzielił się nią z detektywem. Ta możliwość sama w sobie przyprawiała ją o palpitacje, ilekroć o tym pomyślała. Bo nie mogło być nic smutniejszego niż myśl, że Lauren żyje gdzieś samotnie w przekonaniu, że jej córeczka umarła, gdy tymczasem ona jest z każdym dniem większa. Nie będą żałować pieniędzy, zrobią wszystko, żeby znaleźć Lauren. I pewnego dnia zadzwoni telefon albo nadejdą jakieś wieści, na które czekali, wieści, które pozwolą Lauren znów połączyć się z Emily. Angela wierzyła w to całym sercem.

Choćby mieli poświęcić na to całe życie.

## Rozdział 12

### *Osiemnaście lat później*

Wheaton College było dokładnie takie, jak wyobrażała sobie Emily Anderson. Jedynym jego minusem było to, że trzymało ją w Illinois, podczas gdy ona całym sercem chciała być w Los Angeles. Tam albo gdzieś indziej na wybrzeżu południowej Kalifornii. Szczególnie o tej porze roku. Było piątkowe popołudnie, zbliżało się Boże Narodzenie.

Oparła ramię o biurko i położyła twarz na dłoni. Jej duży tekst o trenerze żeńskiej drużyny piłkarskiej miał być gotowy na siedemnastą, ale nie mogła się skupić. W newsroomie siedziało jeszcze troje studentów dziennikarstwa, ale pracowali wspólnie nad czymś i nie zwracali na nią uwagi. Na biurku leżał przed nią konspekt artykułu. Rzuciła na niego okiem i próbowała się zainteresować.

Z tyłu rozległy się kroki. Jej wykładowczyni przysunęła krzesło i usiadła obok.

- Co tam, Emily? - pani Parker była młoda i miła. Emily nie słyszała jeszcze, żeby ktoś powiedział o niej złe słowo. - Jak idzie tekst?

Wyprostowała się i uśmiechnęła się niepewnie.

- Nie za bardzo.

Spojrzała na zegar.

- Mam jeszcze parę godzin.

Pani Parker spostrzegła konspekt.

- Widzę, że sobie wypunktowałaś.

- T a k .

Ale jej serce było gdzie indziej, w tym cały problem. Spotkały się wzrokiem.

- Zawsze lubiła pani pisać?

- Nie zawsze - zaśmiała się. - Inaczej niż większość moich studentów. Kiedy byłam w liceum, chciałam zostać nauczycielką matematyki. Dopiero w college'u uświadomiłam sobie, że chcę pisać.

- Hmm - Emily patrzyła na notatki, wcale ich nie widząc. Jej wzrok znów powędrował na wykładowczynię. - Czy pani mama też lubiła pisać?

Pani Parker przekrzywiła głowę.

- Hmm, tak przypuszczam. Przyznam, że nigdy dotąd się nad tym nie zastanawiałam - założyła ręce i oparła je o blat. - Prowadziła dziennik, pisała wiersze, takie rzeczy. Może po niej to mam?

Emily skinęła głową.

- Być może.

- A twoja mama lubiła pisać?

Było to kurtuazyjne pytanie. Pani Parker nie znała Emily na tyle blisko, by rozumieć, na jakie terytorium się zapuszcza.

Emily zmusiła się do uśmiechu.

- Nigdy nie znałam swojej matki - postarała się, żeby zabrzmiało to beztrąsko. Nie znosiła, kiedy ludzie jej współczuli. - Babcia mówi, że dużo czasu spędzała sama w pokoju, być może pisała, może czytała. Babcia nie jest pewna.

- Ach... - pani Parker zamilkła na chwilę. - Dam głowę, że była pisarką.

- Tak. Może i tak.

Wykładowczyni lekko postukała w jej notatki.

- Jesteś jedną z największych gwiazd piłkarskich w dziejach tej uczelni, Emily. Tekst o trenerze nie powinien ci sprawiać żadnych trudności.

- Wiem - wzięła głęboki oddech i szeroko uśmiechnęła się do rozmówczyni. Przekaz był jasny. Może sobie myśleć, o czym chce, ale tekst musi być gotowy. - Już się zabieram.

- Świetnie - w jej uśmiechu było współczucie. - Razem z babcią możecie porozmawiać sobie o tym wieczorem - uniosła brew. - Ale kiedy już napiszesz i oddasz tekst.

Emily zrobiła głupią minę i kiwnęła głową. Wzięła notatki, podeszła do komputera i w pół godziny artykuł był gotowy. Pani Parker miała rację. Trener od piłki był wielkim Nigeryjczykiem o nazwisku Wolf i nikt nie rozumiał go tak jak ona. Wymagał, ale dzięki temu ona grała teraz o niebo lepiej. Gdyby jeszcze bardziej się starała, mogłaby ubiegać się o miejsce w kadrze narodowej. Ale współzawodnictwo w ramach uczelni wystarczało jej, bo przynajmniej część wolnego czasu chciała poświęcać myślom o przyszłości. O przyszłym pisaniu do ja-

kiejś gazety w Los Angeles. Tego tylko pragnęła. Może i miała talent sportowy, ale piłka nie była jej pasją. Było nią pisanie. Od zawsze.

Pisanie i wiara w Chrystusa.

Już od najmłodszych lat babcia powtarzała jej:

- Mama i tata bardzo cię kochali, ale nie byli gotowi na to, żeby zostać rodzicami.

Takie słowa brzmiały smutno i pusto, ale babcia dodawała jeszcze wyjaśnienie.

- Bóg zawsze będzie twoim tatą, Emily. Zawsze będzie z tobą, gdziekolwiek będziesz, dokądkolwiek pojedziesz. Nigdy cię nie opuści.

Jej słowa sprawdzały się rok po roku, i teraz Emily uważała Boga za kogoś więcej nawet niż ojca. Uważała go za najlepszego przyjaciela. Był dawcą jej życia, stwórcą jej duszy, jej wybawcą. Dał jej najwspanialszy z darów - radość i miłość, i przebaczenie, kiedy coś zrobiła źle. I pokój. Ale nie mógł tak do końca wypełnić pustki w sercu, w tych zakamarkach, w których codziennie zadawała sobie pytanie: dlaczego? Dlaczego mama i tata odeszli? Dlaczego nigdy po nią nie wrócili? Spotykała młodych ludzi bez rodziców - byli często zbuntowani, źli, zobojeźni. Ale ona nie. Miała cudowne życie. Kochających dziadków, piękny dom, świetlaną przyszłość przed sobą.

Mimo to pustka nie odchodziła.

Czasami zamykała się w sobie i rozmyślała. Szczególnie gdy niebo zakrywały chmury śniegowe, Kalifornia wydawała się nie z tego świata, a jej serce nie potrafiło oderwać się od przeszłości. Jacy są rodzice? Na jakich ludzi wyrosli?

Ponownie skupiła uwagę na ekranie komputera i położyła ręce na klawiaturze. Artykuł był łatwy, wymagał tylko odrobiny zastanowienia. Wolfowi udało się wyrwać z rąk pewnego podziemnego ugrupowania politycznego w Nigerii i dotrzeć do Stanów tylko z tym, co miał na sobie. Przyjęto go na okres próbny do drużyny piłkarskiej w UCLA<sup>3</sup>, a po dwóch latach był już w kadrze narodowej. Wheaton College miał nie lada szczęście, że go zdobył, miała nawet potwierdzającą to wypowiedź prorektora do spraw sportu. Kiedy skończyła tekst, wysłała go do redaktora i rozprostowała nogi. Okres świąt miała spędzić u dziadków, ale spodziewali się jej dopiero po wpół do szóstej. Na razie mogła więc posurfować po Internecie w poszukiwaniu czegoś, co oderwałoby myśli od rozmowy z panią Parker.

I od matki.

Jeden z tytułów donosił o kolejnej fali przemocy w Iraku. Zginęło czterech żołnierzy amerykańskich, kiedy ich samochód wjechał na przydrożną minę, sztykowano transport kolejnych oddziałów. Przebiegła tekst wzrokiem, próbując sobie wyobrazić życie w kraju rozdartym wojną, w miejscu, gdzie bomby, śmierć i przemoc są na porządku dziennym. Bóg jest Bogiem pokoju. Nie rozumiała

<sup>3</sup> University of California Los Angeles - przyp. tłum.



wojny ani tego, dlaczego Ameryka się w nią wplątała. Ale wiedziała jedno: mnóstwo jej znajomych walczy w Afganistanie i w Iraku, całym sercem jest z nimi. Łatwiej jednak było nie zastanawiać się nad tym, nie analizować dlaczego i po co. *Boże, ja naprawdę tego nie rozumiem.*

Wstukała w przeglądarkę kolejny adres w sieci - i już patrzyła na tabelę wyników rozgrywek piłkarskich. Wheaton było na szczycie. Jeśli nikogo nie spotka kontuzja albo jeśli jakaś inna drużyna nie znajdzie się nagle w jakiejś niewytłumaczalnej formie, pozostaną na pierwszym miejscu, Emily była tego pewna. W ciągu minionych paru lat Wolf znakomicie spisywał się jako selekcjoner. Zespół składał się w większości ze starszych zawodniczek. Tylko Emily była z pierwszego roku.

W sali było ciszej niż zwykle. Dwoje studentów pojechało już do domu, trzeci pracował przy jednym ze stanowisk. Emily cmoknęła i wpisała „literacki” i „genetycznie”. Po krótkiej chwili na ekranie pojawiła się lista tysięcy stron internetowych. Na pierwszej z nich padało pytanie: „W jakim stopniu to, kim jesteśmy, zawdzięczamy rodzicom?”. Kliknęła i pojawił się artykuł.

„Pewne rzeczy można wytłumaczyć naukowo, z niektórymi jednak nie sposób to zrobić. Jednym ze zjawisk, którego nie udało się jak dotąd wyjaśnić naukowo, jest fakt, że talent i zainteresowania są często przekazywane z jednego pokolenia na drugie. Na przykład osoba z talentem literackim może mieć dziecko o podobnych uzdolnieniach...”.

Artykuł był suchy i kiepsko napisany, a w dodatku opublikowany maleńkim drukiem bez akapitów. Zamknęła stronę i wpatrzyła się w ekran. Trzeba jechać. Babcia nie znosi, kiedy ona jeździ w śnieżycę, a na wieczór zapowiadają intensywne opady.

Chciała odsunąć krzesło, ale jakoś nie mogła. Ręce machinalnie powróciły na klawiaturę. Sprawdzała co kilka dni, zawsze. Przecież matki nie znikają ot tak. Babcia opowiedziała jej o wszystkim, przynajmniej pobieżnie. Emily leżała chora w szpitalu, a matkę błędnie poinformowano, że jej córka nie żyje. Zapewne przestraszona i zdezorientowana, być może zdruzgotana wieścią o stracie córeczki, matka prawdopodobnie pojechała do Kalifornii, odnaleźć ojca. Mniejsza o to, co nią kierowało, w każdym razie pojechała bez pożegnania. Nie żegnając się z nikim.

Wpisała znany ciąg liter: L-a-u-r-e-n A-n-d-e-r-s-o-n, i kliknęła „Szukaj”. Znów wyświetliła się lista stron internetowych, ale szybkie zlustrowanie pierwszej strony spisu przekonało ją, że nie pojawiło się nic nowego. Liczba stron taka sama jak poprzednio. A każdą z nich już sprawdziła.

Potem wpisała nazwisko ojca: S-h-a-n-e G-a-l-e-n-t-e-r. I to samo - nie pojawiło się nic nowego z tym nazwiskiem.

- Czego szukasz? - pani Parker podeszła do niej od tyłu.

Emily zamknęła spis stron i wyszła z Internetu. Popatrzyła na wykładowniczy szeroko otwartymi oczami.

- Czegoś do kolejnego większego tekstu. Chcę zrobić porównanie kultury i kosztów utrzymania między uczelniami Chicago i Los Angeles.

Pani Parker skinęła głową.

- Brzmi ciekawie. Być może dobrze będzie wyjść z miejscowej perspektywy, użyć konkretnego przykładu.

Spojrzała na zegarek.

- Ale dziś chyba czas już do domu, co? Zaraz zacznie padać. Będę zamykać salę.

Emily wstała i pozbierała swoje rzeczy, zanim jeszcze pani Parker zdążyła wyjść. Nawet nie odetchnęła porządnie, a już siedziała w aucie. Dlaczego tak jej zależy na odszukaniu mamy i taty? Oni dalej wiodą swoje życie i najwyraźniej nie oglądają się wstecz. Powinna pójść w ich ślady. Tylko że...

Skąd w niej tak głębokie pragnienie, żeby opuścić środkowy zachód Stanów i zamieszkać w południowej Kalifornii? Oczywiście zna odpowiedź. Wie, że tamten region ma dla niej coś więcej niż tylko słońce i dobre gazety. To miejsce, o którym zawsze mówili dziadkowie, miejsce, gdzie ich zdaniem mieszkają jej matka i ojciec.

Zaczął padać śnieg, chmury w górze pociemniały i nabrały złowieszczonego wyglądu. Emily nie myślała o tym. Miała przed sobą tylko 20 minut drogi. Niestraszną była jej śnieżycą. To ciekawe, jak bardzo wewnętrzny pokój był częścią jej wychowania. Dziadkowie wytłumaczyli jej dość wcześnie, że życie nie zawsze będzie układać się tak, jak sobie tego zażyczy. A mimo to może mieć wewnętrzny pokój, jeśli zrozumie, że Bóg nad wszystkim czuwa, że troszczy się o nią, niezależnie od tego, co się akurat dzieje.

Dlatego takie dziwne wydawało jej się, gdy - raz na jakiś czas - wracając do domu, zastawała dziadków szepczących coś ukradkiem przy stole. Można było wtedy powiedzieć o nich wszystko, tylko nie to, że emanują spokojem. Zdarzyło się to znów jakiś tydzień wcześniej. Widząc ją na progu, nagle urwali rozmowę. Ale zapamiętała, jak dziwnie się wtedy zachowywali.

- Emily - babcia wstała, podeszła do niej i przytuliła ją. - Nie wiedzieliśmy, że tak wcześnie wrócisz.

- Dziennikarstwo wcześniej się skończyło - cofnęła się i położyła torbę i książki na stole. - Przeszkodziłam wam?

- N i e .

Dziadek wciąż odnosił sukcesy w biznesie. Mimo że zbliżał się do sześćdziesiątki, ubierał się stylowo i w całym Wheaton słynął ze swojej władzy i wpływów. Przy niej zawsze jednak pokazywał łagodną stronę swojej natury. Wyciągnął rękę - podeszła i chwyciła ją. Pochyliła się i ucałowała go w policzek.

- Tak tu cicho - uśmiechnęła się nieśmiało. - Na pewno nie rozmawialiście o czymś ważnym?

Przez ułamek sekundy dziadkowie spojrzeli na siebie, jakby chcieli uzgodnić, czy wtajemniczyć ją w szczegóły sprawy. Ale dziadek tylko chrząknął i lekko uderzył dłonią o stół.

- Obiad. O tym rozmawialiśmy. Co też upitrasie dla naszej studentki goszczącej w domu na weekend.

Nie dawała się nabrać na te wyjaśnienia. Nigdy. Mogła tylko zgadywać, że rozmawiali o tym, o czym nigdy nie wspominali w jej obecności: o poszukiwaniach córki, czyli jej matki. Wiedziała, że nadal jej szukają. Co jakiś czas przynosząc pocztę do domu, znajdowała rachunek od prywatnego detektywa albo odpowiedź od jakiegoś kongresmena z Kalifornii. Ale jedyne ich rozmowy o matce Emily kręciły się wokół szczęśliwszych dni jej dzieciństwa.

- Twoja mama kolorowała tak samo, używała 18 odcieni zieleni do jednego drzewa - powiedziała jej w dzieciństwie babcia.

A gdy była nieco starsza, słyszała:

- Twoja mama miała taki rower, jaskrawoczerwony, z chorągiewkami przy kierownicy.

Z tego, co udało jej się ustalić, dziadkowie byli blisko ze swoją córką. Dlatego nie mogła pojąć, jak matka mogła odejść wkrótce po jej urodzeniu. W tej układance zawsze brakowało tylu klocków. Przez te wszystkie lata zadawała dziadkom pytania, kiedy czuła, że chce lepiej zrozumieć przeszłość.

Oczywiście czasami zostawała ze swoją samotnością całkiem sama. Ileż to razy uśmiechała się do dziadków, gdy przychodzili ucałować ją na dobranoc i pomodlić się wspólnie. Ale ledwie wyszli, przewracała się na bok i wpatrywała w drzwi, marząc, że stanie w nich mama. W głowie miała obraz, jak matka by wyglądała - oczu rozświetlonych na widok Emily, czułego uśmiechu. Czasem wyobraźnia była tak żywa, że wydawało jej się, jakby matka naprawdę weszła do pokoju, usiadła na skraju łóżka i gładziła ją po głowie.

- Kocham cię, Emily. Zawsze cię kochałam - mówiła.

Ale gdy wyobraźnia na chwilę milkła, obraz od razu zniknął.

Były też inne przypadki - kiedy chodziła z dziadkami po parku i widywała młode małżeństwa na spacerze z dziećmi. Wtedy przez moment wyobrażała sobie, że takie małżeństwo to jej rodzice. Wyobrażała sobie, jak by to było - podbiec do nich, złapać za ręce, przytulić się.

- Emily - powiedziałyby może ojciec - całe życie cię szukaliśmy. Nareszcie jesteś z nami.

Im była starsza, tym mniej udawała w ten sposób, wciąż jednak miała w głowie ten obraz, obraz tego, jak mogliby teraz wyglądać jej rodzice. Czasami zmagła się z czymś, w czym mogliby jej pomóc tylko mama albo ojciec. W takie dni tylko czekała, aż nadejdzie pora snu, i prowadziła z nimi w łóżku ciche jednostronne rozmowy. Zazwyczaj ten cichy szept zmieniał się w końcu w modlitwę, prośby do Boga, błagania, żeby przyprowadził ich z powrotem, żeby mogli się połączyć.

- Wiem, że mama była młoda - odezwała się raz do dziadków 17-letnia wówczas Emily. - Ale dlaczego nie upewniła się, czy na pewno nie żyje? Chciała odnaleźć tatę, tak?

- T a k .

Babcia składała akurat pranie. Położyła ręcznik na tapczanie obok siebie i zerknęła na Emily.

- Ale kochanie, nie myśl sobie, że ona mogła mieć jakieś wątpliwości. Jestem pewna, że była przekonana, że nie żyjesz.

- Mhm - Emily założyła ręce na piersiach, tłumiacząc ból w środku. - Ale czy nie powinna była zostać, tak na wszelki wypadek? Na wypadek gdybym jednak jeszcze żyła?

- Nie wiem - babcia wyglądała na smutną i zmęczoną. - Strasznie chciała odnaleźć twego ojca. Chciała tego bardziej niż czegokolwiek.

- Czegokolwiek? - ta odpowiedź była jak sztylet przeszywający jej duszę.  
- Nawet mnie?

Babcia wyciągnęła rękę i delikatnie złapała ją za rękę.

- Nie, skarbie, nie ciebie. Ona chciała ciebie mieć. Dlatego jestem pewna, że ktoś ją wprowadził w błąd.

Emily zastanawiała się chwilę.

- No to... może powinniśmy jechać do Kalifornii i szukać jej.

- Próbowaliśmy - babcia uśmiechnęła się, ale jej oczy pozostały smutne.

- Uwierz mi, Emily, zrobiliśmy wszystko, co tylko przyszło nam do głowy. Twoją mamę znajdziemy już chyba tylko wtedy, jeśli Bóg sprawi jakiś cud.

Teraz Emily patrzyła na drogę przed sobą. Śnieg padał coraz gęściej. Tylko trzy kilometry dzieliły ją od domu. Wyśpi się we własnym łóżku, kilka wieczorów spędzi z dziadkami na oglądaniu filmów. Nie miała chłopaka, a większość jej przyjaciół spędzała przerwę świąteczną w rodzinnych domach. Emily cieszyła się na nadchodzące dni. Biorąc pod uwagę codzienne treningi piłkarskie, pierwszy semestr na studiach okazał się cięższy, niż się spodziewała, i nie miała okazji spędzać zbyt wiele czasu z dziadkami.

Zjechała z autostrady w kierunku domu i znów pomyślała o tym, co babcia powiedziała jej dwa lata temu. Musiałby stać się cud. No i dobrze. Mocniej ścisnęła kierownicę. Jeśli musi stać się cud, to ona będzie modlić się o ten cud. Bo ostatnio nie było ani jednego dnia bez rozmyślań o mamie i tacie i o ich losach. Czy mama go odnalazła? A jeśli tak, czy się pobrali i założyli rodzinę? Może ma jakieś rodzeństwo tam na zachodzie? A jeśli mama i tata nie odnaleźli się, to czy są szczęśliwi?

I w końcu przychodził moment na tę najokrutniejszą prawdę. Na prawdę, która mogła rozsądzić wszystko, co napawało ją pokojem w życiu, w wierze, w myślach o przyszłości. Prawdę, na myśl o której zawsze szczypały ją oczy. Jeśli babcia ma rację, to nie ma sensu zastanawiać się, kiedy matka wróci ani jak żyje.

Jeśli matka myśli, że ona umarła, to prawda jest do bólu oczywista.

Ona nie wróci. Nigdy.

## Rozdział 13

Angela wyczekiwała tego dnia od samego początku semestru. Przystroiła dom i otworzyła pudła z dekoracjami, żeby móc wieszać je od razu na drzewku. Czerwony filcowy kalendarz adwentowy<sup>4</sup> wisiał na ścianie, wszystkie ręcznie szyte ozdoby leżały przygotowane do powieszenia na nim, nawet te, które powinny już zostać ściągnięte.

Te święta miały być wyjątkowe. Szczególne i smutne, z przyczyn, których nie chcieli zdradzać Emily. Jeszcze nie teraz. To zepsułoby całą radość, Angela tego nie chciała. Pragnęła jeszcze jednego, ostatniego Bożego Narodzenia obchodzonego w ten szczególny sposób, w jaki robili to co roku, odkąd Emily była mała. Bill włożył do odtwarzacza swoją ulubioną płytę Mitcha Millera<sup>5</sup>, na piecu pykał gorący cynamonowy cydr jabłkowy\*. Później będzie dość czasu na smutne obwieszczenia i zmiany

<sup>4</sup> Kalendarz adwentowy - zwyczaj praktykowany m.in. w krajach anglosaskich i skandynawskich. Ozdobnie wykonany kalendarz na grudzień, z każdą datą z osobną przesłoniętą i odsłanianą danego dnia (przyp. tłum.).

<sup>5</sup> Mitch Miller - amerykański kompozytor, piosenkarz i producent nagrań, jego przeboje były popularne szczególnie w latach 50. i 60. (przyp. tłum.).

\* Cydr jabłkowy, jabłecznik (ang. *apple cider*) - napój, powstający z wyciskania jabłek, najczęściej wczesnych, kwaśniejszych. W odróżnieniu od soku nieklarowny, zawierający drobiny miąższu - nieco jak polski nektar. W krajach anglosaskich pija się go po podgrzaniu zwykle w okresie jesiennych i zimowych świąt (przyp. tłum.).

Teraz brakowało jeszcze tylko Emily.

Usłyszała, że otwierają się drzwi, i w domu rozległ się radosny głos wnuczki. Jej wspaniałej, cudownej wnuczki.

- Cześć! Jestem!

- Emily! - Angela ostatnim gestem przygładziła łańcuch i pobiegła do drzwi. Ledwie zakreśliła za róg, wnuczka wpadła jej wprost w objęcia, wołając:

- Jak dobrze być w domu! - objęła Angelę i ucałowała ją w policzek. - Mam już wszystkie zaliczenia - cofnęła się o krok i uśmiechnęła się szeroko - a nawet skończyłam artykuł o trenerze piłkarskim.

Angela wzięła Emily pod rękę i zaprowadziła ją do kuchni.

- No jak ci wszystko poszło?

- Dobrze. Wydaje mi się - uniosła brwi - że pierwszy semestr jest zawsze trochę ciężki, ale moje oceny chyba będą niezgorsze. Głównie A i B<sup>7</sup>. No - skrzywiła się - może z biologii i algebry C.

- No to nieźle - uśmiechnęła się Angela. - Skoro zajmujesz się sportem i pracą w uczelnianej gazecie, to trudno uniknąć kilku C. Pierwszy semestr w liceum też był ciężki, pamiętasz?

- Czy pamiętam?! - zatoczyła oczami. Usiadła na jednym z krzeseł barowych i oparła łokcie o blat. - W IX klasie myślałam, że w ogóle nie dam rady ukończyć tej szkoły!

- No, niejeden nauczyciel był zaskoczony, że ukończyłaś z wyróżnieniem - zaśmiała się Angela, sięgając do kredensu i wyciągając trzy kubki. - Ale nie my, skarbuniu. Myśmy wiedzieli od początku, że dasz radę.

Emily rozejrzała się.

- Gdzie dziadek?

- Na górce - Angela starała się wyglądać, jak gdyby nigdy nic. - Trochę jest przemęczony ostatnio. Chciał się przespać przed kolacją.

Wręczyła Emily kubek z cydrem jabłkowym.

- Trzymaj. Uważaj, bo gorące.

- Dzięki - chwyciła w obie dłonie i wdychała aromat. - Cudowne.

Jej wzrok powędrował do sąsiedniego salonu, który Angela prawie zdażyła już udekorować. - Ledwie przestąpiłam próg, a już czuję, że są święta.

Łyknęła jabłecznika.

- Dziadek dobrze się czuje?

- Zaraz mu się polepszy. Ach, przypomniałam sobie! - Angela czuła, jak pojaśniały jej oczy. - Wziął sobie dwa tygodnie wolnego. Nigdy tego jeszcze nie robił w święta.

- Dwa tygodnie? - Emily odstawiła kubek. - To wspaniale!

<sup>7</sup> A, B - kolejno najlepsze stopnie w amerykańskiej skali ocen szkolnych.

- No pewnie. Zarząd stwierdził, że powinien w końcu trochę odpocząć - potrząsnęła głową. - Ma wolne aż do Nowego Roku.

Nie dodała, że pobyt w domu może się przedłużyć. Na to też przyjdzie czas później.

Popijały wspólnie, nucąc razem z Mitchem Millerem, rozmowa z wolnioną tempo. Angela zerknęła do pieca na pieczeń i ziemniaki w środku.

- Kolacja będzie za pół godziny.

- Cudnie - Emily wysączyła resztkę jabłecznika. - Pójdę się trochę odświeżyć. Zaraz wracam - uśmiechnęła się na koniec i lekkim krokiem skręciła za róg do przejścia. Zostawiła za sobą szlak ze swoich rzeczy - wełnianą torbę, plecak, torebkę. Cała Emily. Kochająca i życzliwa, ale niekoniecznie pedantka. Całkiem jak Lauren, kiedy...

Nie. Angela obiecała sobie, że w to Boże Narodzenie - kiedy już wie o Billu - nie będzie spędzała długich godzin na myśleniu o Lauren. Więcej po prostu już nie zniesie. Mimo to... kiedy Emily była w domu, nie sposób było nie myśleć o córce, którą straciła, tej, która zawsze towarzyszyła jej niczym smutna myśl.

Zajrzała do zmywarki. Naczynia czyste. Czas je wyjąć. Ustawiła na miejscu rząd szklanek i znów myśli zaczęły wędrować. Jakże inaczej układały się jej stosunki z Emily w porównaniu z okresem, gdy wychowywała Lauren. Z Lauren wszystko musiało być idealnie. „A z minusem” z algebry oznaczało krótki wykład na temat konieczności poprawiania stopni i starań o jak najlepsze oceny. Parę rozrzuconych rzeczy na podłodze w jej pokoju skutkowało ograniczeniem jej praw do telefonowania przez cały następny tydzień.

Sposób, w jaki traktowała Lauren, był małostkowy i głupi, a wszystko przez dbałość o pozory. I rzeczywiście wyglądali jak idealna rodzina. Ładny dom, prestiżowe stanowisko w pracy, dobrze ułożona, inteligentna, odnosząca sukcesy córka. Dokładnie tak, jak ona i Bill zawsze wyobrażali sobie swoje życie. Ale wszystkie plany wzięty w łeb, gdy stracili Lauren.

Z Emily wszystko wyglądało inaczej.

Ona i Bill modlili się razem z wnuczką i zabierali ją do kościoła. Rozmawiali, spacerowali po swojej dzielnicy w Wheaton, śmiali się ze starych filmów. Kiedy Lauren raz wyznała, że interesuje ją taniec, Angela i Bill od razu zapisali ją na cztery różne zajęcia.

- Jest dobra, ma naturalne poczucie rytmu - powiedział Bill po pierwszej lekcji. - Trzeba do tego podejść poważnie, pomóc jej dojść na sam szczyt. Ma szanse zostać primabaleriną.

Lauren miała wtedy pięć lat.

Kiedy okazało się, że Emily interesuje się piłką nożną, Angela i Bill zapisali ją na zajęcia, kupili różową piłkę i kibicowali podczas meczów. Bez względu na wynik meczu zabierali ją potem na obiad i nie rozmawiali o sporcie aż do kolejnego treningu.

Z czasem Emily pokochała ten sport tak bardzo, jak Lauren nigdy nie kochała ani tańca, ani fortepianu, ani klubu dyskusyjnego - zajęć, do których ją przymuszali.

Angela skończyła pić i wstawiła kubek do zmywarki. Ich podejście do Emily różniło się także pod innymi względami. Rozumieli już, jak ulotne może być życie. Nigdy wcześniej nie wyobrażali sobie, że będą musieli przeżyć 19 lat nie widząc Lauren. Gdyby Emily przyszła do domu z włosami ufarbowanymi na zielono albo z kolczykiem w brwi, albo deklarując chęć spróbowania narkotyków, albo w ciąży z chłopakiem, którego kocha nad życie, Angela i Bill już nie odważyliby się ustawiać jej życia tak, jak to zrobili z Lauren. Staliby po jej stronie dopóty, dopóki miłość nie sprowadziłaby jej z powrotem na właściwą drogę.

Angela potrząsnęła głową. Cóż za ironia! Błędy popełnione wobec Lauren nauczyły ich, jak być prawdziwymi rodzicami. Dzięki tej nauce teraz Emily mogła cieszyć się naprawdę udanym życiem. Córeczka Lauren miała głęboką wiarę i głęboką miłość do Boga oraz do Billa i do niej. Najgorsze, na co było ją stać, to zbyt długa rozmowa telefoniczna raz na jakiś czas w trakcie roku szkolnego.

Angela westchnęła. Przyszłość Emily wydaje się świetlana. Może zostać piosenką - jedną z najlepszych - i pójdzie w świat jako osoba radosna, piękna i pewna siebie. Lauren byłaby z niej taka dumna.

Usłyszała, jak Emily zbiega ze schodów.

- Nie ma treningów przez dwa tygodnie! Ale świetnie, nie?

- A nie jeszcze dłużej, co? Przecież już po sezonie.

Płyta się skończyła, Angela weszła więc do salonu dużego pokoju i włączyła *Alabama's Christmas*, kolejną ulubioną płytę Billa.

- Na uczelniach jest trochę inaczej - Emily naburmuszyła się trochę. - Zraz znowu będziemy pracować nad kondycją, rozgrywki zaczną się, jak tylko śnieg na boisku trochę stopnieje. A do tego czasu będziemy na siłowni.

Muzyka zaczęła grać, wypełniając dom łagodnymi dźwiękami Bożego Narodzenia, takiego Bożego Narodzenia, jakie obchodzili i świętowali od czasu przeprowadzki do Wheaton.

- Co powiesz na to, żeby jutro pojechać po drzewko?

- Na farmę? - w głosie Emily było podniecenie zarezerwowane dla tego okresu w roku. Ale gdy wróciła do kuchennego blatu i usiadła z powrotem na wysokim krześle, wyglądała na nieobecnych myślami.

- Jak zawsze - Angela poszła za nią i usiadła obok. - Deszcz, śnieg czy słońce. Znasz dziadka.

- Najbardziej lubię ścinanie - podniosła dłonie do twarzy. - Potem zawsze przez tydzień ręce pachną żywicą.

- A wiesz, co ja lubię?

- Co? - Emily uchwyciła się poręczki krzesła i machała nogami.



- Patrząc, jak razem z dziadkiem wybieracie choinkę. Mamy niekwestionowane dwunastoletnie doświadczenie w szybkim wynajdowaniu absolutnie najciekawszych drzewek w okolicy.

Emily zachichotała.

- Najciekawszych?

- A jak - Angela roześmiała się głośno. - Pamiętasz w zeszłym roku? Chciałaś, żeby choinka była do sufitu, ale te najwyższe miały łyse czubki.

- No tak - odchyliła głowę, wodząc wzrokiem tu i tam. - Bo choinka nie musi być idealna.

- Nie musi - uśmiechnęła się Angela. Ludzie też nie muszą. To kolejna rzecz, której uczyła się po raz drugi.

Przestały się śmiać, a Emily w typowy dla siebie sposób lekko bębniła palcami po blacie. Był to znak, że ma ochotę porozmawiać o czymś poważnym. Angela czekała.

W końcu Emily wzięła głęboki oddech i spotkały się wzrokiem.

- Babciu, czy możemy porozmawiać o mamie? Chcę się czegoś więcej o niej dowiedzieć.

Angela spróbowała się opanować. Emily zadawała już wcześniej takie pytania i zawsze zadowalały ją ogólnikowe odpowiedzi. Ale Angela wiedziała, że pewnego dnia Emily zażąda więcej.

Położyła dłoń na ręce wnuczki.

- Co chciałaś wiedzieć?

- No... - Emily zmrużyła oczy, jak gdyby chciała wybrać najważniejsze pytania. - Szukaliście jej, prawda?

- Tak - Angela poczuła ciężar w sercu. Ileż to było godzin, rozmów, telefonów? W miarę rozwoju technologii zaczęli wykorzystywać Internet, czasami codziennie. - Tak, szukaliśmy.

- No dobrze, ale jak ona mogła tak zniknąć? Rozumiem, myślała, że umarłam, no ale co? Tak o, wyjechała z miasta?

- Na to wygląda - Angela z trudem panowała nad uczuciami. Emily potrzebuje jej spokoju, nie można się poddać dziewiętnastu latom smutku. - Była wyczerpana i przerażona. Obie właśnie wróciłyście z wyprawy przez połowę kraju, a ty byłaś naprawdę bardzo chora.

Emily wyglądała tak, jakby próbowała wyobrazić sobie, co czuła jej matka, wystraszona i zmęczona, a na koniec przekonana o śmierci swojego dziecka.

- Ale myślicie, że pojechała do Kalifornii, tak?

- Mamy różne teorie - wciąż trzymała dłoń na dłoni Emily. Teraz lekko ją ścisnęła. - Mogła na przykład w ogóle nie dotrzeć do Kalifornii.

Emily skinęła głową.

- Też o tym myślałam. Mogła zginąć.

- Tak. Mogła też zmienić nazwisko. Jeśli tak się stało, to moglibyśmy szukać bez końca i nigdy nie znaleźć. Czuję w sercu, że ona żyje, że gdzieś jest.

- Ja też - Emily wyglądała przez okno w kuchni.

Jej profil bardzo przypominał Shane'a, był odbiciem jego uderzająco greckich rysów. To i oczy takie jak oczy Lauren były dla Angeli nieustannym przypomnieniem dzieci, które utracili.

- Zastanawiałam się dziś, czy udało jej się znaleźć tatę i czy są razem, czy nie.

Angela wątpiła w to.

- Niewykluczone.

- Więc ostatni raz widziałaś ją wtedy w szpitalu, tak? Kiedy byłam chora?

- Tak, skarbie. Ona była tym wszystkim przytłoczona.

- Tak sobie dziś myślałam - Emily znów na nią spojrzała - czy ona nie była czasem pisarką.

- Już o tym rozmawialiśmy.

- Ale chciałabym wiedzieć na pewno.

- Poczekaj no - Angela wyprostowała się. - Coś mi się przypomniało.

Kilka dni wcześniej Bill znalazł w magazynku w garażu pudło z rzeczami Lauren. Dotąd byli pewni, że Lauren zabrała ze sobą wszystkie swoje rzeczy. Ale ponieważ przeprowadzili się do Wheaton tuż przed narodzinami Emily, pudło Lauren najwyraźniej zawieruszyło się wśród kilkunastu innych w jakimś zamkniętym, który przeznaczili na stare dokumenty i rachunki. Bill sprzątał tam akurat, kiedy znalazł je i zawołał:

- Angela, chodź no tu szybko.

Pobiegła do garażu i stanęła przy nim.

- Co takiego?

- Popatrz.

Stał przy dużym kartonowym pudle z imieniem „Lauren” nagryzmołonym z boku. Widok pisma ich córki sprawił im i radość, i ból. Podnieśli pokrywkę pudełka i ujrzeli stare klasowe książki pamiątkowe, albumy ze zdjęciami i pamiątki. Wszystko, co kiedyś budziło w Lauren jakiś sentyment. Spojrzała na Billa.

- Myślałam... byłam pewna, że to ze sobą zabrała.

- Pomyśl tylko, ile by mogli zdziałać prywatni detektywi, gdyby mieli to do dyspozycji wtedy, gdy odeszła.

Wnieśli pudło do domu i zabrali do dawnego pokoju Lauren. Teraz było tam domowe biuro, bezosobowe pomieszczenie z wersalką pod jedną ze ścian. Jedy- nym śladem po Lauren była jej fotografia, stojąca na biurku. Tego popołudnia wyjęli całą zawartość kartonu i zaczęli ją przeglądać. W połowie jednak zatrzy- mali się i spakowali wszystko z powrotem.

- Nie mogę tego robić bez Emily - powiedział Bill. - Nie ma tu nic, co by mogło nam pomóc w tej chwili ją odnaleźć.

Przytknął palce do oczu.

- Emily powinna zobaczyć to jako pierwsza.

Angela zgodziła się, choć jej zdaniem niechęć Billa do przeglądania zawartości pudła wynikała raczej z tego, że byłoby to zajęcie zbyt bolesne. Ale ponieważ Emily miała przyjechać do domu na święta, zgodzili się, że poczekają. Również i z tego powodu Angela nie mogła doczekać się świąt. Jednak w wirze emocji związanych z przyjazdem Emily i wspólnie spędzonym czasem zupełnie zapomniała o wielkim kartonie. Aż do tej chwili.

- Co takiego, babciu?

Angela zsunęła się z krzesła barowego i skinęła na nią.

- Chodź.

Wyszły na korytarz i Angela wskazała na pudło stojące w kącie.

- Znaleźliśmy to parę dni temu - podeszła bliżej i położyła dłoń na krawędzi kartonu. - Wszystko, co tu jest, należało do twojej mamy. Nie jestem pewna, czy w tej chwili może nam to pomóc jej szukać. Ale... pomyśleliśmy, że dzięki temu trochę lepiej ją poznasz.

Emily patrzyła na pudło wielkimi, znieruchomiałymi oczami. A kiedy już podniosła wzrok, na jej policzkach lśniły łzy.

- Czy... wiecie, co jest w środku?

- Trochę - Angela objęła Emily jedną ręką. - Szkolne książki pamiątkowe, albumy ze zdjęciami, pamiętniki. Takie rzeczy. Wszystko, co było ważne dla mamy.

Na samym wierzchu leżała fotografia w ramce, Emily sięgnęła po nią. Przedstawiała Lauren i Shane'a, a była zrobiona przed uroczystym balem w pierwszej klasie liceum.

Emily widziała już zdjęcia rodziców, ale nie zrobione przez zawodowego fotografa. Uniosła zdjęcie, przyglądając mu się.

- Spójrz na ich oczy.

Angela zabrała rękę z ramion Emily i nachyliła się, przyglądając się ich twarzom. I zobaczyła, wyraźniej niż kiedykolwiek, gdy oboje byli jeszcze obecni w jej życiu.

- Tak. Widzę.

- Babciu, oni tak się kochali - przycisnęła zdjęcie do piersi. Jej oczy były wilgotne, ale twarz wciąż rozświetlał uśmiech. - Jak dobrze wiedzieć, że się kochali.

Angelę ogarnął żal, ściskając w piersi i utrudniając oddech. Dlaczego nie dostrzegła tej głębi ich wzajemnego uczucia wtedy, gdy Lauren i Shane tak bardzo chcieli być razem? Jakże inaczej potoczyłoby się ich życie, gdyby wtedy zwróciła na to uwagę. Przełknęła smutek i uśmiechnęła się słabo do Emily.

- Dlatego chcieliśmy, żebyś miała te rzeczy, żebyś je przejrzała, kiedy przyjedziesz.

Angela pociągnęła nosem. Widok Emily tulącej zdjęcie od razu ożywił w niej wspomnienie Lauren tulącej maleńką Emily. Wspomnienie uleciało równie prędko, jak się pojawiło, ale smutek pozostał. Angela przeczuwała, że nie wszystko, co Emily znajdzie w kartonie, uszczęśliwi ją i uspokoi. Mimo to miała prawo to obejrzeć.

Usłyszały, jak w głębi domu Bill wstaje z łóżka i wchodzi do łazienki.

- Kolacja będzie gotowa za kilka minut.

Angela spojrzała na pudło.

- Dziadek ci pomoże wnieść je do twojego pokoju. Możesz przejrzeć je potem.

Emily przygryzła wargi.

- Nie mogę czekać - przyciskała zdjęcie do serca. - Babciu, mogę cię jeszcze o coś spytać?

- Tak, skarbuniu. O co tylko chcesz.

- Rodzice nie mieli Boga w sercu, prawda? Ani Boga, ani pokoju? - patrzyła na zdjęcie już dość długo, żeby to dostrzec.

Angela znów poczuła żal, równie przejmujący jak w tych dniach i tygodniach, gdy Lauren odeszła.

- Nie, Em. Nie mieli.

- Myślisz, że teraz mają?

Angela co roku zadawała sobie to pytanie setki razy. Czy Lauren jest szczęśliwa, czy ma pokój w sobie, czy znalazła tę wiarę, której zabrakło w jej dzieciństwie? Smutne westchnienie wyrwało się z najgłębszych zakamarków jej duszy. Potrząsnęła głową.

- Nie sądzę, skarbie.

Emily znów spojrzała na zdjęcie.

- To przeze mnie, prawda? Zaszła w ciążę i wszystko się posypało.

Mięśnie dolnej części twarzy Angeli poruszyły się. Emily ma rację, bardziej niż zdaje sobie sprawę. Nie da się ukryć.

- Wtedy odebraliśmy to jako tragedię. Rozumiesz dlaczego, prawda?

- T a k .

Emily podniosła wzrok, nadszpiewanie dojrzały jak na jej 18 lat. Zaciśnięta usta, a oczy znów powędrowały ku twarzom rodziców. - Ale skoro moje rodziny ich rozdzieliły, to może tylko ja mogę z powrotem ich połączyć.

- Hmm... - Angela chciała przestrzec ją, żeby sobie wiele nie obiecywała. Skoro w odnalezieniu Lauren nie pomogły dwie dekady wysiłków podejmowanych przez prywatnych detektywów i wysokich urzędników, to jak Emily mogłaby odnaleźć którekolwiek z nich? Mimo to Angela powoli skinęła głową i objęła dłonią twarz Emily - Ja się modłę o cud, Emily. Ty też. Na pewno warto.

Emily odstawiła zdjęcie na biurko i obydwie przywitały Billa w korytarzu.

- Dziadziu! Ale miło cię widzieć! - Emily zarzuciła mu ramiona na szyję i mocno przytuliła. - Tak za tobą tęskniłam!

Angełę ścisnęło w gardle. Wiedziała, co czuje Bill i jak wyjątkowe będą dla niego te święta z Emily. Ale to nie był czas na smutek. Bill pogłaskał Emily po głowie i zmierzył ją wzrokiem z góry na dół.

- Ten twój trener piłkarski zrobił z ciebie skórę i kości.

- E tam, nie jest tak źle - wzięła go pod ramię i we trójkę poszli do kuchni, szykować kolację. Kiedy zasiedli przy stole, Emily pomodliła się na głos:

- Jezu, przyprowadziłeś mnie do domu na te święta z jakiegoś powodu. Mam co do tego mocne przekonanie - ścisnęła dłonie obojga dziadków. - Dziękuję, że pozwoliłeś dziadziowi znaleźć pudło z rzeczami mamy. Modłę się o to, żebyśmy znaleźli tam w środku jakiś cud - jej głos był wyraźny i tak przejmujący jak letni zachód słońca. - Żebyśmy mogła spotkać się z mamą i tatą i pomóc im znaleźć ten pokój, którego być może nie ma w ich życiu. Proszę w imię Jezusa. Amen.

Kiedy Emily skończyła się modlić, w sercu Angeli stało się coś przedziwnego. Poczowała nagły przypływ nadziei, takiej, jakiej nie odczuwała nigdy od chwili zniknięcia Lauren. Tak jakby Bóg chciał powiedzieć jej coś bardzo ważnego. Że naprawdę są o krok od cudu.

A Emily miała mieć z tym bardzo wiele wspólnego.

## *Rozdział 14*

Wojna nie robi sobie wolnego na święta. Było to już trzecie Boże Narodzenie Lauren Gibbs na ogarniętych wojną terenach Afganistanu i Iraku, a mimo to wciąż nie mogła się temu nadziwić. Walczące strony rozkładały przydrożne miny, przypuszczały ataki z powietrza i napaści na siedziby dowódców przez cały 25 grudnia. Jak gdyby narodziny Chrystusa nie miały żadnego znaczenia.

Nie żeby miały one jakieś znaczenie osobiście dla niej. Narodziny Chrystusa nie znaczyły dla niej zupełnie nic. Pozostały jeszcze cztery dni do świąt, a nie odczuwała niczego szczególnego - żadnej magii, radości czy pragnienia cudownej atmosfery pod udekorowaną choinką.

Miała wspomnienia. I to wystarczało.

Jako korespondentka magazynu „Time”, miała obowiązek być w tej chwili w Afganistanie. Jej zadanie było złożone. Przede wszystkim miała relacjonować kierunki obierane przez wojnę, zanim jeszcze dostrzeże je konkurencja. Poza tym miała oko na sytuacje z codziennego życia, obrazy malowane słowami, migawki z życia w kraju rozdartym wojną. Do jej zadań należało też pisanie dużych reportaży oraz prognoz co do możliwości wywieszenia białych flag i powrotu amerykańskich wojsk do domu.

Praca była dla niej wszystkim. Miała 36 lat, była niezamężna i bez zobowiązań. Na Środkowym Wschodzie żyło jej się wygodnie, w mieszkaniu na siódmym piętrze budynku stojącego niedaleko granicy, gdzie zatrzymały się dziesiątki in-

nych dziennikarzy. Kilkoro spędziło tam już kilka ładnych lat, tak jak ona. W Stanach bywała tak rzadko, że w końcu rok temu postanowiła sprzedać swój domek letniskowy. Teraz musiała być tu. Było to prawie jak powołanie.

- Ej, Gibbs. Poczekaj no.

Odwrociła się i zobaczyła idącego w jej stronę Jeffa Scanlona, fotoreportera z „Time”. W ciągu minionych trzech lat spędzili ze sobą więcej czasu niż niejedno małżeństwo. Ale nieczęsto pozwalali sobie na przekraczanie granic przyjaźni. A Scanlonowi zależało na niej. Piekielnie przystojny, w młodości mógł mieć każdą dziewczynę, jaką zechciał. Teraz, z czterdziestką na karku, wydawał się zainteresowany tylko jej towarzystwem.

Nie przeszkadzało jej to. Był dobrym kumplem i podzielał jej przekonanie o pokoju za wszelką cenę. Ale nie chciała bliższego związku, jeśli miałyby to prowadzić do odsłonięcia warstw, które całe życie starała się skrywać. Warstw, które wydawały się własnością kogoś zupełnie innego.

- Cześć - uśmiechnęła się. Dzień był piękny, czyste błękitne niebo, temperatura 27 stopni. Mogłoby się wydawać, że to Los Angeles, gdyby nie ruiny budynków i głodujący ludzie leżący wzdłuż wąskich uliczek. - Chcę dziś jechać do tego sierocińca. 15 kilometrów stąd.

Szli w stronę apartamentowca. Scanlon też miał tam mieszkanie.

- Może wyszedłby mi z tego fotoreportaż.

- Świetna myśl - szła szybkim krokiem, tak jak lubiła. - A ja napiszę coś trochę dłuższego niż zwykle.

- Tak to zawsze jest, kiedy w grę wchodzi dzieci - podciągnął na ramieniu torbę z aparatem i uśmiechnął się do niej półgębkiem. - Zwróciłaś uwagę?

Zawahała się chwilę.

- No tak. Pewnie tak.

Doszli do budynku. Przy bramie przykucnęła mizernie wyglądająca kobieta. Koło niej stała trójka dzieci, o wychudłych rękach i nogach. Kobieta nie odezwała się ani słowem, tylko wyciągnęła wyszczerbioną glinianą miskę.

Lauren zatrzymała się i przetrząsała portfel. Wysypała garść monet i wrzuciła je do naczynia. Scanlon stał i patrzył, jak pochyla się nad każdym z dzieci i delikatnie dotyka ich czoła. Była wśród nich dziewczynka, a jej oczy sprawiły, że Lauren nagle zabrakło tchu. Było w nich coś, co nieomal...

Nie, nie podejdzie do niej. Nie teraz. Nie kiedy Scanlon stoi obok. Zamrugowała powiekami i skierowała wzrok na ich matkę. W języku, który stawał się jej teraz bliższy niż angielski, odezwała się:

- Chcę pokoju, tak jak i wy. Mogę wam kupić jedzenie?

Kobieta szeroko otworzyła oczy. Nigdy przedtem nie była przy budynku dziennikarzy. Większość ludzi żyjących na ulicy bywała tu regularnie i wiedziała, że Lauren pomaga. Kobieta otoczyła ramionami gromadkę swych dzieci, jakby chciała je chronić, i utkwiała wzrok w Lauren:

- Tak - mówiła ze wstydem i niedowierzaniem, typowym dla Afgańczyków. Lata ucisku sprawiły, że większość kobiet w ogóle bała się odzywać, a do obcych Amerykanów w szczególności. Uniosła nieco głowę. - Nie śmiałabym nawet o to prosić.

- To żaden problem.

Lauren kiwnęła głową do Scalona.

- Jest jeszcze wcześniej. Spotkajmy się tu za pół godziny.

- Dobrze.

Razem weszli do środka. Kawiarenka na parterze była już czynna, bo zachodni dziennikarze non stop przechodzili obok. Przy wejściu do niej Scanlon pomachał ręką.

- Będę czekał tu.

Lauren skinęła głową i zwróciła się do młodej dziewczyny za ladą. Obsługa szła jej powoli, mimo to Lauren zapłaciła w końcu za cztery miski ryżu i cztery soki i wręczyła wszystko matce dzieci. Ważne było to, żeby to matka dawała swoim dzieciom jeść. Był to jakiś skromny sposób zwrócenia jej choć w części jej godności.

- Dziękuję - kobieta miała łzy w oczach. - Wszystkim Amerykanom dziękuję.

Lauren uśmiechnęła się, ale zacisnęła zęby. Nie wszystkim Amerykanom. Byli tacy Amerykanie, którzy wciąż wierzyli, że walcząc w Afganistanie i Iraku robią wszystkim łaskę. Ale jeśli prezydent miał kiedykolwiek jakiś mizerny powód, żeby wdać się w tę wojnę, to już dawno stracił on aktualność. Nadszedł czas zakończyć wojnę, a przysłać pomoc humanitarną. Gdyby to od niej zależało, pokój w tej części świata nastąpiłby od razu. Tylko że w jej własnym życiu pokoju nie można było jakoś odnaleźć.

Odgarnęła długie jasne włosy na plecy i skinęła głową kobiecie. Potem odwróciła się, weszła do budynku i minęła windę. Jej pokój był na siódmym piętrze, ale zawsze korzystała ze schodów. Potrafiła tkwić w okopach razem z żołnierzami i robić notatki, i pracować nad tekstem wśród wybuchających dookoła pocisków. Ale do windy nie wsiadłaby nawet za cenę życia. Myśl o windzie przypominała ją o palpacje. Na samą myśl czuła się jak w pułapce, brakowało jej tchu.

Poszła na klatkę schodową i zaczęła iść do góry.

Przemknęła jej przez myśli twarz małej Afganki. Co w niej było takiego? Te oczy, ciemne, uderzające, jak oczy Shane'a? Takie oczy mogła mieć Emily. Oczywiście gdyby żyła, nie byłaby już małą dziewczynką. Byłaby młodą kobietą. Lauren przystanąła na chwilę i zamknęła oczy, kurczowo trzymając się poręczy schodów. Spędzanie czasu z dziećmi było bolesne, bo towarzyszyła mu świadomość, że gdyby była lepszą matką, jej córka by żyła. Gdyby nie ryzykowała jej życia. Otworzyła oczy i szła dalej. Lecz choć to bolało, wolała poświęcać czas afgańskim dzieciom niż któremukolwiek ze znanych sobie dorosłych. Dzieci uświada-



miały jej, że bez względu na to, jak zimne wydaje się jej serce, bez względu na to, jak bardzo chce być najlepszą, najtwardszą spośród reporterów „Time'a”, gdzieś w środku jest wciąż tamtą siedemnastolatką, jadącą z Chicago do Los Angeles i opłakującą utratę małej Emili. Jak inaczej mogłoby wyglądać jej życie, gdyby jej córka żyła!

„Dość tego!”. Ileż to razy wydawała sobie taki rozkaz. Bez większego skutku. Nabrała powietrza i na moment zamknęła oczy. „Jak to możliwe, że wciąż czuję jej zapach, czuję ją w swoich ramionach?”.

„Koniec”. Otworzyła oczy i przyśpieszyła kroku. Scanlon będzie na dole za wczasu, jak zwykle. Po kilku minutach dotarła na swoje piętro. Schody były dla niej w sam raz. Pomagały zachować kondycję, co było istotne, jeśli miała zamiar dalej pisać korespondencje z zapalnych rejonów świata. A miała taki zamiar, dopóki w jej przeświadczeniu te teksty mogły choć odrobinę przyczynić się do zakończenia wojny.

Doszła do pokoju 722, wsunęła kartę w szczelinę nad klamką i weszła do środka. Przebrała się z grubych spodni khaki w szorty. Zapowiadał się upalny dzień, a zamiar spędzenia go w sierocińcu oznaczał, że nie będzie potrzebowała dodatkowych ubrań. Tym razem nie będzie padać w piach ani kryć się w skalistych szczelinach, oglądając bitwę na własne oczy

W przekonaniu większości Amerykanów wojna w Afganistanie już się skończyła. Tymczasem co rusz wybuchały jakieś rebelie i cały kontyngent wojsk amerykańskich musiał codziennie z nimi walczyć. Problemem nie byli rzecz jasna rebelianci. W krajach takich jak Afganistan nigdy nie brakowało radykałów i ugrupowań terrorystycznych. Problemem byli niewinni ludzie, którzy cierpieli przy tej okazji. Nic dziwnego, że w tym kraju było tyle sierot.

Przysiadła na skraju łóżka i odetchnęła głęboko. Bolało ją w piersiach, przechyliła się w tył i oparła na łokciach. To pewnie te schody. Dlatego czuje się taka spięta. Ta myśl nie miała jednak szans zagnieździć się w niej. Wiedziała, że to kłamstwo. To nie od wspinania się w górę boli ją w piersiach. To przez tę małą dziewczynkę. Jej oczy płonęły w myślach Lauren, cofając ją w czasie, tak jak cofały ją w czasie twarze sierot. Cofały do tego straszego dnia, kiedy porzuciła swoje dotychczasowe życie...

Zostawiła szpital za sobą i pojechała ku Kalifornii, z postanowieniem, aby nigdy już nie wracać do domu. Jej plan był prosty. Będzie mieszkać w LA dopóty, aż znajdzie Shane'a. Trzy, cztery miesiące, jeśli będzie trzeba. Potem oboje coś wymyślą, żeby być razem, a kiedy wszystko się unormuje, wrócą do Chicago i sprawią Emili należyty pogrzeb. Sprawią swojemu dziecku taki pogrzeb, na jaki zasługuje.

Wiele spraw ułożyło się po jej myśli. Mając stałe miejsce zamieszkania, samochód i pracę, nie miała problemów z wyrobieniem nowej karty tożsamości i zalegalizowaniem miejsca stałego pobytu. Ze szkołą też poszło łatwo. Zdała

GED bez żadnego przygotowania, a miejscowy college przyjął ją bez najmniejszych zastrzeżeń. Tylko jedno nie poszło zgodnie z planem. Nie odnalazła Shane'a.

Kiedy z miesiący zrobiły się lata, zaczęła myśleć o powrocie do domu. Mogłaby zadzwonić do drzwi i powiedzieć rodzicom, że potrzebuje ich pomocy w jego odnalezieniu. Być może do tego czasu wpadli już na jakiś pomysł skontaktowania się z nim. Uściskałaby ich, przytuliła i powiedziała, że przebacza im to, co zrobili. W końcu znów miałyby rodzinę, choć bez Shane'a.

Ale nie mogła tego zrobić. Powtarzała sobie, że najpierw musi odnaleźć jego. W ten sposób mogłaby wrócić do domu i zacząć wszystko od początku, bez jakichkolwiek urazów względem rodziców.

Te wspomnienia wzbudziły w jej duszy zakurzone uczucia, od których ściśnięto jej się gardło. Chwyliła butelkę z wodą z na pół już zużytej skrzynki stojącej na szafce przy łóżku. Nie było rzeczy, której by nie zrobiła, żeby tylko znaleźć Shane'a Galantera. Dzwoniła do liceów, potem do college'ów. Szukała po nazwisku, trzykrotnie korzystała z pomocy jednego z profesorów ze swojej uczelni, specjalizującego się w dziennikarstwie śledczym.

- Musi mieszkać w siedzibie firmy rodziców - orzekł w końcu wykładowca.  
- Jego rodzice mogli nazwać swoją kalifornijską firmę zupełnie dowolnie. I wszystkie jej aktywa mogą się znajdować właśnie pod tą nazwą.

Pytaniem, którego nigdy nie zadała, czymś, co nie miało najmniejszego sensu, było to, czemu Shane miałby zrobić coś podobnego. Przecież zdawał sobie sprawę, że żyjąc w ten sposób uniemożliwia jej odnalezienie go. Oczywiście ona sama zmieniając nazwisko też chcąc nie chcąc mogła mu to uniemożliwić. Choć zrobiła to chcąc ukryć się przed rodzicami, a nie przed Shane'em.

Tak czy inaczej, nie przestawała szukać. Co tydzień wymyślała jakiś nowy sposób, ale żaden się nie sprawdzał, Shane znikł jak kamień w wodę. Nieraz zdawało jej się, że postrada zmysły od tego szukania. Wtedy jeszcze każdy wysoki, ciemnowłosy mężczyzna o greckich rysach sprawiał, że serce zamierało w niej na moment. Potrafiła przebiec na drugą stronę ulicy i wbiec do jakiegoś sklepu czy biurowca w pogoni za kimś, kto posturą czy urodą przypominał Shane'a.

- Przepraszam! - wołała. - Czy to...

Odwracał się - a ona patrzyła na kogoś kompletnie obcego, kto niewątpliwie myślał, że postradała zmysły.

- Ja... przepraszam. Wzięłam pana za kogoś innego.

Tak zdarzało się wiele razy. Na różnych ulicach, w różnych sklepach, z różnymi wysokimi ciemnowłosymi mężczyznami. Czasami podchodziła tak blisko tego kogoś, że dotykała jego ramienia i dopiero wtedy docierało do niej, że to nie Shane.

- Przepraszam - wycofywała się, czerwona ze wstydu. - Wzięłam pana za kogoś innego.

Nie dawała tak za wygraną aż do dziesiątej rocznicy śmierci Emily. Tego dnia ściągnęła pierścionek od Shane'a i włożyła go do małego kartonowego pudełka na biżuterię, a wraz z nim zdjęcia, które zachowała: jedno ich obojga, obejmujących się, a drugie - Emily. Zanim zamknęła wieczko, przeczytała słowa na pierścionku, słowa, które Shane kazał wygrawerować specjalnie dla niej.

*Pomimo wszystko.*

Były wciąż prawdziwe tamtego ponurego dnia. W pewnym sensie zawsze miały takie pozostać. Kochała Shane'a, pomimo wszystko. Pomimo że dla niej był już jak umarły, skoro od dni ich miłości dzieliły ją już miliony mil.

Z czasem przestała już być kobietą żyjącą pod przybranym nazwiskiem. Stała się Lauren Gibbs. Niezamężną kobietą, samotną na tym świecie, który z dnia na dzień stanął na głowie. Gdyby Shane próbował jej szukać, musiałby znać jakiś klucz, który doprowadziłby go do tego nazwiska.

Ale tego klucza nie znał nikt. Mimo to nie wracała do dawnej tożsamości. Nie chciała być Lauren Anderson. Ową Lauren uwięzioną przez okoliczności i zmuszoną do działań, które kosztowały ją utratę dwóch osób, które najbardziej kochała.

Nie, Lauren Anderson umarła tak samo jak jej mała córka.

Wyprostowała się i pociągnęła duży łyk z butelki. Jak zwykle woda miała temperaturę pokojową. Łyknęła jeszcze trochę i oparła butelkę o udo. Na zewnątrz zerwał się wiatr, wzbijając tumany kurzu i przygaszając błękit porannego nieba. Co mogą robić teraz jej rodzice? Zbliżają się do wieku emerytalnego. Zapewne podróżują i rozmawiają o dawnych czasach. Z początku na pewno jej szukali, ale po jakimś czasie zrozumieli, że ona nie chce dać się znaleźć. Ani wtedy, ani teraz. Może tylko...

Może tylko czasami, kiedy w połowie grudnia zrywa się chłodny wiatr, a ona wciąż pamięta, jak to jest - siedzieć wokół choinki razem z rodzicami i rodzicami Shane'a, i z Shane'em. Patrzy przez hotelowe okno, ale zamiast ujrzeć niebo smagane przez wiatr widzi scenę sprzed 20 lat, słyszy śmiech, czuje ciepło dzielonej miłości. Co by się stało, gdyby teraz wróciła?

Zamruła powiekami i wspomnienie znikło w niebycie, jak kurz w pustynnym wicherze. Nieważne, co by się stało, bo ona nie może wrócić. Nie wie jak, nawet gdyby chciała. Gardło wciąż ją bolało, a oczy zrobiły się wilgotne. Zakaszła. „Weź się w garść, Lauren”.

- Daj spokój, Gibbs - powiedziała na głos. - Nie jesteś mazgajem - przycisnęła pięści do oczu i gwałtownie nabrała powietrza. - Robota czeka.

Chwyciła plecaczek i sprawdziła jeszcze raz, czy nie zapomniała balsamu do ust. Potem z jednej z szuflad szafy wyjęła torbę pełną amerykańskich lizaków. W sierocińcach lizaki miały wzięcie. Pozwalały na dobry kontakt z dziećmi. Zabrała to wszystko, wyszła z pokoju i zbiegła schodami w dół.

Zazwyczaj kiedy czekało ją pisanie czegoś większego, potrafiła otrząsnąć się ze wspomnień. Ale dziś nie było to łatwe. Czy to Boże Narodzenie tak wszystko utrudniało? Tak czy inaczej, w takich sytuacjach nie mogła nie zadawać sobie pytania, która to wojna bardziej wpływa na jej życie. Ta, która wciąż toczy się w niektórych rejonach Afganistanu?

Czy ta w głębi jej serca?

## Rozdział 15

Shane Galanter już od prawie miesiąca przekładał datę przyjęcia zaręczynowego. Ale gdy Ellen zaproponowała 23 grudnia, wiedział, że wymówki się skończyły. Nawet szkoła pilotów myśliwskich, gdzie pracował jako instruktor, była zamknięta w ów piątek i przez cały następny tydzień. Piloci myśliwców też potrzebują przerwy świątecznej, jak wszyscy. Może nawet bardziej.

Przyjęcie zaręczynowe odbywało się w hotelu Marriott w Reno<sup>8</sup>. Nad organizacją czuwała Ellen razem z jego matką. Osiemdziesiąt osób w jednej z mniejszych sal bankietowych hotelu. Shane zostawił samochód boyowi i podniósł wzrok, patrząc na budynek hotelu. To nieprawda, że na amerykańskich pustyniach nigdy nie pada. Tego popołudnia temperatura wynosiła zaledwie 10 stopni i mżyło. Kolejny powód, dla którego nie chciał spędzać piątkowego wieczoru w sali pełnej ludzi.

- Proszę bardzo - jasnowłosy młody surfer wręczył mu pokwitowanie.
- Dzięki - wsunął je do kieszeni i spojrzał na wejście do budynku.

Chciał ożenić się z Ellen. To nie w tym był problem. Ale urządzenie przyjęcia w celu oznajmienia ich zaręczyn wydało mu się trochę staroświeckie. Bądź co

<sup>8</sup> Miasto w Newadzie, słynne centrum rozrywki i hazardu, podobnie jak położone także w Newadzie Las Vegas (przyp. tłum.).

bądź ma 36 lat, Ellen 27. Ludzie w ich wieku urządzają zazwyczaj cichą uroczystość, po której życie toczy się dalej.

Odetchnął szybko i wsunął ręce do kieszeni. To przyjęcie było przede wszystkim pomysłem jego matki. Jego rodzice kochali Ellen jak żadną z jego doychczasowych sympatii. Przecisnął się przez hotelowy hol do wind. Właściwie tych sympatii nie było za wiele. Żadna nie miała dla niego większego znaczenia. Dopiero ta.

Ellen Randolph, córka kongresmena Terry'ego Randolpha, była wierzącą dziewczyną związaną z najbardziej wpływowymi kręgami republikańskimi w kraju. Poznali się dwa lata wcześniej na uroczystej kolacji w kongresie. On otrzymał wtedy order jako jeden z najlepszych pilotów myśliwskich w operacji Enduring Freedom. Ona pracowała dla swojego ojca. Wpadła mu w oko już w chwilę po wejściu do sali.

W połowie przyjęcia Shane spostrzegł, że jeden ze starszych instruktorów pilotażu rozmawia z nią i jej ojcem. Był to jeden z najwyżej cenionych przez Shane'a nauczycieli, Shane podszedł więc do grupki rozmawiających i zdołał się przedstawić. Od tej chwili on i Ellen byli nierozłączni.

Przystanął przy recepcji i zaczekał, aż któraś recepcjonistka spojrzy w jego stronę.

- Dobry wieczór, gdzie odbywa się przyjęcie Galanterów?

Dziewczyna zarumieniła się na jego widok. Miała ogniście rude włosy i bladoniebieskie oczy.

- Przyjęcie zaręczynowe, tak?

- Tak jest - uśmiechnął się Shane.

- Zaraz sprawdzę - przebiegła wzrokiem listę przyklepioną taśmą do blatu.

- W Hillside Room. To dziewiąte piętro, w prawo od windy.

Zatrzepotała długimi rękami.

- Pan jest sam?

Uśmiechnął się półgębkiem.

- To ja mam się żenić.

- Ach tak - zaczerwieniła się. - Szczęściara.

- Może - skinął głową i poszedł do wind. Dojechanie tu zabrało mu więcej czasu, niż się spodziewał. Sprawy w bazie lotniczej zakończył wczesnym popołudniem i do domu w La Costa dotarł w rozsądnym czasie. Ale stracił sporo czasu, kiedy już się ubrał. Szukał jednych spinek do mankietów, gdy spostrzegł to zdjęcie. Jej zdjęcie.

To, które Lauren dała mu przed jego wyprowadzką.

Na widok jej twarzy zamarł. Wziął zdjęcie i poszedł z nim na kanapę w rogu sypialni. Trzymał je przed sobą przez pół godziny i wpatrywał się w nią, w jej oczy, które zdawały się patrzeć prosto na niego. Tak naprawdę nigdy nie przestał jej szukać. Ale po pewnym czasie te uporczywe wysiłki zaczęły zakrawać na

absurd. Był już absolwentem szkoły oficerskiej i szkoły lotnictwa morskiego, gdy raz ojciec wziął go na rozmowę i wyłożył rzecz najdelikatniej, jak umiał.

- Synu, daj już spokój. Ona nie chce dać się znaleźć. Gdyby było inaczej, dawno byś ją odszukał.

- Wcale nie szukam - odpowiedział prędko. Ale nie była to prawda.

- Szukasz. A całe życie jeszcze przed tobą.

Ojciec siedział naprzeciwko niego w mieszkaniu, które akurat wtedy Shane wynajmował. Nachylił się do niego z zatroskaną twarzą.

- Gdzieś tam jest kobieta, która cię pokocha i uszczęśliwi. Gdyby tą kobietą była Lauren Anderson, to byś o tym wiedział.

Shane nie chciał się do tego przyznać, ale argumenty ojca brzmiały sensownie. Zrobił wszystko, co mógł, z wyjątkiem pukania po kolei do każdych drzwi w stanie Illinois. A jednak nie mógł ścierpieć, że sprawa utknęła w martwym punkcie.

Jego ostatnimi słowami, które wypowiedział do Lauren Anderson, były te, że zawsze będzie ją kochał. Pomimo wszystko. I nie stało się nic, co by mogło to zmienić, poza jedną oczywistą rzeczą. Ona znikła z jego życia bez śladu, bez żadnego tropu, którego mógłby się uchwycić.

I oto teraz, w wieczór swoich zaręczyn, siedzi i wpatruje się w jej zdjęcie, i zastanawia się, co się mogło stać.

Kiedy jego rodzina wyprowadzała się i wydawało się, że za kilka dni znów będą ze sobą rozmawiać, wierzył, że po skończeniu liceum wszystko się ułoży. Ale gdy mijały miesiące i nie było sposobu, żeby się z nią skontaktować, zaczął podejrzewać swoich rodziców.

- Na pewno wiecie, jak się z nimi skontaktować - powtarzał im co kilka dni.

- Dajcie mi ten numer. To moje życie. Muszę je przeżyć tak, jak chcę. A chcę z Lauren.

Ale rodzice zawsze zaprzeczali, że mają jakiegokolwiek informacje o rodzinie Lauren.

- Umówiliśmy się tylko na kilkutygodniowe rozdzielenie - mówiła mu matka. - Kiedy Angela Anderson zadzwoni i poda telefon, dowiesz się pierwszy.

Shane otrząsnął się ze wspomnień i spojrzał na zegarek. Przyjęcie rozpoczynało się za pięć minut, a Ellen prosiła, żeby był na miejscu już pół godziny wcześniej. Wszedł do windy i odszukał przycisk 9. piętra. Po czterech piętrach winda zatrzymała się i do środka weszła pięcioosobowa rodzina. W kostiumach kąpielowych, z ręcznikami na ramionach.

- Na basen - mężczyzna uniósł jedną brew, jak gdyby chciał wyjaśnić, że to nie był jego pomysł.

- Przyjemne zajęcie.

- A pan? - dopytywał się współpasażer. - Świąteczna imprezka?

- Przyjęcie zaręczynowe - Shane oparł się o ścianę windy - Moje własne.

- Nooo - mężczyzna wyciągnął rękę - to gratulacje!

- Dzięki - Shane uśmiechnął się do niego.

Kobieta pomagała jednemu z dzieci wciągnąć buty.

Na ósmym piętrze wysiedli. Shane patrzył za nimi i nagle odczuł ukłucie zazdrości. Otrząsnął się. Czegóż to niby miałyby im zazdrościć? Już kiedy drzwi się zamykały, korytarzem przeszła jasnowłosa kobieta, w tym samym kierunku co tamta rodzina. Pewnie też na basen...

Ale Shane zawahał się, nie mógł oderwać wzroku. Niemal odruchowo wybrał przycisk otwierania drzwi. W tej kobiecie było coś znajomego. Coś, czego właściwie nie rozumiał - aż obejrzała się przez ramię.

Shane'owi zabrakło tchu.

Lauren!

Dziewczyna była lustrzanym odbiciem Lauren! Puścił przycisk i chciał wyjść, ale drzwi znów zaczęły się zamykać. Wcisnął między nie rękę, ale gdy znów się otworzyły, kobieta już znikła. Spojrzał na zegarek i zmarszczył brwi. To szaleństwo. Już jest spóźniony. Ale... Nie odejdzie stąd, dopóki się nie dowie.

Było to mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe. Może zlokalizowała go poprzez wojsko albo skorzystała z usług prywatnego detektywa. W końcu ilu Shane'ów Galanterów mogło mieszkać w okolicach Reno w Newadzie? Może zatrzymała się w tym hotelu. Jego serce waliło jak młot, gdy wypadł z windy i pobiegł wzdłuż wyłożonego chodnikiem korytarza. Centrum fitness i spa znajdowały się po przeciwnych stronach korytarza. Basen był na samym końcu, a ponieważ była w kłapkach, przypuszczał, że znajdzie ją najprawdopodobniej tam.

Po drodze minął kilkoro młodych ludzi, a gdy dobiegł do wejścia na basen, otworzył je z rozmachem. Wpadł do środka i ogarnął wzrokiem pomost. Spozstrzegł ją w ciągu paru sekund. Siedziała obok jakiegoś drobnego starszego mężczyzny i obserwowała dwójkę nastoletnich chłopców pływających w basenie. Czy jeden z nich to jego syn? Dziecko, którego nigdy nie poznał? Shane nie był oczywiście ubrany odpowiednio na basen, a ponieważ wbiegł tam w pośpiechu, wszyscy zwrócili na niego uwagę.

Ona też.

Teraz, gdy patrzyła prosto na niego, już wiedział. Wiedział, że to nie Lauren. Z zażenowaniem skinał głową w jej stronę i wyszedł. W niespełną minutę znów był w windzie, a serce dalej waliło jak oszalałe. Cóż on sobie myślał? Czasy poszukiwania Lauren już minęły. Teraz ma Ellen. Nie może szukać swej młodzieńczej miłości w każdej blondynce w okularach słonecznych, na jaką natknie się w Newadzie.

A jednak przez chwilę dał się porwać myśli, że ta kobieta to Lauren, a jeden z nastolatków to być może jego syn. Jego własny syn. Zacisnął dłoń w pięść i dwukrotnie uderzył w ścianę windy. Szaleństwo, Galanter. Czyste szaleństwo.



Już wiele lat temu porzucił myśl o własnych dzieciach. Gdzieś tam miał już dziecko, zapewne wychowywane przez rodzinę zastępczą. Czy nie postanowił, że więcej już nie potrzeba?

Wziął głęboki oddech i luźno spuścił ręce. Typowa przedślubna panika, ot co. Ma poślubić śliczną i mądrą dziewczynę, będzie z niej wspaniała żona. Jest elokwentna i interesuje się polityką, która go zawsze fascynowała. I też nie chce dzieci.

To mu pasowało. Dzieci tylko przypominałyby mu o każdym dniu, który mógłby - który powinien - spędzić z Lauren.

Wyszedł z windy, przygładził marynarkę i poszedł za strzałkami do Hillside Room. Połowa gości już była, kręcąc się bliżej środka sali. Ellen znalazła się przy nim, zanim jeszcze zdołał ją wypatrzeć. Miała na sobie skromną, długą do ziemi błękitną suknię wieczorową, dyskretnie podkreślającą figurę i uwydatniającą kolor oczu.

- Cześć.

Wsunęła się w jego ramiona i uśmiechnęła się. Miała łagodny i uwodzicielski wyraz twarzy, całkowicie skupiona na nim. Zbliżyła usta do jego warg i ucałowała. Pocałunek był na tyle długi, by go poruszyć, i na tyle krótki, by nie narużyć pozorów przyzwoitości, które oboje sobie cenili. Cofnęła się nieco i poszukiwała wzrokiem jego wzroku. Mówiła niskim, zalotnym tonem.

- Cieszę się, że jesteś.

- Ja też - postanowił nie myśleć o blondynce na basenie. - Ślicznie wyglądasz. Przepraszam za spóźnienie.

- Nie szkodzi - uśmiechnęła się szeroko, cofnęła o krok i stanęła przy nim, obejmując ramieniem w pasie. - Chodźmy do twojej mamy. Szuka cię.

Poszli na drugą stronę sali, pod rząd okien. Widok z dziewiątego piętra był oszałamiający. Pomimo nieba zaciągniętego chmurami góry na horyzoncie robiły wrażenie. Matka stała sama, opierając się o poręcz, wyglądała przez okno. Tym razem Ellen ucałowała go w policzek.

- Idę przywitać paru gości.

- Dobrze - uśmiechnął się do niej i odwrócił się w stronę matki.

Miała na sobie prostą i elegancką suknię. Gdy spojrzała na niego przez ramię, zdawało się, że ma o dziesięć lat mniej niż naprawdę. Spodziewał się, że tego wieczoru będzie brylować i triumfować. Tego przecież zawsze chciała, żeby ożenił się z kimś takim jak Ellen. Tymczasem jej twarz przesłaniało coś na kształt zwątpienia i lęku.

- Mamo, wszystko w porządku? - uściskał ją i oparł się o poręcz obok. Zaśmiała się cicho. - Powinnaś tam być razem z Ellen. Co zapomniałaś? Królowe balu.

Wysunęła podbródek i wyrzała przez okno.

- To przyjęcie Ellen, nie moje.

Zawahał się.

- Ejże... - wyciągnął rękę i objął ją za ramiona, lekko ściskając. To coś, co ją gryzło, nie chciało ustąpić. - Przecież żartuję.

- Wiem.

Westchnęła i wyprostowała się nieco.

- Przepraszam.

Zmrużyła oczy, ale wciąż patrzyła w dal.

- Nie mogę przestać o czymś myśleć.

- O czym? - Shane nie miał pojęcia, do czego zmierza. Zabrał rękę z jej ramion i obrócił się nieco, żeby widzieć jej twarz. Nadal mówił beztroskim tonem. - Tylko nie mów, że zmieniłaś zdanie co do przyjęcia zaręczynowego.

- Nie, Shane - spojrzała na niego. - Chodzi o coś więcej - od kącików jej oczu biegły zmarszczki. Więcej zmarszczek niż zwykle. - Muszę coś wiedzieć.

- Dobra - zrezygnował z żartobliwego tonu. - Strzelaj.

Rozejrzała się naokoło, jakby chciała się upewnić, że tylko oni dwoje usłyszą to, co powie. Potem utkwiała wzrok w jego oczach.

- Synu, czy żenisz się z Ellen dla świętego spokoju? Muszę to wiedzieć.

Poczuł gdzieś w środku coś dziwnego, coś, czego nie potrafił określić. W jego myślach znów pojawiła się twarz Lauren, ale tylko na ułamek sekundy. Wydał z siebie dźwięk wyrażający raczej zniecierpliwienie niż szok.

- Oczywiście że nie. Co za pytanie!

Zawsze umiała czytać w nim jak w książce. Ilekroć zaglądała do jego duszy, wiedział, że nie ma sensu niczego przed nią ukrywać. Teraz patrzyła na niego właśnie w ten sposób.

- Shane, ostatnią rzeczą, jakiej bym dla ciebie chciała, jest to żebyś żenił się z kimś, bo myślisz, że ojciec i ja ją lubimy. Nie jest tak, prawda?

- Mamo - uniósł jedną brew. - Nie obraż się, ale chyba siebie przeceniasz.

Pod oknem biegł wąski występ półmetrowej wysokości. Shane oparł na nim nogę i pochylił się.

- Ellen jest dla mnie idealna. Oczywiście że nie żenię się z nią dla świętego spokoju. Mógłbym spokojnie żyć w pojedynkę, gdybym jej nie spotkał.

- Z powodu Lauren, prawda? - jej wzrok złagodniał. - Prawda?

Na dźwięk jej imienia poczuł znajomy ból.

- Lauren zniknęła z mojego życia.

Patrzyła na niego, uważnie obserwując.

- Shane, nie oszukuj mnie. Proszę.

- Mamo! Co ty mówisz! - jej słowa były jak policzek. - Ja nie oszukuję.

- Shane, kochałeś tę dziewczynę - znów patrzyła przez okno na dalekie góry. - Dziś rano zbudziłam się śmiertelnie przerażona, że nie wyszło wam razem z powodu tego, co zrobiliśmy. I co zrobili jej rodzice. Nie chcę, żebyś żenił się z Ellen, jeśli wciąż kochasz Lauren.

Znów chciał jej zaprzeczać, ale nie był w stanie. Machnął ręką na pozory.

- Prawda jest taka - mówił cicho - że Lauren znikła na zawsze. Poszedłem dalej. Dlatego byłem w stanie zakochać się w Ellen.

Zmarszczyła brwi.

- Jesteś pewien? Nie chcę, żebyś to robił, jeśli nie jesteś pewien.

- Mamo - tym razem roześmiał się głośno. - To śmieszne. Naprawdę - wyciągnął rękę i chwycił jej dłoń. - Daj spokój i razem ze mną ciesz się moim przyjęciem.

Dotarli do Ellen, a jego matka dołączyła do ojca i kilku jego współników. On sam z Ellen krążyli tu i tam, zagadując do poszczególnych grupek znajomych. Shane myślał o tym, co jest tu i teraz, nie chcąc zastanawiać się ani trochę nad tym, co trapiło matkę.

Po godzinie na podwyższenie pośrodku sali wszedł ojciec Ellen. Postukał w mikrofon, a gdy uznał, że głośność jest odpowiednia, przywitał gości.

- Okazja jest bez wątpienia wyjątkowa - posłał zebrany uśmiech, ten sam uśmiech, który zdobył mu ogromny odsetek głosów w ostatnich wyborach. - Chciałbym, aby zapamiętano, że żaden inny kandydat na męża mojej córki nie uszczęśliwiłby mnie bardziej.

Rozległa się kurtuazyjna burza oklasków.

Shane chwycił dłoń Ellen i uścisnął.

Jej ojciec tymczasem mówił dalej.

- Myślę, że wszyscy wiedzą, że Shane Galanter ma wielki potencjał polityczny dla Partii Republikańskiej. I wiem - odnalazł wzrokiem Ellen i skinął głową w jej stronę - że moja córka także jest tego zdania.

Sala wybuchła śmiechem.

- Dziś jest wprawdzie instruktorem w Top Gun, ale senat Newady potrzebuje kogoś takiego jak Shane i wierzę, że pewnego niezbyt już odległego dnia Shane zamieszka w pałacu gubernatorskim.

Tym razem w tłumie rozległo się parę gwizdów. Shane spuścił wzrok. Co wyprawia ojciec Ellen? Czy to wiec polityczny? Zaciśnął zęby. Nie ulegało wątpliwości, że ojciec Ellen uważa go za jasny punkt na przyszłym szlaku Partii Republikańskiej. Ale nie musiał o tym mówić tu, przy okazji ich zaręczyn.

Poza tym Shane nie podjął jeszcze decyzji. Owszem, całkowicie popiera program partii. Ale kocha latać na myśliwcach, uwielbia wchodzić do kokpitu z początkującym pilotem i pokazywać mu, co i jak. Ameryka wiele zawdzięcza swoim pilotom. Czy wykształcenie kolejnego ich pokolenia nie jest wystarczającą zasługą?

Tymczasem jej ojciec mówił:

- Proszę, przywitajcie razem ze mną Ellen i Shane'a - cofnął się i zainicjował najgłośniejszą dotąd burzę oklasków.

Ellen stała obok Shane'a, rozpromieniona. Pociągnęła go za rękę.

- No chodź.

- Idę.

Poszedł pierwszy, z podniesioną głową, kiwając nią po drodze przyjaciołom. Kiedy doszli do podwyższenia, objął Ellen i otrząsnął się z trosk. To nie czas na wątpliwości. Uśmiechnął się szeroko do zgromadzonych.

- Ellen i ja pobierzemy się w sobotę 20 maja - uśmiechnął się do niej, a potem znowu do gości. - Chcieliśmy, żebyście dowiedzieli się o tym pierwi.

Atmosfera rozgrzała się już. Goście gwizdali i wiwatowali, i nawoływali do toastu. Większość trzymała już kieliszki z szampanem. Ktoś podał je także Shane'owi i Ellen, a wtedy jej ojciec powrócił do mikrofonu.

- Za Shane'a i Ellen. Niechaj ich wpływy i siła rosną jeszcze bardziej dzięki ich wspólnemu związkowi i niechaj ten czas przygotowań do ślubu będzie czasem miłości i radości.

Jadąc do hotelu, Shane myślał sobie, że podczas tego przyjęcia na miejscu byłaby modlitwa. I on, i Ellen przywiązywali wielką wagę do swojej wiary. A ponieważ rozmawiali już ze sobą o tym, że warto by jeszcze poważniej traktować związek z Bogiem, przyjęcie zaręczynowe wydawało się dobrą okazją do tego, żeby grupa ludzi pomodliła się za nich. Ale teraz, w sali pełnej ludzi sączących szampana i świętujących narodziny nowego kandydata na gwiazdę Republikanów, modlitwa nie wydawała się dobrym pomysłem. Może potem... zanim wszyscy wyjdą? Może w ten sposób zakończyć przyjęcie?

Ojciec Ellen poprosił zgromadzonych, żeby powrócili do swoich rozmów i nie zapomnieli wziąć talerza z przekąskami ze stołu w głębi sali. Kolejna godzina upłynęła w szumie rozmów, z których niemal każda dotyczyła polityki.

- Shane, będziesz świetny w senacie - słyszał co chwila. - Masz mój głos, na sto procent.

Dopiero gdy przyjęcie się skończyło i razem z Ellen wyszli na zewnątrz i czekali na jego samochód, odezwała się do niego i żartobliwie chwyciła za kłapy marynarki.

- I co, podobała ci się przemowa taty?

Przyglądał się jej uważnie.

- Jego przemowa? Ta, którą wygłosił przed przedstawieniem nas?

- Tak - podskoczyła kilka razy na palcach, w jej głosie był śmiech. - Doskonała, prawda?

Zamrugał powiekami. Czy ona chce powiedzieć to, co mu się zdaje?

- Co? To było ukartowane?

Zapiszczała.

- J a s n e że tak, głupolu. Nic, co mówi polityk, nie jest przypadkowe.

Wpatrywał się w nią przez chwilę. Potem spojrział na światła błyskające wzdłuż pasma gór i zaśmiał się.

- Więc taki był cel tego przyjęcia? - znów poszukał jej wzroku. - Żeby twój tata miał okazję zaprezentować mnie jako najnowszą nadzieję partii?

Mina jej zrzędała i Ellen stanęła znowu normalnie na piętach.

- Ale przecież chcesz tego, prawda?

- Może - patrzył na nią przez chwilę, potem odszedł kilka kroków. Kiedy się do niej odwrócił, w jego uśmiechu było niedowierzanie. - Chyba nie podpisałem jeszcze kontraktu na kampanię, co?

- Shane - w jej głosie brzmiał wyrzut. - Chodź no tutaj. Nie rób widowiska.

Podszedł bliżej i teraz mówił zaledwie kilkanaście centymetrów od jej twarzy.

- Rzeczywiście to nie uchodzi - jego ton był prawie obcesowy. - Co by twój tata pomyślał?!

- Posłuchaj no - wymierzyła palcem w jego pierś. - Ta przemowa to nie był pomysł mojego ojca. To był mój pomysł.

- Twój? - Shane miał ochotę roześmiać się w głos. - Poprosiłeś o to tatę, nie rozmawiając wprawdzie ze mną?

- Rozmawiałam z tobą - podniosła głowę, odzyskując panowanie nad sobą.

- Rozmawiałam z tobą przez ostatnie dwa lata. Ile razy dochodzimy do tego tematu, zawsze powtarzasz, że marzysz o starcie z listy Republikanów.

Poczuł, jak wzbiera w nim gniew.

- Podoba mi się ta partia i tyle - wycodził te słowa. - Owszem, może kiedyś i miałbym ochotę wystartować - założył ręce na piersi. - Ale to nie znaczy, że twój ojciec ma to ogłaszać na moim przyjęciu zaręczynowym.

- Chciał dobrze - po raz pierwszy od początku rozmowy w jej głosie był ból.

- Oboje chcieliśmy.

Poczuł nagle wyrzuty sumienia. Czemu się z nią kłóci? Już po przemowie, już po wszystkim. Co to komu przeszkadza, że jej ojciec jest z niego dumny? Ten człowiek to najuczciwszy ze znanych mu polityków, przywódca szanowany w całym kraju za swoje wartości i prawość. Większość ludzi na jego miejscu byłaby rozradowana, słysząc przemowę taką jak ta.

Westchnął długo i ciężko.

- Ellen - położył dłonie na jej barkach. - Przepraszam cię - przyciągnął ją i objął. - Chyba po prostu byłem zaskoczony.

Zareagowała na jego dotyk i przytuliła się.

- Nic nie szkodzi - przycisnęła policzek do jego policzka, a potem podniosła głowę i spojrzała na niego. - Ale chcesz tego, prawda? Możliwości ubiegania się o ten urząd pewnego dnia?

Powinien był odpowiedzieć „tak”. Ale gdy tak stał pośród ciemności, obejmując ją, w przenikliwie wilgotnym grudniowym powietrzu, sam nie był pewien.

- To brzmi ciekawie - wyszeptał w jej ciemne włosy. - Będę musiał o tym poważniej pomyśleć.

- W porządku. Tylko o to proszę - uściśnęła go i cofnęła się o krok. Boy hotelowy podprowadził akurat jego samochód. - Zdaje się, że zawsze sobie wyobrażałam, że będę żoną polityka, kogoś takiego jak mój ojciec.

Zamilkli i weszli do samochodu. Za pół godziny byli pod jej domem. Gdy ją wysadzał, uśmiechnął się.

- Podziękuj tacie za dzisiejszy wieczór. Na pewno przyjdzie taki dzień, kiedy będę go błagał o takie wsparcie na spotkaniach z różnymi grupami.

Uśmiech rozświetlił jej oczy.

- Na pewno, Shane. I kto wie, jak daleko Bóg cię w tej sprawie doprowadzi.

Pożegnali się i Shane pojechał do domu. Nie włączał radia. Cisza lepiej pasowała do jego nastroju, w jego głowie mieszały się ze sobą strzępy różnych rozmów. Najważniejsze z tego były oczekiwania, jakie mieli względem niego Ellen i jej ojciec. Cały czas zdawał sobie z nich sprawę, ale dziś wydały mu się pętłą na szyi. Jak gdyby jego myślenie na temat przyszłości nie miało już żadnego znaczenia.

Chciał być politykiem, bo chciał bronić tego, co słuszne, i dlatego że potrzebowała go jego partia. Czy po dzisiejszym wieczorze mógłby mieć co do tego jakiegokolwiek wątpliwości?

Ale gdy wjeżdżał pod dom, w jego głowie pojawiły się inne wspomnienia. Jak matka i jej nieoczekiwane skrupuły i wątpliwości. Przez ostatnie dwa lata nie robiła nic innego, jak tylko rozplątywała się nad Ellen Randolph, ojciec zresztą też.

- Taka dziewczyna będzie dla ciebie w sam raz na całe życie - mówił ojciec.  
- Nic by nas bardziej nie uradowało, synu.

Cóż więc takiego się stało, że matka zwątpiła w jego chęć poślubienia jej? I skąd tak dokładnie wiedziała, co przez ten cały dzień chodziło mu po głowie? Wysiadł z samochodu i wszedł do domu, pocierając kark. Co jakiś czas Ellen przyjeżdżała do niego do domu na seans filmowy albo późną kolację. Umówili się, że fizyczną bliskość pozostawią sobie na okres po ślubie. Z tego powodu oboje uważali, że nie byłoby rozsądne zbyt długie przebywanie sam na sam. Dziś cieszył się z tej samotności. Jego myśli sprawiały, że czuł się tak, jakby od bitych dwóch godzin latał z pięciokrotną prędkością dźwięku. Poszedł do sypialni, przebrał się w spodnie dresowe i T-shirt i opadł na kanapę.

Wszystko w nim wołało, żeby iść do tej szuflady w komodzie i odszukać zdjęcie Lauren, żeby pamięć o niej towarzyszyła mu i pomogła uporządkować dziwne wydarzenia minionego wieczoru. Zamknął oczy. „Przestań, Shane, weź się w garść”. *Boże, pomóż mi się skupić.*

Lauren Anderson już nie ma. Nie może podejmować ani jednej decyzji w związku z nią, ponieważ ona nie istnieje. Kropka.

Z trudem próbował się odprężyć, rozluźnić mięśnie pleców opartych o krzesło. Tego wieczoru czegoś mu zabrakło, ale nie umiał określić, co to takiego. Mocniej ścisnął poręcz krzesła - i wtem olśniło go. Zapomniał się pomodlić. No ładnie: para ludzi rzekomo bardzo wierzących i stać ich było na toast - ale na modlitwę już nie. Zmarszczył brwi i poszczypał grzbiet nosa. Szampan nawet mu zbytnio nie smakował.

Mijały minuty, a on ciągle nie mógł się uspokoić. Może instynkt dobrze mu podpowiadał. Może nie powinien był dopuścić do tego przyjęcia zaręczynowego. Wtedy nie musiałby myśleć o porzuceniu pracy, którą chyba ciągle kocha, i poślubieniu dziewczyny, którą chyba tylko lubi.

A już z pewnością nie spędzałby dnia przed wigilią na myśleniu o nastoletnich synach i wiotkich blondynkach, i o życiu, jakie mógłby wieść. Jakie chciałby wieść.

Gdyby tylko odnalazł Lauren.

## Rozdział 16

Obrończyni spostrzegła nadciągającą Emily i pobiegła w stronę muru, żeby przejąć podanie. Emily zareagowała tak błyskawicznie, że aż sama się zdziwiła. Dysząc ciężko, cofnęła się z piłką, uciekła z nią kolejnym dwóm obrończyniom, po czym umieściła ją w bramce dokładnie w chwili, gdy rozlegał się gwizdek.

Był to jej trzeci gol tego poranka. To ci sztuczka!

Pogratulowała zawodniczkom ze swojej starej drużyny w liceum.

- Co z tego, że jutro święta, zawsze fajnie jest wygrać! - zawołała jedna, machając na pożegnanie. - Podziękuj dziadkom, że przyszli. Zawsze nam kibicują.

Emily podniosła rękę na pożegnanie, zarzuciła ręcznik na szyję i chwyciła torbę. Dziadkowie mieli już zajęcia rozplanowane na cały dzień. Ostatnie zakupy i wczesne nabożeństwo wigilijne w kościele. Mecz piłkarski w wigilijny poranek pojawił się jako punkt programu w ostatniej chwili, ale wypadł dobrze.

Grupa dziewczyn, z którymi grała w drużynie przez całe liceum, rozjechała się już do domów na święta. A ponieważ obecna drużyna licealna zawsze szukała możliwości zmierzenia się z kimś, umówili się na mecz na krytym stadionie. W drużynie Emily były trzy zawodniczki z college'u. Razem pobiły licealistki, 8 do 2.

Znalazła dziadków na ławkach po drugiej stronie ściany z pleksi.

- No? - wyrzuciła resztką tchu. - I co myślicie?



Dziadek jakoś nie kwapił się, żeby wstać z ławki. Wyglądał bledziej i szczuplej niż zwykle. Przyjrzała mu się. Może to ten nowy granatowy sweter? Oczywiście mu błyszczały, gdy na nią patrzył.

- Myślę, że lubię patrzeć, jak grasz - podszedł do niej i wyciągnął dłoń.  
- Twoje ruchy są jak poezja, kochanie.

- Przepraszam, że to w wigilię - opadła na ławkę obok niego, ale spojrzała na babcię. - Wiem, że macie dziś mnóstwo roboty.

- Wszystko w porządku - babcia włączyła się do rozmowy. - Przypomniały mi się twoje licealne lata - uśmiechnęła się do obojga. - Mieliśmy wtedy po czterech mecze tygodniowo.

- To były naprawdę wyjątkowe chwile - dziadek poklepał ją po ramieniu.  
- Nie wyobrażam sobie, że kiedyś rozegrasz swój ostatni mecz.

- Jeszcze nie tak prędko - pomyślała, że dziadkowie byli na wszystkich jej meczach, w których jej drużyna była gospodarzem, a także na paru wyjazdowych. - Ale przez jakieś trzy lata będziecie musieli to jeszcze znosić.

Poszli do samochodu, milcząc po drodze. Emily musiała wziąć prysznic, więc została w domu, dziadkowie tymczasem pojechali na zakupy. Popołudnie minęło w mgnieniu oka, a nabożeństwo wigilijne było piękne. Pastor mówił o szukaniu śladów Bożego działania.

- Cuda zdarzają się także dziś - powiedział. - Bóg wcielony? Król królów w skromnym żłóbku? - uśmiechnął się. - Owszem. A na przykład uzdrowione małżeństwo? Wspaniałe stosunki w rodzinie? Praca, którą się kocha? - przerwał na chwilę, dając czas do namysłu. - Każdy z nas był świadkiem niejednego cudu. A jak będzie w te święta? Powierzcie to Bogu i spotkajcie się w stajence z Panem wszelkiego stworzenia. Dajcie Mu szansę, żeby znów dokonał cudu w waszym życiu.

Chór zaśpiewał „Cicha noc” w urzekająco pięknej aranżacji. A Emily schyliła głowę i zamknęła oczy. *Boże, Ty wiesz, czego potrzebuję, wiesz, o jaki cud Cię proszę.*

*Córko, jestem z tobą.*

Znajome uczucie pokoju przepełniło ją całą, otwierając serce i duszę na Ducha Świętego. Marta, pianistka, kończyła akurat jedną kolędę i rozpoczynała następną, już ostatnią, tę, którą zawsze kończyło się wigilijne nabożeństwo - „Cicha noc”.

Emily otworzyła oczy i pozwoliła, żeby wypełniły ją słowa pieśni. Szczególnie ostatnie wersy: . . . w pokoju niebios śpi, w pokoju niebios śpi”<sup>9</sup>.

Po powrocie do domu usiadła wraz z dziadkami koło choinki i otworzyła jeden z prezentów. To była ich prywatna wigilijna tradycja. I tym razem - jak co

<sup>9</sup> Polska wersja tej kolędy („nad dzieciątka snem”) nie oddaje w tym miejscu sensu ani oryginalnego tekstu niemieckiego, ani wersji angielskojęzycznej (przyp. tłum.).

roku - dostała nową piżamę. Zachichotała i podniosła ją do góry. Piżama była przytulna i ciepła, w sam raz na nadchodzącą zimą.

Dziadkowie otworzyli paczuski od siebie nawzajem. W obydwu znajdowała się nowa para skarpet. Po uprzątnięciu ozdobnych papierów, wymianie uścisków i krótkiej rozmowie Emily pożegnała się.

- Potrzebuję dużo siły na jutro.

- Emily - babcia uniosła brew i pogroziła jej palcem. - Ty nie masz zamiaru spać. Będziesz przeglądać to pudło, co?

Emily skrzywiła się i skinęła głową.

- Mogę? - nie mogła się doczekać tych chwil sam na sam ze zdjęciami i pamiętkami matki. - Może znajdę coś, co będziemy mogli jutro razem przejrzeć? - dotknęła ramienia babci.

Uśmiech babci był prosto z serca.

- Dobrze, skarbie. Przeglądaj sobie. W święta można spać, jak długo się chce.

Zanim Emily poszła na górę, stanęli jeszcze we trójkę przy choince i wzięli się za ręce. Dziadek zaczął się modlić.

- Panie Boże, to są wyjątkowe święta. Wszyscy to czujemy. Prosimy, pomóż nam w tym roku odnaleźć ten cud przy Twoim żłóbk. Ten, o którym słyszeliśmy dziś w kościele... - zawahał się, po czym dodał ze wzruszeniem w głosie. - Chyba naprawdę przydałby nam się cud. Kochamy Cię, Panie. Prosimy Cię o to w imię Chrystusa.

Emily ucałowała oboje i poszła do siebie. Zamknęła drzwi, znów przysunęła pudło do łóżka, usiadła na brzegu i zaczęła wyjmować rzeczy ze środka. Zdjęcie w ramce - to, które już widziała - delikatnie oparła o ścianę, żeby zostawić miejsce na pozostałe rzeczy. Potem przyszła kolej na album ze zdjęciami. Wyjęła go i położyła sobie na kolanach. Poczowała stęchliznę - tyle lat leżał w garażu.

- No, no, mam - przejechała palcem pod każdym ze zdjęć na początku. Każde było podpisane przez jej matkę. - Ale się starałaś!

Zdjęcia rozpoczynały się od czasów, gdy matka uczyła się w gimnazjum. Było kilka jej fotografii razem z koleżankami. Emily uważnie przyglądała się matce. Jeśli sędzić po oczach, była szczęśliwa i lubiana przez kolegów. Jej jasne, proste włosy sięgały w tych latach zazwyczaj połowy pleców. Gdzieś w środku albumu zrobiły się trochę krótsze, a na zdjęciach zaczął pojawiać się jakiś chłopak. Na ustach Emily zabłąkał się uśmiech. Ten chłopak to jej ojciec, na pewno. Takie same ciemne włosy i oczy, jakie codziennie ogląda w lustrze. Ale był chudy i parę centymetrów niższy niż matka.

Mimo to nie ulegało wątpliwości, co tych dwoje czuło do siebie. Można to było dostrzec w całym albumie. Już wtedy nic nie mogłoby ich rozdzielić.

- No wiesz co, tato - położyła dłoń na jego zdjęciu. - Chłopaki włóczę się gdzieś razem, a ty siedzisz tutaj? Przy mamie?

Pod koniec albumu podpisy stawały się coraz ciekawsze. Znalazła zdjęcie ojca wręczającego matce dmuchawiec. Matka podpisała: „Shane to najbardziej romantyczny facet w VIII klasie. Mimo że mam alergię na dmuchawce”.

Kiedy doszła do ostatniej kartki, zaparło jej dech. Całą stronę zajmował list napisany przez ojca do matki. Matka widać chciała ukryć ten list, bo ostatnia kartka była wsunięta w okładkę i większość oglądających nie zajrzałyby tam.

„Kochana Lauren, nie wiem, czy ludzie w VIII klasie powinni czuć coś podobnego. Wszyscy nasi koledzy robią rozmaite głupoty, np. proszą kolegę, żeby umówił ich z jakąś dziewczyną. No wiesz, takie tam rzeczy. A ja po prostu mógłbym się z tobą ożenić choćby jutro. Wcale nie żartuję”.

Emily przytknęła palec do warg. „Tato... ale ty byłeś zakochany”.

„Nie wiem, czy chcę zdać te egzaminy, bo to by oznaczało, że pójdę do liceum. A liceum to większa konkurencja. Wszystkie chłopaki ze starszych klas będą stawać na głowie, żeby się z tobą umówić. A zresztą co to za różnica, skoro i tak nigdy cię nie opuszczę. Nigdy. Kocham Cię, Lauren. Twój Shane”.

Twój Shane?

Emily cmoknęła z uznaniem. „Ale byliście fajni”. Jej rodzice musieli być cudowni jako dzieci. Dlaczego to tyle lat stało w garażu? Przecież oddałyby wszystko, żeby poznać choć niektóre z tych szczegółów! Zamknęła album i odłożyła go.

Następne w kolejności były jakieś zdjęcia w ramkach. Na jednym rodzice byli w strojach sportowych, tyle że matka wyglądała tak, jakby była w drużynie footballowej, a ojciec - jakby był cheerleaderem. Zmrużyła oczy i wpatrzyła się w zdjęcie. No tak - cheerleader z makijażem oczu!

Zachichotała, ale uważała, żeby nie hałasować. W całym domu światła już pogasły, nie chciała budzić dziadków. Znów spojrzała na zdjęcie. Co ci rodzice tu wyprawiają? Dostrzegła coś w tle. Powycinana dynia na ganku. No tak, to przebrania. Rodzice pewnie są na przyjęciu halloweenowym.

Ale jeszcze bardziej niż kostiumy zwracał na siebie uwagę znajomy jej już wyraz ich oczu. Jakby urodzili się po to, żeby być razem. Odłożyła zdjęcia i wyciągnęła jakiś pamiętnik. Gdy przekładała dalej album ze zdjęciami, drżały jej ręce. Nadszedł czas na jeden z pamiętników matki. Wzięła najbliższy. Całe życie czekała na to, co znajdowało się w środku - opowiadania i wpisy do pamiętnika, o których wspominała babcia - bo tam jest odpowiedź na jej pytanie. Czy matka miała serce do pisania, tak samo jak ona?

Trzymała pamiętnik, ujmując okładkę palcami. Te strony pozwalały zajrzeć w serce jej matki. Tego właśnie pragnęła, odkąd tylko pamięta. Zmarszczyła brwi, bo poczuła... coś w rodzaju wyrzutów sumienia. Pamiętniki to rzecz intymna. Sama miała taki mały różowy pamiętnik w II klasie, później pisała już regularny dziennik. Strona za stroną - opowiadania, własne przemyślenia i listy do Boga. Nikt ich nigdy nie czytał.

I teraz to.

Przygryzła wargi i ułożyła pamiętnik na kolanach. Potem odetchnęła głęboko i otworzyła. Wyrzuty sumienia znikły momentalnie. Oczywiście że wolno jej przeczytać pamiętniki matki. Może będą jedynym sposobem, żeby ją odnaleźć.

Pierwszy wpis pochodził z wiosny 1985 roku.

*Shane i ja rozmawialiśmy o miłości. O prawdziwej miłości. Oboje uważamy, że to bardzo dziwne, że nasi rodzice nie rozumieją, co do siebie czujemy. Traktują nas tak, jakbyśmy byli parą dzieciaków niemających żadnego pojęcia o tym, co to miłość. A czego się nauczyłam, odkąd jestem z Shane'em? Że prawdziwa miłość w V klasie czeka w śnieżycy na twoim ganku, żebyście mogli iść razem do szkoły. Że w VII klasie przynosi ci baton czekoladowy, kiedy się przewracasz i przybiegasz na metę ostatnia podczas turnieju.*

*Prawdziwa miłość w samym środku lekcji algebry szepcze coś o twoim różowym lakierze do paznokci, tak że nawet podczas matematyki nie przestajesz się uśmiechać, i przez całe liceum w piątek trzyma dla ciebie miejsce w stołówce. Nawet jeśli wszyscy inni baseballiści uważają cię za głupią.*

*Prawdziwa miłość ma czas słuchać o twoich nadziejach i marzeniach, kiedy rodzice są za bardzo zajęci komitetem rodzicielskim, klubem dobroczynnym albo biznesem w banku. Prawdziwa miłość zostaje w sobotę do późna i robi z tobą ciasteczka czekoladowe, posypuje cię mąką, wrzuca skorupki do miski z białkami i dba o to, żebyś zapamiętała ten wieczór do końca życia. Prawdziwa miłość myśli, że jesteś ładna, nawet gdy masz włosy związane w koński ogon i nie stoisz prosto. Prawdziwa miłość to to, co jest między mną a Shane'em. Chciałam tylko tyle powiedzieć.*

Emily zamrugała powiekami, uświadomiwszy sobie nagle, że łzy płyną jej po policzkach. Oszołomiła ją beczność znaleziska. Ale nie tylko to. Wzajemne uczucia rodziców zapierały jej dech. Chciała przeczytać ten wpis jeszcze dalej, ale postanowiła przewrócić kartkę i rzucić okiem na kolejny wycinek życia swej nastoletniej matki.

Przewracając kartkę za kartką, odkrywała miłość, jakiej dotąd nie znała, miłość pomiędzy jej rodzicami, triumfującą i tragiczną zarazem. Triumfującą - bo była ideałem tego, czym jest miłość: cierpliwa, uprzejma, ufna i pełna nadziei. Pomimo swego młodego wieku matka i ojciec wiedzieli, co to miłość. Była ona zarazem tragiczna, ponieważ nie przetrwała, ponieważ utracili siebie i wszystko wskazywało na to, że już się nie odnaleźli.

Ostatnie wpisy musiały pochodzić z okresu, gdy ojciec wyjechał już do Kalifornii. Jeden szczególnie zwrócił uwagę Emily.

*Jestem po prostu wściekła na rodziców. Nienawidzę ich. Kiedy odłączyli telefon, powiedzieli, że zostawią nagrany informację o naszym nowym numerze,*

*tak żeby każdy, kto dzwoni na stary, mógł się dowiedzieć, jaki jest nowy. Dzięki temu Shane mógłby się ze mną skontaktować i podać mi swój numer. A teraz twierdzą, że to nagranie nie jest jeszcze włączone. Najgorsze jest to wrażenie, że mama i tata mnie okłamali. To możliwe, bo przecież to coś powinno już działać! Za parę tygodni urodzi się dziecko. Jestem pewna, że rodzice Shane'a i moi nie chcą, żebyśmy byli ze sobą. Najbardziej obawiam się tego, że jeśli naprawdę tak myślą, to rzeczywiście są w stanie na dobre nas rozdzielić. W jaki sposób poznam jego numer telefonu? Jak on pozna mój? Mogę się tylko modlić o to, żeby w jakiś sposób zdołał mnie szybko odnaleźć. Nie mogę żyć bez niego.*

„Mamo”. Emily zdawało się, że siedzi tuż naprzeciwko matki. Spojrzała za okno, na ciemne niebo zaciągnięte chmurami. „Odnalazaś go? Zadzwoił w końcu do ciebie?”.

Bolało ją serce na myśl o stracie, jakiej doznali rodzice. Po raz pierwszy w życiu przyszło jej do głowy, że dziadkowie być może przyczynili się jakoś do rozdzielenia ich. Ta myśl wydała jej się szalona - ale w takim razie dlaczego nie wyjaśnili tego nieporozumienia z numerami telefonicznymi niedługo przed jej narodzinami?

Spojrzała na zegar i poczuła, że na jej policzki powoli wkrada się uśmiech. Już po północy, czyli jest Boże Narodzenie. Spokojny, cichy świąteczny poranek. I już teraz, pomimo smutku z powodu krzywdy doznanej przez rodziców, dostrzegała już jeden oczywisty cud w swoim własnym umyśle, cud przy żółbku. Cud miłości swoich rodziców, miłości jaśniejszej nieomal jak gwiazda betlejem-ska. W świetle tej miłości błagała Boga o jeszcze jeden, jeszcze większy cud.

Żeby posłużył się nią nie tylko do odnalezienia rodziców, ale i do połączenia ich na nowo.

## Rozdział 17

Nadszedł czas rozmowy, przed którą Angela od dawna się wzdragała.

Razem z Billem wstali wcześniej niż zwykle i przygotowali dla Emily ulubione śniadanie: cynamonowy tost francuski i jajecznicę.

Zeszła na dół zaspana i uśmiechnięta, szurając miękkimi różowymi papciami.

- Cześć - uściskała Billa, a potem poszła na drugą stronę kuchni do Angeli.  
- Ale jesteście kochani. Tutaj święta nigdy się nie kończą.

Te słowa ugodziły Angelę w samo serce. Święta skończą się za chwilę. Za jakąś godzinę, jak sądziła. Emily tymczasem wciąż szczebiotała o cudnym wczorajszym Bożym Narodzeniu, jak bardzo podobają jej się nowe swetry i śliczna torebka.

Ten szczebiot był jak muzyka. Gdyby tylko mogli zatrzymać tę niewinność, tę radość.

- Znowu siedziałas do późna - Angela przypatrywała się jej uważnie. - Znajdujesz to, czego szukałaś?

- Tak - spuściła lekko głowę, z wyrazem na poły wdzięczności, na poły skruchy na twarzy. - Możesz się do mnie przyłączyć, babciu, jeśli tylko chcesz. Ale dziękuję, że pozwoliliście mi zacząć samej - oczy jej błyszczały. - Czuję się tak, jakbym naprawdę już znała mamę... - trochę posmutniała. - W każdym razie taką, jaka była w młodości.

- Tak - Angela poczuła ból w gardle. To było dla niej zbyt wiele. Wspomnienia Lauren i ta straszliwa świadomość nieuchronnego... Nie chce płakać. Jeszcze nie teraz. - Tak, twoja mama była już wtedy kimś. Nie była zbuntowana ani złośliwa, tak jak często nastolatki w tym wieku.

Nachyliła się i ucałowała Emily w policzek.

- Pod tym względem bardzo była do ciebie podobna.

- A ja bym włączył jakąś muzykę - Bill wstał i z powrotem wsunął do odtwarczacza swojego Mitcha Millera. Po kilku sekundach rozległy się rozczulające zwrotki *White Christmas*. - Zawsze powtarzam, że świąteczną muzykę powinno się puszczać aż do 1 stycznia.

Lekko zaszurał papciami po dywanie w salonie. I uśmiechnął się do nich.

- Oto co mam na myśli.

Emily zachichotała i tanecznym krokiem wśliznęła się do salonu. Ujęła dziadka za rękę i pozwoliła mu kręcić sobą piruety między tapczanem a telewizorem. Ich głosy złyły się w jeden dźwięk, wprost cudowny, mimo że żadne nie potrafiło utrzymać się w tonacji. Angela patrzyła jak zaczarowana, usiłując przepląszyć smutek, który ją osaczał.

Takie bezcenne chwile trzeba smakować. Bo jeśli lekarze mają rację, to ten czas skończy się lada moment. Gdyby to jeszcze mogło trwać przez kolejne dziesięć lat! Jak bardzo żałowała, że Bill nie tańczył tak z Lauren. Co by się stało, gdyby wtedy wolał raczej pozostawić jej dobre wspomnienia niż chronić ją przed rodzicami Shane'a?

Angela musiała iść, przewrócić ostatnią partię francuskich grzanek, ale nie mogła oderwać się od obrazu, jaki razem tworzyli. Bill i Emily krążyli po pokoju, objając się o biblioteczkę i depcząc sobie po palcach. Ich śpiew zmienił się w końcu w chichotanie, a zanim piosenka się skończyła, pokładali się na ziemi ze śmiechu, rechocząc z siebie nawzajem. Z trudem się podnieśli. Wciąż w objęciach, tanecznym krokiem pomknęli z powrotem do kuchni.

Angela wskazała na kredens, ignorując ból w żołądku.

- Można rozkładać talerze.

Śniadanie upłynęło w podobnej atmosferze, wśród uśmiechów, śmiechu i wspomnień o dawniejszych świątach. Angela wciąż z niepokojem spoglądała na Billa. Gdyby tylko można uniknąć nieuchronnego, gdyby można tak lekko przejść przez ten dzień, ciesząc się radosną obecnością Emily. Ale takiej możliwości nie było.

Kiedy naczynia były już umyte, Angela zrobiła trzy filiżanki kawy, podała je i spojrzała na wnuczkę.

- Emily, musimy porozmawiać.

Spojrzała na Billa.

- Chodźcie do salonu.

Emily miała zakłopotaną minę. Patrzyła to na Angelę, to na Billa.

- Coś się stało?

- Tak.

Trzeba było już przejść do sedna sprawy.

- Tak, skarbie, coś się stało - poprowadziła ją do salonu. - Chodź, siądziemy.

Bill usiadł na swym zwykłym miejscu, na fotelu koło telewizora. Jego policzki były wciąż zaróżowione od tańca i śmiechu. Angela poczuła, że napełniają nadzieja. Tak dobrze nie wyglądał już od miesiący. Emily poruszała się powoli, zapewne z powodu nagłego odkrycia, że coś może być nie tak. Angela usiadła na jednym końcu tweedowej kanapy, a Emily na drugim, wierząc się i ściągając brwi. Jej sportowa energia utrudniała jej siedzenie bez ruchu. Tak było zawsze, szczególnie jednak w sytuacjach poważnych.

- No dobrze - w głosie Emily była i uraza, i strach. - To co się stało? I dlaczego mówicie mi dopiero teraz?

- Dziadek ci powie - Angela z trudem przełknęła ślinę. Założyła ręce i zagryzła warg. Nie mogła wydobyć już ani słowa, nie chciała się rozpłakać.

Emily zsunęła się na skraj kanapy i utkwiała wzrok w oczach Billa.

- Co takiego, dziadku? Powiedz.

- No więc, skarbie - Bill zakaszał, zadrżał mu podbródek. Zasłonił oczy dłonią, ale tylko na moment. - Widzisz, ja mam raka.

Łzy napłynęły mu do oczu, ale zmusił się do smutnego, nieco ironicznego uśmiechu.

- Lekarze mówią, że mam jeszcze dwa miesiące.

Emily zerwała się na równe nogi. Cała krew odpłynęła z jej twarzy, zaczęła się trząść.

- Dwa miesiące?

Zrobiła kilka kroków w jego stronę, zatrzymała się i zrobiła krok w stronę drzwi wyjściowych. Znowu zatrzymała się i znowu zrobiła kolejny krok, tym razem z powrotem w stronę kanapy. Wyglądała tak, jakby nie była pewna, czy wybiec na dwór i zacząć krzyczeć, czy też przypaść do dziadka i przytulić go. W końcu przez ramię spojrzała na Angelę.

- Dwa miesiące? Od jak dawna... od jak dawna wiecie?

- Lekarze robili badania od kilku tygodni - Angela zamrugała powiekami i zatrzymała łzy, ale nie na wiele się to zdało. Głos i tak jej się łamał. - Powiedzieli nam w czwartek przed twoim przyjazdem. To jest już w całym ciele, skarbniku. Bardzo złośliwy.

Emily podeszła do Billa i stanęła przy fotelu, kładąc rękę na jego ramieniu.

- A le dziadziu, ty tak dobrze wyglądasz. I śpiewasz - wskazała ręką w stronę odtwarzacza - i tańczysz, i śmiejesz się.

Poszukała wzrokiem oczu Angeli.



- Może się mylą?

Angela rozumiała tę nadzieję w głosie wnuczki. Czy sama nie odczuwała tego samego, gdy lekarze powiedzieli o wynikach testów? Ale musiała być tak samo uczciwa jak oni.

- Nie mylą się. Już od pierwszej serii badań powiedzieli, że tak może być.

Emily potrząsnęła głową.

- A operacja? Chemia, naświetlania czy co tam jeszcze. To znaczy... - rzuciła Angeli niespokojne spojrzenie - nie możemy przecież wysłuchać wyroku śmierci i nie walczyć.

- Skarbie, przy rezonansie magnetycznym nie ma mowy o pomyłce. Wyniki badań analizowało trzech różnych lekarzy. Ich opinie nadeszły w czwartek i w piątek, ale nie chcieliśmy ci mówić wcześniej jak po świętach.

Popatrzyli na siebie z Billem.

- Tak sobie życzył dziadziu.

Bill wyciągnął rękę do Emily, a ona nachyliła się ku niemu i tuliła się, płacząc.

- Nie, dziadziu. Nie. Ja cię potrzebuję.

Objął ją.

- Ja też ciebie potrzebuję, skarbuniu.

Angela nie mogła już dłużej. Ukryła twarz w dłoniach i płakała. A z drugiej strony pokoju dobiegał ją płacz Billa i Emily. Choć półprzytomna z bólu, Angela usłyszała jednak Emily bąkającą coś o mocy Boga, cudach i że teraz wszystko będzie się musiało szybko wyjaśnić. A jej ukochany Bill mówił coś o sile i modlitwie, i o samopoczuciu na tyle dobrym, żeby walczyć z rakiem. Do Angeli nie docierały wszystkie słowa, i wiedziała dlaczego. Nie mogła ich słyszeć z powodu najgłośniejszego ze wszystkich odgłosów. Odgłosu jej łamiącego się serca.

To jakiś straszliwy koszmar. Na pewno.

Gdy skończyła pomagać babci przy zmywaniu i gdy dziadkowie poszli do swojego pokoju zdrzemnąć się, Emily ciągle nie mogła uwierzyć.

Dziadek ma raka? Owszem, wygląda trochę blade i może trochę zeszczupłał. Ale przecież to może być dobry objaw.

Może lekarze się mylą. Przecież nie każdy rezonans magnetyczny musi wyglądać tak samo. Może dziadek ma jakąś taką budowę krwi i kości, której ta maszyna od rezonansu nie chwytą. Poszła do siebie, usiadła na łóżku po turecku i próbowała się skupić. Przypuśćmy, że to prawda i że dziadek faktycznie ma przed sobą tylko parę miesięcy życia. Jeśli tak, to ona nie może zwlekać już dłużej. Nie może sobie spokojnie przeglądać pudła pozostawionego przez matkę. Liczy się każda chwila. Czas nie może ich pokonać.

Cud, o który się modliła, miał polegać nie tylko na tym, że odnajdzie mamę, a w końcu i ojca, ale i na tym, że pomoże matce pojednać się z dziadkami. Co zna-

czyło tyle, że jeśli nie nastąpi to w ciągu najbliższych miesięcy, to zapewne nie nastąpi już nigdy.

Przycisnęła ręce do skroni, odkładając na bok wszystko oprócz tego jednego problemu. Kartonowe pudło stało przy jej łóżku. Zawierało długie godziny fascynujących, chwytających za serce notatek - ale czy zawierało jakiś klucz do tego, gdzie szukać matki bądź ojca? W dzień po świętach wszystkie urzędy były jeszcze zamknięte, co oznaczało, że nie będzie mogła dzwonić do miejsc, w których mogłaby się dowiedzieć czegokolwiek o losie matki.

No i dobrze. W takim razie wykorzysta ten dzień na przejrzenie pudła. Na wypadek, gdyby było w nim jednak ukryte coś bardzo ważnego. Do tej pory przejrzała już jedną trzecią. Większość rzeczy ustawiła pod najdalszą ze ścian, żeby nie zostały przewrócone, kopnięte albo rozdeptane. Teraz wyjęła z pudła kolejny album ze zdjęciami i przejrzała go pobieżnie. Wróci do niego później, żeby się nacieszyć.

Następne w kolejności były dwa mniejsze albumy, potem natknęła się na kolejny dziennik. Znów przerzuciła go pobieżnie, choć wszystko, co napisała jej matka, kryło w sobie ogromną szansę na jakiś klucz. Może wzmiankę o jakimś ulubionym miejscu, gdzie ona i ojciec chcieli zamieszkać w dorosłym wieku. A może coś, czym zawsze chciała się zajmować, miejsce, w którym chciała pracować. Cokolwiek, co rzuciłoby trochę światła na jakiś ślad, bez względu na to, jak bardzo wątpli.

- No dalej, mamó, pokaż mi coś.

Przyszła kolej na następne zdjęcia w ramkach i stertę ksiąg pamiątkowych. Emily mogła odłożyć je na później, ułożyć w kolejną stertę pod ścianą, do przejrzenia potem. Ale ledwie odłożyła ostatnią księgę pamiątkową, poczuła, jak usta otwierają jej się ze zdumienia. Z ust wyrwał jej się cichy okrzyk, gdy sięgała na dno kartonu.

Te zeszyty.

Jeden na drugim. Serce waliło jej jak oszalałe. To muszą być te zeszyty, o których wspominała babcia. W pamiętnikach nie znalazła opowiadań, więc może znajdzie je w zeszytach? W tych, w których matka zawsze coś pisała.

Przeszedł ją dreszcz, gdy wzięła cały plik - może ze dwadzieścia - i położyła je obok na łóżku. To nie mogły być pamiętniki. Matka najwyraźniej lubiła pisać pamiętniki w zeszytach o twardej oprawie, z papierem w linię i ładną okładką. A to były zwyczajne, proste kołonoatniki. Otworzyła pierwszy i przebiegła wzrokiem pierwszą stronę. Jej połowę zajmowały wielkie, odręcznie napisane litery:

*„Najważniejsza podróż”  
napisała Lauren Gibbs*

Emily zmarszczyła czoło i przejechała palcami po napisie. Wygląda na opowiadanie, ale kto to jest - ta Lauren Gibbs? Jeśli to jej matka napisała, to czemu użyła innego nazwiska? Co to w ogóle za nazwisko? Zjechała wzrokiem na dół strony, gdzie rozpoczynało się opowiadanie.

*Uliczny chodnik może być tym bądź owym dla tego czy owego człowieka. Ale latem 1985 roku dla Rudy'ego Johnsona był on drogą do wolności...*

Emily przewracała kartki, jedna po drugiej. Opowiadanie ciągnęło się przez pół zeszytu. Znowu odwróciła na początek i ponownie przyjrzała się stronie tytułowej. Lauren Gibbs? Czyżby jakaś kuzynka albo przyjaciółka matki napisała to opowiadanie? Emily zmrużyła oczy. Opowiadanie było napisane odręcznie, wystarczyło więc porównać charakter pisma.

Zerwała się na równe nogi i chwyciła jeden z pamiętników leżących na podłodze. Prędko otwarła go i położyła obok zeszytu. Porównała litery drukowane, potem pisane. I tam, i tutaj ogonek „y” sięgał daleko, a nad „i” zamiast kropek były małe kółeczka. Nie trzeba było grafologa, żeby ustalić, że jedno i drugie pisała ta sama osoba. Bez wątplenia. To matka napisała opowiadanie.

Ale czemu Lauren Gibbs?

Emily zajrzała do dalszej części zeszytu w poszukiwaniu kolejnych opowiadań, szczegółów, czegokolwiek. Ale był pusty, więc odłożyła go na bok i otworzyła następną. Na stronie tytułowej widniał napis:

*„Letni zachód słońca”  
napisała Lauren Gibbs*

Serce Emily waliło jak młotem. Gibbs czy nie Gibbs, w każdym razie matka bez wątplenia przybrała inną tożsamość nie tylko dla celów jednego opowiadania. Emily przerzuciła resztę zeszytów, sprawdzając w każdym stronę tytułową. Kiedy skończyła, na rękach miała gęsią skórę.

Bo na każdym z nich widniało: „napisała Lauren Gibbs”.

Z trudem przełknęła ślinę i wyrównała stertę zeszytów. O to nazwisko warto przynajmniej popytać. Już miała wstać i poszukać dziadków, gdy coś przykuło jej uwagę. Na jednym z zeszytów mama nagryzmoliła takie słowa:

*Lauren Anderson kocha Shane'a Galantera.*

Coś w tym napisie wydało jej się dziwne. Wpatrywała się w to zdanie przez prawie trzy minuty, zanim w końcu pojęła. Przecież ona zawsze pisała nazwisko ojca „Galanter”. Jakoś nigdy nie spytała o to dziadków, ich rozmowy o przeszłości niemal zawsze obracały się wokół pytań o matkę. Gdzieś kiedyś musiała wi-

dzień na piśmie nazwisko ojca, ale najwyraźniej założyła, że tam, gdzie powinno być „a”, jest „e”.

Poczuła, jak wzbiera w niej fontanna nowych pomysłów. Pobiegnęła do drzwi, otworzyła je z rozmachem - i zawahała się. Było już po trzeciej, ale w domu było cicho. Na palcach zeszała ze schodów i zajrzała do sypialni dziadków. Leżeli na łóżku, jeszcze spali. Później może ich zapytać o pisownię.

Cicho weszła z powrotem na górę i poszła do domowego biura, pokoju, który niegdyś należał do matki. Włączyła komputer, wysunęła krzesło, usiadła.

- Szybciej - rozkazała. - Rozgrzewaj się, raz dwa.

Nie spuszczała wzroku z ekranu, masując łydki. Wciąż były odrętwiałe po meczu sprzed dwóch dni, co przypominało jej, że powinna wyjść na dwór i pobiegać. Ale nie mogła myśleć spokojnie o niczym, nawet o oddychaniu, dopóki przynajmniej nie sprawdzi.

Musi zapytać babcię o tę sprawę z Lauren Gibbs. Może któraś krewna tak się nazywała albo jakaś przyjaciółka w Kalifornii? Wydawało się to najcenniejszą wskazówką znaną w pudle, ale mogło się okazać niewiele warte. A nazwisko ojca? No, to było odkrycie! Skoro znała już właściwą pisownię, nie mogła się doczekać, aż wrzuci je do Google'a.

Komputer włączył się i uruchomił. Zalogowała się do Internetu i czekała. Dziadkowie mieli bardzo szybki Internet, po paru sekundach była już w sieci.

Weszła do okienka wyszukiwarki i wzięła głęboki oddech.

- No dobra.

Nazwisko ojca było jej dobrze znajome, setki razy wpisywała je tam, zanim w końcu dała za wygraną. Ale teraz...

Jeszcze raz wpisała S-h-a-n-e G-a-l-e-n-t-e-r, na wszelki wypadek, może jednak coś przeoczyła?

Wyniki pojawiły się w okamgnieniu, a w rogu na górze było napisane...

Otworzyła usta ze zdumienia. Dlaczego nigdy dotąd tego nie spostrzegła?

Bo na górze ekranu widniały słowa: „Czy chciałeś wyszukać: Shane Galanter?”.

Jęknęła i powiedziała dobitnym tonem:

- Tak. To właśnie chciałam wyszukać. No i?

Kliknęła w link poniżej, do prawidłowej pisowni nazwiska.

Pojawiła się kolejna lista, a Emily poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Gdzieś pośród tych wszystkich możliwości mogła znajdować się informacja, która doprowadzi ją do ojca. Przebiegła wzrokiem kilka linii z pierwszej z wymienionych stron. Nazwisko „Shane Galanter” nie należało do popularnych, mimo to wyszukiwarka wyrzuciła aż setki stron. Pierwszym był niejaki Shane Galanter - prezes firmy dezynsekcyjnej.

- Dezynsekcja? - Emily zmarszczyła nos. - Tato, chyba nie zajmowałbyś się dezynsekcją, co?

Kliknęła w link i na ekranie pojawiła się strona upstrzona pajakami. Co kilka sekund przebiegał przez nią karaluch. Emily wzdrygnęła się z obrzydzeniem. Robactwo to najgorsze, co może być. A gdzie zdjęcie owego Shane'a Galantera, właściciela? Przejrzała całą stronę i na górze spostrzegła link z napisem „Kontakt”.

- No to kontakt - kliknęła i pojawiła się inna strona. A na niej uśmiechnięta twarz czarnoskórego mężczyzny. Obok widniał napis: „Shane Galanter ma dokładnie to, czego potrzebujesz do dezynsekcji!”.

Emily dmuchnęła w górę na kosmyk czarnych włosów.

- Jeden odhaczony.

Kliknęła w „Powrót” i wróciła na listę stron.

Na jednej widniał jakiś dramaturg, siwowłosa mężczyzna po siedemdziesiątce. Znow wróciła do listy.

- Dwóch mniej.

Kolejny Shane Galanter pojawił się na Azusa Pacific University. Kliknęła w ten link ot tak i znalazła jego zdjęcie.

- Hm... - uniosła brew na widok fotografii. - Przystojniaczek. Ale moim tatą nie jesteś.

Na czwartej ze stron obok nazwiska „Shane Galanter” widniał napis „instruktor pilotażu myśliwców w Top Gun”. Emily przekrzywiła głowę.

- Ciekawe...

Kliknęła w link, ale zdjęcia nie było. Na tej stronie przedstawiano personel bazy powietrznej pod Reno w Newadzie. Kliknęła w link i przeczytała parę akapitów. Pod koniec lat 90. szkoła lotnicza Top Gun szkoląca pilotów myśliwców przeniosła się do Newady, ale nadal nosiła nazwę Top Gun. Jak ten stary film z lat 80.

Czy ojciec mógłby być instruktorem pilotażu myśliwców? Babcia wspominała, że pochodził z bogatej rodziny, rodziny bankierów i inwestorów. Dziadek mówił, że rodzice Shane'a planowali dla niego karierę biznesmena. I zapewne nim został. Chwyciła bloczek i zapisała informacje.

Wróciła do listy stron i znalazła parę innych możliwości. Jeden Shane Galanter prowadził sklep z warzywami w stanie Utah, inny pracował jako prezes Klubu dla Dziewcząt i Chłopców w Portland w Oregonie. Zapisała dane obydwu i jeszcze jednego - Shane'a Galantera sprzedającego ubezpieczenia w Riverside w Kalifornii.

- Cudnie! - wpatrzyła się w swój spis. - W końcu ktoś w Kalifornii.

Poczuła, jak rośnie w niej nadzieja. Była akurat niedziela, a skoro Shane'ów Galanterów jest na razie tak niewielu, może zacząć dzwonić jutro z samego rana. Ojciec ma 36 lat, tak jak i mama. Jeśli będzie trzeba, może go opisać telefonicznie albo przesłać zdjęcie faksem.

Wyjrzała przez okno na zachodzące słońce. Nie mogła doczekać się poranka.

Usłyszała, że dziadkowie na dole zbudzili się już i zaczęli się krzątać. Od razu zerwała się na równe nogi, wypadła z pokoju i zbiegła do nich.

- Babciu! Dziadziu! - skracając za róg, do kuchni, pośliznęła się i o mało nie upadła jak długa. W jej całym ciele krążyła adrenalina, tak że gdy dotarła do kuchennej wysepki, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego, zabrakło jej tchu. - Coś znalazłam.

- Tak? - babcia wkładała do pieca rondel z resztką indyka. Choć indyk był zimny, jego aromat i tak wypełniał całą kuchnię. - Co znalazłaś?

Emily przejechała językiem po wargach. Gardło miała suche. Spojrzała na dziadka i przeniosła wzrok z powrotem na babcie.

- Co wiecie o Lauren Gibbs?

Dziadek zmarszczył czoło, babcia miała minę bez wyrazu.

- Pierwsze słyszę - odezwał się dziadek.

Nadzieja Emily ulatywała z jej duszy niczym powietrze z przebitej opony.

- Nigdy nie słyszałeś?

- Ja też nie - babcia wyjęła szpikulec z szuflady w wysepce i położyła go na blacie. - A skąd to wzięłaś, kochanie? Mama o tym pisała?

Emily wysunęła spod blatu jedno z krzeseł barowych i usiadła.

- Pod tym nazwiskiem pisała wszystkie swoje opowiadania - pokazała rękami wielkość pliku zeszytów, które przejrzała. - Mama napisała całe tony opowiadań, babciu.

Spojrzała na dziadka.

- I każde z nich ma tytuł, a pod tytułem słowa: „napisała Lauren Gibbs”.

- Lauren Gibbs? - babcia stanęła spokojnie i zmarszczyła nos. - Ale skąd ten pomysł?

- Poczekajcie no - dziadek po drugiej stronie kuchni oparł się o lodówkę i machał palcem w powietrzu. Spojrzał na nie, najpierw na jedną, potem na drugą. - Angie, pamiętasz tę książkę, którą Lauren zaczytywała się, kiedy miała jakieś 12 czy 13 lat?

Babcia zaśmiała się z zakłopotaniem.

- Skarbie, nie śledziłam wszystkiego, co Lauren czytała. A poza tym - wyjęła z kredensu stertę talerzy - minęły już 23 lata.

- Wiem. Ale pamiętam, jak mi o tym mówiła. Przynajmniej... tak mi się wydaje - zacisnął powieki, jak gdyby próbował przenieść się z powrotem w tamte czasy, przypomnieć sobie każdy szczegół. Kiedy zamrugał oczami i otworzył je, wzrok mu jaśniał. - Tak. Pamiętam dokładnie. To była jedna z jej ulubionych. Co kilka dni przychodziła do mnie i odczytywała głośno jakiś rozdział. Lauren Gibbs była tam jedną z bohaterek.

- Naprawdę? - Emily poczuła, że znów przejmuje ją dreszcz podniecenia. Poszła na drugą stronę kuchni i wyjęła z lodówki kilka sałatek i zakąsek. Było tego sześć misek, ustawiła wszystkie na blacie naprzeciwko piekarnika.

- Mnie się to w ogóle z niczym nie kojarzy - babcia wsunęła do mikrofalówki casserole z zielonego groszku. Wytarła ręce o fartuch i zwróciła się do męża.

- To Lauren coś o tym mówiła?

- Tak - mówił, żywo gestykułując. - Teraz już pamiętam. Powiedziała, że bardzo jej się podoba to nazwisko, Lauren Gibbs. Przypuszczam, że musiała jej się podobać ta postać. Pamiętam, że mówiła, że chciałaby być taka, kiedy dorosnie.

- Jaka to książka, dziadziu? - Emily podeszła do niego, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami. - Może tam znajdziemy kolejny trop.

Zmrużył oczy, patrząc nie wiadomo na co, i milczał parę chwil. Potem potrząsnął głową i spojrzał na nią.

- Nie pamiętam.

Emily nie przejęła się tym. Coś już w każdym razie ma. No i jeszcze to nazwisko ojca, jaka jest prawidłowa pisownia. Przy kolacji powiedziała im o Shane'ach Galanterach wymienionych w sieci.

- Instruktor pilotażu? - Babcia odłożyła widelec. - A ten drugi?

- Agent ubezpieczeniowy z Kalifornii.

- Ja bym stawiał na agenta, jeśli w ogóle na któregoś z tych dwóch - dziadek wyglądał na zmęczonego. W jego słowach nie było już energii sprzed pół godziny. - Syn Samuela Galantera na pewno nie zaciągnąłby się do marynarki. Plany jego ojca nie uwzględniały czegoś podobnego.

- Jestem podobnego zdania - babcia uśmiechnęła się nieśmiało do Emily - Ale, kochanie, musisz twardo stąpać po ziemi. - Shane'a może przecież w ogóle nie być w Internecie. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

- Tak - Emily patrzyła na swój talerz, pełny prawie po brzegi. Była zanadto podekscytowana, żeby myśleć o jedzeniu. Znowu popatrzyła babci w oczy. - Małe szanse. Ale przecież - uśmiechnęła się - na tym właśnie polega cud, prawda?

- Prawda - babcia rozchmurzyła się. - Może już czas, żebym i ja zaczęła wierzyć w małe szanse.

Tamtego wieczora, po wspólnym obejrzeniu filmu i chwili rozmowy na temat choroby dziadka, Emily położyła się wcześniej. Leżała w łóżku, patrząc w sufit i żałując, że zegar nie chodzi szybciej, tak żeby już mogła zacząć sprawdzać Shane'ów Galanterów ze swojej listy. Ale najwięcej myślała o matce i o książce, o której matka mówiła dziadkowi, o tym, jak wbiła sobie do głowy to nazwisko - Lauren Gibbs. Na tyle mocno, żeby używać go jako pseudonimu literackiego przy każdym ze swych opowiadań.

*Boże - przewróciła się na bok, tak żeby móc patrzeć przez okno - w tym pudełku musi być coś więcej niż tylko cała sterta opowiadań. Pomóż mi znaleźć to, czego potrzebuję, błagam.*

Pomyślała o dziadku i o walce, którą właśnie rozpoczął.

*Panie, nie mam wiele czasu.*

Zazwyczaj gdy rozmawiała z Bogiem, od środka wypełniał ją wewnętrzny pokój. Teraz też stało się podobnie - ale pojawiło się jeszcze coś. Jakieś narastające podniecenie... jak gdyby natknęła się na coś bardzo ważnego.

Teraz tylko musi ustalić, co to takiego jest.



## Rozdział 18

Reportaż z sierocińca okazał się czymś więcej niż tylko kolejną sentymentalną historią. Podczas swoich pierwszych odwiedzin w na pół zrujnowanym budynku dającym schronienie setce dzieci Lauren uznała, że ta historia napisze się sama. Przyjrzeć się z bliska dzieciom osieroconym przez wojnę, zagrać na uczuciach i oddać tekst przed piątkowym dedlajnem.

Rdzeń artykułu przybrał pożądaną kształt i w nowojorskiej redakcji wszyscy byli zachwyceni.

- Ten tekst nieźle da po nosie prawicy - powiedział jej redaktor prowadzący. - Będziesz miała prawdziwy hicior.

Wszystko zapowiadało się znakomicie, szczególnie w połączeniu ze świetnym fotoreportażem, jaki Scanlon zrobił podczas ich całonocnego pobytu w sierocińcu. Tyle że podczas lunchu podeszła do niej jedna z pracownic roznosząca dzbanki z wodą i szepnęła jej coś do ucha.

- Niektóre dzieci to Amerykanie.

Po czym rozejrzała się ostrożnie wokół, tak jakby z powodu tego, co właśnie powiedziała, mogło jej coś grozić.

- Ojcami są amerykańscy żołnierze.

Lauren miała ochotę zerwać się na równe nogi, ale zachowała spokój. Uśmiechnęła się, wskazała na kanapkę i pokiwała głową, jak gdyby uwagi tej kobiety dotyczyły tego, co miała na talerzu. A potem szepnęła jej:

- Spotkamy się na zewnątrz za pięć minut.

Kobieta dołała Lauren wody, skinęła głową i poszła dalej. Gdy nadszedł czas, Lauren przeprosiła i wstała od stołu, po czym odszukała Scanlona.

- Zaraz wracam.

- A dokąd idziesz? - zaniepokoił się. Przez ostatnie półtora roku spełniał względem niej nieoficjalną rolę ochroniarza. Mogła być łatwym amerykańskim celem ataków z powodu swych jasnych włosów i zaangażowania we wszystkie aspekty życia w Afganistanie. W redakcji ostrzeżono ją, żeby nie pracowała sama, ponieważ przybysze z Zachodu wciąż padali ofiarą porwań dla okupu lub korzyści politycznych.

- Nic mi nie będzie. Jedna z pracownic chce ze mną pogadać - kiwnęła głową w stronę dziedzińca przed sierociniec.

Scanlon uniósł jedną brew, przestąpił z nogi na nogę i poprawił aparat.

- Będę tutaj, gdybym był potrzebny.

- W porządku - ścisnęła go za ramię i rzuciła mu krótki uśmiech. Potem poszła z powrotem przez główną salę, wdając się po drodze w pogawędkę z trójką dzieci. Gdy dotarła do drzwi, spięła się w sobie i wzięła głęboki oddech. Obejrzała się wokół - wyglądało na to, że nikt jej nie śledzi. Już na zewnątrz spostrzegła tę kobietę, stojącą koło zburzonego ceglaneanego muru. Wiatr zawodził, a kobieta miała zasłonę na nosie i ustach. Wciąż trzymała w ręku dzbanek z wodą i Lauren zauważyła, że stoi koło ciekącego kranu. Podeszła do niej, zerkając przez ramię, czy na pewno są same.

- Duża rzecz - powiedziała kobieta łamaną angielszczyzną. - Wasi ludzie mówią, że Amerykanie nam tu pomagają. Jedni tak - pokiwała głową. - Inni nie. Czasem śpią z naszymi kobietami i są dzieci - wskazała ręką na sierociniec. Dla amerykańskich dzieci tutaj nie miejsce. Nikt ich nie chce.

Lauren przeraziła się. Czemu jej to wcześniej nie przyszło do głowy? W Afganistanie są tysiące amerykańskich żołnierzy, głównie mężczyzn. To oczywiste, że niektórzy na pewno zadają się z miejscowymi kobietami. Pewnie uznali, że to niezły sposób na wolny weekend. Bez wątplenia niektóre kobiety chętnie przystają na podobne rozrywki. Tyle że jak dotąd jakoś nie przyszło jej do głowy, że te kobiety mogą zachodzić w ciążę.

- Czemu matki nie zatrzymują tych dzieci? - zerknęła na sierociniec. Nikt na nie nie patrzył.

Kobieta spojrzała na nią z przerażeniem i potrząsnęła głową.

- Nie ma męża, nie ma dzieci. To niedobre.

No tak. Afgańskie kobiety może i wydostały się spod czadorów, ale wciąż muszą przestrzegać pewnych zasad współżycia społecznego. Niezameżna kobieta w ciąży to pewnie coś w rodzaju biblijnego trądu. Na dziedzińcu znów uniósł się tuman kurzu, Lauren osłoniła twarz. Gdy wiatr ustał, zmrużonymi oczami spojrzała na kobietę.

- A jak dostarczają tu te dzieci? I co się potem z nimi dzieje?

- Jest więcej - kobieta rozejrzała się i podeszła krok bliżej. - Spotkamy się tu za dwa tygodnie. Dwa tygodnie. Powiem resztę.

Dwa tygodnie upłynęły szybko. Gwałtowne starcia na przedgórzu wyciągnęły ją i Scanlona z hotelu na całe trzy dni po świętach. Dwukrotnie znaleźli się tak blisko działań wojennych, że zastanawiała się, czy ma dobrze w głowie. Dziennikarze lubią widzieć siebie jako nietykalnych, bezstronnych widzów wojennych rozgrywek. Prawda wygląda inaczej. Lauren doskonale zdawała sobie sprawę, że od wybuchu wojny przed ponad dwoma laty wielu dziennikarzy straciło życie.

Ale nadszedł 5 stycznia i wraz ze Scanlonem wyruszyli z powrotem do sierocińca. Jak dotąd nie napisała jeszcze nic na ten temat. Przed zabraniem się do roboty chciała znać wszystkie szczegóły sprawy. Gdyby sytuacja wyglądała tak, jak się jej wydawało, historia mogłaby trafić nawet na okładkę. Amerykańscy żołnierze pozostawiający za sobą całe pokolenie sierot? Przez miesiąc ta sprawa byłaby na ustach wszystkich.

Droga do sierocińca była wyboista, Lauren i Scanlon podskakiwali na tylnym siedzeniu. Dzień był znów słoneczny, suchy i wietrzny, tak jak codziennie od miesiąca. Było chłodniej niż poprzednio, ale nie tak bardzo. Oboje tak jak przedtem mieli na sobie szorty i podkoszulki bez rękawów. Siedzący obok Scanlon wyrżał przez okno i ciężko westchnął.

- Jakież dziwne mam przeczucia co do tej sprawy.

- J a też.

Podniosła swój sfatygowany plecak i pogrzebała w środku. Do takich tekstów potrzeba czegoś więcej niż tylko papier. Miała ze sobą dyktafon i zapas czystych taśm i baterii. Spojrzała na Scanlona.

- Mam przeczucie, że to będzie największa rzecz, jaka ukazała się o Afganistanie w ciągu ostatniego roku.

Potrząsała głową i zmrużył oczy, patrząc gdzieś poza nią, na nagie wzgórza wznoszące się za wąską szosą.

- Nie, to coś innego - spojrzał jej w oczy. - Dlaczego nie powiedziała ci wszystkiego, kiedy tam byliśmy za pierwszym razem? Musieliśmy wynająć następnego kierowcę - wskazał głową na drogę przed nimi - i drugi raz wlec się tam przez godzinę - urwał i patrzył przed siebie na drogę. - Jakież dziwne, nie uważasz?

- Scanlon, ty się za dużo martwisz - znów szperała w torbie. Wyjęła tubkę z filtrem przeciwsłonecznym. Przy tylnym oknie brzęczało parę much, przegoniła je dłonią. - Ta kobieta była śmiertelnie przerażona. Gdybyśmy pogadały jeszcze pięć minut, zemdlałyby tam ze strachu.

- No dobra - wyciągnął ramię na krawędzi oparcia i przekreślił się tyłem do drzwi. - Jednak czuję się nieswojo.

- A czuj się nieswojo nawet przez cały dzień - poklepała go po kolanie.  
- Tylko zrób mi zdjęcia tych bladoliczych dzieci w ukrytej sali.

- Widziałaś je? Wiesz, gdzie dokładnie są?

- Oczywiście że nie - wtarła emulsję w prawą łydkę i rozsmarowała ją w kierunku kostki. - Między innymi po to tam jedziemy. Ta kobieta ma dla mnie jeszcze jakieś informacje, a ja muszę ją przekonać, żeby pozwoliła mi tam zajrzeć.

- No to powodzenia - niespokojnie wodził wzrokiem to tu, to tam. Potrząsnął głową. - Ta kobieta boi się nawet z tobą rozmawiać, a ty myślisz, że zaprowadzi cię do tej tajnej sali? No, ale jeśli do tego dojdzie - pokiwał głową - to nic się nie martw. Będziesz miała sto zdjęć. Tylko - uśmiech znikł z jego ust - uważaj na siebie, Lauren.

- Zawsze uważam.

Więcej nie rozmawiali. Lauren nie mogła się doczekać, kiedy wejdą do środka, nie tylko po to, żeby porozmawiać z tą kobietą, ale przede wszystkim, żeby zobaczyć się z dziećmi. Miała już wśród nich kilkoro ulubieńców, z którymi związała się bliżej podczas ostatnich odwiedzin. W torbie jechała kolejna dostawa lizaków. Jeśli Scanlon nie miałby nic przeciwko temu, spędziłaby z nimi popołudnie. Kiedy wjechali na długi podjazd prowadzący do stojącego na uboczu budynku, zapłacili kierowcy i wysiedli. Powiedzieli im, że i tak nie ma dokąd jechać. Nie ma innych zleceń. Stanął pod jakimś pokrzywionym drzewem i otworzył okna.

- Będę tu na was czekał.

- Dziękuję - Lauren uśmiechnęła się i postukała w swój zegarek. - Ale to może potrwać kilka godzin.

- Okay - złożył ręce i przyłożył je do policzka. - Pośpię sobie tutaj.

- No to dobrze - Lauren skinęła mu głową i razem ze Scanlonem weszli do środka.

Dzieci bawiły się na podwórzu i w głównej sali. Jeśli ten dzień miał być taki jak poprzedni, to za jakiś kwadrans byłby lunch.

Nie minęła nawet minuta od ich wejścia, gdy podszedł do nich mężczyzna. Nie widzieli go tu przedtem.

- Witam, jestem Feni - jego akcent był ledwie wyczuwalny, mówił świetną angielszczyzną. - Macie zrobić artykuł o naszym sierocińcu, tak?

- Tak - Lauren postąpiła krok naprzód. Nie miała zamiaru mówić mu, że rozmawiała na boku z jedną z jego pracownic. - Ludzie chcą wiedzieć o dzieciach, jak bardzo wojna je skrzywdziła.

- Znakomicie - uśmiechnął się. - Jestem tutaj dyrektorem. Można mnie znaleźć w biurze, gdybyście potrzebowali czegoś się dowiedzieć.

Wskazał dłonią na dzieci bawiące się na podłodze.

- Nasze dzieci są bardzo miłe, pełne nadziei. Bardzo proszę... dajcie mi znać... gdybyście czegoś potrzebowali.

Podmuch wiatru zatrzęsł szybami w oknach. Lauren wyciągnęła dłoń do Feniego.

- Dziękuję. Znajdę pana, jeśli będziemy mieć pytania.

Mężczyzna skinął głową Scanlonowi, odwrócił się i poszedł z powrotem do biura. Kiedy znikł, Lauren przeszedł dreszcz.

- Czemu nie było go tu ostatnio?

- Mówiłem - Scanlon przysunął się do niej, tak że dotykali się ramionami.

- Mam jakieś dziwne przeczucia co do tej sprawy. Pamiętasz, co mówił rzecznik armii? Nigdy nie umawiać się z miejscowymi, chyba że przy całym gronie świadków. I nawet wtedy trzeba mieć oczy dookoła głowy.

- No tak - otarła wewnątrz dłoni o szorty i postanowiła, że nie da się nastraszyć. - Ale tu jest inna sytuacja. Ta kobieta tu pracuje, Scanlon - spojrzała na niego pewnym wzrokiem. - Naprawdę.

W tym momencie podbiegła do nich mała dziewczynka. Miała długie włosy do połowy pleców i Lauren od razu ją sobie przypomniała. Ostatnim razem niemal nie odstępowała jej na krok. Była słodka. Nie mogła mieć dużo więcej niż siedem lat, brakowało jej przednich zębów. Zatrzymała się pół metra przed Lauren i dygnęła.

- Dzień dobry, pani.

- Dzień dobry - Lauren uśmiechnęła się, patrząc jej w oczy. Wyciągnęła dłoń, i dziewczynka chwyciła ją, ściskając jej palce. - Senia, tak?

- Tak - wzrok dziewczynki wędrował na boki.

- Co słyhać, Seniu? - Lauren nie przestawała się uśmiechać, choć w środku czuła napływającą falę bólu. Tyle straciła, tracąc Emily. Bardzo dużo. Ale bolała ją nie tylko utrata córki. Także i to, że praca uniemożliwiała jej choćby tylko marzenia o adopcji takiej dziewczynki jak Senia.

Dziecko uśmiechało się jeszcze szerzej.

- U mnie dobrze - zerkała do torby Lauren. A potem uniosła brwi prawie do połowy czoła. - Cukierki, pani? Cukierki? Proszę! - wyciągnęła dłoń. - Proszę, pani.

Dzieci bardzo słabo znały angielski, ale z dumą go używały. Mogły mówić w swoim ojczystym języku i Lauren zrozumiałaby je. Szczególnie proste słowa i zdania, jakich używają dzieci. Ale najwyraźniej chciały jej zaimponować, mówiły więc głównie po angielsku.

Lauren uśmiechnęła się do dziewczynki.

- No dobrze. Ale - wskazała na stół już nakryty talerzami - dopiero po lunchu.

Dziewczynka spojrzała na stół i z miejsca zrozumiała. Skinęła głową i wstydliwie spuściła wzrok.

- Pani, ty ładna.

Scanlon stojący obok miał już aparat na wierzchu. Robił zdjęcia dziewczynce, jej błagalnemu spojrzeniu, podziwowi, z jakim patrzyła na Amerykanów.

- Przywiozłaś karty do gry, co? Wyjmij je i siadaj na podłodze. Ani się obejrzysz, a będziesz ich miała pełno dookoła siebie.

To był niezły pomysł. Lauren otworzyła torbę i wyjęła stosik kart. Podniosła je, tak żeby dziewczynka je zobaczyła, po czym powoli usiadła na podłodze.

- Chodź no tutaj - powiedziała jej. - Zagramy w coś.

Scanlon cofnął się trochę, a wokół Lauren w okamgnieniu usiadło kilkanaście dzieci, zgodnie wybałuszając oczy na widok kart. Chłopczykowi po swojej prawej stronie dała czwórkę trefl.

- Cztery - powiedziała mu. Podniosła do góry cztery palce i policzyła. - Jeden, dwa, trzy, cztery.

Oczy chłopca pojaśniały. Zakołysał się lekko i wziął kartę, trajkocząc do dziewczynki obok coś o liczbach i o graniu. Pozostałe dzieci wyciągnęły ręczki i czekały, aż Lauren każdemu da kartę i wyjaśni, co ona oznacza. Ciągłe jeszcze trzymały karty w dłoniach, gdy do sali wszedł sznurek pracownicy kuchni.

- Proszę tutaj - Lauren nadstawiła pudełko na karty i włożyła do środka resztę talii. Dzieci poszły za jej przykładem. - Później - mrugnęła do Senii. - Kiedy będą cukierki.

Dzieci spostrzegły kobiety podające do stołu i zerwały się na równe nogi. Zaczęły wdrapywać się na swoje krzesła przy stole.

- I gdzie ta informatorka? - Scanlon mówił cicho, tak żeby słyszała tylko Lauren.

Lauren przypatrywała się twarzom kobiet.

- Nie ma jej tu.

- Patrz.

Kobiety powoli podchodziły do stołu.

- Co się tu właściwie dzieje?

Kobiety spostrzegły Lauren i Scanlona i uśmiechnęły się, machając im dłońmi. W sali stłoczono sześć długich stołów, przy każdym siedziała dwudziestka dzieci. Lauren była zdumiona tempem, w jakim pracownicy rozłożyły kanapki na stole i ponalewały dzieciom wody do picia. Stanęła jakiś metr od stołu, Scanlon tymczasem wymieniał karty w swoim aparacie.

Lauren cały czas była przekonana, że spotka się z tą kobietą właśnie o tej porze. Poprzednim razem rozmawiały podczas lunchu i nikt im nie przeszkadzał, ponieważ dzieci były zajęte jedzeniem. Tylko gdzie ona teraz jest? I czy to przez Scanlona czuje się tak nieswojo, czy może też odczuwa to samo co on? To niejasne wrażenie, że w jakimś sensie coś jest w tym wszystkim nie tak?

Feni, mężczyzna z biura, wszedł na salę w czasie lunchu i przez kilka chwil obserwował dzieci. Spojrzał na nią i pomachał ręką. Odwzajemniła się, a on znów znikł w biurze. Patrzyła za nim, jak wchodził, ale widziała tylko biurko i aparat telefoniczny, niewiele poza tym.

- Ten cały Feni działa mi na nerwy - Scanlon miał otwarty aparat. Sprawdzają jakieś ustawienia. - Jakiś podejrzany gość.

Lauren przygryzła wargi.

- Może nie podoba mu się, że jacyś Amerykanie włączają mu się po sierocińcu.

- Może.

Dzieci kończyły akurat lunch, a Scanlon mówił coś na temat pracownic, że wydają się jakieś rozkojarzone, gdy Lauren spostrzegła kobietę idącą dziedzińcem ku drzwiom wyjściowym. Wstrzymała oddech: to była jej informatorka. Zatrzymała się przy wyjściu i spotkały się wzrokiem.

- No - Lauren nachyliła się do Scanlona, nie przestając się uśmiechać, tak żeby nie zwracać uwagi dorosłych obecnych w sali. - Jest. Zaraz wracam.

- Też idę - wsunął aparat do torby i ruszył do przodu obok niej.

- Nie - spojrzała na niego wzrokiem, który nie dawał żadnego wyboru. - Miałam przyjść sama.

Zacisnął wargi i jęknął.

- Niech ci będzie.

Spojrzał poza nią, ku drzwiom wejściowym.

- Nie odchodź za daleko.

- Nie odejdę.

Kiedy wychodziła z budynku, słyszała, jak dzieci wołają za nią. Obejrzała się przez ramię i widziała, że Scanlon zachodzi im drogę, zbiera je razem i tłumaczy, że ona zaraz wróci. Przyspieszyła kroku. Ma niewiele czasu. Wysłała na dziedziniec, kolejny podmuch wiatru uderzył ją ziarnkami piasku. Przysłaniając oczy dłonią, rozejrzała się, ale nigdzie nie dostrzegła kobiety.

- Halo! - zrobiła kolejne dziesięć kroków i znów obiegnęła wzrokiem dziedziniec. Było tam trochę zakamarków i ukrytych zakątków przy na pół zburzonym murze, ale kobiety nie było widać.

Poczuła chłód na plecach, spodziewając się, że lada moment Feni wyskoczy zza którejś ze zburzonych ścian. Miała pistolet, ale go ze sobą nie nosiła. Jeśli Feni coś uknuł, to nie miała większych szans. Już zamierzała się odwrócić i wracać do sierocińca, gdy usłyszała za sobą dziecięce głosy.

- Pani! - to była Senia, a za nią inna dziewczynka i dwóch chłopców. - Pani, cukierki! Proszę!

Lauren już miała im odmówić, powiedzieć, że cukierki będą jadły w środku i że muszą wracać i czekać na nią, gdy dziedziniec wybuchł kanonadą pocisków. Bezwiednie w ułamku sekundy obróciła się w stronę ich źródła i zobaczyła trzy sylwetki w czerni, każda z karabinem maszynowym wycelowanym w ich stronę.

- Przestańcie! - uniosła rękę w górę i obróciła się, żeby spojrzeć na dzieci. Dwójka leżała na ziemi. Ich białe koszulki były poplamione krwią, a spod ciała rozlewała się ciemna kałuża. - Nie!

Już miała do nich podbiec, gdy powietrze przeszła kolejna seria.

Pałacy ból przeniknął jej ramię i powalił na rozgrzany cement. Dostała. I choć machała nogami, próbując podnieść się i usiąść, nie była w stanie, nie mogła się ruszyć. Kilka głosów zaczęło krzyczeć jednocześnie. Patrzyła na pustynny piasek tam, gdzie stali strzelający. Wymachiwali karabinami i zaczęli iść w jej stronę. Wtedy zrozumiała. To o nią im chodzi. Pomimo bólu i chaosu myśli wiedziała, co się dzieje. Scanlon miał rację. To była zasadzka. W tamtej historii było zapewne jeszcze mniej prawdy niż w innych wyssanych z palca rewelacjach, które próbowano jej podrzucić. Zwykle starczało jej oleju w głowie, by unikać spotkań z anonimowymi informatorami obiecującymi szokujące wieści. Ale tym razem chodziło o dzieci... malutkie dzieci. Czuła, że traci przytomność, z trudem usiłowała nie zamykać oczu. Mężczyźni byli coraz bliżej. Chciała krzyczeć. Ale wtedy oni zaczęliby strzelać. Leżała więc bez ruchu. Może pomyślała, że ją zabili?

Może i zabili. W ramieniu czuła pałacy ogień, a pod sobą coś ciepłego i mokrego. Przed oczyma tańczyły jej plamki. Całą siłą woli próbowała nie poddawać się, nie ulec tej ciemności, która się nad nią zamykała. Nie - postanowiła. Jeszcze nie! Dzieci jej potrzebują. Dostały, dwoje z nich, prawda?

Kawałek po kawałku czołgała się w ich stronę. Ale właśnie wtedy zza drzwi na dziedziniec wypadł Feni i wystrzelił serię, powalając pierwszego z trzech zamachowców. W tym samym czasie padły strzały z okien sierocińca, i zanim zamachowcy się zorientowali, wszyscy trzej leżeli na ziemi. Feni podbiegł bliżej i pociągnął po nich jeszcze jedną serię. Widać nabrał pewności, że już więcej się nie porusza, bo pobiegł w jej stronę. Jednocześnie gdzieś z tyłu usłyszała głos Scanlona.

- Lauren! - już był przy niej, odwracał ją. - Musimy dostać pomoc - spojrzaj na Feniego, który akurat znalazł się przy nich. - Niech pan dzwoni po pomoc, błagam!

Poruszyła zdrowym ramieniem i złapała Scanlona za kostkę.

- Dzieci...

- Kobiety się nimi zajęły

Przełknął ślinę. Jego twarz była błąda i zmartwiona.

- Lauren, nie ruszaj się. Pomoc w drodze.

- To... tylko moje ramię.

Skrzywiła się. Z trudem wydobywała słowa. Poczwała, że znów mdleje.

- N i c . . . mi nie jest.

Pobiegła do nich jakaś kobieta z rolką bandaży. Wręczyła ją Scanlonowi, a on uwijał się prędko, ściskając mocno jej prawe ramię. Ból był jak rozżarzony do białości piorun uderzający w nią raz po raz. Pobudzał ją i przywracał kontakt z rzeczywistością.

- Musimy powstrzymać krwotok.



- Dzieci, Scanlon - odczekała, aż mocno obwinie jej ramię, i usiadła. Zbierało jej się na wymioty, ale przetrzymała to. Scanlon próbował ją powstrzymać, ale wyrwała mu się. Pełznąąc na czworakach pokonała metr powierzchni, który dzielił ją od grupki kobiet.

- Proszę! Dajcie... dajcie mi zobaczyć...

- Proszę zrobić miejsce - Scanlon postanowił zapanować nad sytuacją i pomógł zrobić przejście do dzieci leżących pośrodku koła zebranych.

Lauren doczołgała się do miejsca, z którego widziała już wyraźnie. Jednym z trafionych był mały chłopczyk. Jęczał i ruszał głową na boki. Leżał na ziemi. Lauren spozjrzała na miejsce, którym zajmowały się kobiety. Dziecku odstrzelono czubek kolana.

Przytknęła dłoń do ust i zdołała zapanować nad odruchem wymiotnym. A to drugie dziecko?

Kłęczący przy nim dwie kobiety. I dopiero wtedy Lauren spostrzegła, że płaczą. Płaczą, zawodzą, gładzą jego główkę. Lauren ciągle nie była pewna, które to, więc podczołgała się bliżej. I wtedy...

- Nie! Nie ona! - słowa, które wyszły z jej ust, były nieomal bezgłośnie, wypowiedziane resztką sił. Senia, dziewczynka bez przednich zębów. - Nie, błagam!

Scanlon usiadł przy niej.

- Lauren, przestań. Zajmują się nią.

Jedna z kobiet odchyliła głowę w tył. Podniosła ręce zaciśnięte w pięści i potrząsnęła nimi w kierunku nieba.

- Dlaczego? Dlaczego ona?

Lauren wyciągnęła rękę, ale zabrakło jej sił. Nie miała jak dosięgnąć dziewczynki.

- Scanlon, czy ona nie żyje? Powiedz mi - nie żyje?

- Lauren - położył dłoń na jej ramieniu. - Chodźmy stąd. Potrzebują miejsca do pracy.

Kobiety zawodziły coraz głośniej, dołączyły do nich pozostałe. Brakowało jedynie jej informatorki, tej, która musiała uciec, gdy zaczęła się strzelanina. Tej, która wprowadziła ją w tę zasadzkę. Lauren po raz ostatni podniosła wzrok. Oczy dziewczynki były otwarte i nieruchome. Jedna z płaczących kobiet najbliższej niej zamknęła najpierw jedną powiekę Senii, potem drugą.

Scanlon zbliżył głowę do głowy Lauren.

- Lauren, jej już nie ma. To fakt. Chodźmy.

Chciała podbiec do tego dziecka i utulić je. Nie zdążyły zjeść cukierków. A przecież tylko o tym marzyła ta dziewczynka. O lizaku. O lizaku i o tym, żeby trzymać ją za rękę, tak jak podczas poprzedniej wizyty Lauren w sierocińcu. Znow te plamki - Lauren oparła głowę na ziemi. Przecież nie jest jeszcze za póź-

no, prawda? Lizaki są w torbie. Jeśli znajdzie jeden i da go Senii, to może wszystko będzie...

Plamki zlały się w jedno i Lauren poczuła, że spada, jak gdyby spadała z trzydziestopiętrowego wieżowca i nic nie mogło jej zatrzymać. Z jej ust wychodziło coś ciepłego i słonego, ale nie mogła poruszyć głową. „Pomóżcie...”. Ale te słowa zamarły, zanim jeszcze dotarły do jej warg.

Czuła gorąco cementu przenikające jej ramiona i nogi, a potem zawrót głowy. Umierała. Pewnie dostała w klatkę piersiową, a nie w ramię. Jej serce wyrzucało z siebie wszystko - ocean żalu, pragnienie zapewnienia pokoju tym ludziom i wolę życia. To wszystko uchodziło z niej.

- Lauren, zostań ze mną! - głos Scanlona dobiegał z odległości wieluset mil, metaliczny, daleki. Jeszcze coś mówił, ale słabł coraz bardziej.

I nie było już nic.

Nic - prócz gorącego, palącego bólu, beznadziejnego smutku i ciemności.

## *Rozdział 19*

Shane kończył właśnie krótką odprawę z przyszłym pilotem myśliwców. Był to wykształcony 24-latek z widokami na karierę w szkole Top Gun. Przeszedł już wystarczająco długie szkolenie i czuł się pewnie. To miał być jego pierwszy samodzielny lot i Shane nie mógł niczego pozostawić przypadkowi. Trzymał przed sobą listę kontrolną.

- Procedura katapultowania się.

- Procedura katapultowania się, sir - młody człowiek wypowiadał słowa krótko i wyraźnie. Stał na baczność przez cały krótki egzamin, w kombinezonie w nienagannym stanie, z kaskiem pod pachą. I gdy Shane notował, on płynnie recytował idealny opis okoliczności i sytuacji, w których niezbędne jest katapultowanie się, a następnie dokładną charakterystykę całej procedury.

- Dobrze - Shane postawił znaczek przy słowach „katapultowanie się”.

Pozostały jeszcze trzy inne terminy, po czym Shane spojrzął na pilota.

- Gotowy?

- Tak jest, sir.

- No to spisz się, Doogie - Shane uśmiechnął się szeroko. - Pokaż nam, jak lataasz.

Ucisnął mu dłoń, obrócił się i poszedł w stronę wieży kontrolnej. Przez następne pół godziny był w nieustannym kontakcie z pilotem wykonującym

wszystkie rutynowe manewry w powietrzu. W końcu, dokładnie o czasie, pilot poprosił o pozwolenie na lądowanie.

- Zrozumiano, Doogie. Wracaj.

Lot oglądał z nad ramienia Shane'a jeszcze jeden instruktor. Shane podniósł rękę i obaj klepnęli się dłońmi. Jeszcze raz włączył przycisk nadawania.

- Doogie, teraz rozumiem, dlaczego rekomendowano cię do Top Gun. Do brze się zapowiadasz.

- Dziękuję, sir.

Shane spędził jeszcze kwadrans na wypełnianiu papierków i rozmowie z młodym pilotem. Przyszła pora na lunch. Przeszedł na drugą stronę sali i otarł pot z czoła. Chmury sprzed paru tygodni już odpłynęły, styczniowe słońce grzało mocniej niż zwykle.

Zszedł do stołówki i kupił sobie sałatkę z kurczaka. Zajął samotne miejsce przy stoliku na zewnątrz, na tarasie z widokiem na pas startowy. Było głośno, ale Shane'owi to nie przeszkadzało. Każde lądowanie i każdy start wciąż powodowały w nim przypływ adrenaliny i tęsknotę za miejscem w kokpicie. Pochylił głowę i podziękował Bogu za posiłek.

Potem poprawił okulary słoneczne i wpatrzył się w przestworza. Nic nie mogło się równać z lotem F- 16 nad Newadą, zahaczeniem o Nowy Meksyk i powrotem wzdłuż wybrzeża Kalifornii w ciągu niespełna pół godziny. Tego rodzaju poczucie siły pozostawało w człowieku na zawsze. Pochylił się i oparł łokcie o szklany blat.

Co on takiego ostatnio widzi w tym lataniu? Jego praca jako instruktora pilotażu zawsze dawała mu zadowolenie, ale teraz wprost nie może się doczekać każdego kolejnego dnia pracy z młodymi pilotami. Do jego zadań należy wprowadzić utrzymanie się samemu w należytej formie, ale od czasu przyjęcia zaręczynowego spędza w powietrzu dwa razy więcej godzin, niż wymaga regulamin. Tak jakby wciąż było mu mało latania.

Miał na widelcu kolejny kęs sałatki, kiedy poczuł wibracje komórki w kieszeni. Przy takim hałasie z pasa startowego nigdy nie usłyszałyby dźwięku komórki, gdyby nie ustawił jej na wibracje.

Wyciągnął telefon i zerknął w okienko z informacją, kto dzwoni. Ellen. Powinien poczuć dreszcz podniecenia. Ale nie poczuł.

Wcisnął zieloną słuchawkę.

- I jak tam, moja mała? - odłożył widelec i odsunął się nieco od stołu, żeby oprzeć jedną z kostek o kolano drugiej nogi.

- Hej - mówiła głośno, a w tle Shane słyszał harmider innych głosów. - Jestem w Waszyngtonie. I nie uwierzysz!

W Waszyngtonie? Czy on wiedział, że ona tam jedzie? Potarł brew palcami.

- Ty jesteś w Waszyngtonie?

Westchnęła ze zniecierpliwieniem.

- Tak, Shane. Mówiłam ci w środę, że jadę na weekend do Waszyngtonu. Tata zaprosił paru znajomych - mówiła już lżejszym tonem - chciał, żebym ich poznała.

- Aha.

Shane opuścił w końcu rękę na kolana. Nie pamiętał, żeby wspominała o wyjeździe. Na dobrą sprawę nie miało to znaczenia. Latała do Waszyngtonu przynajmniej raz w miesiącu. Ściągnął ciemne okulary i sprawdził, czy nie ma na nich rys. Nie było.

- No dobra, i co tam słyszeć?

- Wzięłam nocny lot i udało mi się zdążyć na parę spotkań - jej głos drżał z podniecenia. - Było mnóstwo grubych ryb z partii i tata szepnął za tobą słówko.

- Tak? - znów włożył okulary i patrzył na parę F- I6 podchodzących do lądowania. Zaśmiał się, ale sam zdawał sobie sprawę, że w jego głosie nie ma rozbawienia. - Ellen, przecież o tym rozmawialiśmy. Nie ubiegam się o żaden urząd.

- Wiem, ale to bez znaczenia - nie dała się zbić z tropu i mówiła jeszcze głośniej. - Przepraszam za ten hałas. Spotkanie właśnie się skończyło. Tata wyjaśnił to wszystkim. Powiedział, że w chwili, kiedy już znajdziesz się na listach, chciałby, żeby wszyscy wiedzieli, kim jesteś.

Shane poczuł dziwny dreszcz.

- Wszyscy?

- Tak... - przerwała na moment dla większego efektu. - Nawet prezydent, Shane. Cała partia jest entuzjastycznie nastawiona.

- Nadzwyczajne! - usiłował wyobrazić sobie ojca Ellen rozbudzonego u największych rozstawiających wśród Republikanów entuzjazm dla swego przyszłego zięcia. Ten obraz robił wrażenie. - Podziękuj mu w moim imieniu.

- Chce, żebyś w przyszłym miesiącu przyjechała razem ze mną. Wszyscy chcą cię poznać.

- Niezły pomysł.

Na innym pasie startował właśnie inny samolot. Shane wyobraził sobie siebie w jego kokpicie. Zamrugał powiekami i uchwycił się poręczy krzesła.

- Muszę się zorientować, czy dadzą mi wolne.

Ellen zachichotała.

- Jeśli chce się z tobą zobaczyć prezydent Stanów Zjednoczonych, to marynarka chyba rozważy zwolnienie cię od obowiązków na parę dni.

- No tak - przekreślił się na krześle i wyprostował nogi. - Wiesz co, lunch już się kończy. Powiniennem lecieć.

- W sumie ja też.

Pisnęła z podniecenia.

- Och, Shane, ale jestem podekscytowana na myśl o tobie. Na myśl o nas.
- No tak. Dzięki. Pozdrów tatę ode mnie.

Rozmowa skończyła się i dopiero wtedy Shane uświadomił sobie, że nie powiedział jej, że ją kocha. Oczywiście nie powtarzali tego sobie przy każdej okazji. Zwykle wtedy, gdy byli sami albo gdy żegnali się po wieczornym spotkaniu. Ale nawet wtedy brzmiało to jak formalność.

Wsunął komórkę z powrotem do kieszeni munduru. Jeśli naprawdę chce być politykiem, jeśli chce mieć szansę reprezentowania ludzi z ramienia Partii Republikańskiej, to powinien się teraz czuć tak, jakby latał nad pasem startowym bez żadnego samolotu. O takiej szansie większość młodych polityków mogła tylko pomarzyć. Świetne koneksje, przychylność powszechnej opinii, poparcie przywódców, w tym samego prezydenta.

Shane wziął widelce i nabrał kolejną porcję sałatki. Powinien odczuwać podniecenie. W dniach po przyjęciu zaręczynowym sporo rozmawiali z Ellen o takiej możliwości i musiał przyznać, że była ona kusząca. Ten kraj czeka na kogoś o jego pokroju moralnym - powiedziała mu. Wszyscy tak mówią. Grzebał widelcem w sałatce. Zielona sałata zdążyła już nieco przywędnać, ale był zbyt głodny, żeby mu to przeszkadzało. Wziął do ust kolejny kęs i przypomniał sobie plan, który obmyślili wspólnie z Ellen. Miał pracować jeszcze przez rok jako instruktor pilotażu. W tym czasie w maju wzięliby ślub i spędziliby miesiąc miodowy na Jamajce. Pod koniec roku zgłosiłby swoją chęć kandydowania. Jego rodzice i ojciec Ellen kredytowałyby ich przez następny rok, gdy on gromadziłby poparcie w Newadzie. „A potem, mój chłopcze - powiedział mu jej ojciec, gdy widzieli się ostatnim razem - nie będzie takiej siły, która by mogła cię powstrzymać”.

Brzmiało to wspaniale. Kto nie odczuwałby podniecenia na myśl o takim planie? A jednak... Shane patrzył w niebo. W tym planie nie było nic z niego samego. Zanim poznał Ellen, wystarczała mu praca instruktora w Top Gun. „Wystarczała”? Nie, to złe słowo. Nie tak to odczuwał. To był sen spełniony na jawie. Owszem, myśl o starcie z listy Republikanów wydawała się niezła, ale nie mogła się równać z uczeniem młodych chłopaków, jak stać się gwiazdą pilotażu myśliwców.

Musnął go ciepły powiew. *Boże, wszystko dzieje się tak szybko. Czuję się tak, jakbym się zgubił.*

Czekał na jakąś odpowiedź, znak Bożego prowadzenia. Ale dziś niczego podobnego nie doznał - żadnego wrażenia zrozumienia, żadnych cichych wewnętrznych szeptów dodających otuchy. Patrzył, jak kolejny odrzutowiec opuszcza pas startowy, wznosząc się ku niebu nad Reno.

*No dobrze, Boże. Wiem, że jesteś. Nawet jeśli Cię nie czuję. Proszę Cię, daj mi mądrość. Chociaż trochę mądrości, tak żebyśmy wiedzieli, co zrobić dalej.*

Wciąż nie czuł żadnej odpowiedzi. Wrócił do sałatki i nagle - tak jak to się działo codziennie od chwili przyjęcia zaręczynowego - w jego myślach pojawiła się twarz Lauren Anderson. W tej sprawie też się modlił. Miał się żenić. Najwyż-

szy czas na zawsze zapomnieć o Lauren. Spojrzał na sałatkę i obraz dziewczyny rozplątał się.

Kurczak był letni, ale smaczny. Jedząc, myślał o swojej modlitwie. Mądrość. Jej właśnie potrzebował. Ukierunkowania, co robić dalej. Czegoś, co pomogłoby mu zrozumieć, dlaczego jest taki niepewny co do przyszłości, która jeszcze parę miesięcy temu wydawała mu się świetlana i ekscytująca. Właśnie. Potrzebował mądrości.

Żeby nie podjąć decyzji, której będzie całe życie żałował.

## Rozdział 20

Emily była już w zasadzie pewna, że jej ojcem jest ów instruktor z elitarnej szkoły pilotów marynarki, Top Gun. Tyle że nie umiała tego udowodnić. Znała jego datę urodzenia, opis wyglądu i nazwisko. Ale trzykrotnie kontaktowała się z tą szkołą i za każdym razem nie otrzymywała żadnych informacji. Ostatnim razem zadzwoniła w piątek, dwa dni wcześniej. Ta rozmowa wyjątkowo ją przybiła.

- Dzień dobry - próbowała nadać głosowi brzmienie starsze niż swoje 18 lat.  
- Przygotowuję reportaż o waszym programie szkolenia pilotów... - wstrzymała oddech.

- Musi pani rozmawiać z biurem rzecznika.

Rozmówca przełączył ją do odpowiedniego działu. Nie przejęła się tym. Tak było i za dwoma poprzednimi razami. Odczekała, aż ktoś odbierze.

- Biuro prasowe, szeregowy Walton, słucham.

- Dzień dobry... - urwała na chwilę, żeby nie sprawiać wrażenia zdesperowanej. - Jestem dziennikarką, pracuję jako wolny strzelec. Piszę właśnie reportaż o instruktorach pilotażu.

- W czym mogę pomóc? - kobieta była uprzejma, ale po głosie było słychać, że się śpieszy.

- Chciałabym umówić się na rozmowę z jednym konkretnym instruktorem. Nazywa się Shane Galanter.



- Kapitan Galanter to bardzo zabiegany człowiek. Może wystarczy, jeśli przefaksuję pani listę odpowiedzi na najczęściej zadawane pytania?

- To już od państwa dostałam - zaśmiała się uprzejmie Emily. - Ale przy reportażu niezbędna jest osobista rozmowa z choć jednym z pilotów. Zebrałam wstępnie materiał na temat państwa instruktorów i naprawdę chciałabym rozmawiać z kapitanem Galanterem.

- Wie pani co, proszę mi przesłać listę pytań, a ja zobaczę, czy pan kapitan mógłby na nie odpowiedzieć jakoś w przyszłym tygodniu... - w jej głosie zabrzmiała nagle dekoncentracja. - Coś jeszcze?

- Wie pani co - Emily czuła, że rozmowa jej się wymyka - może pomogłaby mi pani coś ustalić. Kiedyś już miałam przyjemność rozmawiać z kapitanem Galanterem i chciałabym się upewnić, czy mówimy o tym samym człowieku. Ciemne włosy, ciemne oczy, wysoki, zgadza się? Trzydzieści sześć lat?

Kobieta zawahała się.

- Proszę pani, my nie udzielamy tego typu informacji o naszych instruktorach lotów ani w ogóle o nikim. Obawiam się, że nie będę pani mogła pomóc przy tym reportażu - i odłożyła słuchawkę, zanim Emily zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Było niedzielne popołudnie, a przygnębienie Emily wzrastało z godziny na godzinę. Dzwoniła już do firmy ubezpieczeniowej w Riverside w Kalifornii. Nie trwało ani pięć minut, gdy zorientowała się, że 58-letni rudowłosy szef biura nie jest tym Shane'em Galanterem, którego szuka. Innych wyeliminowała równie szybko i pozostały tylko dwie możliwości. Albo jej ojciec był instruktorem w szkole Top Gun, albo też w ogóle nie było o nim wzmianki w Internecie.

Siedziała na łóżku, obłożona pamiętnikami matki i zeszytami z jej opowiadaniem. Dziadkowie pojechali do sklepu, ale mieli niedługo wrócić. Dziadek już bardzo opadł z sił i wyglądał o wiele gorzej niż podczas świąt.

- Nie rozumiem - powiedziała babci któregoś dnia w ubiegłym tygodniu. - Nie miałam pojęcia, że rak może posuwać się tak szybko.

- Tak czasem bywa - babcia znów miała łzy w oczach. Przytknęła dłoń do policzka. - Już niewiele czasu mu zostało, Emily. Oboje tak bardzo się cieszymy, że jesteście w domu.

Emily przeszły ciarki na samą myśl. Dzięki Bogu, że nie musi wracać do szkoły przed 6 lutego. Niektórzy koledzy zapisali się na krótsze, jednosemestrowe kursy w styczniu, ale Emily postanowiła zostać w domu. Dziadkowie jej potrzebują. A ona musi odnaleźć rodziców. Bezwzględnie musi ich odnaleźć. Szybko pogarszający się stan dziadka świadczył o tym dobitnie.

Z samego rana w poniedziałek miała zrobić coś, co powinna była zrobić już tydzień wcześniej. Miała zadzwonić do szkoły Top Gun i zostawić jasną wiadomość. „Proszę przekazać Shane'owi Galanterowi, żeby skontaktował się z Emily Anderson z Wheaton w Illinois”. Zostawiłaby swój numer telefonu i modliła-

by się dalej. Postanowiwszy tak, wpatrywała się w zeszyty i pamiętniki matki, rzucone naokoło na łóżku, i zmusiła się do znalezienia czegoś, czego do tej pory nie spostrzegła. Otworzyła jeden z pamiętników i przeczytała kilka wpisów. Każdy był oknem do duszy jej nastoletniej matki. W żadnym jednak nie było nic, czego mogłaby się uchwycić, co doprowadziłoby ją tam, gdzie matka jest obecnie. Wstała i podeszła do okna. Ziemię pokrywała trzydziestocentymetrowa warstwa śniegu, a całe życie jawiło jej się dokładnie tak jak poszukiwania matki: zamrożone i uśpione. *Boże...* Spojrzała w niebo zakryte gęstymi chmurami i próbowała sobie wyobrazić, że Bóg spogląda na nią tam z góry. *Ty wiesz, gdzie ona jest. Więc pokaż mi, jak ją odnaleźć, dobrze? Panie, mam coraz mniej czasu. Błagam...*

Była spokojna, opierała nos o zimną szybę. I wtedy jakimś ledwie uchwytnym wewnętrznym głosem dosłyszała słowa Pisma. *Jam jest Alfa i Omega... Początek i Koniec... Który jest, Który był, Który przychodzi.*

To były słowa z Objawienia - i w ułamku sekundy uporządkowały jej świat. Bóg jest wszystkim. Panem i Zbawcą, Alfą i Omega. O co ona będzie się martwić? Przepętniło ją jakieś poczucie oszołomienia. Bóg ma więcej imion, niż ona jest sobie nawet w stanie wyobrazić, więcej imion niż...

Nagle spadło to na nią jak grom z jasnego nieba, olśniło ją.

A jeśli matka używa więcej niż jednego nazwiska?

Wszyscy uznali, że zmieniła nazwisko, bo inaczej prywatni detektywi wynajęci przez dziadków już dawno by ją odnaleźli. Emily pomknęła z powrotem do łóżka i chwyciła pierwszy kołonoatnik, jaki jej się nawinął pod rękę. Gorączkowymi ruchami palców otworzyła okładkę i wpatrzyła się w stronę tytułową.

*„Letni dzień”*

*napisała Lauren Gibbs*

A jeśli matka używa nazwiska Lauren Gibbs? Emily nie mogła oderwać od niego wzroku - i nagle strzeliła dłonią w kolano. No jasne! Czemu wcześniej na to nie wpadła! Kiedy dziadek powiedział, że to nazwisko bohaterki jakiejś powieści, uznała, że nie ma sensu szukać go w Internecie. Odnalazłaby co najwyżej tę książkę, którą mama tak lubiła jako nastolatka. Ale teraz...

Rzuciła zeszyt i pobięła korytarzem do biura. Po paru chwilach komputer był włączony i połączony z Internetem.

- Boże... - wyszeptała. Jej palce drżały. - To Ty mi to dałeś. Czuję to.

Uniosła dłonie nad klawiaturą, wstukała nazwisko i uderzyła „enter”. Kiedy dysk pracował, nie mogła nawet oddychać, i po chwili pojawiła się lista stron internetowych.

Emily wpatrzyła się w nie i zaczęła czytać na głos.

- Korespondent magazynu „Time” Lauren Gibbs przebywa w Afganistanie od...

Serce Emily waliło jak szalone. Korespondent magazynu „Time”? Spojrzała na kolejny punkt.

- *Dzieci wojny* - raport na temat sierot z czasu operacji Enduring Freedom. Autorka: Lauren Gibbs, korespondentka magazynu „Time”. Zdjęcia...

Czytała tak kolejne elementy z listy, a kiedy doszła do końca strony, trzęsła się cała od stóp do głów. W każdym z punktów Lauren Gibbs była reporterką „Time'a”. Emily przycisnęła dłoń do czoła, żeby się uspokoić, tak jak podczas meczu, gdy napięcie za bardzo rośnie.

- Dobra. Boże, pomóż mi przez to przejść.

Sam fakt, że Lauren Gibbs pisała do „Time'a”, nie oznaczał wcale, że Emily odnalazła matkę. W okienko wyszukiwarki wpisała „Lauren Gibbs Time profil”. Wyniki pojawiły się równie szybko jak przedtem. W pierwszej linii ce było napisane jedynie „Profil Lauren Gibbs, korespondentki magazynu „Time”.

Klikając w ten link, Emily znów wstrzymała oddech. I nagle pojawiło się zdjęcie na jedną czwartą ekranu.

Kobieta na zdjęciu była blondynką, ładną w taki bezpretensjonalny sposób. Ubrana w kolor khaki, w tle widniało coś przypominającego namioty wojskowe. Więcej jednak mówił wyraz jej twarzy. Bardzo osobliwy, wyrażający jednocześnie wszystko i nic. Wyraz twarzy, który Emily widywała częściej, niż jej się zdawało.

Na własnych zdjęciach.

- Boże drogi... - jej oczy napełniły się łzami. Wyciągnęła rękę i gładziła palcami zdjęcie na ekranie. To jej matka, jest tego absolutnie pewna. Po całym życiu spędzonym na poszukiwaniach w końcu odnalazła kobietę, która odeszła z jej życia, gdy Emily była jeszcze niemowlęciem. Nie miała najmniejszych wątpliwości, żadnych. Ponieważ spoglądanie na zdjęcie tej kobiety przypominało pod wieloma względami spoglądanie na jej własne zdjęcie.

Znów ułożyła dłonie na klawiaturze i przejrzała całą charakterystykę sylwetki, smakując każdy najmniejszy szczegół, wszystkie kawałki, których tak długo jej brakowało. Stałym miejscem pracy Lauren Gibbs było Los Angeles, ale ostatnie trzy lata spędziła głównie na Środkowym Wschodzie. Miała 36 lat i dyplom magistra dziennikarstwa z Uniwersytetu Południowej Kalifornii. Odbyła praktyki w „Los Angeles Times”, a kilka lat później, gdy miała zaledwie 26 lat, dostała etat w magazynie „Time”.

Tę ostatnią część Emily przeczytała na głos. Lauren Gibbs zdobyła liczne nagrody za swe odważne relacje z wojen w Afganistanie i Iraku. Chwalono ją za pomoc w sprowadzeniu na Środkowy Wschód pomocy humanitarnej oraz w uruchomieniu wielu sierocińców w tym regionie świata. Jest niezamężna, nie ma dzieci.

Co? Emily gwałtownie oparła się o krzesło. Ta ostatnia linijka krzyczała jej prosto w oczy, bojąc tak, jakby ktoś uderzył ją w twarz. Pierwsza część zdania

była smutna, ale prawdziwa. Matka pojechała do Los Angeles, odszukać miłość swojego życia i poszukiwania te najwyraźniej nie przyniosły rezultatu.

Ale...

Nie ma dzieci?

- Więc tak mówisz ludziom, mamó? - nowa fala łez popłynęła jej po policzkach. Emily nawet nie próbowała ich wycierać. Ta informacja była kłamstwem - i rozłościła ją. Lauren Gibbs - Lauren Anderson - ma dziecko. Jak najbardziej. Ma córkę. Nawet jeśli sądzi, że ta córka nie żyje, to jednak ma dziecko.

Emily wpatrywała się w zdjęcie matki, próbując przeniknąć poza ból w jej oczach. Ludzie mogli myśleć, że to spojrzenie jest zimne jak kamień, tak jak się tego zwykle oczekuje od twardego dziennikarza. Ale Emily rozpoznała je. Tak wyglądała ona sama, kiedy pozwoliła, aby jakaś sytuacja przytoczyła ją. Kiedy przeżycie ciężkiego dnia bez mamy i taty okazywało się ponad jej siły. Kiedy koleżanki z drużyny wypatrywały rodziców na ławkach i machały do nich i kiedy ta prawda znów do niej docierała: jej rodzice nie widzieli ani jednego jej meczu.

Znów dotknęła obrazu na ekranie, wodząc palcem po policzku matki, potem po brodzie.

- Czy tak łatwo ci było ze mnie zrezygnować? Przekonać samą siebie, że nigdy nie istniałam?

Łzy zmieniły się w szloch. Odsunęła się od komputera i zwiesiwszy głowę dała upust długim latom smutku, wątplenia i znaków zapytania.

Po kilku minutach poczuła, że ktoś stoi w drzwiach za nią.

- Emily? - to był głos babci, przestraszony. - Co się...

Emily wyprostowała się i spojrzała przez ramię. Między szlochami rzuciła:

- Znalazłam ją. Znalazłam mamę.

Babcia wyglądała tak, jakby za chwilę miała zemdleć z wrażenia. Zbladła i przysiadła na poręczy kanapy, ze wzrokiem przykutym do ekranu komputera.

- Jak ty...

Emily przeciągnęła pięściami po oczach i zdołała opanować się odrobinę.

- Ona... ona się nazywa Lauren Gibbs.

- Lauren Gibbs.

Babcia zerwała się na równe nogi, jak w transie, idąc przez pokój w stronę monitora. Im bliżej podchodziła, tym większy ból był na jej twarzy. Wyciągnęła rękę do ekranu i krzyknęła:

- Lauren... moje dzieciátko!

Przytknęła dłoń do ust i potrząsnęła głową. Znów wyciągnęła rękę i łzy popłynęły z jej oczu.

- Moja dziewczynka.

Emily nie mogła powstrzymać płaczu. Przez całe swoje życie, gdy mieszkała z dziadkami, wspomnieli o jej matce może kilka razy. Tak jakby chcieli jej zapewnić możliwie najnormalniejsze życie, nie w atmosferze smutku i żalu. Ale te-

raz - patrząc na babcię - znała już prawdę. Ta kobieta bolała nad utratą córki każdego dnia swojego życia. Emily patrzyła, jak cofa się o kilka kroków i siada na poręczu kanapy, tej najbliższej ekranu. Potem ukryła twarz w dłoniach i płakała, modląc się głośno tak, jak dyktowały jej uczucia.

- Boże, znalazłeś ją dla nas. Dzięki Ci... dzięki. Moja dziewczyneczka... moja Lauren.

Emily podeszła do niej i objęła ją. Babcia była dla niej pod każdym względem jak matka, obydwie jednak wiele kosztowało życie bez kobiety widniejącej na ekranie. A powodów ich łez było bez liku. Choćby wszystkie stracone urodziny Emily i przeoczone sukcesy, wszystkie jej lata szkolne i nastoletnie, i turnieje piłkarskie, kiedy skrycie cierpiała z powodu matki. Ale były to też łzy ulgi. Bo znalazły ją przecież. Nareszcie.

Emily pociągnęła nosem i wzięła trzy głębokie wdechy.

- To ten cud, o który się modliliśmy.

Babcia odsłoniła twarz i znów spjrzała na ekran. Tusz do rzęs pozostawił pod jej oczami ciemne smugi, cera na policzkach była czerwona i nieładna. Ale Emily nigdy jeszcze nie widziała jej radośniejszej. Babcia wzięła z biurka dwie chusteczki papierowe i jedną wręczyła jej. Obydwie wytarły nosy i oczy.

- Ciągłe nie mieści mi się to w głowie - babcia nachyliła się i spjrzała Emily w oczy. - Nie mieści mi się w głowie, że nawet nie myślałyśmy o tym parę tygodni temu.

- Mnie też nie - Emily pociągnęła nosem, ale czuła, że na jej ustach igra uśmiech. - Stałam przy oknie w swoim pokoju i błagałam Boga, żeby dał mi kolejną wskazówkę. I wiesz, co zrobił?

- Co? - babcia wyciągnęła rękę i chwyciły się za dłonie.

- Przypomniał mi o swoich imionach, swoich wszystkich cudownych imionach.

Wydała dźwięk, który bardziej przypominał śmiech niż szloch.

- I nagle wszystko było jasne. Bóg ma dziesiątki imion, a niektórzy ludzie też nazywają się rozmaicie.

Babcia wyglądała na wyczerpaną, tak jakby nie była nawet w stanie utrzymać się na nogach.

- I co teraz robimy?

Emily puściła jej rękę i znów usiadła na krześle przed komputerem. Wsunęła się głębiej i jeszcze raz przejrzała charakterystykę obok zdjęcia matki. Na samym dole było to, czego szukała. Link, na którym było napisane: „Kontakt z Lauren Gibbs”.

Emily zachłysnęła się własnym oddechem i pokręciła głową. To było dla niej już za wiele, ale nie miała zamiaru teraz się zatrzymać.

Kliknęła w link i otworzyło się okienko z e-mailem. W górnej linii widniał adres matki: [Lauren.Gibbs@TimeMagazine.com](mailto:Lauren.Gibbs@TimeMagazine.com). Jej ręce ciągle się trzęsły, ale

przeszła do linii z tematem i wstukała: „Od Emily”. Potem przesunęła kursor na pole z tekstem i wzięła głęboki oddech. Przez całe życie zastanawiała się nad tym, co teraz powinna napisać. Jej palce zaczęły wędrować po klawiaturze, a słowa tworzyły się bez najmniejszego wysiłku.

„Dzień dobry, nazywam się Emily Anderson, mam 18 lat”.

Odetchnęła ciężko i spojrzała na babcie.

- Nie mogę uwierzyć, że to robię.

Babcia wyglądała na osłupiałą, oszołomioną.

- Pisz, pisz.

- Dobrze - Emily znów spojrzała na ekran.

„Myślę, że być może jest Pani moją matką. Szukałam Pani, odkąd tylko byłam na tyle duża, żeby wiedzieć, jak to robić. Mieszkam z dziadkami - Billem i Angelą Anderson. Oni również Pani szukali. Ale dziś wpadłam na pomysł, żeby poszukać pod nazwiskiem Lauren Gibbs, ponieważ tego właśnie nazwiska matka używała w młodości, podpisując swoje opowiadania. Dowiedziałam się o tym parę tygodni temu. Poszukałam w Internecie i znalazłam Pani stronę. Bardzo proszę, czy mogłaby Pani odpisać i dać mi znać, czy trafiłam na właściwą osobę? Z oczywistych względów jest to dla mnie bardzo ważne. Z poważaniem, Emily Anderson”.

Zabrała dłonie z klawiatury i jeszcze raz przebiegła wzrokiem wiadomość. Miała ochotę napisać jeszcze milion innych rzeczy, ale najpierw trzeba było nawiązać kontakt. Kiedy już matka przeczyta e-mail, będą mogły rozmawiać o wszystkim innym. Na przykład dlaczego zmieniła nazwisko, co robiła przez ostatnie 19 lat i czy udało jej się wpaść na jakiś trop Shane'a Galantera.

Westchnęła ciężko.

- Tyle musi na razie wystarczyć.

Babcia przytaknęła.

- Wyślij to, skarbie. Proszę.

Emily przesunęła kursor na klawisz „wyślij” i kliknęła. W ułamku sekundy e-mail poszedł. Emily wpatrywała się w ekran i myślała jeszcze przez chwilę. Pozostają jeszcze do rozwiązania pewne problemy logistyczne. Jeśli matka jest daleko w Afganistanie, to być może nie od razu przeczyta ten e-mail. Żołnierze mogą odbierać e-maile. Emily wiedziała o tym, bo była w kontakcie z paroma kolegami z liceum, którzy służyli w oddziałach na innych kontynentach. Z dziennikarzami pewnie jest podobnie. A może ma inny adres służbowy, którego używa do kontaktu z redakcją? A ten podany na stronie jest przeznaczony dla czytelników i zagląda na niego tylko wtedy, kiedy jest w kraju?

Emily spojrzała na babcie i odpędziła obawy.

- Musimy się modlić.

- T a k .

Złapały się za ręce.

- Tak zrobimy.

Emily przymknęła oczy i przez kilka chwil była zanadto przejęta, żeby coś powiedzieć. Po paru sekundach zdołała wydobyć z siebie głos.

- Najmilszy Panie, dziękuję!

Zachichotała tak, że zabrakło jej tchu.

- „Dziękuję” to w ogóle nieodpowiednie słowo. Boże, cud, o który prosiliśmy, jest na wyciągnięcie ręki, więc... proszę, niech moja mama przeczyta ten e-mail jak najszybciej. I nakłoń ją, żeby mi odpowiedziała, tak żebyśmy mogły się spotkać - urwała, przejęta. - Panie, robię to, o co prosisz. Modłę się, oczekując Twojej pomocy. Z góry Ci dziękuję, Boże. Proszę Cię w Twoje imię. Amen.

Kiedy otworzyła oczy, babcia wskazała na ekran.

- Skarbie, wydrukuj to dla mnie, dobrze?

Emily uśmiechnęła się szeroko i uściśnęła ją.

- Jasne.

Kiedy zdjęcie już się wydrukowało, Emily wzięła je i podała babci. A potem wydrukowała jeszcze jedno, dla siebie.

- Dziadek odpoczywa na dole. Ostatnio słyszy wyłącznie złe wieści - Angela spojrzała na wydrukowaną stronę. - Więc chodźmy i przekazmy mu najlepszą z możliwych. Wiadomość, na którą czekał przez 18 lat.

Pod Angelą ugięły się nogi, gdy schodziła po schodach, trzymając Emily pod rękę. Jej serce mieniło się od świetlistych barw - bo nastał dzień, o którym sądziła, że nigdy nie nadejdzie. Znalazły Lauren! Po tych wszystkich prywatnych detektywach i śledztwach, po telefonach do wysokich urzędników, znalazły ją w najprostszy możliwy sposób. Dzięki informacjom, które przez blisko 20 lat tkwiły paręnaście metrów od nich - w garażu.

Zeszły do salonu i zastały Billa w jego fotelu, siedzącego z zamkniętymi oczami.

- Bill - Angela wysunęła do przodu zadrukowaną kartkę i podeszła do niego. Emily trzymała się z tyłu.

Otworzył oczy i na jego twarz powoli wpłynął uśmiech. Wyciągnął do niej rękę.

- Cześć, najdroższa.

Spojrzał poza Angelę.

- Emily, co tam u ciebie?

- Wszystko dobrze, dziadziu - zdołała uśmiechnąć się przez łzy

Angela podeszła jeszcze bliżej.

- Kochanie, chcę ci coś pokazać - głos jej drżał. Była o włos od płaczu. Podała mu wydruk. - Emily znalazła Lauren.

Bill wyprostował się nagle, a jego uśmiech znikł. Wziął wydruk i spojrzał na niego z wyrazem osłupienia na twarzy.

- Co... jak....? - siedział tam tak, wpatrując się w informacje na kartce, i nagle jego broda zaczęła drżeć.

Kątem oka Angela dostrzegła, jak Emily wchodzi dalej do pokoju i siada na brzegu kanapy. Musiała sobie przypominać, że trzeba oddychać. Objęła męża za szyję.

- Bóg wysłuchał naszych modlitw, Bill. Naprawdę.

Jej oczy znów zaczęły ją szczypać, gdy patrzyła, jak zamyka oczy i skubie grzbiet nosa. Potrząsnął głową, tak jakby chciał powiedzieć, że nie może oswoić się z myślą o znalezieniu Lauren. Angela wyprostowała się i pozwoliła mu spokojnie przeżywać tę chwilę. Właściwie żadne z nich nie potrafiło uwierzyć, że Lauren się odnalazła. Wszystkie poszukiwania zostały uwiecznione w tej nadzwyczajnej chwili. Bóg pozwolił na to, gdy Billowi pozostało jeszcze tylko parę tygodni życia. Angela czuła, że jej serce jest lżejsze niż kiedykolwiek od czasu odejścia Lauren.

W końcu Bill położył dłoń na kolanach i spojrzął na Angelę.

- Dlaczegośmy wcześniej tego nie spróbowali?

Przycisnęła palec do jego ust i delikatnie potrząsnęła głową.

- To nieistotne. Ona się znalazła, Bill. Teraz możemy tylko iść do przodu.

- Ale te stracone dni i lata - mówił chropawym głosem, połykając łzy. Znowu popatrzył na zdjęcie. - Spójrz na nią, Angie. Jest taka do ciebie podobna.

Angela dotknęła zdjęcia, myślami odpędzając dni, które mogły ich dzielić od osobistego spotkania, przytulenia...

- Jest całkiem dorosła.

- Reporterka „Time'a” - w jego głosie pojawiła się nowa troska. - Niezależna, nie ma dzieci.

- Nie ma dzieci? - serce Angeli zamarło na chwilę. Nie doczytała jeszcze całości charakterystyki. Teraz poczuła, jakby ktoś rozdzierał jej sumienie. - Tak tam jest napisane?

- Masz - wskazał na fragment.

Przeczytała. Utwierdzenie się w podejrzeniach dręczących ją od chwili wyjazdu Lauren nie potrwało dłużej niż jej następny oddech. Skoro Lauren jest niezamężna, to znaczy, że nie odnalazła Shane'a. A jeśli mówi wszystkim, że nie ma dzieci, to znaczy, że jest przekonana o śmierci Emily. Gdziekolwiek teraz jest, najwyraźniej wciąż jest o tym przeświadczona.

Angela spojrzała na Emily.

- Twoja mama naprawdę myśli, że ty nie żyjesz, skarbie - głos znów jej się załamał.

Z oczu Emily popłynął cały smutek nawarstwiający się przez lata. A ból Angeli był w tej chwili tak wielki, że o mało nie przygwoździł jej do podłogi. Emily słuchała, co mówi babcia. Gniew już znikł. Matka nie wspominałaby przecież w biografii zawodowej o nieżyjącej córce. To oczywiste. Wolność, jaką Emily od-



czuwała teraz w sercu, była nieomal zbyt wielka do zniesienia. Wolność - i przejmujący żal, że matka przez całe swoje dorosłe życie nie wiedziała, że jej córka dorasta na przedmieściach Chicago. Nic dziwnego, że była samotna i że pracowała w Afganistanie i w Iraku. Jej pasja pisarska sprawiła, że związała się z czasopiśmie, Emily nie mogła jednak oprzeć się wrażeniu, że to samotność nadaje matce taki wyraz twarzy. Pusty, spięty, tak bardzo smutny...

- Babciu... - wstała i podeszła do Angeli. Objęły się, nie mówiąc nic, po czym Emily wyprostowała się i spojrzała babci w oczy. - To ją bolało. Była taka samotna przez te wszystkie lata.

„Samotna tak samo jak ja” - ale tego już Emily nie dodała. Swoją samotność zawsze zachowywała dla siebie, ale teraz jej łzy opowiadały całą historię - że brakowało jej matki każdego dnia od chwili, gdy była wystarczająco duża, by rozumieć, że jej brakuje.

- Przepraszam, Emily - Angela odsunęła włosy z czoła. - Nie powinnyście być nigdy się rozstać.

Bill, siedzący metr dalej, wyciągnął rękę.

- Chodź tutaj, Em.

Emily puściła Angelę i podeszła do niego.

- Dziadziu...

- Gdybyśmy lepiej kochali naszą dziewczynkę, gdybyśmy inaczej pokierowali wtedy sytuacją, to może...

- Nie, dziadziu - Emily nachyliła się i ucałowała go w policzek. Utrata tyłu wspólnych lat była dla nich wszystkich nie do zniesienia. - Nie cofniemy czasu.

Kilka razy szybko odetchnęła.

- Tylko módlmy się, żeby odpisała.

Wieczór upływał powoli i w zadumie, na opowiadaniach o przeszłości i w wspomnianiu wydarzeń z życia Emily, tych chwil, których jej matka nie mogła z nią dzielić. Pomimo smutku i poczucia straty kiedy tej nocy kładli się spać, Emily czuła się szczęśliwsza niż kiedykolwiek dotąd. Być może to zdjęcie matki uczyniło więcej nawet, niż wcześniej mogła uczynić jej wiara. Usunęło pustkę w sercu. Tę chwilę zepsuło tylko jedno - widok dziadka idącego powolutku do siebie. Jego stan pogarszał się coraz bardziej, plany trzeba było zrealizować jak najszybciej.

Nazajutrz po obudzeniu Emily nie mogła się doczekać, kiedy sprawdzi skrzynkę e-mailową i kiedy zostawi wiadomość dla Shane'a Galantera w szkole pilotów marynarki Top Gun. Już miała biec do biura, gdy usłyszała, że Angela kończy jakąś rozmowę przez telefon.

- Tak, doktorze. Tak, rozumiem.

Chwila milczenia.

- Powiem mu. Tak, wiemy. Dziękuję.

Rozmowa widać się skończyła, bo kolejne słowa Angela skierowała już do męża.

- Mają już te ostatnie wyniki - w jej głosie był lęk. - Są gorsze, niż się spodziewali.

Emily zerwała się z łóżka i mrugając powiekami odgoniła sen. Gorsze, niż się spodziewali? Ogarnęło ją paniczne przerażenie i od razu pobiegła do biura. Niech ten e-mail od matki już tam będzie. Nieważne, jakie urazy mogły przedtem dzielić ją i dziadków. Jeśli matka chce zaznać spokoju, musi wiedzieć absolutnie wszystko. Że jej córka żyje, że rodzice żałują tego, co zrobili - i że jej ojciec umiera. Tak, musi skontaktować się z matką.

Póki jeszcze czas.

## *Rozdział 21*

Dochodziła do zdrowia szybciej, niż spodziewali się lekarze. Chrzęszczący wiatr wiejący przez afgańską pustynię trząsnął szybami w mieszkaniu Lauren i uniemożliwił sen. Usiadła na łóżku i obejrzała bandaż na ramieniu. Przynajmniej nie jest już w szpitalu. Tamto miejsce było okropne, pełne ofiar wojny i ludzi rozpaczliwie potrzebujących uzdrowienia i nadziei. Wciąż miała w uszach ich jęki, widziała matki wzywane do zidentyfikowania młodych synów, żołnierzy walczących po dobrej bądź złej stronie. Skrzywiła się, gdy dotknęła okolicy rany Matek nie obchodziło to, po której stronie byli synowie.

Lauren zamknęła oczy i przypomniała sobie jedną z tych udręczonych kobiet. Jej syn leżał w sąsiedniej sali, ale nie przeżył nocy. Następnego ranka matka stała przy jego łóżku, krzycząc jego imię, wołając do niebios, że chce go z powrotem, że musi dostać go z powrotem.

A Lauren była w stanie myśleć tylko o własnej rodzinie. O tym, jak się czuła, gdy umarła Emily. O tym, jak muszą się teraz czuć jej rodzice. Jeśli w ogóle jeszcze żyją, bo minęło już prawie 20 lat od czasu, kiedy mogli mieć jeszcze jakieś pojęcie, gdzie jej szukać. Jak sobie poradzili sami z tym wszystkim przez tyle lat? Czy też jęczeli i wołali do niebios?

Westchnęła i otworzyła oczy. Był to pierwszy pochmurny dzień od miesiąca i akurat pasował do jej nastroju. Jej myśli powędrowały do tamtego dnia w sierocińcu. Do Feniego dotarły pogłoski, że może dojść do zasadzki na przybyszów

z Zachodu. Dlatego był tego ranka w biurze, uzbrojony i przygotowany na wypadek, gdyby to ona i Scanlon mieli być na celowniku. W szczególności sprawy wprowadził ją w szpitalu pewien kapitan armii amerykańskiej. Tamta kobieta wcale nie była pracownicą sierocińca. Przylepiła się do innych, udając wolontariuszkę. W sierocińcach zawsze brakowało rąk do pracy, nikt więc nie kwestionował jej pobudek. Jedynym znakiem zapytania było to, skąd wiedziała, że Lauren i Scanlon przyjadą właśnie tamtego dnia, ale wojsko i na ten temat miało pewną teorię. Kierowca wiozący ich tam za pierwszym razem musiał być związany z tą grupą. Bez trudu mógł zadzwonić i donieść. Lauren i Scanlon rozpowiadali naokoło o swoich planach związanych z reportażem i zainteresowaniu sierocińcem.

- To źli ludzie, panno Gibbs - powiedział kapitan. - Prowadzą obóz szkoleniowy dla terrorystów, staramy się ukrócić tę ich działalność. Mamy już pewne sukcesy, ale to rozgałęziona siatka. Nie zlokalizowaliśmy jeszcze wszystkich.

- Ale czego oni chcą ode mnie? - ból przestał jej już dokuczać, od sześciu godzin była na lekach, po których trudno jej było nie zasnąć. Chirurg wyjął dwie kule z jej ramienia. Rany były głębokie i niebezpieczne, ale staw nie został uszkodzony. Lekarze rokowali całkowite wyzdrowienie.

Kapitan zastanowił się nad jej pytaniem.

- Pani reprezentuje Amerykę - uniósł brew jak gdyby nie zgadzał się z taką oceną. - Tak przynajmniej oni na to patrzą. Zapewne chcieli panią zranić. Porwać. Większość dziennikarzy i fotoreporterów nie nosi broni, a Feni rzadko wychodzi z budynku.

Wzruszył ramionami.

- Nie spodziewali się kontrataku.

Odwrociła wzrok.

- Nie spodziewali się też, że zabiją dzieci.

- Może tak, może nie.

Był potężnym mężczyzną, z przyszyżonymi krótko włosami wokół kwadratowej twarzy.

- Kiedy umierają dzieci, wina spada zawsze na Amerykanów. Mogli celowo strzelać do tych dzieci.

Lauren zamrugała powiekami, odpędzając wspomnienie tej rozmowy, i skrzywiła się, próbując poruszyć ramieniem. Przez cały czas sympatyzowała z rebeliantami. Owszem, używali przemocy i czasami postępowali jak szaleńcy. Ale to ich ojczyzna. Czy nie mają prawa żądać, aby Amerykanie trzymali się od niej z daleka? Nawet jeśli chcą mieć taki rodzaj rządów, jakiego Amerykanie nie popierają, to coż to może obchodzić Stany Zjednoczone? Czy demokracja to jedyny uprawniony ustrój?

Ale teraz...

Teraz nie wiedziała, co myśleć. Naród ma prawo stworzyć własny rząd, ale jeśli ten rząd jest bezwzględny i okrutny, to co? Gdyby miała to przeżyć jeszcze

raz, rzuciłaby się wtedy przed dzieci i ośłoniła je. Chętnie przyjęłaby na siebie kule wycelowane do nich, gdyby tylko mogła ocalić ich życie. I czy nie właśnie to robi teraz wojsko amerykańskie? Żli ludzie przejęli władzę na Środkowym Wschodzie, a ludzie niewinni żyją w strachu i ucisku, czasami giną. Jeśli ona nie potrafi stać spokojnie i patrzeć na takie zachowanie, to czemu oczekuje tego od Ameryki?

Przeszedł ją dreszcz i wzdrgnęła się. Czuła się odurzona przez leki. Musi być jakieś inne wyjście, coś lepszego niż walka, bomby, wojna. Rozwiązania można przecież wypracowywać przy stole rokowań albo na sali sądowej. Głowa rozbolała ją od tego miszmaszu. Sytuacja polityczna okazała się bardziej złożona, niż jej się zrazu wydawało, to pewne. Ale najważniejsze w tym wszystkim było to: mała Senia nie żyła, ponieważ ona i Scanlon wrócili do sierocińca. Ta dziewczynka, której oczy jaśniały tak, że rozświetlały całą salę. Już jej nie ma.

Lauren nie znosiła płakać. Tego rodzaju uczuć bała się niemal równie mocno jak wind. Poddanie się smutkowi byłoby jak przebicie się frachtowcem przez tamę w jej sercu. Emocje z minionych 20 lat rozlałyby się powodzią, w której by się utopiła. Ale w tych dniach, które mijały po jej powrocie ze szpitala, nie było praktycznie godziny, w której nie czułaby też na swoich policzkach.

Gdyby tylko miała szansę, adoptowałaby małą Senię. Skąd mogła wiedzieć, że tamta kobieta pracuje dla rebeliantów i że cała ta bajka została zmyślona? Kapitan powiedział jej, że dokonano drobiazgowego sprawdzenia.

- Mamy dane każdego dziecka z tego sierocińca - jego oczy płonęły. - Ani jedno z dzieci nie ma w sobie ani kropli amerykańskiej krwi.

Lauren zwiesiła wtedy głowę, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Ale kapitan jeszcze nie skończył.

- Dziwię się, że nie wystartowała pani z tą rewelacją jeszcze przed powtórny spotkaniem z tą kobietą - sarkazm w jego śmiechu zabolał ją. - Wyobraża pani sobie te nagłówki? Sierocińce przepełnione dziećmi amerykańskich żołnierzy?

Spotkali się wzrokiem.

- Nie miałam na tyle dokładnych informacji. Oczywiście że nie napisała-bym tekstu przed zebraniem faktów.

Kapitan tylko jeszcze raz uniósł brew.

- No tak. Zostawmy to - patrzył na nią z wyraźną niechęcią. - Może porozmawiamy o czym innym.

- Nie musimy rozmawiać - nie mogła ścierpieć tego, jak ją traktuje. Jakby to ona była wrogiem.

- Proszę pani, przydzielono mnie do pani ochrony na czas pani pobytu w szpitalu. Jeśli o mnie idzie - pochylił się w jej stronę - może pani nic nie mówić.

W dniu, gdy Scanlon zabierał ją do domu, Lauren nie miała już żadnych wątpliwości co do tego, jakie jest zdanie wojska na temat jej relacji. Kapitan wybrał sobie dziesięć spośród jej najważniejszych tekstów z ostatnich dwóch lat.

Miała niewiarygodne źródła informacji i nie była bezstronna - ocenił. Przyjechała nie po to, żeby odkryć prawdę, ale żeby przedstawić amerykańskie siły zbrojne jako wroga.

Ostatnią rzecz, którą jej powiedział, Lauren miała zapamiętać do końca życia:

- Pani sobie wyobraża, że wojskowi aż się palą, żeby iść na wojenkę. Że jesteśmy bandą osiłków, którzy tu sobie przyjechali, żeby poprzężyć muskuły. Ale ja - wymierzył w nią palec - coś pani powiem. My pragniemy pokoju tak samo jak pani. Może nawet bardziej. Bo - postukał się kciukiem w pierś - oddajemy za to własne życie.

Cofnął się kilka kroków.

- Niech pani o tym nie zapomina.

Odwrociła się, nie mając ochoty ani na odpowiedź, ani na pożegnanie. Ale jego słowa zrobiły na niej większe wrażenie, niż była gotowa przyznać. Teraz była już środa, Lauren siedziała w domu od dwóch dni. Scanlon często wpadał, upewniając się, czy ma wodę i jedzenie, i wszystko, czego potrzebuje.

Nadeszła pora kolejnej dawki środków przeciwbólowych. Wyciągnęła rękę i wzięła buteleczkę stojącą przy łóżku. Palce lewej dłoni działały bez zarzutu, pod warunkiem, że nie ruszała ręką. Wyrząsnęła na dłoń jedną pigułkę. Popiła wodą z butelki leżącej na poduszce obok. Po odstawieniu pigułek z powrotem na szafkę znów podniosła ramię i prędko opuściła je. Ból był ciągle silny. Pielęgniarka wojskowa przychodziła trzy razy dziennie zmieniać opatrunek i dawać zastrzyk z antybiotyków. Ale pewnego dnia, wcześniej czy później, ręka wyzdrowieje. A serce? No, to już całkiem inna sprawa.

Wyprostowała nogi poza krawędź łóżka i patrzyła na pokój, w którym się znajdowała. Życie toczyło się poza jej mieszkaniem. Życie i konflikt, i cierpienie - wszystko to przekładało się na opowieści, które czekały na spisanie. Musiała pisać. Miała nadzieję, że do końca tygodnia wyjdzie już z łóżka.

Powiodła wzrokiem znajomym szlakiem wzdłuż pokoju, tym razem jednak zatrzymała się na komputerze. Może ostatecznie sprawdzić e-mail. Przecież nie będzie się to tak bardzo kłóciło z obowiązkiem pozostawania w łóżku. Oddechnęła głęboko. Dlaczego jej to wcześniej nie przyszło do głowy? Mogła przecież zbierać informacje i kontaktować się z redakcją, zamiast tak cały dzień gapić się w ściany ze swego miejsca na nierównym łóżku.

Wstała i przez parę minut zbierała się w sobie. To zdumiewające, jak słaby robi się człowiek po zaledwie pięciu dniach bezczynności. Szurając poszła na drugą stronę pokoju i wyczerpana padła na twarde krzesło przed komputerem. Walące serce sprawiało, że ledwie trzymała się w pionie, kręciło jej się w głowie. Odwróciła się w stronę komputera i czekała.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Lauren, jesteś tam?

Scanlon. Już dawno temu dała mu klucz do swojego mieszkania. Chrząknęła.

- Wejdz.

Otworzył drzwi i spojrzał na nią niepewnie. Dźwigał skrzynkę butelek z wodą.

- Czy ty nie powinnaś leżeć?

- Kazali mi odpoczywać - spojrzała na niego z ironią i odwróciła się w stronę komputera. - Może ty się połóż, a ja tymczasem posiedzę sobie tutaj.

Postawił skrzynkę na stole w jej prowizorycznej kuchni po drugiej stronie pokoju. Popatrzyła na niego. Ogorzała twarz, krótko ścięte włosy, tak jak zawsze lubił. Przystojny na swój sposób. Widać było, że nie ma ochoty spierać się z nią. Wzruszył ramionami.

- Niech ci będzie.

Podszedł do jej łóżka i zwałił się na nie.

- Trochę jestem zmęczony.

Roześmiała się, ale szybko opuściła ją energia.

- Nie czuj się za bardzo jak u siebie w domu. Długo tu nie posiedzę.

- Dalej jesteś osłabiona - usiadł z powrotem, prostując przed sobą nogi.  
- Czy to normalne?

- Chyba - przejechała dłonią przez wilgotne czoło. - Już się tak kiedyś czułam. Kiedy chorowałam na grypę, jeszcze w Chicago, jako nastolatka.

- W Chicago? - podłożył rękę pod głowę i oparł się o ścianę nad wezłowiec łóżka. - Lauren, pamiętasz? Ty mi już opowiadałaś o Chicago.

- Byłam pijana.

Zalogowała się do Internetu i czekała na połączenie.

- Takie coś się nie liczy.

- No dobra, ale mimo to ja już wiem - czułość w jego głosie mówiła, że bardzo mu na niej zależy. - Każdy ma jakąś przeszłość. Nie byłoby cię tu, gdyby nie tamto.

Puściła tę uwagę mimo uszu. Miała już połączenie z serwerem i zerknęła na maleńką ikonkę skrzynki pocztowej na swojej stronie. Widniała nad nią liczba 68. Sześćdziesiąt osiem nowych e-maili. Nawet przeglądanie samych nagłówek było ponad jej siły. Szczególnie teraz, gdy czuła, jak słabnie z każdą minutą.

- Zostaw już ten e-mail. Chodź tutaj - kątem oka spostrzegła, jak Scanlon przesiada się na jedną stronę łóżka. - Zrobiłem ci już miejsce. Będę trzymał ręce przy sobie, słowo.

- Zaraz - próbowała odetchnąć głębiej, ale była zbyt roztrzęsiona. Już raz tak się czuła, odkąd zamieszkała na Środkowym Wschodzie - kiedy w okręgowym sklepie zabrakło żywności i przez trzy dni piła tylko samą kawę. Ale jeśli tego nie przezwycięży, to przecież nigdy nie dojdzie do zdrowia.

Zebrała się w sobie, kliknęła w ikonkę i przejrzała nagłówki listów. Większość przyszła od ludzi z redakcji, którzy dowiedzieli się, że jest ranna. Tytuły

brzmiały: „Zdrowiej nam szybko!”, „Mało brakowało!” i „Czas wracać do domu, kochana!”. Kilka było od naczelnego, z tytułami: „Rzeknij tylko słowo” albo „Może już czas?”.

Dotarła już do połowy spisu, gdy nagle znieruchomiała. Serce zaczęło jej bić szybciej i mocniej. W tytule listu widniały tylko dwa słowa: „Od Emily”. Zamrugała powiekami i przeczytała je po raz drugi. Cóż za dziwny zbieg okoliczności. Leży w łóżku, rozmyśla o pokoju i o tym, że w jej własnej rodzinie go zabrakło, a tu nagle przychodzi list od czytelniczki o imieniu: Emily.

Zaśmiała się cicho i kątem oka dostrzegła, że Scanlon otwiera oczy.

- Z czego się śmiesz?

- Nic takiego - potrząsnęła głową i zignorowała jego pytanie. Nie mogła oderwać wzroku od e-maila tej Emily.

„No dobra, więc czego takiego chce owa Emily?”. Lauren nie planowała otwierać żadnych e-maili. Nie teraz, kiedy ciało odmawiało jej posłuszeństwa. Ale „Od Emily”? Nie mogła się powstrzymać. Kliknęła w link i list się otworzył.

„Dzień dobry, nazywam się Emily Anderson, mam 18 lat...”.

Lauren zaparło dech, nie mogła zmusić płuc, żeby nabrały choć trochę powietrza. Zamknęła oczy i chwyciła się blatu biurka.

- Ej, Lauren - w głosie Scanlona był niepokój. - Co jest? Może lepiej się położyć?

Machnęła ręką, ale otworzyła oczy. Znow spróbowała czytać dalej, ale nie mogła przejść poza pierwszą linijkę. Emily Anderson? Osiemnaście lat? Jakiś żart? Jej Emily miałaby teraz 18 lat. 18 lat, 6 miesięcy i 21 dni. Zaciśnięła wargi i na siłę wypuściła powietrze z płuc. Dzięki temu mogła znow wziąć kolejny płytki oddech. Ranne ramię było odrętwiałe, a prawa ręka drżała tak mocno, że ledwie mogła przewinać ekran i czytać dalej.

„Myślę, że być może jest Pani moją matką”.

Czuła, jak ściany zaczynają się walić, a wszystko wiruje dookoła. Co to? Kto to mógł napisać? Jej córka nie żyje, taki list to jakiś kawał. Z trudem opanowała się na tyle, żeby skończyć list.

„Szukałam Pani, odkąd tylko byłam na tyle duża, żeby wiedzieć, jak to robić. Mieszkam z dziadkami - Billem i Angłą Anderson. Oni również Pani szukali. Ale dziś wpadłam na pomysł, żeby poszukać pod nazwiskiem Lauren Gibbs, ponieważ tego właśnie nazwiska matka używała w młodości, podpisując swoje opowiadania. Dowiedziałam się o tym parę tygodni temu. Poszukałam w Internecie i znalazłam Pani stronę. Bardzo proszę, czy mogłaby Pani odpisać i dać mi znać, czy trafiłam na właściwą osobę? Z oczywistych względów jest to dla mnie bardzo ważne. Z poważaniem, Emily Anderson”.

Nie mogła oddychać. Przeczytała list jeszcze raz i jeszcze raz. Mogła się zmusić tylko do krótkich urywanych oddechów. Scanlon był już na nogach, szedł do niej szybko.



- Lauren, ty tracisz przytomność - wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Położył na materacu i pobiegł do łazienki. Wrócił i położył jej na czole chłodną szmatkę. - Jesteś blada jak płótno.

Ciągle nie mogła oddychać. Scanlon o coś pytał, ale nie rozumiała słów. Myślała tylko o tym e-mailu. To kawał, bez wątpienia. Nie może być inaczej.

Ale do pokoju bezceremonialnie wtargnęła przeszłość, krzycząc na całe gardło. Emily żyje? Czy list mógłby być od niej? A jeśli tak... jeśli tak...

Serce waliło z potrójną prędkością. To niemożliwe, żeby jej maleństwo żyło, po prostu wykluczone. Przecież nie porzuciła żywego dziecka, nie zostawiła go na głowie rodziców. Wykluczone. Co powiedziała ta siostra? Że dziecko odeszło. Że odeszło już kilka godzin wcześniej, gdy Lauren zadzwoniła. Odeszło - czyli umarło. Trzy razy próbowała nabrać powietrza, ale nie dawała rady. Musiałaby najpierw wypuścić powietrze, a to jej się nie udawało, choć bardzo się starała.

Złapała przyjaciela za ramię i wyrzuciła:

- Scanlon... daj... torebkę...

Miała w płucach za dużo tlenu. Głowa podpowiadała, że nic jej nie będzie, nawet jeśli straci przytomność. Od hiperwentylacji się nie umiera. Ale teraz nie miała ochoty na zmagania z własnym ciałem. Chciała zмагаć się z przeszłością. Gigantyczną, monstrialną przeszłością. A nie zdoła tego zrobić choćby przez sekundę, jeśli nie zacznie oddychać.

Scanlon jak burza przebiegł pokój, rozgrzebał kuchenne szuflady i znalazł brązową papierową torebkę, taką, w jaką pakuje się jedzenie pozostałe na następny dzień. Podbiegł i przytknął torebkę do jej ust.

- Oddychaj, Lauren. No już - był naprawdę zmartwiony i w całym tym natłoku docierających do niej nagle rzeczy zrozumiała jeszcze jedno. Scanlon ją kocha.

Nie mogła pojąć tej myśli, tak samo jak nie mogła zrozumieć e-maila, który właśnie przeczytała. Skupiła całą uwagę na oddychaniu do torebki. W końcu poczuła, że każdy kolejny oddech jest trochę dłuższy, poczuła, że klatka piersiowa rozluźnia się i że może w końcu wypuścić powietrze. Dopiero wtedy odważyła się odsunąć torebkę i zaczerpnąć maleńką ilość świeżego powietrza.

Była mokra od potu i czuła się słabsza niż przez cały dzień. Mimo to spróbowała usiąść, chcąc za wszelką cenę spojrzeć na monitor. Kiedy już usiadła, zobaczyła, że nadal tam jest. E-mail wyglądający tak samo jak ten, który czytała parę minut wcześniej.

Scanlon stojący tuż obok delikatnie otarł jej czoło wilgotną szmatką.

- Co u licha się dzieje?

Wyprostowała się nieco. Ściągnęła mokrą szmatkę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Mógłbyś mi wyświadczyć przysługę?

- Co tylko zechcesz - wpatrywał się usilnie w jej twarz, gotów od razu zabrać się do dzieła.

Łokciem wskazała w stronę monitora.

- Mógłbyś odpowiedzieć na list tej dziewczyny... - zawahała się. - Ale nie czytaj, od razu wciśnij „odpowiedz”, dobrze?

- Jasne.

Zawiesił na niej wzrok jeszcze przez chwilę, z wyrazem niepewności na twarzy.

- Jak na kogoś, kto przed minutą nie mógł oddychać, masz spore zachcianki. Kolejny wydech.

- Wiem.

Pochyliła się i oparła łokciami o uda.

- Ale możesz, Scanlon? Bardzo proszę!

- Dobrze już, dobrze.

Podszedł do komputera i usiadł.

- Tylko się już na mnie nie wściekaj.

Kliknął w „odpowiedz” i pojawił się czysty ekran.

- Wal.

- Daj mi sekundę.

Zmusiła się do tego, żeby pomyśleć racjonalnie. A jeśli to nie żaden kawał ani pomyłka? A jeśli jej córka naprawdę żyje i mieszka w Wheaton w Illinois? Może w tym samym domu, do którego wprowadzili się rodzice, kiedy była w ciąży? Zacisnęła powieki i postanowiła nie myśleć o niczym innym, jak tylko o tym e-mailu.

- Dobra, pisz tak - zaczęła. - Emily, zadzwoń do mnie jak najszybciej. Oto mój numer z kierunkowym międzynarodowym. Wciskaj takie cyfry po kolei... - znów zabrakło jej tchu, więc przerwała na chwilę i odetchnęła. - Wpisz mój numer, co?

Ciągle stukał w klawisze.

- Domyślam się.

Po jeszcze kilku uderzeniach przerwał.

- Wysłać?

- Tak. Dzięki, Scanlon.

To nie był moment na wypisywanie na koniec kwiecistych zdań. Bo nie wiadomo, kim ona jest, ale na pewno nie jej Emily. Nie tą córką, którą wydała na świat. Jej Emily umarła.

Scanlon wstał i podszedł do jej łóżka. Przesunęła się, tak żeby mógł usiąść obok. Usiadł, spojrzał jej w oczy i nie spuszczał wzroku.

- Powiesz, o co chodzi?

- N i e .

Nie chciała - ale nie miała wyboru. Nagle Scanlon okazał się jej jedynym na świecie sojusznikiem, jedynym przyjacielem. A ponieważ przeszłość była o krok od pochłonięcia jej żywcem, nie miała innego wyjścia, jak rozkroić ją i pozwolić,

żeby wylała się na zewnątrz. Położyła dłoń na ręce Scanlona i odezwała się dużo spokojniejszym głosem.

- Nie powiedziała ci wszystkiego o Chicago.

- Jakoś mnie to nie dziwi - wsunął palce między jej palce, patrząc na nią już łagodniej. - Słucham.

Skinęła głową i zrazu powoli zaczęła swą opowieść. O tym, jak bardzo kochała Shane'a Galantera i o tym, jak po jego wyjeździe desperacko usiłowała go odszukać. O wyjeździe do Kalifornii i przerażeniu, kiedy mała Emily rozchorowała się. Jak zawiozła ją do szpitala, ale uciekła, gdy domyśliła się, że zjawi się policja i zabierze jej Emily

- I co było potem? - Scanlon wciąż trzymał ją za rękę. - Udało ci się wrócić?

- T a k .

Opowiedziała mu, jak szybko pędziła do domu i jak błagała matkę o pomoc, mimo że nie rozmawiały ze sobą przed jej wyjazdem.

- Od razu pojechaliśmy do szpitala - spuściła wzrok i pokręciła głową. - Lekarz przez 10 minut próbował nam wytłumaczyć, że jego zdaniem Emily nie przeżyje. Powiedział wręcz, że to byłby cud.

Scanlon słuchał ze współczuciem w oczach.

Opowiedziała mu, jak siedziała przy Emily przez całą noc i jak koło czwartej nad ranem stan jej dziewczynki nagle się poprawił.

- Potem po jakiejś godzinie poczułam, że nie wytrzymam dłużej bez snu - wzruszyła ramionami. - No nie wiem. Miałam 17 lat, byłam kompletnie przerażona. I nie spałam już dwie doby. Nie myślałam trzeźwo, przecież mogłam sobie znaleźć jakieś łóżko w tym szpitalu.

- Ale twoja mama tam została, tak?

- Zgadza się. Zaofiarowała się, że zostanie. Więc pojechałam do domu i zasnęłam. Spałam 10 godzin, dużo dłużej, niż planowałam. Kiedy się zbudziłam, zadzwoniłam do szpitala i połączyli mnie z jakąś pielęgniarką - serce waliło jej na samo wspomnienie. Puściła rękę Scanlona i przycisnęła palce do skroni.

- Ta kobieta powiedziała mi, że Emily odeszła. Że odeszła już kilka godzin wcześniej.

- Umarła?

Lauren spuściła rękę.

- Tak myślałam.

Kiwnęła głową w stronę komputera.

- Aż do tej chwili tak zawsze myślałam. Miałam jedno dziecko, ale popełniałam błąd za błędem, i ona umarła.

Scanlon jęknął. Objął ją i przyciągnął do siebie. Oparła głowę na jego ramieniu.

- Ten e-mail jest od Emily Anderson, która pisze, że ma 18 lat.

Usiadła i wpatrzyła się w oczy przyjaciela.

- Pisze, że mieszka z Billem i Angelą Andersonami w Wheaton i że sądzi, że ja jestem jej...

Nagle jej komórka ożyła, dzwoniąc i ruszając się od wibracji na stoliczku tuż obok butelki z lekarstwem. Poczowała znów skurcz w płucach, ale siłą woli zmusiła je do posłuszeństwa. Scanlon podał jej telefon, otworzyła klapkę.

- Czy to... Lauren Gibbs? - głos był młody i miły, głos brzmiący tak samo jak jej, tak jak brzmiał jej własny głos, zanim wszystko tak strasznie się potoczyło.

Wypuściła powietrze.

- Tak - w głowie jej wirowało. - Kto mówi?

- Emily Anderson... - dziewczyna zawahała się przez moment. - Mojej mamy nie ma już od... 18 lat. Pomyślałam sobie, że być może pani...

- Emily.

Tak cudownie wymawiało się to imię. Próbowała pamiętać, że powinna uważać, że powinna podawać w wątpliwość, czy dzwoniąca to naprawdę jej córka. Dziennikarz nigdy nie ufa ludziom, zanim sam nie sprawdzi faktów.

- Czy... to naprawdę ty?

- Tak - Emily zaczęła płakać. - A czy pani...

To nie dzieje się naprawdę, to nie może dziać się naprawdę. Lauren ścisnęła Scanlona za ramię. W sercu czuła rozdzierający rozżarzony ból, taki jak ten, który przeszył jej ramię tydzień wcześniej. Jakby ktoś postrzelił ją w sam środek klatki piersiowej. Zaciśnęła powieki i przycisnęła telefon do ucha.

- Powiedzieli mi, że umarłaś.

- Wiem - dziewczyna płakała coraz bardziej. - Babcia mi powiedziała. Przypuszczała, że tak się stało.

Lauren oparła się o Scanlona, próbując za wszelką cenę nie przestać oddychać, powoli, regularnie. Ta rozmowa była zbyt ważna.

- Nigdy bym nie wyjechała, nigdy! Nie wyjechałabym, gdybym wiedziała. Ja... - emocje stłumiły słowa. Przełknęła ślinę, szukając jakiegoś sposobu na streszczenie uczuć całego życia. - Emily, ja codziennie o tobie myślałam. Ciagle myślę.

- Ja tak samo - w głosie dziewczyny były łzy, ale w słowach brzmiała radość, która zdawała się nie mieć granic. - Mamo, czy udało ci się go znaleźć?

Łzy Lauren pojawiły się właśnie w tym momencie.

„Nazwała mnie mamą... Mam córkę!“. Spazmy szloch wstrząsały nią boleśnie. Emily żyje! Lauren zmusiła się do zastanowienia nad jej pytaniem.

- Shane'a?

- Tak. Znalazłaś go?

Ból w sercu wzrósł dwukrotnie. Całe życie upłynęło jej na tęsknocie za Emily, ale tęskniła też za Shane'em Galanterem. Przecież to dla niego wyjechała z Chicago. Tak bardzo długo szukała go i czekała na niego, a w tym samym czasie jej córka dorastała bez niej! Dlaczego była tak uparta? Mogła pojechać do

domu, pogodzić się z rodzicami, a znalazłaby na miejscu coś więcej niż uzdrowione stosunki rodzinne. Znalazłaby córkę.

- Nie, Emily - przycisnęła palec do górnej wargi i za wszelką cenę próbowała się opanować. - Nie, nie zdołałam go znaleźć.

- Tak mi przykro - głos Emily znowu drżał od szlochu. - Bardzo go kochałaś, prawda?

- T a k .

Wymknęło jej się kilka niesfornych szlochów, resztę zdołała przełknąć. - Zawsze sobie myślałam, że wrócę do domu, jak go odnajdę.

- Ale nie odnalazłaś i nie wróciłaś.

- N i e .

Umilkły. Scanlon siedzący obok pocierał jej zdrowe ramię, starając się wesprzeć ją, jak umiał. Oddałaby wszystko, żeby znaleźć się po drugiej stronie kabła telefonicznego i przytulić córkę.

- Mam tyle pytań.

Emily roześmiała się.

- Ja tak samo.

- Ależ ty się śmiejesz! - przyłgnęła do tego dźwięku śmiejącej się córki, dźwięku, który był jak woda na jej wyschłą duszę. - Też tak się kiedyś śmiałam, kiedy... zanim...

- Zanim zaszłaś w ciążę - w głosie Emily nie było już śmiechu. - Rozmawiałam z Bogiem parę dni temu i powiedziałam Mu, że wiem, co się stało. Zaszłaś w ciążę i od tego momentu wszystko się popsuło - w jej głosie nie było żalu. - Tylko jedno wydarzenie, a wszystkich rozdzieliło, prawda?

Smutek spadł na Lauren jak monsun.

- T a k .

- Więc poprosiłam Boga, że skoro to jedno wydarzenie wszystkich rozdzieliło, to może mógłby użyć mnie, żeby wszystkich na powrót połączyć.

Kiedy mówiono o Bogu, Lauren zwykle czuła odrazę, zapewne dlatego, że zwykle czynili to politycy. Ale teraz... W słuchawce dźwięczała szczerłość Emily - szczerłość jej córki.

Lauren nie odezwała się, a Emily mówiła dalej.

- Problem w tym, mamo, że musisz wrócić szybko - w jej głosie brzmiała powaga. Powaga i strach.

Wtedy po raz pierwszy Lauren pomyślała sobie, że może ze zdrowiem jej córki jest coś nie tak. Zesztywniała, jeszcze mocniej zaciskając palce na telefonie.

- Czy ty... czy wszystko jest w porządku?

- N i e .

Emily westchnęła, a w jej głosie znów było słychać łzy.

- Dziadziu ma raka. On... zostało mu już niewiele czasu.

Dziadziu? Kto to jest...? Ołśniło ją. Ojciec. Więc tak Emily go nazywa? Dziadziu? Nagle nawiedziło ją wspomnienie, obraz ojca kołyszącego ją w ramionach, kiedy miała sześć czy siedem lat. Tyle co Senia. Przełknęła kolejny atak smutku.

- Mój ojciec?

- Tak... - Emily przerwała na moment. - Nie wiem, co zaszło między wami trojgiem, ale babcia i dziadziu są po prostu kochani. Ich wiara jest taka silna - szybko nabrała powietrza. - Mamo, ja cię potrzebuję. Całe życie czekałam na tę chwilę. Ale teraz musisz przyjechać szybko.

Nowa rzeczywistość nabierała kształtów szybciej, niż Lauren była w stanie pojąć. Jej rodzice są kochani? Właściwie nie zdziwiło jej to. Przecież byli kochani przez całe jej życie, aż do chwili, gdy zmusili ją do rozstania z Shane'em. Coś jeszcze nie dawało jej spokoju. Emily nie tylko żyje. Ona chce, żeby Lauren i Shane połączyli się na nowo. Co ona takiego powiedziała? Że czekała na to całe życie? Tego było dla Lauren zbyt wiele. Zakryła oczy dłonią i oparła głowę na rękę. Ile straciła przez te lata? Przecież nigdy nie planowała na zawsze opuścić rodziców. Nawet wtedy, gdy zrobili to, co zrobili, żeby rozdzielić ją i Shane'a. Tyle że jakoś rok płynął za rokiem i drogę powrotną do domu tak bardzo pozarastały wyrzuty sumienia i żal, że nie potrafiła już jej odnaleźć. Może nawet nie chciała. Ale teraz tata umiera.

- Czy oni chcą mnie widzieć? Tym bardziej, że tata chory

Emily znów się roześmiała i zabrzmiało to jak ulga. Jak gdyby wstrzymywała oddech, żeby tylko móc odpowiedzieć.

- Tak, chcą, żebyś wróciła. Mamo, proszę. Przyjedź jak najszybciej, dobrze?

Lauren wyprostowała się. Miała urlop, ale przed odlotem do domu potrzebowała zezwolenia lekarza. I jeszcze zameldować się w redakcji.

- Mogę być za tydzień, licząc od soboty Wystarczy?

- Tak! Och tak! - w głosie córki znowu śpiewała nadzieja i wyczekiwanie.  
- Weź coś do pisania i zapisz sobie.

Lauren dała znak Scanlonowi, że będzie musiał coś dla niej zanotować. Chwytny bloczek i długopis ze stolika nocnego i czekał w pogotowiu. Lauren ścisnęła telefon.

- Dobra, dyktuj.

Emily wyrecytowała kilka numerów telefonicznych, w tym domowy i swojej komórki. Lauren powtarzała każdą cyfrę, obserwując, czy Scanlon zapisuje poprawnie. Już raz straciła Emily, drugi raz się to nie zdarzy.

Po podyktowaniu wszystkich numerów kontaktowych Emily zaśmiała się.

- Mamo... Może zadzwonię do ciebie, jeszcze zanim przyjedziesz, jeśli można.

- Emily - Lauren czuła, że serce zaraz z niej wyskoczy. - Bardzo cię proszę.

- Kocham cię, mamo.

Znowu. Ta nazwa, którą nikt jej przedtem nie nazywał. „Mamo. Kocham cię, mamo”. Wciąż nie mogła uwierzyć, że cokolwiek z tego może być praw-

dą, nie ulegało jednak wątpliwości, że dzwoniła do niej jej córka. Przełknęła ślinę.

- Ja też ciebie kocham, kochanie. W każdym dniu twojego życia kochałam cię i tęskniłam za tobą.

Wzięła pierwszy głęboki oddech od godziny.

- Ciagle nie mogę uwierzyć, że mnie znalazłaś.

- To nie ja - w głosie Emily brzmiała pewność. - To Bóg.

Urwała na chwilę.

- Może porozmawiamy o tym kiedy indziej.

Po skończonej rozmowie Lauren zatrzasnęła klapkę telefonu. Popatrzyła na przyjaciela. Czuła się tak pełna, że zdawało jej się, że za chwilę wybuchnie.

- Scanlon! - wpatrywała się w jego oczy. Nie wiadomo, co będzie dalej, ale jej życie nigdy już nie będzie takie samo. - Moja córka żyje!

- Domyśliłem się - uśmiechnął się. - Wracasz do Stanów?

- Tak - odsunęła się trochę i rozejrzała po pokoju. - Jak tylko mi pozwolą. Mój ojciec jest chory. Ma... nie zostało mu już wiele czasu.

- Zdażysz?

- Nie wiem. Mam nadzieję.

- Zdziwiający, co? Przez 18 lat nie masz z nim kontaktu i nagle twoja córka odnajduje cię w ostatniej chwili.

Lauren przypomniał się fragment rozmowy. Emily powiedziała, że to Bóg ją znalazł. Lauren zamrugała powiekami i znów spojrzała na przyjaciela.

- Rzeczywiście zaskakujące.

Przez jego oczy przemknął cień smutku, ale Scanlon uśmiechnął się.

- Cieszę się, Lauren. Naprawdę.

Choć oznaczało to, że ona wyjeżdża i choć nagle pojawiła się możliwość, że już nigdy tu nie wróci, Lauren wiedziała, że Scanlon naprawdę się cieszy. Taki właśnie był z niego przyjaciel. A jednak tym, co zajmowało w tej chwili jej myśli, nie było pozostawienie Scanlona, Środkowego Wschodu i ukochanej pracy. Nic z tych rzeczy. Jej myśli zajmował wyłącznie ten cud. Miała córkę. Żywą, prawdziwą młodą kobietę o głosie dźwięczącym radością. I już za tydzień z kawałkiem zobaczy ją. Zobaczy jej twarz. Utuli.

I rodziców. Zobaczy ich znów. Poczuje objęcia matki, ujrzy twarz ojca promieniającego miłością - miłością, która zbłądziła na krótki czas, kiedy Lauren była nastolatką - ale jednak miłością straszliwie silną. Tak, ma córkę, którą musi poznać, i rodziców, z którymi musi się pojednać.

I osiemnaście samotnych lat do nadrobienia.

Emily wyłączyła telefon. Cała się trzęsła, drząc od stóp do głów. Odnaleźć zdjęcie matki, ustalić jej tożsamość - to było jedno. Ale rozmawiać z nią osobiście? O tym Emily nawet nie śmiała marzyć. W głosie matki wyczuła szok, lęk, niedo-

wierzenie i ogromną radość. Ale jeszcze coś. Głęboki, nieustępliwy smutek. Z powodu lat, które straciły.

Emily wstała i wpatrzyła się w zdjęcie stojące przy łóżku, to, na którym widnieli jej nastoletni rodzice.

- Boże - podniosła wzrok na okno i błękitne niebo za nim - to jest cud, a mnie już w tej chwili trudno go ogarnąć.

Przypomniała sobie ból w głosie matki na wzmiankę o Shane'ie. Jeszcze jego trzeba odszukać - i znaleźć sposób na połączenie go z matką. Cmoknęła, przypomniawszy sobie o czymś jeszcze. O cierpieniu w głosie matki na wieść o chorobie dziadka. Tyle jest jeszcze do naprawienia, tyle do przebaczenia, jeśli mają zaznać pokoju.

Z jej ust wymknęło się długie westchnienie. Musi zejść na dół i powiedzieć dziadkom o rozmowie z matką. Ale najpierw musi jeszcze porozmawiać z Bogiem. Ponieważ cud, którego wszyscy potrzebowali, już się dzieje, ale do jego końca było jeszcze daleko.

To był dopiero początek.



## Rozdział 22

Shane nie był pewien, jak jej to oznajmić.

Po tygodniu modlitwy i przeglądania Biblii, i dwa razy intensywniejszych niż zwykle ćwiczeń na siłowni poznał odpowiedź, której szukał. Pokazała mu się właśnie tego ranka, wołając do niego z Księgi Przysłów, z trzeciego rozdziału. W wersetach 5 i 6 było tam napisane: *Z całego serca Bogu zaufaj, nie polegaj na swoim rozsądku, myśl o Nim na każdej drodze; a On twe ścieżki wyrówna.*

Przeczytał te słowa dokładnie jeszcze trzy razy - i nagle odpowiedź była oczywista. To jego własny rozsądek doprowadził go do związku z Ellen Randolph. To jego własny rozsądek zezwolił Ellen na zaplanowanie jego życia, na wytyczenie krętej ścieżki prowadzącej tam, dokąd ona chciała. Owszem, on przystałby na to, ponieważ według jego własnego rozsądku taki plan miał sens.

Ale Boży rozsądek widział to inaczej.

Shane zacisnął pięści i spojrzał na zegarek. Niespokojny, wszedł na patio. Ellen przyjedzie za 10 minut, mają iść razem na obiad. Przez cały dzień zastanawiał się, czy odwołać ten obiad i porozmawiać z nią wcześniej, czy poczekać, aż będą po obiedzie. Postanowił poczekać. Przynajmniej tyle jeszcze mógł dla niej zrobić - zjeść z nią ostatni posiłek, zanim powie jej, że z nimi koniec.

Usiadł na szezlongu i patrzył na palmy okalające podwórze. Dawno temu zaufał Bogu. Choć rodzice zmusili go do przeprowadzki do Kalifornii i choć z każdą kolejną miłą oddzielającą go od Lauren czuł, jak coraz bardziej rozdzie-

ra się w nim serce, to jednak z wiarą oddał wszystko Bogu. Ufał, że On będzie go wiodł przez resztę życia. Oczywiście rodzice mieli jakieś plany. Plany, które poznajmili mu jeszcze przed rozpoczęciem ostatniej klasy liceum.

Pewnego wieczora, gdy już kładł się spać, ojciec wszedł do jego pokoju.

- Czas już chyba zacząć rozglądać się po college'ach, co, synu? Rozmawiałem ze znajomymi w Harvardzie i Yale, a nawet z paroma z Uniwersytetu Południowej Karoliny - mrugnął do niego. - Wygląda na to, że byłbyś mile widziany na każdym z nich.

Dopiero w tym momencie Shane w pełni zrozumiał, co zrobili jego rodzice. Nie chodziło wcale o żadne inwestycje w Kalifornii. Chodziło o inwestycje w niego samego, o ocalenie planów, jakie dla niego ułożyli - planów ukończenia liceum w glorii członka Narodowej Ligi Footballowej i przyszłości świetlistej jak słońce.

Tamtego wieczoru oznajmił ojcowi wieść, na którą ten osłupiał.

- Tato, nie chcę studiować biznesu. Nie chcę MBA, nie chcę mieć udziałów w banku ani prowadzić biura nieruchomości. Chcę latać myśliwcami.

Jego życzenia docierały do ich świadomości nieomal pół roku. I nawet po pół roku byli wciąż zdruzgotani. Odseparowali go od Lauren, ale nie było sposobu na to, aby odseparować go od planów, jakie Bóg miał względem niego. Tamtej wiosny, kilka miesięcy przed ukończeniem szkoły, wpadł przypadkiem na człowieka zajmującego się rekrutacją do marynarki, który roztawił swoje stanowisko w stołowce. Shane czuł, jakby to sam Bóg kierował jego krokami, zachęcił do wzięcia ulotki, do zadania pytań.

Od tamtej chwili wszystko zaczęło się układać. Poszedł do college'u na UCLA, potem zapisał się do szkoły oficerskiej i na kurs pilotów marynarki. W chwili wybuchu wojny w Zatoce był już jednym z najlepszych pilotów myśliwskich w marynarce.

Rodzice nauczyli się akceptować tę jego decyzję. Z czasem zaczęli nawet być dumni, że pilotuje odrzutowce armii amerykańskiej, i szczylicili się przed znajomymi jego nagrodami i medalami. Shane cieszył się z tego, ale nie to było jego motywacją. Urodził się, żeby latać, to mu pokazał Bóg.

Ilekczo był w górze, czuł, że to Bóg pod koniec lotu prowadzi go z powrotem do domu. Służył swojemu krajowi, rodakom, a zarazem wiodł takie życie, jakie zamierzył dla niego Bóg. Jedynym smutkiem w tym wszystkim był brak Lauren. Przez ponad 10 lat ta pustka uderzała go pod koniec każdego dnia, pomiędzy dyżurami, podczas lotów poza polem walki, kiedy wznosił się na kilkanaście tysięcy metrów poza skalę wskaźników. Patrzył na bezbrzeżny błękit i przypominał sobie słowa, które nagryzmoliła kiedyś, jeszcze w szkole: *Kiedys będziesz latał. Zabierz mnie ze sobą*. Tyle że jej nie odnalazł, więc o niczym nie wiedziała. Nie wiedziała, że robi to, co pragnął robić, do czego Bóg go stworzył.

Nabrał w płuca chłodnego powietrza Reno.

A teraz... no proszę. Znow wkroczył na fałszywą ścieżkę. Jak do tego doszło? Jak mógł dać się Ellen przekonać, że pozycja w polityce będzie czymś lepszym niż praca w Top Gun, lepszym niż codzienna jazda do szkoły lotnictwa marynarki i urzeczywistnienie jego marzeń? I jeszcze coś. Odkąd spotykał się z Ellen, nabrał przekonania, że nie chce dzieci, że skoro tyle przed nim do zrobienia, nie ma czasu na normalną rodzinę. A wszystko przez to, że przez jakiś czas jego własny rozsądek wydawał mu się lepszy niż Boski.

Ale to już minęło.

Rozległ się dzwonek, a potem usłyszał ją w korytarzu.

- Jesteś?

- Ellen, jestem tutaj, z tyłu - wstał i wyszedł jej naprzeciw. - Ładnie wyglądasz - ucałował ją w policzek i wprowadził do domu. - Poczekaj, wezmę tylko klucze.

- Shane - w tonie jej głosu była mieszanina uroczystej siły i jakiejś słabości.

Odwrócił się.

- T a k ?

Odetchnęła powoli, ze zmęczeniem.

- To koniec, prawda?

Przez ułamek sekundy miał ochotę zaprzeczyć. Skąd ona wie? Powiedział jej tylko, że chce pogadać. Nic więcej. Wsunął ręce do kieszeni i podszedł parę kroków. Jej oczy powiedziały mu, że ona nie zgaduje. Że wie. W jakiś sposób doszła do tego.

Zatrzymał się i zajął do najgłębszego miejsca w jej sercu.

- Skąd to wiesz?

- Proszę - wyciągnęła z torebki coś wyglądającego jak małe zdjęcie i wręczyła mu. - Znalazłam to dziś rano na przednim siedzeniu samochodu. Musiało wypaść ci z kieszeni.

Dopiero gdy wziął to do ręki, spojrzął. I serce w nim zamarło. Jego zdjęcie Lauren. Ellen miała rację. Oglądał je poprzedniego wieczoru, kiedy przyjechała zabrać go na kolację. W pośpiechu wsunął je do kieszeni i szybko wybiegł jej na spotkanie.

Ellen uniosła głowę, najwyraźniej nieurazona.

- Myślałam, że dałeś sobie z nią spokój, Shane.

- Dałem... Nie! - przywołał się do porządku. Wszystko, co mówił na temat rezygnacji z Lauren Anderson, było kłamstwem. Dawno temu obiecał Lauren, że będzie ją kochał aż do śmierci. Czy nie to kazał wygrawerować na pierścionku, który jej kupił? *Pomimo wszystko*. Pomimo że nie było sensu pamiętać o niej dłużej, jego obietnica zachowywała ważność. Położył zdjęcie na najbliższej półce i chwycił w dłonie ręce Ellen. - Przepraszam cię - zacisnął szczęki. - Wydawało mi się, że tak jest.

Uśmiechnęła się, a promiennosc tego uśmiechu nieomal przesłoniła ból w jej oczach.

- Mnie też się tak wydawało.

Zsunęła z palca pierścienek. Miał całe dwa karaty, trudno go było porównać z niewielkim pierścionkiem, który dawno temu podarował Lauren.

- Proszę - jej oczy błyszczały. - Nie mogę być na drugim miejscu, Shane.

- Wiem - wziął pierścionek i próbował nie zwracać uwagi na ton pretensji w jej głosie.

- Myślę, że bylibyśmy zgranym zespołem.

- Ja też - uściśnęła serdecznie jego palce. - Ale ja nie chcę współpracownika, Shane. Chcę kogoś, kto mnie uwielbia.

- Rozumiem - przyciągnął ją do siebie i objął. - To we mnie tkwi problem, Ellen. Nie w tobie. Ty jesteś doskonała.

Skinęła głową. A kiedy się odchyliła, spostrzegł, że jej makijaż jest nienaruszony, a oczy suche.

- Męczyłam się dziś z tym cały dzień, więc jeśli nie masz nic przeciwko, to pójdę już.

- Dobrze.

Puścił ją, postawiła krok w tył. Trzymając torebkę pod pachą, skinęła mu głową.

- Żegnaj, Shane.

- Żegnaj - podniósł rękę i czekał, aż odwróci się i pójdzie w stronę wyjścia. Kiedy doszła do drzwi, przez ramię zerknęła na niego jeszcze raz.

- I tak nie chciałeś być gubernatorem, prawda?

Smutek w jego sercu był szczery. Proponowała mu życie, na myśl o którym większość facetów na jego miejscu skakałaby z radości. *Me polegaj na swoim rozsądku, myśl o Nim na każdej drodze; a On twe ścieżki wyrówna.*

Ellen czekała i patrzyła na niego. Po raz ostatni podszedł kilka kroków, nie spuszczać z niej wzroku.

- Nie, Ellen. Bóg stworzył mnie pilotem. Kocham politykę i chciałem głosować na twojego ojca i na wszystkich z partyjnego mianowania, jeśli wszystko nadal wyglądałoby tak jak dziś.

Potańił jej policzek grzbietem dłoni. *Boże, niech ona szybko stąd idzie. Zastępuje na znacznie więcej.*

- Ale prawda jest taka, że tylko wydawało mi się, że chcę się angażować w politykę, ponieważ podobałaś mi się. Twój ojciec był politykiem, więc wydawało mi się sensowne, żebym i ja nim został.

Położyła dłoń na jego dłoni, a po kilku sekundach chwyciła klamkę i cofnęła się jeszcze o krok.

- Wiesz co?

- C o ?

- Cieszę się, że to zrozumiałeś - jej uśmiech był teraz bardziej szczery, smutek również.

- Ja też.

Otworzyła drzwi i wyszła na ganek.

- I pochlebia mi, że aż tak ci się podobałam.

Skinęła mu głową i jeszcze przez kilka sekund patrzyła w oczy. Potem odwróciła się i poszła podjazdem do samochodu zaparkowanego przy krawężniku.

Kiedy odjechała, chwycił telefon i wyszedł na patio. Ból ścisnął mu serce - i Shane wiedział dlaczego. Ellen nie była wprawdzie partią dla niego, mimo to była mu bliska. Wiedział, że będzie mu jej brakować i że znowu będzie sam.

A teraz trzeba było powiadomić o wszystkim rodziców.

Sheila Galanter odłożyła słuchawkę i ledwie doszła do salonu, gdzie jej mąż Samuel czytał gazetę.

- Skończone.

Oparła się o framugę drzwi. Wejście dalej do pokoju nie wchodziło w rachubę. Całą jej energię pochłaniała próba przebrnięcia przez tę informację.

Samuel położył gazetę na kolanie.

- Co skończone?

- Shane i Ellen. Rozstali się.

- Hmm... - kilka chwil patrzył w sufit. - Właściwie mu się nie dziwię.

- Samuelu! Co ty wygadujesz! - zaczynało brakować jej tchu. - Ellen to śliczna dziewczyna.

- I owszem - popatrzył na nią. - Ale samodzielnie zaplanowała Shane'owi życie.

- My też kiedyś tak zrobiliśmy, już zapomniałeś? - weszła do pokoju i przysiadła na skraju krzesła naprzeciwko męża.

Jęknął i odchylił podnózek od szezlongu. Podnózek wskoczył z powrotem na swoje miejsce, a Samuel usiadł prosto.

- Sheilo, nie minęło nawet parę tygodni od czasu, gdy ciebie samą aż nosiło od wątpliwości co do ich planów małżeńskich.

- Ja nie miałam wątpliwości - ton jej głosu zmienił się. - Martwiłam się tylko, że on je ma.

- No to... - Samuel pochylił się i uszczypnął ją w kolano - wszystko wskazuje na to, że miałaś rację - przyglądał jej się uważnie. Tak dobrze ją znał.

- Sheilo, Shane jest jeszcze młody. Znajdzie kogoś innego.

Dokładnie to samo myślała. Tyle że to nie wiek Shane'a stanowił problem. Potworna prawda była taka, że ich syn nigdy nikogo naprawdę nie pokochał od czasu, gdy...

- Samuelu, a jeśli to nasza wina? - jej głos przeszedł w szept. - Myślałeś kiedyś o tym?

Na oczy jej męża padł cień. Samuel położył ręce na kolanach. Przez prawie minutę nie mówił nic, jak gdyby znalazł się nagle z powrotem w tych strasznych czasach, gdy czuli się zmuszeni zacząć życie od nowa, byle tylko ochronić syna. Wyrwało mu się długie westchnienie.

- Nie chciałem tego.

- Ależ chciałeś, prawda?

Przez wszystkie te lata, całe dwie dekady, odkąd wyjechali z Chicago, Sheila nigdy nie zdobyła się na odwagę, żeby porozmawiać o tym z mężem. Podjęli pewną decyzję i nigdy nie oglądali się wstecz. Ale teraz przeszłość wtoczyła się do ich pokoju, rozdarła i krwawiąca, niemożliwa do ignorowania.

Byli zdruzgotani nie tyle zerwaniem Shane'a z Ellen. Raczej faktem, że ich syn nigdy nie zrezygnował z Lauren Anderson. Sheila patrzyła, jak na twarzy Samuela malują się jej własne uczucia, i miała już odpowiedź na swoje pytanie.

- Samuelu, odezwij się.

Wziął głęboki oddech.

- Kiedy zabraliśmy chłopaka tutaj, byłem święcie przekonany, że to słuszna decyzja - mówił przez zaciśnięte zęby, z rzadka tylko uzewnętrzniając uczucia.

- Sheilo, przecież on miał 17 lat. Co innego mogliśmy zrobić?

- Nie wiem - w jej sercu pojawiło się jakieś pęknięcie i zwiesiła głowę. Samuel ma rację. Chcieli dla niego jak najlepiej. Przeprowadzka to był pomysł Samuela, ale ona go poparła. Poparła, mimo że kosztowało ją to utratę najbliższej przyjaciółki.

- Chciał się z nią żenić... zostałyby ojcem przed ukończeniem szkoły. Miałem stać i spokojnie patrzeć? - Samuel przytknął do piersi rozłożoną dłoń. - Proszę... Sheilo, powiedz, że nie masz do mnie żalu.

- Miałabym mieć żal do ciebie? - uniosła ręce do góry i znów opuściła je na kolana. - To przecież ja spotykałam się z Angellą, to ja ją przekonywałam, że trzeba coś wymyślić - poczuła, jak pęknięcie się poszerza. - Tak wyrażałam się o Lauren, jakby ona była... - wbiła wzrok w podłogę, wspomnienia były tak żywe, że nieomal mogła ich dotknąć. - Tak się o niej wyrażałam, jakby to była wyłącznie jej wina - skrzywiła się i znów spojrzała na Samuela. - Straciłam przyjaciółkę, bo nie byłam w stanie choćby przez moment pomyśleć o tym, że Shane jest w tej sytuacji nie tylko ofiarą.

Samuel ujął ją za dłonie i przez długą chwilę wodził kciukami po jej kciukach. W końcu potrząsnął głową.

- Pomyliliśmy się. Wiem o tym już od dawna.

- On przez całe życie szukał Lauren - czuła, że jej wzrok wpatruje się w nieskończoność. - Czasami kiedy jestem w Internecie, wstukuję jej nazwisko, sprawdzam, co się pojawi.

Patrzył na nią uważnie zdumionym wzrokiem.

- Ja też tak robię.

- Powinniśmy byli poszukać Angeli i Billa. Oni na pewno wiedzą, gdzie ona jest.

Twarz Samuela przybrała dziwny wyraz. Potrząsnął głową.

- Nie. Nie mają pojęcia. W każdym razie tak było jeszcze pięć lat temu.

„Co on mówi?“. Uchwyciła się mocniej jego dłoni, bojąc się, że zsunie się z krzesła.

- Dzwoniłeś do nich?

- Raz z pracy zadzwoniłem do Billa. Rozmawialiśmy krótko. Bez przeprosin, bez oskarżeń. Nie mówiliśmy nic o dziecku - wzruszył ramionami. - Zapytałem, czy mógłby nam pomóc skontaktować się z Lauren.

- Zrobiłeś to? - żyła z nim od 38 lat. Jak to możliwe, że nie rozmawiają o sprawach tak ważnych?

- Shane był odważny, silny, bohater wojenny. Ale w środku umierał z powodu tej dziewczyny - rysy mu zmiękły. - Zastanawiałem się, jak mu pokazać, że go kocham. Jak bardzo go naprawdę kocham - zamrugał powiekami, ale jego oczy nadal były wilgotne. - Odnalezienie Lauren wydało mi się najlepszym pomysłem.

- Sam... - zsunęła się na podłogę i podczołgała parę kroków, które dzieliły ją od niego. Tak bardzo go kochała! - Zrobiłeś bardzo dobrze.

- Tylko że Bill powiedział, że nie wie, gdzie ona jest. Uciekła z domu po urodzeniu dziecka. I to był koniec rozmowy - wyplótł dłoń spomiędzy jej palców.

- Chyba wszyscy zapłakaliśmy za to, co zrobiliśmy naszym dzieciom.

Z jej ust wyrwał się cichy krzyk.

- Gdybym wiedziała, że to będzie mój jedyny wnuk... - objęła go za nogi i oparła głowę o jego kolana. - Sam... Ciagle płacimy za to, co zrobiliśmy.

- Tak - smutek tłumiał jego głos. - Czasami, kiedy nie mogę spać w nocy, zastanawiam się, czy to dziecko to chłopiec, czy dziewczynka. Ma już 18 lat. Ciekawe, gdzie może teraz być.

W tym momencie Sheila poczuła, że pęknięcie przeszło na wylot, a jej serce rozpadło się na pół. I wiedziała z całkowitą pewnością, że nigdy już nie będzie taka jak przedtem. Bo taka była prawda. Ze nie tylko ona marzyła o tym wnuku, którego opuścili, i zamartwiała się samotnością syna. Razem z Samuelem wiodli spokojne życie, oszukując sami siebie, nigdy nie rozmawiając o podjętej niegdyś najważniejszej decyzji w ich życiu, nigdy nie zastanawiając się nad tym, jak zmieniła ona ich wszystkich już na zawsze.

A Andersonowie? Jak Lauren mogła odejść i nigdy już się nie odezwać? Do kąd pojechała? Ciarki rozpoczęły się od czoła Sheili i objęły całą twarz. Lauren mogła pojechać tylko w jedno miejsce. Do południowej Kalifornii. Bo chciała odnaleźć Shane'a równie mocno, jak on chciał odnaleźć ją.

Uświadomienie sobie tego nałożyło kolejną warstwę na tragedię, jaką było ich życie. Tylko jedno mogło ich uratować - gdyby rozbite kawałki całości znów połączyły się w jedno. Uzdrawienie mogłoby nastąpić, gdyby Shane odnalazł Lauren i gdyby ona i Samuel pojednali się z Andersonami. Ale jak to zrobić? Czy to w ogóle możliwe? Wyrzuty sumienia i żal pastwiły się nad nią tak bardzo, że pragnęła całą sobą, aby coś podobnego mogło się wydarzyć. Ale to było niemożliwe. Takie cuda się po prostu nie zdarzają.

W każdym razie nie takim wstrętnym ludziom jak oni.

## Rozdział 23

Była to słuszna decyzja, a mimo to w ten poniedziałkowy poranek Shane ciągle czuł ból w sercu. Brakowało mu Ellen, brakowało tego, jak potrafiła go rozśmieszyć, tej żywości, z jaką zabawiała go opowiastkami ze świata jej ojca. Bez niej weekend upłynął spokojnym, jednostajnym rytmem. Nikt nie musiał mu mówić, jak będzie wyglądał kolejny etap jego życia. Shane wiedział, że będzie samotny, być może bardziej samotny niż kiedykolwiek dotąd.

Zajechał przed ośrodek Top Gun, wyłączył silnik i wyszedł z auta. Dzień był chłodny, ale niebo olśniewająco niebieskie. Oparł się o samochód, skrzyżował nogi i wpatrzył się w niebo.

- No dobrze, Boże. Ufam Ci.

Uśmiechnął się, ale smutek go nie opuścił.

- Pokaż mi, co teraz.

Zasalutował w stronę nieba.

- Pozostaję do Twojej dyspozycji.

Wziął głęboki wdech i ruszył w stronę tylnego wejścia do budynku. Potrzebował tempa, potrzebował prędko zasiąść w kokpicie i polecieć jak wiatr przez to wiekiuste niebo. Może dzięki temu poczuje się lepiej?

Była 8.50 rano, kiedy zameldował się w recepcji. Wziął plik listów adresowanych do siebie i już zmierzał w stronę pokoju instruktorów, gdy któryś z chłopców za kontuarem zamachał do niego.



- Kapitanie Galanter!

- Tak? - rzucił okiem na listy w ręku. Była wśród nich znajoma koperta, coś z biura ojca Ellen. Młody człowiek obok coś do niego powiedział, ale Shane nie słuchał. Wsunął listy pod pachę i zachmurzył się. - Tak, tak? Coś mówiłeś?

- Ma pan wiadomość, sir - wyciągnął kartkę w jego stronę. - Ta pani pisze, że to pilne.

Shane wrócił do lady i wziął karteczkę.

- Dzięki.

Skinął głową młodemu człowiekowi, obrócił się i poszedł korytarzem. Idąc, zerknął na wiadomość. Zanotowano ją odręcznie z samego rana. Było tam napisane: „Proszę zadzwonić do Emily Anderson z Wheaton w Illinois”.

Anderson? Shane szedł coraz wolniej, aż zatrzymał się. Emily Anderson z Wheaton? Patrzył na numer i zastanawiał się... Emily? Emily Anderson? Oparł się o ścianę, oszołomiony od myśli pędzących mu przez głowę. Czy to możliwe? Szalona nadzieja, jaka nagle nim owładnęła, wiązała się nie tyle z jej nazwiskiem ani nawet nie z tym, że pochodziła z Wheaton. Tylko z tym, że miała na imię Emily.

Tak samo jak...

Mocno zamrugał powiekami i potrząsnął głową. Może jest taki zamroczony z powodu Ellen, a może z powodu pięknego poniedziałkowego poranka i pragnienia, żeby w końcu unieść się w niebo. Tak czy inaczej, musi uporządkować myśli. Myślenie o Lauren albo o dziecku, albo o czymkolwiek z przeszłości do niczego nie doprowadzi.

To imię to jakiś zbieg okoliczności. Anderson to popularne nazwisko, a Emily nie jest rzadkim imieniem. Mimo to trzeba do tej kobiety oddzwonić. Pewnie jakaś nauczycielka, która zabrała do Lake Tahoe grupę młodzieży i szuka jakiegoś edukacyjnego aspektu tej wycieczki. To zdarza się co rusz. Wszedł do swojej małej kanciapy i rozsiadł się wygodnie na krześle, nie przestając po raz kolejny czytać wiadomości. To na pewno jakaś wycieczka, co do tego był przekonany.

Wybrał numer i czekał. Odbędzie tę rozmowę, wyznaczy tej pani jakiś termin i w końcu wskoczy w kombinezon. Jeszcze przed dziewiątą rano.

Emily pisała właśnie kolejny e-mail do matki.

E-maile i telefony dały im obu cudowną sposobność porozumiewania się, jeszcze zanim mogły spotkać się osobiście. Tym razem Emily pisała o dziennikarstwie, o tym, jak strasznie chce pisać dla jakiejś gazety tak samo jak matka. Właśnie kończyła pisać, gdy zadzwieczał telefon na biurku obok. Podniosła słuchawkę, nie spuszczając wzroku z ekranu komputera.

- Słucham?

- Dzień dobry, poproszę z Emily Anderson. Tu kapitan Shane Galanter, prosiła o telefon.

Odebrało jej dech, zasłoniła usta dłonią, żeby nie usłyszał jej reakcji. Nadal nie miała pojęcia, czy rozmawia z właściwym człowiekiem. Serce podeszło jej do gardła. Wstała, wyszła z pokoju i poszła w stronę końca przedpokoju.

- To ja jestem Emily - żołądek zwinął jej się w węzeł. - Szukam pana Galantera. Tylko nie jestem pewna, czy rozmawiam z właściwym.

- Aha... - mężczyzna po drugiej stronie był wyraźnie zbity z tropu. - W Top Gun tylko ja noszę takie nazwisko, jeśli o to pani chodzi.

- No więc... - zdusiła nerwowy śmiech. A jeśli to on? Jeśli rozmawia z ojcem? Ze swoim własnym ojcem! Po raz pierwszy w życiu? - szczerze mówiąc, to nie jestem pewna, czy Shane Galanter, którego szukam, jest instruktorem w Top Gun.

Zaśmiał się.

- Proszę mi w takim razie powiedzieć, kogo pani szuka.

- Niezła myśl - polubiła go. Miał miły głos i poczucie humoru. - Shane Galanter, którego szukam, ma ciemne włosy i ciemne oczy i jest dość wysoki. Wychował się w Chicago i tam spotykał się z dziewczyną, Lauren Anderson. Latem przed ostatnią klasą liceum...

- Emily - znikła gdzieś żartobliwa beztroska w głosie. W jej miejsce pojawiło się wrażenie kompletnego zaskoczenia. - To mnie szukasz. A teraz ja zapytam... - zawahał się. - Kim ty jesteś?

Przestała chodzić i oparła się o ścianę. To on! Znalazła go! Jej policzki powędrowały w górę od uśmiechu, a w oczach pojawiły się łzy. Po tych wszystkich latach - czyżby to rzeczywiście było takie łatwe? Czy wystarczyło tylko bezbłędnie wpisać nazwisko w wyszukiwarkę internetową? Zaczęła wyrzucać słowa z rekordową szybkością.

- Jestem twoją córką - wyrwał się jej jakiś dźwięk, ni to śmiech, ni szloch. - Szukałam cię całe życie, tylko że w Internecie błędnie wpisywałam twoje nazwisko. Dopiero w zeszłym tygodniu, kiedy znalazłam pamiętniki mamy i uświadomiłam sobie, że w twoim nazwisku są dwie litery „a”. I wtedy...

- Emily... - słyszała brak tchu i cień wątpliwości w jego głosie. - Twoja mama nazywa się...

- Lauren. Lauren Anderson - zaśmiała się głośno. - Odnalazłam ją pięć dni temu, tego samego dnia, kiedy zadzwoniłam do twojego ośrodka.

- Dopiero dziś mi przekazali. Ja... nie mieści mi się to w głowie - mówił z trudem, jego głos tłumili uczucia najwyraźniej zbyt trudne do opanowania. - Więc jednak zrobiła to. Oddała cię do adopcji.

- Nie, w żadnym razie! - Emily odetchnęła ciężko. Trzeba było poskładać razem tyle elementów układanki. - To długa historia. Nie wiem, od czego zacząć.

- Emily, ja nie wiem kompletnie nic - zaśmiał się, a jego głos był wciąż pełen niedowierzania. - Najlepiej zacznij od początku.

- No dobrze - przykucnęła przy ścianie i usiadła na podłodze. - Kiedy razem z rodzicami wyjechałeś do Kalifornii, mama za wszelką cenę usiłowała cię odnaleźć...

Cała historia wylała się z niej ze wszystkimi szczegółami. Emily przez cały czas przepełniała taka radość, że zdawało jej się, że za chwilę uniesie się w powietrze. Odnalazła tatę! Naprawdę rozmawiają przez telefon! Nie mieściło się jej to w głowie. W ciągu jednego tygodnia odszukała oboje rodziców. I teraz to do niej należy przekazanie tacie wszystkich informacji, tak żeby mogli się znów połączyć. On przyjedzie, co do tego nie miała wątpliwości. Przecież prosiła o cud.

I Bóg sprawił, że cud właśnie się dzieł.

## Rozdział 24

Lauren zdawało się, jakby zawsze znała swoją córkę, mimo że upłynął dopiero tydzień. W ciągu tych rozmów przez telefon opowiedziały sobie o wielu rzeczach, które je ominęły, o faktach, których nie znały o sobie nawzajem. Lauren opowiedziała Emily o swojej pierwszej wyprawie na zachód i o tym, jak Emily się rozchorowała.

- Byłam pewna, że to wszystko moja wina - Lauren starała się oddać głosem głębię swojego żalu. - Kiedy powiedzieli mi, że odeszłaś, wiedziałam, że pozostała mi tylko jedna nadzieja: odnaleźć Shane'a.

Opowiedziała, jak przyjechała do Los Angeles, znalazła mieszkanie i pracę. Jak za wszelką cenę postanowiła skończyć studia i zacząć zarabiać pisaniem i jak ani jeden dzień nie upłynął jej bez poszukiwań Shane'a.

Inne rozmowy dotyczyły Emily. Lauren dowiedziała się, że jej córka jest głęboko wierząca i że ta wiara odzwierciedla się we wszystkim, co robi i co myśli. Emily opowiedziała o najważniejszych wydarzeniach z dzieciństwa, o niezapomnianych chwilach w domu i w szkole i o swojej decyzji o karierze piłkarskiej.

- Ciągłe gram, teraz w Wheaton College - w jej głosie brzmiała duma. - Babcią mówi, że tata też był sportowcem.

- Tak - Lauren poczuła w sercu rozdrapaną ranę. Nie tylko z powodu wszystkiego, co ją ominęło, ale i z powodu wspomnień Shane'a, które okazały się żywe i ciągle obecne. - Grał w baseball.

Rozmawiały o rodzicach Lauren, jak bardzo pragnęły ją zobaczyć, i o pracy Emily w uczelnianej gazecie. Mogły tak rozmawiać i wymieniać e-maile nie wiadomo jak długo - a mimo to Lauren wciąż nie mogła uwierzyć, że jej córka żyje.

Do momentu, aż ją zobaczyła.

W pewne sobotnie popołudnie, po pięciu godzinach lotu Lauren chwyciła bagaże z półki nad siedzeniem w 737 i ruszyła wzdłuż przejścia w samolocie, a potem rękawem do chicagowskiego portu lotniczego O'Hare. Ciągle nie mieściło się jej w głowie, że wraca do domu. Tam, gdzie wszystko się zaczęło, tyle lat temu. Osiemnaście lat. Całe życie.

Całe życie Emily.

Weszła do hallu i poszła za znakami po bagaże. Emily miała czekać przy wejściu na lotnisko. Lauren włożyła klasyczną spódnice i marynarkę, i lakierki na niskim obcasie. Tak ubrałaby się na wizytę w redakcji „Time'a”. Włosy starannie uczesała, były równie długie i jasne, jak wtedy gdy opuszczała dom. Gdy szła korytarzem, jej serce dotrzymywało kroku stopom. Przez całe życie bawiła cudze dzieci i zastanawiała się, jak wyglądałaby Emily, gdyby żyła. Teraz się dowie, już za parę minut.

To spotkanie będzie czymś więcej, niż mogłaby przypuszczać w najśmielszych marzeniach, ale nie będzie wolne od smutku. Emily powiedziała jej wczoraj, że stan taty bardzo się pogorszył. Lekarze dają mu najwyżej parę tygodni. Przyspieszyła kroku, mając w myślach obraz ojca, takiego, jaki był, gdy opuszczała dom. Bolało ją serce, bo pozostało im mało czasu. Ale smutek nie mógł przeważyć w jej uczuciach. Bo nawet ten krótki czas, jaki im pozostał, był darem, o którym nigdy nie marzyła.

Tłum gęstniał. Lauren precyzyjnie się obok grupy nastolatków w strojach do koszykówki. Emily zapewne nieraz podróżowała ze swoją drużyną piłkarską. Kto wie, może nawet minęły się kiedyś na jakimś lotnisku, wcale o tym nie wiedząc? Szybkim krokiem podeszła do schodów ruchomych, postawiła torbę przed sobą i uchwyciła się gumowej poręczy. Nawet w samym ogniu walki nie bywała tak zdenerwowana.

Schody zwoziły ją w dół straszliwie powoli. Zerknęła w przestrzeń na dole i ujrzała korytarz i podwójne drzwi. Tuż za nimi ładna ciemnowłosa dziewczyna chodziła po parę kroków w tę i z powrotem, nie spuszczać wzroku z przejścia. Czyżby ona? Lauren miała może pięć sekund na przyjrzenie się jej, ale nie potrzebowała nawet tyłu. Dziewczyna miała ciemne włosy Shane'a i jego wyjątkowe rysy. Poza tym jednak była ciemnowłosą repliką jej samej sprzed lat.

Zeszła ze schodów i pomknęła w stronę drzwi, uciekając przed powodzią pasażerów w tyle. Za drzwiami zatrzymała się i wpatrzyła w dziewczynę, z sercem w gardle.

Rzeczywistość uderzyła ją w tej samej chwili, gdy spotkały się wzrokiem, gdy patrzyły sobie w oczy, mówiąc mnóstwo bez wypowiedzenia choćby słowa. To była jej córka, jej Emily! Jej maleńka żyje!

Emily odezwała się pierwsza.

- Mama? - podeszła do niej. - To ty, prawda?

- Tak, Emily.

Lauren spuściła torbę na ziemię i wyciągnęła ręce. Jej córka podeszła jeszcze bliżej, padła jej w ramiona i tak już pozostała. Lauren kołysała ją, a łzy płynęły jej po policzkach. Ich uścisk był ciepły i mocny i przypomniał jej ten ostatni raz, kiedy trzymała Emily. Całe życie upłynęło jej bez kołysania córki w ramionach, ale odtąd nie uroni już ani sekundy.

- Jesteś taka śliczna - wyszeptła te słowa w jej włosy. - Nie mogę po prostu uwierzyć, że naprawdę jesteś.

- Ja też - Emily cofnęła się nieco. Jej oczy błyszczały jak słońce, choć na policzkach lśniły łzy. - Szukałam cię całe życie.

- Codziennie za tobą tęskniłam - przycisnęła policzek do policzka córki. - Gdybym tylko wiedziała...

Emily pociągnęła nosem i zaśmiała się przez łzy.

- Ale w końcu jesteś! Naprawdę jesteś. Teraz się już nie rozstaniemy, zgoda?

- Zgoda - Lauren przypatrywała się córce, rozkoszując się jej widokiem. Omięnęło ich tyle wspólnego, więc może Emily ma rację. Może odnajdą drogę do tego samego miasta i nigdy się już nie rozstaną. Ta część opowieści nie została jeszcze napisana. Życiem Lauren był dotąd Środkowy Wschód. Ale to jeszcze przed znalezieniem Emily. Teraz przyszłość kryła w sobie więcej pytań niż odpowiedzi.

- Wiesz co - Emily cofnęła się i chwyciła torbę Lauren. - Może byśmy tak coś zjadły? Przywiozłam album ze zdjęciami, możemy przy okazji pooglądać.

Było już po pierwszej i dopiero wtedy Lauren uświadomiła sobie, jak bardzo jest głodna.

- Tu? Na lotnisku?

- A czemu nie? - Emily wzięła ją pod rękę. - Skoro już tu jesteśmy.

- No właśnie - Lauren nie mogła sobie przypomnieć, żeby kiedyś czuła się aż taka szczęśliwa, w każdym razie nie od chwili narodzin córki. Zabrały jej dwie torby, wyszły przez podwójne drzwi i ruchomymi schodami wjechały do niewielkiej meksykańskiej knajpki.

Emily co rusz spoglądała na zegarek, aż w końcu Lauren zaciekawiła się.

- Jesteśmy spóźnione?

- Nie - Emily zaśmiała się trochę nerwowo. - Powiedziałam babci i dziadziowi, że nie będziemy się śpieszyć.

- No to dobrze.

Złożyły zamówienie, a Lauren wybrała stół. Kiedy już usiadły, nachyliła się do córki. Nie mogła się nacieszyć Emily, tym, że wygląda tak bardzo jak Shane i jednocześnie tak bardzo jak ona sama. Położyła dłoń na jej dłoni.

- To pokaż te zdjęcia.

- Już - Emily uśmiechnęła się szeroko. - Zaczniemy od początku.

Na pierwszych zdjęciach Emily raczkowała, stawiała pierwsze kroczki i siedziała przy biało-różowym lukrowanym torcie urodzinowym z jedną świeczką pośrodku. Każde zdjęcie było dla Lauren jak bezcenne bolesne okno na wszystko, co przegapiła, co bezpowrotnie straciła. Dlaczego nie wróciła? Wystarczyłby jeden telefon, a wszystkie te lata nie upłynęłyby w samotności. Kiedy doszły do drugiej kartki, smutek był już nie do zniesienia.

- Emily, zaczekaj... - oparła łokcie na stole i zakryła oczy grzbietami dłoni.  
- Jest mi tak źle...

- Mamo - Emily delikatnie ujęła ją za przegub i wpatrzyła się w nią.  
- Mamo, nie smuć się.

- Nic na to nie poradzę - pociągnęła nosem. - Powinam była tu być, a teraz... Zaszlochała głośno, ale zdołała się opanować. - Tego czasu już nie odzyskam.

- Odzyskasz - Emily nachyliła się i ucałowała ją w policzek. - Do tego służą zdjęcia. Pozwalają wrócić w przeszłość.

- Tylko to strasznie boli - chciała być silna. To była jej pierwsza sposobność od blisko 20 lat, żeby być matką dla swojej córki. To nie ona powinna wspierać się na Emily. - Wszystko bym dała, żeby cofnąć czas i wszystko powtórzyć.

- Wiem.

- Wiesz? - zniżyła głowę i spojrzała córce w oczy. - Naprawdę wiesz, jak bardzo żałuję, że mnie tu nie było?

- Tak, mamo. Wiem. Poznałam już przy naszej pierwszej rozmowie - zamknęła album. - Resztę możemy obejrzeć później.

Lauren wyprostowała się trochę i wpatrzyła w niebieską skórzaną oprawę albumu. To możliwe. Zwłaszcza z Emily przy boku. Może wrócić do straconego życia i zobaczyć na zdjęciach, jak jej dziewczynka rosła. Jakoś to przeżyje. A na pewno będzie potem silniejsza.

- Nie, chcę je zobaczyć teraz - objęła córkę ramieniem i uśmiechnęła się.  
- Tylko nie przejmuj się, jakbym się rozpłakała, dobrze?

- Dobrze - w oczach Emily było współczucie.

Kolejne zdjęcia przedstawiały Emily-przedszkolaka, jeżdżącą na czerwonym trójkołowym rowerku, potem Emily przebraną za królową wrózek na Halloween.

Zanim jeszcze przewróciły kartkę, dwie łzy Lauren kapnęły na foliową osłonkę. Lauren uśmiechnęła się do Emily.

- Widzisz? Nie mówiłam?

Obydwie zaczęły chichotać i już za chwilę - po raz pierwszy w życiu - Lauren i Emily wspólnie zrywały boki ze śmiechu, oczyszczającego, nieposkromionego śmiechu, jaki mogą dzielić tylko matka i córka.

Emily nie mogła przestać. Była z matką zaledwie od godziny, a już czuła więź, która przetrwa całe życie. Obydwie nie lubiły odgrzewanej fasoli i obydwie

przepadały za pikantnym guacamole i czarnymi oliwkami. Obydwie przełamywały chrupki z tortilli na pół przed zanurzeniem ich w salsie. Kiedy to spostrzeżły, znów zaczęły się śmiać.

Zdjęcia i posiłek, i identyczne drobne przyzwyczajenia - to wszystko cudownie poprawiało humor. I pomagało Emily jak najdłużej utrzymać w tajemnicy przed matką to, co miało wkrótce nastąpić: że niedługo zobaczy Shane'a Galantera. Nie mogła jej tego powiedzieć. Jeszcze nie teraz.

Rozmowa telefoniczna z ojcem była zdumiewającym przeżyciem, a zdążyli już ze sobą rozmawiać kilka razy.

Był głęboko wierzący tak samo jak Emily, a inaczej niż matka. Zaledwie tydzień przed telefonem Emily zerwał zaręczyny. Emily nie mogła opędzić się od wrażenia, że to też był element cudu, który czynił Bóg.

- No to mam... - skończyły już jeść. Emily oparła łokcie o stół i ujęła głowę w dłonie - powiedz mi coś o tacie.

Wzrok matki rozmarzył się i oddalił, a zarazem pojawiła się w nim rezygnacja.

- Był taki niezwykły.

Zgięła palec i przytknęła go pod jednym okiem, potem pod drugim.

- Tak bardzo chciał być twoim tatą... - zawahała się, patrząc w głąb korytarza przez wielkie okna na pas startowy. - Poprosił mnie o rękę - poszukała wzrokiem wzroku Emily. - Wiedziałaś o tym?

Emily czuła, jak przepełniają radość.

- Nie. Nie wiedziałam.

Dziadkowie nie wspominali nic o zaręczynach. Przez chwilę czuła gniew, ale pozwoliła mu odejść. Potem porozmawia z nimi o tym, dlaczego to przed nią zataili. Liczy się to, że dawno temu rodzice planowali się pobrać. Z trudem mogła wysiedzieć przy stoliku - miała ochotę tańczyć wokół stołu i wykrzyczeć tę nowinę na głos. Ale opanowała się.

- Powiedz, jak to było.

- To było przed ich wyprowadzką - zmrużyła oczy, jakby patrzyła w odległą przeszłość. - Dał mi pierścionek z wygrawerowanym napisem *Pomimo wszystko*. Powiedział, że zawsze będzie mnie kochał, pomimo wszystko, nawet jeśli wszystko sprzysięgnie się przeciwko nam - jej oczy błyszczały. - Napisałam wtedy opowiadanie o nas w jednym z moich zeszytów i tak je właśnie zatytułowałam. *Pomimo wszystko*.

Westchnęła głęboko, wspomnienia przesłaniały jej wzrok.

- Znalazłam ten zeszyt - Emily prędko nabrała powietrza, nie chcąc płoszyć wspomnień. - Całości nie przeczytałam. Ale te słowa na twoim pierścionku... są takie romantyczne.

- Tak - w głosie Lauren była rezygnacja. - Shane zawsze taki był.

- I co było potem?



- Praktycznie nic. Shane sądził, że jeśli się zaręczymy, to rodzice w końcu nam pomogą. Robił, co mógł, żeby znaleźć dla nas jakieś mieszkanie na czas, aż ukończymy ostatnią klasę.

- I nic się nie udało?

To było takie smutne, tak tragiczne. I choć Emily wiedziała, co wydarzy się za pół godziny, nie mogła powstrzymać się od łez.

- Nasi rodzice postanowili nas rozdzielić - w oczach matki nie było potępienia, wrogości. Tylko rezygnacja. - Samochód Shane'a i w ogóle wszystko, co miał, było własnością jego rodziców. Kiedy kupił mi pierścionek, nie zostało mu nawet 10 dolarów - roześmiała się smutno. - I zabrali go do Kalifornii. Obiecali, że jak tylko skończy szkołę, pomogą mu wrócić do Chicago.

- Kłamali - ta myśl nie przyszła wcześniej Emily do głowy. Wychowywały się w rodzinie razem z matką i ojcem, gdyby tylko ci dziadkowie, których nie znała, zrobili cokolwiek, żeby pomóc synowi zostać w Illinois. - To jest takie smutne.

- Tak - matka zdecydowanie pokiwała głową. - Ale wybaczyłam im. Musiałam - uśmiechnęła się. - W przeciwnym razie zmarnowałabym się i chyba umarła z tej nienawiści.

Emily patrzyła na matkę. Przebywanie z nią było jak otwarcie skrzyni pełnej skarbów, których oglądanie zabierze całe życie. Oparła się i ścisnęła jej dłoń.

- Wiesz co?

- C o ?

- Mam nadzieję, że mnie też tak ktoś kiedyś pokocha.

Słodko-gorzka tęsknota złączyła brwi matki w jedną linię.

- Ja też, Emily. Ja też.

Temat rozmowy zmienił się. Mówiły o życiu na Środkowym Wschodzie i przyjacielu matki, Scanlonie. Kiedy tylko Lauren o nim wspomniała, Emily poczuła nagły niepokój.

- Czy wy... no wiesz, czy wy jesteście ze sobą?

Lauren uśmiechnęła się w zamyśleniu.

- Nie... - uniosła jedną brew - choć Scanlon może uważa, że tak.

Spoważniała.

- To wspaniały człowiek. Myślę, że chciałby spędzić życie razem ze mną, tylko że... - lekko uniosła ramiona - ja wiem, co to jest miłość, Emily. Już od dawna jej nie miałam, ale kiedyś jednak miałam. Jeśli znowu czegoś takiego nie pocuję, to nie będę się w nic angażować.

Rozmawiały jeszcze o Scanlonie i o niedawnej tragedii w sierocińcu. Lauren znów miała łzy w oczach, gdy opowiadała o dziewczynce, którą tam poznała, Senii, siedmiolatce bez zębów na przodzie.

- Bardzo mi przykro - Emily mówiła zniżonym głosem. - A jak twoja ręka?

- Coraz lepiej. Jeszcze boli, ale już coraz mniej.

Emily wolała nie myśleć o tym, jak mógł skończyć się ten zamach. To byłoby nie do zniesienia - odszukać matkę i dowiedzieć się, że właśnie kilka dni temu zginęła.

Lauren znów zmieniła temat, opowiadając Emily o historiach, które opisywała w Iraku i Afganistanie. Uświadomiły sobie, że na podstawie jednej z tych historii - dużego tekstu o zasłonach usuwanych z twarzy wschodnich kobiet - Emily sama napisała raport na jedne z ćwiczeń z angielskiego.

- No coś takiego - Emily pociągnęła ze szklanki łyk gazowanego napoju. Już zbliżała się ta chwila i z każdą minutą była coraz bardziej podekscytowana.  
- Kto by się spodziewał, że mam taką sławną mamę.

Znowu roześmiały się razem, a Lauren rozpoczęła kolejną opowieść o niebezpieczeństwach, historię związaną z wojną iracką, którą kiedyś opisała. Tym razem Emily słuchała tylko jednym uchem. Z trudem przychodziło jej utrzymanie tajemnicy

Za kwadrans lądował samolot taty!

- Emily? - matka przechyliła głowę. - Co ci jest?

Z miejsca przywołała się do porządku.

- Ależ nic! Po prostu myślałam sobie, jakby to było miło pewnego dnia też pisać dla jakiejś gazety - w duchu pogratulowała sobie sprytnej zasłony dymnej.  
- Chcesz jeszcze chrupiek?

Matka wyglądała na nieco zdziwioną.

- Skarbie, przecież chrupki już dawno zjadłyśmy - zaśmiała się i spojrzała na Emily z zakłopotaniem. - Jedźmy już do domu - przez jej oczy przemknął ból.  
- Chcę zobaczyć mamę i tatę.

- Już teraz? - palce stóp Emily poruszały się nerwowo pod stołem. - Chciałam ci jeszcze opowiedzieć o naszej drużynie piłkarskiej. Już prawie zakwalifikowałyśmy się do rozgrywek, wspominałam ci?

- Przyjechałaś autem, tak? - matka już wstawała od stołu, wycierając usta i układając talerze na tacy.

- Tak - Emily chwyciła widelec i wbiła go w przestygniętą mieszankę kurczaka i sałaty, jaka pozostała jeszcze na talerzu. - Tylko jeszcze skończyłabym to burrito, co?

Matka spojrzała na nią błagalnie.

- A nie mogłabyś zabrać go ze sobą? Naprawdę chcę już do domu.

- No dobrze. Skoro tak... - uśmiechnęła się szeroko i podeszła do lady poprosić o opakowanie. Z namaszczeniem zeskrobywała resztki potrawy do pojemnika, a potem sprzątała naczynia ze stołu. Czuła, że matka zaczyna się już irytować, ale musiała zgrać wszystko w czasie co do joty

Wszystko sobie z góry przygotowali. Tata miał wsiąść z samolotu i pójść halą dworcową do miejsca odbioru bagażu. Po zjechaniu schodami w dół miał jej

puścić strzałkę na komórkę - miała aparat w kieszeni spodni, nastawiony tylko na wibracje. To miał być dla niej sygnał, żeby przyprowadzić tam matkę - na spotkanie z nim.

Dyskretnie zerknęła na zegarek. Jeszcze pięć minut. Nagle wpadła na pomysł. Przejechała dłonią po stole, jakby chciała zetrzeć okruchy. Ale przy tej okazji zahaczyła dłonią o szklankę z napojem, wylewając go na podłogę.

- Ajaj! - odskoczyła. - Ależ ze mnie ciapa!

Matka przebiegła przez knajpkę i chwyciła garść serwetek.

- Masz - wyrzuciła resztką tchu. - Ej! Emily, uważaj. Spływa ze stołu prosto na twój but.

- O-o! - wzięła nogę z drogi strumyka. - Przydałoby mi się chyba jeszcze parę serwetek.

Wspólnie posprzątały cały bałagan, po czym Emily podniosła się i wrzuciła mokre serwetki do kosza na śmieci.

- A mnie tak się chciało pić!

- Wiesz co - matka wskazała na dystrybutor z napojem - twój kubek jest jeszcze dobry, więc dolej sobie i pójdziemy - zatoczyła oczami niby to żartem.

- Pokrywkę może też zabierz.

Emily podniosła palec w górę, na znak, że propozycja matki jest godna uwagi. Właśnie napełniała kubek napojem Dr Pepper, gdy komórka w kieszeni zadrzęła. Zaparło jej dech i o mały włos znów wylałaby napój. Ale prędko nałożyła pokrywkę i podbiegła do matki.

- Dobra. Mogę iść.

- Na pewno? - Lauren chwyciła swoją torbę i poszła w kierunku drzwi. Były już prawie na zewnątrz, gdy wskazała z powrotem na stół. - Ale twoje burrito!

Emily obróciła się i machnęła ręką.

- Ach, właściwie to już mi się odechciało jeść.

Lauren wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się z przekąsem.

- Emily, trudno za tobą nadażyć.

- Wiem - wzięła matkę pod rękę i podniosła wysoko głowę. - Wszyscy w drużynie mi to powtarzają.

Lauren zawahała się, patrząc na znaki w hali przylotów.

- Którędy teraz?

- Tędy - serce Emily waliło jak młotem. Miała nadzieję, że nie zemdleje z wrażenia, zanim do niego dotrą. - Musimy przejść znowu koło bagaży.

- Nie ma jakiejś krótszej drogi...

Ale Emily już ciągnęła ją w stronę ruchomych schodów.

- Nie ma, ta jest najlepsza - posłała matce uśmiech. - Zaufaj mi.

Shane Galanter całe życie czekał na tę chwilę.

Stał obok swoich walizek, na samym środku hali z bagażami, tuż obok głównego przejścia prowadzącego do schodów ruchomych. Nawet teraz wydawało mu się, że śni. Ileż to już razy na widok blondynki o podobnej sylwetce i ruchach szedł za nią tylko po to, by w końcu przekonać się, że znowu się pomylił? Pierwsza rozmowa z Emily wciąż brzmiała mu w uszach. Już od pierwszych słów zorientował się, że to jego szuka i że nie jest uczestniczką żadnej z tych szkolnych wycieczek. Ale gdy wyjaśniła, że jest jego córką... Tego było dla niego za wiele.

Przez wszystkie te lata zastanawiał się, co się stało z jego dzieckiem. Bywało - jak to się zdarzyło z tą blondynką w hotelu w wieczór przyjęcia zaręczynowego - że na widok blondynki w towarzystwie nastoletnich dzieci zastanawiał się przez chwilę, czy jedno z tych dzieci nie jest jego. Ale brakowało mu zbyt wielu elementów układanki. Nie był pewien, czy Lauren zatrzymała dziecko, a jeśli zatrzymała, to czy jest to chłopiec, czy dziewczynka.

Gdy dotarło do niego, kim jest Emily, nie mógł się wprost doczekać, kiedy będzie mógł pojechać i zobaczyć się z nią. Wtedy właśnie powiedziała mu, że przyjedzie też Lauren.

Lauren...

Tak długo jej szukał, zastanawiając się, czy jeszcze kiedyś ją zobaczy? Jej zdjęcie, które zachował, było już coraz bardziej poszarpane na brzegach. Patrząc na nie co rusz, marząc o tym dniu, modląc się, żeby nastąpił. Jak to będzie - spotkać ją po tylu latach? Serce mu waliło, starał się odpędzić obawy.

A jeśli się zmieniła, jeśli jej uczucie dla niego dawno wygasło? Chyba już lepiej byłoby nigdy więcej jej nie zobaczyć, niż spojrzeć jej w oczy i dowiedzieć się, że miłość do niego pozostawiła gdzieś w przeszłości.

Nie. Bez względu na to, jak trudne by się to okazało, nigdy nie zrezygnuje z tego, co ma się za chwilę stać. Nadal kocha Lauren, taka jest prawda. Bez względu na to, co przyniosą najbliższe chwile, jego serce musi to wytrzymać.

Włożył dzinsy i białą koszulę. Po cywilnemu. Emily nie mówiła mu za dużo, wspomniała jednak, że Lauren jest reporterką w magazynie „Time”, korespondentką na Środkowym Wschodzie. Oznaczało to, że mogli mieć teraz ze sobą znacznie mniej wspólnego niż niegdyś. Nie chciał o tym myśleć, jeszcze nie teraz. Fala ludzi wylała się ze schodów ruchomych, ale wśród nich nie było Lauren. Jeszcze troje ludzi, jakieś starsze małżeństwo z pudłem w koszu i...

Szły pod rękę, dwie kobiety o takim samym wyglądzie - jedna blondynka, druga brunetka. Wyprostował się, siłą woli zmuszając się do opanowania. Nie był pewien co do dziewczyny, ale ta kobieta to była na pewno Lauren. Oglądał ją co noc w snach, odkąd tylko przenieśli się do Kalifornii. Była starsza, ale upływ czasu tylko dodał jej urody.

Młodsza - na pewno Emily - przystanęła, spojrzała najpierw w lewo, potem w prawo, a potem wprost na niego. Jej wzrok pojaśniał, a on z odległości kilku metrów usłyszał, jak zaparło jej dech. Na moment odwróciła się do Lauren, ale potem znów popatrzyła na niego, jakby nie wiedziała, co zrobić najpierw.

Pociągnęła Lauren parę kroków w jego stronę, a w końcu puściła ją i podbiegła do niego.

- Tato! - poczuł, jak obejmują go jej ramiona. Płakała.

- Emily...

To ona. Dziecko, za którym tęsknił, którego nigdy nie zapomniał. Córka, jego własna córka! Dziewczynka, która kopnęła w jego dłoń, zanim się jeszcze urodziła. Wtedy mieli ze sobą kontakt po raz ostatni - aż do dziś.

Stali tak, obejmując się mocno, aż Emily odchyliła się i zmierzyła go wzrokiem.

- No coś takiego! Nie dziwię się, że mama zwariowała na twoim punkcie.

Roześmiał się i ujął w dłoń jej twarz. Twarz tak bardzo podobną do własnej.

- Nigdy nie myślałem, że doczekam tego dnia, Emily.

Chciał spojrzeć na Lauren, zobaczyć, czy stoi zaraz za córką. Ale najpierw musiał przeżyć tę chwilę.

- Całe życie poświęcę na to, żeby nadrobić lata, które straciliśmy.

Emily uściśnęła go jeszcze raz i - jakby nagle przypomniała sobie o czymś - odskoczyła w bok. I oboje patrzyli teraz na Lauren.

Torby wypadły jej z rąk. Stała w osłupieniu z otwartymi ustami.

Gdy tylko spojrzeli sobie w oczy, od razu to poczuł. Zaiskrzyło. Jak mógł choć przez moment przypuszczać, że upływ czasu mógł zmienić to, co ich łączyło? Przecież zawsze wiedział, że nie zmieni tego nic. Nie mylił się. Stali tak przez długą chwilę, próbując uwierzyć w to, co widzą. Po policzkach Lauren płynęły łzy. W końcu nie mógł czekać dłużej. Podszedł do niej w tej samej sekundzie, w której ona podeszła do niego - spotkali się w połowie drogi.

Gdyby to była scena filmowa, chwyciłby ją w ramiona, obkręcił naokoło i pocałował tak, jak żołnierz całuje dziewczynę po długim rozstaniu. Ale ta chwila miała w sobie tyle samo bólu, ile triumfu. Cudownie było znów na siebie patrzeć, ale Shane nie mógł otrząsnąć się z przygnębiającego smutku. Stracili 20 lat. I przywilej wspólnego wychowywania dziecka. Tej straty nie naprawi już nic.

Stanęli naprzeciwko siebie i powoli, z całą czułością, jaką w sobie miał, przyciągnął ją ku sobie. Stracone lata zniknęły tak jak krótka chwila. Napawał się jej bliskością. Pasowali do siebie idealnie, tak jak niegdyś.

- Lauren... Czy to naprawdę ty... - czuł, jak jej serce łomocze o jego pierś.

Przycisnęła go mocniej.

- Szukałam cię... tak długo - cofnęła się o krok i wpatrywała mu się w oczy.  
- Shane, gdzie ty byłeś? - szloch wstrząsał nią coraz mocniej, a jej głos przeszedł w ledwie słyszalny szept. - Nie mogłam cię znaleźć.

Obok ciągnęły tłumy ludzi, rzucając w ich stronę zaciekawione spojrzenia.

Emily, stojąca nieopodal, poustawiała bagaż matki i teraz przypatrywała się im z uśmiechem, szerokim od ucha do ucha.

Shane przytulił głowę Lauren do piersi i kołysał się lekko, wczuwając się w jej bliskość.

- Myślałem, że straciłem cię na zawsze - ucałował czubek jej głowy.

- Ja też - wymamrotała w jego koszulę. Po kilku chwilach cofnęła się o krok i przypatrzyła mu się. - W moich snach wyglądałeś dokładnie tak, Shane.

- Ty też.

Mieli tyle do nadrobienia. Chciał ją zapytać, dlaczego zmieniła nazwisko i w jaki sposób życie zmieniło jej sposób myślenia, skoro była teraz korespondentką „Time'a”. Musiał jej powiedzieć, że jest w marynarce wojennej, że pilotuje myśliwce. Ale to wszystko mogło poczekać. Uśmiechnął się.

- Emily odnalazła mnie parę dni temu - obrócił się w bok i posłał córce promienny uśmiech. Pomachała mu żartobliwie dłonią, zrobił to samo. - Prosiłem, żeby nic ci nie mówiła - położył dłonie na jej ramionach i wpatrywał się w jej oczy. To było jak pierwszy łyk wody po latach spędzonych na pustyni. - Chciałem, żebyś miała niespodziankę.

- Niespodziankę? - cofnęła się o parę kroków, pochyliła się i oparła dłonie na kolanach. Kiedy podniosła wzrok, na jej twarzy wciąż było niedowierzanie.  
- Niespodzianką jest to, że serce mi jeszcze nie stanęło!

Roześmiał się i wzięła ją za rękę. Stali tak, nie wiedząc, jak się sobą nacieszyć.

W końcu poczuł, że jego uśmiech blednie.

- Wiesz o swoich rodzicach?

Skinęła głową.

- Tata jest chory. Zostało mu może tylko parę tygodni.

- Emily mi powiedziała - gestem ręki poprosił córkę, żeby do nich podeszła. A gdy podeszła, objął jednym ramieniem ją, a drugim Lauren. Poczuli przypływ radości, mając je tak blisko siebie. Lauren i Emily, obydwie. Uczucie było zdumiewające, tak jakby odnalazł brakujący element samego siebie i nareszcie znowu stał się kompletny. Zamrugał powiekami, odpędzając łzy i lekko uściśnął obydwie. - Chodźmy do domu.

Emily skinęła głową. Znowu zbierało jej się na płacz, ale uśmiechnęła się do obydwójga. Byli już w połowie drogi na parking, gdy powiedziała:

- To jest właśnie to, dokładnie to.

- Ten moment, o tym mówisz? - Lauren wychyliła się zza Shane'a i uśmiechnęła się do córki.

Shane poczuł, jak coś ściska go w gardle. Ich córka. Ich dziewczynka. Część ich obydwojga.

- Tak. Kiedy prosiłam Boga o cud, w moich myślach pojawił się pewien obraz - Emily podskoczyła kilka kroków przed nich i odwróciła się, rozkładając ramiona. - Właśnie taki obraz. Dokładnie taki sam.

## Rozdział 25

Po raz pierwszy Bill nie miał wcale ochoty wstawać z łóżka. Angela prosiła go o to już kilka razy. Mówiła, żeby zjadł razem z nią owsiankę w kuchni, później, żeby usiadł z nią na kanapie i obejrzał film. Dzieci miały przyjechać około czwartej. Powinien być przytomny i czujny.

Ale on tylko ujął ją za dłoń i spojrzał prosto w to miejsce w niej, które należało wyłącznie do niego.

- Wszystko mnie boli, Angie. Bardzo cię przepraszam.

Słyszac tę odpowiedź, opadła bezwładnie na skraj łóżka. Cała się trzęsła. Minęła dobra chwila, zanim się odezwała.

- Nigdy mi nie mówiłeś.

- Nie chciałem - uśmiechnął się i wplótł palce dłoni między jej palce. - W razie czego mam pastylki. Tylko że chciałbym być w formie, kiedy przyjdą dzieci - jego ramiona poruszały się w górę i w dół poduszki. - Pomyślałem, że jeśli cały dzień będę odpoczywał, to wieczorem dam radę wziąć się w garść.

Tak było w południe. Większą część dnia przespał. Teraz już wstał i siedział w swoim fotelu w salonie. Przyglądała mu się z kuchni i zastanawiała się, jaki wyda się Lauren i Shane'owi. Oczywiście starszy. Ale też wychudzony, znacznie chudszy niż niegdyś. Twarz miał mizerną, a rak zmienił karnację na szarą jak popiół. I było mu zimno. Bez względu na to, na jak wysoką temperaturę ustawi -



łaby termostat, zawsze musiał mieć koc na nogach. Dziś miał dwa, obydwie bardzo grube.

A jednak pomimo tych wszystkich zmian i bólu był zupełnie przytomny, a jego oczy płonęły, gdy na nią patrzył.

- Lada moment!

- T a k .

Wszystkie ich poszukiwania i modlitwy, i tęsknoty za córką sprowadzały się do tego jednego. Lauren i Shane znów razem w tym samym pokoju. Ze swoją córką. I z nimi.

Z jednej strony była tak podekscytowana, że z trudem włożyła szarlotkę do piekarnika. Z drugiej strony była przerażona, bo ona i Bill byli przynajmniej w jakimś stopniu winni ich rozdzielenia. Gdyby tylko Bill poprosił firmę telekomunikacyjną o pozostawienie nowego numeru telefonu na nagraniu włączającym się na starym numerze... Bolał nad tym każdego dnia. Nie miała zamiaru teraz o tym wspominać.

Kiedy szarlotka była już w piekarniku, Angela napełniła dwie filiżanki kawą i poszła do salonu. Wybrała swoje ulubione krzesło, to, które stało najbliższej jego fotela. Ledwie usiadła, usłyszała samochód, a po paru minutach głos Emily. Zamknęła oczy i ścisnęła męża za nogę.

- Boże Ojczy, bądź tu dzisiaj z nami.

Czekała, aż rozlegnie się dzwonek, ale uświadomiła sobie, że Emily nigdy nie dzwoni. Nie zdziwiła się więc, gdy usłyszała, jak wszyscy wchodzi do sieni. Po chwili przyciszonej rozmowy rozległ się głos Emily, wznoszący się w górę schodów wraz z głosem należącym zapewne do Shane'a. Stała i czekała, serce prawie w niej zamarło. Czyżby Emily i Shane chcieli podarować ten czas im i Lauren? Tego właśnie pragnęła, choć nigdy tego nie wypowiedziała. W sieni przez kilka chwil panowała cisza. A potem na posadzce zastukały obcasy.

I - zjawiła się. Stała przed nimi jak jakiś sen.

- Lauren... - łzy przesłoniły wzrok Angeli, a w gardle uwiązał szloch. Bała się poruszyć, zapłakać, powiedzieć coś nie tak.

Lauren zamrugała powiekami i po policzkach popłynęły łzy. Utkwiły w sobie wzrok. Lauren gładziła się po szyi.

- Mamo...

Przeniosła wzrok na Billa.

- T a t o . . .

Angela nie czekała dłużej. Przeszła przez pokój i ostrożnie, tak jakby córka mogła się pokruszyć, wzięła Lauren w ramiona. Podtrzymując jedną dłońią głowę córki, a drugą obejmując ją w talii, kołysała ją tak jak wtedy, gdy Lauren była mała i przychodziła z przedszkola z rozbitym kolanem.

Tyle że teraz to ona i Bill zadali córce ból. Znacznie głębszy niż wszelkie rany z dzieciństwa.

- Przepraszam cię, skarbie - wymamrotała, przytykając usta do policzka Lauren. - Całe życie nie mogłam sobie tego wybaczyć.

Lauren na moment zeszywniała, tak jakby niezręczność tej chwili nie pozwalała jej dać upustu uczuciom. Ale gdy się objęły, Angela poczuła, że córka rozluźnia się, że szloch wstrząsa jej delikatnym ciałem.

- Ja... ja też przepraszam.

Gdy łzy przestały płynąć tak obficie, Lauren cofnęła się o krok i odwróciła się do Billa. Angela patrzyła na nich. *Boże... To Ty to zrobisz. Ty przyprowadzisz ją do domu, kiedy jeszcze możemy być wszyscy razem. Wszyscy, tak jak mogło być od początku.*

- Tatusiu, jak się czujesz? - chwyciła się poręczy jego fotela, a on wyciągnął do niej rękę. Ujęła ją i nachyliła się bliżej, tuląc się do niego chyba przez minutę. Opadła na kolana i spojrzała mu prosto w oczy.

- Boli?

Potrząsnął głową i przejechał dłonią po jej twarzy.

- Już nie.

Drugą dłonią ujął ją za palce, przytknął je do swoich ust i ucałował.

- Popełniliśmy błąd, Lauren. Jest mi strasznie przykro, dziecino.

Angela czuła, że nie wytrzyma już długo. To był silny facet, ten Bill Anderson. Silny i inteligentny, i niezbyt ulegający uczuciom. W każdym razie było tak, zanim Lauren odeszła. Kiedy nie wróciła i nie mogli jej znaleźć, Angela patrzyła, jak się zmieniał. To, co zrobił, że nie zostawił informacji na automatycznym nagraniu, zrobił z miłości. Kochał Lauren i był gotów na wszystko, żeby tylko ją chronić. To ten jego instykt ochrony tęsknił za Lauren z każdą upływającą godziną. To była jego dziewczynka i w pewnym sensie nie był w pełni sobą - aż do tej chwili. Do chwili, gdy znalazła się znów bezpieczna w jego ramionach.

Podnosząc się z ziemi, Lauren wyglądała na osłabioną. Ten dzień przyniósł mnóstwo emocji każdemu z nich. Otarła policzki grzbietem dłoni i popatrzyła na Angelę, potem na Billa. W końcu utkwiała wzrok w Billu.

- To ja odeszłam - uniosła głowę parę centymetrów wyżej. - Myślałam, że Emily nie żyje, wpadłam w panikę. Ja nigdy... - głos jej się załamał i uchwyciła się oparcia fotela, na którym siedział Bill. - Nie powinnam była odchodzić bez pożegnania - na jej twarzy malowała się mieszanka smutku i żalu. - Przebaczenie mi. Proszę...

Opadła na ziemię przy poręczy fotela i objęła Billa ramieniem, nachylając się blisko i opierając głowę o jego głowę.

- Tęskniłam za tobą, tatusiu.

Podniosła wzrok i spojrzała w inną stronę.

- Za tobą też, mamó. Straciliśmy tyle lat.

Angela podeszła do nich i cała trójka złączyła się w uścisku pełnym nadziei, obietnic i nowych szans. O Shane'ie nie było jeszcze mowy, ale Angela wiedzia-

ła, że ten moment nadejdzie. Nie mogli posunąć się zbyt daleko w przód, gdyby wpięrow nie uporali się z przeszłością.

Lauren podniosła głowę i znów spojrzała na Billa.

- Tak mi przykro... z powodu tego raka.

- Nie prosiłem Boga o uzdrowienie - mówił chrapliwie, ledwie zrozumiałe. Znów ujął jej twarz w dłonie. - Prosiłem tylko, żeby przyprowadził cię do domu.

Rozmawiali przyciszonymi głosami. W końcu Angela znalazła kartonik z chusteczkami higienicznymi i podała wszystkim. Lauren wzięła jedną i wstała.

- Czy Shane mógłby tu wejść? Chciałby was zobaczyć.

Angela poczuła się jak ktoś najpodlejszy na świecie. On tu naprawdę jest, ten czarujący młody człowiek, który z takim oddaniem kocha jej córkę, ten nastolatek, który kupił pierścionek zaręczynowy i poprosił Lauren o rękę, byle tylko ich nie rozdzielono. Przyszedł, mimo że ona i Bill postarali się niegdyś o to, żeby ich rozdzielić.

- Tak, Lauren. Przyprowadź go.

Wysłała z pokoju, a Angela odezwała się do Billa.

- Możesz w to uwierzyć? Ona naprawdę jest w domu.

- Jest piękna - podciągnął się trochę wyżej i przesunął koce wyżej na nogi.

- Ale jej oczy nie są takie jak kiedyś. Zauważyłaś?

Angela nie chciała tego przyznać. Bo to oznaczało konieczność wzięcia na siebie jeszcze gorszej winy. Ale Bill miał rację.

- Zauważyłam. To chyba wiąże się z wiarą.

- Czy ona... wierzy? - skrzywił się, jakby bolesność samej myśli o tym była gorsza niż wszystko, czego dokonał w nim nowotwór.

- Nie wiem - chwyciła go za ramię. - Mogę tylko mieć nadzieję, że skoro Bóg uczynił tyle cudów w minionych paru tygodniach, to nie poskapi jeszcze tego jednego.

Bill skinął głową - i w tej samej chwili znów usłyszeli kroki w korytarzu. Tym razem do salonu weszła cała trójka, z Shane'em na czele.

Shane uśmiechnął się i podszedł do nich. Mocno uściśnął dłoń Billa.

- Cieszę się, że pana widzę.

Potem zwrócił się do Angeli.

- Dobry wieczór - puścił Billa i uściśnął ją. Nie był to uścisk taki jak objęcia Lauren, ale było w nim przebaczenie.

Jeśli Shane Galanter żywił kiedyś do nich urazę, to te uczucia już przeminęły.

- Shane - Bill zakasłał i jeszcze raz wyciągnął do niego rękę.

- Tak? - jego dłoń pozostała w dłoni Billa.

- Moja żona i ja jesteśmy ci winni przeprosiny.

Oczy Billa zdążyły już wyschnąć. Ale teraz, gdy Lauren i Emily stały pod rękę o metr od niego, gdy wszyscy zebrali się nareszcie pierwszy raz w życiu, łzy znów napłynęły mu do oczu i pociekły po wychudłych policzkach.

- To już za nami, proszę pana - Shane ciągle trzymał go za rękę. - Bóg już dawno temu pokazał mi, że nie można wracać do przeszłości.

Spojrzał przez ramię na Lauren i Emily, a potem znowu na Billa.

- Możemy tylko cieszyć się dzisiejszym dniem.

- Jeszcze coś - Bill masował okolice gardła. Mówił zachrypniętym głosem.

- Słyszałem, że jesteś kapitanem w marynarce, pilotem myśliwców, tak?

Angela patrzyła, jak zmienia się wyraz twarzy Lauren. Utkwiła wzrok w podłódze, ale tylko na minutę.

- Tak, proszę pana. Szkolę pilotów myśliwców w ośrodku Top Gun w Reno w Nowadzie.

- Więc muszę ci powiedzieć - Bill jeszcze mocniej ścisnął dłoń Shane'a - że nawet gdybyś był moim rodzonym synem, nie mógłbym być bardziej dumny.

Na oczy Lauren znów padł jakiś cień, a Angela poczuła silną potrzebę modlitwy. *O co chodzi, Boże? Nie podoba jej się praca Shane'a?* I kiedy Shane i Bill rozmawiali o marynarce, a Emily uśmiechała się szeroko, oznajmiając, że tata zabierze ją ze sobą w F-16, Angelę nagle olśniło. To jasne - Lauren ma jakiś problem z pracą Shane'a.

Przez ostatnie dwa lata była korespondentką wojenną „Time'a”. Poglądy polityczne jej i Shane'a mogły stać w tej chwili na zupełnie przeciwnych biegunach. Może dla Lauren oni wszyscy są zanadto konserwatywni, za bardzo dają wyraz swojej wierze? A jeśli zostanie przez parę dni, a potem znów ucieknie, przekonana, że nie ma tu dla niej miejsca? Strach szukał sobie miejsca wśród tej grupy zebranej w salonie, ale Angela nie miała zamiaru go wpuścić.

*Boże, to jest Twoje terytorium. Czas być może zmienić Lauren, ale to nie szkodzi. Ma prawo do swojego zdania, bez względu na to, jakie ono jest.* Utkwiła wzrok w Lauren, z całego serca pragnąc podejść i znów ją objąć, swą jedyną córkę. Ale zamiast tego dokończyła modlitwę. *Ojcze, daj jej odczuć w najbliższych dniach, że ją kochasz. Boże, wiem, że proszę o wiele, ale błagam, wykorzystaj ten czas, żeby wzbudzić w niej tę wiarę, jaką dzielimy wspólnie z Emily i Shane'em. Proszę...*

Kończąc modlitwę, odczuła jakiś dojmujący niepokój, smutek, że ich decyzje sprzed 20 lat odepchnęły Lauren nie tyle nawet od nich, ile od Boga. Bóg był dla nich taki dobry przez cały ten czas, kiedy zabrakło Lauren. Tragedia utraty jej i wychowywania Emily bez rodziców doprowadziła ich do głębokiej, żywej wiary. Z tego, co im mówiła Emily, wynikało, że Shane w swym bólu i samotności też odnalazł bliskość z Chrystusem.

Teraz ona będzie się modlić każdym swoim tchnieniem, żeby pewnego dnia, już niedługo, to samo stało się z Lauren.

## Rozdział 26

Lauren cały dzień czekała na tę chwilę. Czekwała, a zarazem panicznie się jej bała. Ona i Shane mieli zostać sami - pierwszy raz od 20 lat.

Wieczór był niezapomniany. Całą piątką rozmawiali, płakali i opowiadali zabawne historie z lat, które stracili. W końcu ojciec był już zbyt zmęczony i nie mógł zostać ani chwili dłużej. Matka odprowadziła go do sypialni, a Emily została i jeszcze długo rozmawiali razem z Lauren i Shane'em. Po tylu latach nie mogli się sobą nacieszyć.

Było już po północy. Lauren i Shane poszli z Emily na górę, pożegnać się z nią na dobranoc.

- Czy mogę was o coś poprosić? - na ustach Emily błąkał się uśmiech. Doszli właśnie do szczytu schodów i patrzyła na nich stojących razem. - Zawsze się zastanawiałam, jakie by to było uczucie, gdyby rodzice kładli mnie spać. No wiecie, tak jak to rodzice robią z dziećmi - jej oczy były suche, ale w głosie brzmiała żarliwość. - Moglibyście? Proszę!

Serce Lauren nie posiadało się z radości. Czowała się zaszczycona, że córka poprosiła o coś podobnego. Emily przecież nie jest już dzieckiem. Jakie to cudowne, że nie uważa się za zbyt dorosłą, by być dla nich dzieckiem. Złapała ją za rękaw swetra.

- No to prowadź.

I cała trójka podążyła korytarzem do pokoju Emily, Lauren i Shane parę kroków za nią. Shane trzymał Lauren za rękę i to doznanie poruszyło w niej niezliczone emocje. Ileż to razy o tym marzyła, o normalności takiej właśnie chwili? Że ona i Shane idą po schodach na górę pożegnać córkę na dobranoc, tak jak to się robi w prawdziwych rodzinach?

Emily wśliznęła się do łazienki, przebrać się w piżamę, i zostawiła Lauren i Shane'a na progu pokoju. Objął ją w tali, pozwoliła mu przyciągnąć się blisko. Mogła patrzeć na niego bez końca, a i tak nie miałyby dość. Było tak, jakby wcale się nie rozstali. Cały wieczór siedzieli przytuleni, a ona potrafiła myśleć niemal tylko o tym, jakie to uczucie - dłoń Shane'a spleciona z jej dłonią.

Teraz, w jego ramionach, było to samo. Przytuliła się do niego, bo sama tego chciała. Czas nie zmienił kompletnie nic w ich wzajemnym zauroczeniu, to było pewne.

- Potrafisz sobie wyobrazić, że naprawdę tu jesteśmy? - mówił cicho, czuła jego oddech na policzku. Potarł twarzą o jej twarz. - Tak miło się ciebie dotyka, Lauren.

- Co noc kiedy zasypiałam, marzyłam... - przejechała palcem wzdłuż dolnej krawędzi jego twarzy - że rano zbudzę się, a ty będziesz obok. Że wzięliśmy ślub i żyjemy razem.

Machnęła ręką gdzieś w tył.

- Że to wszystko to tylko jakiś koszmar.

- Mhm - zamruczał nad jej karkiem i odchylił się trochę, żeby znów spojrzeć jej w oczy. - Mogliśmy całe życie spędzić tak jak dziś - uniósł dłonie do jej twarzy, wplatając palce w jej włosy. Jęknął cicho. - Nie mogę tego znieść, kiedy pomyślę, co straciliśmy.

Drzwi łazienki otworzyły się, i Shane cofnął się nieco. Chwycił Lauren za rękę, a jednocześnie zgasił światło i teraz Lauren widziała, jak w ciemności szczerzy do niej zęby w uśmiechu.

- Młoda damo, czas spać.

Emily zachichotała i szurając skarpetkami przeszła obok nich. Wsunęła się między kołdry, podciągając je aż pod brodę.

- Moglibyście się ze mną pomodlić? To też się mieści w rytuale kładzenia dziecka do łóżka.

Lauren przestąpiła z nogi na nogę, ale starała się nie okazać zażenowania. Odkąd usłyszała wieść o śmierci Emily, odkąd tamtego strasznego dnia wyjechała z Chicago, uznawała Boga za nieprzyjaciela. Wiara to świat ich, a nie jej. Zresztą nawet jej nie chce. Jeśli w ogóle jest jakiś Bóg, to pozwolił na to, żeby ominęło ich wspólne życie. Nie pojmowała, jak taki Bóg może obchodzić Emily i Shane'a.

Ale nie zamierzała protestować. To nie debata teologiczna. Pozwoliła Shane'owi poprowadzić się do łóżka Emily. I nagle pełne znaczenie tego, co się dzie-

je, uderzyło ją w sam środek serca. Mówi dobranoc swojej córce - tej maleńkiej dziewczynce, o której myślała, że nie żyje! Siedzi obok niej w ciemnym pokoju i ma jedną z pierwszych w życiu szans, żeby być dla niej matką. Przysiadła na skraju materaca i gładziła Emily po grzywce. Obok dźwięczał wyraźnie i ufnie cichy głos Shane'a, pełen tej wiary, którą Lauren przed laty porzuciła.

- Drogi Boże, jesteśmy tu teraz, bo Ty to sprawiłeś.

Wzjął głęboki oddech.

- Myślałem, że przez całe życie nie odnajdę już ich dwóch, ale Ty - Ty nas połączyłeś. Prosimy Cię o dobry sen dla Emily i żebyśmy jutro zbudzili się i przekonali, że to dzieje się naprawdę, że to nie żaden piękny sen... - zawahał się, a jego głos stał się jeszcze bardziej poważny. - Pomóż nam nie gniewać się i nie smuć na myśl o tym, co straciliśmy. Pomóż cieszyć się tym, co nam dziś dałeś. Prosimy w imię Jezusa. Amen.

Pochylił się i ucałował Emily w policzek.

- Dobranoc, Emily - poklepał ją palcem po nosie. - I dziękuję.

Uśmiechnęła się, a w jej oczach zajaśniała mała dziewczynka.

- Za co?

- Za to, że pozwoliłeś Bogu, żeby się tobą posłużył.

Wstał i poszedł w kierunku drzwi.

Teraz przyszła kolej na Lauren. Spojrzała w dół na Emily i jeszcze raz przejechała kciukiem przez jej czoło.

- Pamiętam, kiedy robiłam to ostatni raz.

- W szpitalu? - Emily obróciła się na bok, żeby mogły lepiej się widzieć.

- Mhm. Byłaś taka chora, cała rozpalona. Siedziałam przy twoim łóżeczku i tak właśnie robiłam. Dotykałam twojego czoła, błagając Boga, żeby pozwolił ci żyć, żeby mi cię oddał.

Emily wpatrzyła się w jej oczy.

- I widzisz, mamoo?

- Co widzę?

- Wysłuchał tej twojej prośby - wzduszyła lekko ramionami. - Jesteśmy razem, tak jak prosiłaś.

Coś ścisnęło Lauren w gardle, ale słowa znalazły ujście.

- Podobasz mi się, panno Emily. Jestem dumna, że jestem twoją matką.

Nachyliła się i ucałowała ją w czoło. A potem wyszeptwała jeszcze:

- Dobranoc, córeczko. Bardzo cię kocham - jak cudownie było wypowiadać te słowa. - Chyba nigdy nie przestanę tego powtarzać.

- Ja tak samo bardzo cię kocham.

Shane czekał na korytarzu. Bez słowa wziął ją za rękę i sprowadził po schodach do salonu. Na kominku tańczyły łagodne płomienie, za ogromnym oknem padał śnieg. Shane zgasił światło, a gdy doszli w pobliże kominka, zatrzymał się i znów ją przytulił.

- Cześć - potarł policzkiem o jej policzek, trzymając ją mocno, a zarazem delikatnie.

- Cześć - uczucie paniki próbowało zakłócić tę chwilę. Będą rozmawiać? Czy może należy przyjaść, że po prostu zaczną tam, gdzie skończyli?

- No i jesteśmy - wpatrywał się jej w oczy.

Pocałuje ją? Czy ona tego chce? Przełknęła ślinę. Nogi ugiwały się pod nią, a serce waliło jak oszalałe. Oczywiście, że chce. Tylko czy to dobry pomysł teraz, przecież jeszcze nawet nie porozmawiali. Zanim zdążyła odpowiedzieć sobie na te pytania, Shane zaczął nucić piosenkę Jamesa Taylora, tę, która tak jej się podobała tamtego roku, kiedy zaszła w ciążę. Powoli, nie przestając wpatrywać się w jej oczy, zaczął kołysać ją w tańcu tak, że aż zakreślił jej się w głowie. Poczuli, że zatracają się w tym, że znalazła się w miejscu, w którym nie pragnie już niczego, tylko czuć jego ramiona wokół siebie.

Wszelkie znikome opory, jakie mogła jeszcze mieć w chwili powrotu do Chicago, stopniały jak płatki śniegu na szybie za oknem. Może wcale nie muszą rozmawiać, jeszcze nie teraz. Przecież za tym właśnie tęskniła przez przez te wszystkie lata. Żeby znów znaleźć się w ramionach Shane'a Galantera, sama z nim w ciemnym pokoju, tylko z odgłosami palącego się ognia w tle.

Tańczyli teraz wolniej, a on ujął w dłonie jej twarz. Powoli, jakby od niechcienia znów wplótł palce w jej włosy i musnął ustami jej policzek.

- Nigdy nie przestałem cię kochać.

- Ani ja ciebie.

Wciągnęła w nozdrza jego woń - ciepły oddech, świeżo umyte włosy, wodę toaletową. Pachniał cudownie. Ten dzień był już i tak zbyt pełen uczuć, a teraz jeszcze to. Nie spuszczała z siebie wzroku i już wiedziała. To się stanie.

Jego usta znalazły się przy jej ustach i pozostawił na nich ledwie dostrzegalny pocałunek.

- Lauren... już nigdy nie odchodź.

- Nie odejdę.

To mówiło jej serce. Teraz to ona dotknęła ustami jego ust i pocałowała go tak, jak marzyła. Bez zahamowań, powoli, z namiętnością gromadzoną przez lata. Jego ramiona objęły ją jeszcze mocniej. Co chwila zataczali się, tracąc równowagę, aż po kilku minutach przesunęli się do ściany przy oknie.

Atmosfera zmieniła się, Lauren czuła w jego ciele to samo drżenie, które ogarniało i ją. Shane pierwszy odsunął się, przygryzając wargi i dysząc ciężko. Pragnienie płonęło w jego oczach jak w zwierciadle odbijającym uczucia, które musiały być widoczne też na jej twarzy.

- No tak - zaśmiał się i potarł się po karku. Puścił ją, poszedł na drugi koniec salonu i usiadł na jednym końcu kanapy. - Wygląda na to, że pewne rzeczy się nie zmieniły.



Spuściła ręce i potrząsnęła nimi. Przy nikim nie czuła się tak jak przy Shane'ie. Uśmiechnęła się do niego szeroko w słabym świetle ognia.

- Rzeczywiście, pewne rzeczy nie zmieniły się na pewno.

Czekał na nią, więc przeszła przez pokój i usiadła kawałeczek od niego. Ta symboliczna odległość dobrze im teraz zrobi. Coś w tym, co powiedziała, skłoniło ją do zastanowienia. Może nie tylko ona obawia się analizy minionych lat i trziesięcioletniego spojrzenia na to, kim każde z nich jest dzisiaj?

Przejechała palcem po jego ręce.

- Chcesz powiedzieć - jej głos brzmiał łagodnie - że pewne rzeczy się zmieniły?

Zdradził go wyraz twarzy. Spuścił wzrok, ale tylko na ułamek sekundy. Kiedy znów spojrzał jej w oczy, uśmiechnął się ze smutkiem.

- Wiem, kim jesteś, Lauren Gibbs.

- Lauren Gibbs? - otworzyła usta ze zdziwienia. Jak dużo on wie? Starą się mówić beztrudnym tonem, nie chcąc stracić tego, co odzyskali w ciągu minionej godziny. - Czy mój pilot myśliwca czyta „Time'a”?

Jego twarz posmutniała jeszcze bardziej.

- Czyta.

Nagle w tę chwilę wkradło się jakieś okropne uczucie. Przed rokiem napisała artykuł, w którym stwierdziła, że Irakijczycy gardzą pilotami amerykańskimi. Przeczytała zdanie pewnego człowieka: „Oni są ucieleśnieniem tych wstrętnych Amerykanów. Tchorze, nie mają odwagi spojrzeć w oczy wrogowi. Latają nad głowami i jednym przyciśnięciem guzika niszczą nasze miasta i wioski, domy i osiedla”. Artykuł zawierał też krótki akapit przedstawiający stanowisko sił powietrznych i stanowisko marynarki, frazesy o tym, jak to ataki z powietrza są bardziej humanitarne, bo cel można zlokalizować z dokładnością do kilkudziesięciu centymetrów. Czy Shane widział ten tekst? Miała okropne przeczucie, że tak. Westchnęła.

- Widziałeś mój tekst o pilotach myśliwców?

Pogładził jej policzek grzbietem dłoni, miłość w jego wzroku nie zgasła.

- Wisiał w bazie przez pół roku - zaśmiał się. - Chyba każdy pilot napisał do niego sprostowanie. Kiedy ostatni raz tam zaglądałem, twój artykuł miał całym niezłe otoczenie.

Jęknęła, a jej głowa opadła na oparcie kanapy.

- Shane... - wyprostowała się i znów wpatrzyła mu się w oczy. - Jak to się stało, że trafiłeś na złą stronę barykady?

Ujął jej dłoń i w najłagodniejszy możliwy sposób uniósł ją do ust i pocałował.

- Pytanie brzmi raczej - w jego głosie nie było wyrzutu, tylko ta sama miłość co wcześniej tego wieczoru - jak ty tam trafiłaś?

Te słowa nakreśliły między nimi ledwie uchwytną granicę.

- Shane, na jedną chwilę zapomnij o swoich szkoleniach wojskowych - bardzo się starała, żeby w jej głosie nie było wyrzutu ani ironii. - Jesteś wierzący.

- Jestem - łagodność w jego głosie nie zmieniła się.

- A Jezus nauczał pokoju, czy nie tak? Przyszedł, żeby dać pokój.  
- Właściwie to przyszedł, żeby dać życie - Shane mówił powoli i bez wysiłku. Wciąż patrzył jej w oczy, jego głos brzmiał lekko. - Życie w najpełniejszym sensie.

- No dobrze - przygryzła wargi. - Ale skoro przyszedł dać życie, to jak możesz uczestniczyć w wojnie, w której giną ludzie?

- Lauren - przesunął palcami po jej ręce. - Konflikty dzielą ludzi już od czasów Kaina i Abla. Ludzie od początku świata niemal cały czas walczą ze sobą. Nieraz za Bożą aprobatą.

Czuła, jak rośnie jej ciśnienie.

- No dobrze.

Odetchnęła głąboko.

- A le jak możesz opowiadać się za Bogiem, który chce wojny? Zabijania niewinnych? - wyprostowała się, odsuwając się od Shane'a jeszcze kawałek. - Czy nie powinniśmy raczej dążyć do pokoju?

- Tak - jego głos brzmiał teraz nieco bardziej ostro. - Czy tobie się wydaje, że ja nie chcę pokoju w Iraku? Albo w Afganistanie? - położył kolano na kanapie i obrócił się, tak żeby patrzeć prosto na nią. - Dlatego, że latam na myśliwcach odrzutowych?

To pytanie ją uderzyło. Nieraz już rozmawiała na te tematy z konserwatystami. Nawet z wojskowymi. Zawsze umieli wyrecytować powody do wojny: broń masowego rażenia, okrutni dyktatorzy, znęcanie się nad ludnością cywilną. Mogli mówić nie wiadomo jak długo i szybko, ona i tak zawsze czuła to samo. Czy podwójne zło równa się dobro? Jak Ameryka może przeciwstawiać się niebezpiecznej broni w Iraku, a potem sama spuszczać na ziemię niebezpieczną broń, a żeby osiągnąć ów cel?

Nigdy jednak przez cały czas swojego pobytu na Środkowym Wschodzie nie usłyszała od kapitana armii amerykańskiej, że pragnie on pokoju. Wpatrzyła mu się w oczy.

- Pokoju, Shane? - w jej głosie były tylko same znaki zapytania. - Poświęcaś całe dnie na trenowanie pilotów myśliwców, jak wyszukiwać i niszczyć nieprzyjacielskie cele, i mówisz, że chcesz pokoju?

Przez chwilę milczał. Kiedy się odezwał, ledwie słyszalna surowość w jego głosie już znikła.

- Gdzie byłeś 11 września 2001?

Nie chciała rozmawiać o atakach terrorystycznych. Połowa zwolenników wojny, z którymi rozmawiała, zawsze powtarzała to samo. Amerykańscy wojskowi byli jak małe bekisy: „Bo to oni zaczęli...”. Ale tutaj był Shane. Pomimo różnic, jakie wyszły na jaw w dzisiejszej odsłonie wczorajszego dnia, była mu winna przemyślenie sprawy. Założyła ramiona na piersi i przyłgnęła zdrowym ramieniem do oparcia kanapy.

- Byłam w redakcji w Los Angeles.

Wspomnienie zaszło ją znieca jak cuchnący pijaczek w barze.

- Patrzyłam przerażona, jak wszyscy.

- Znałaś kogoś w tych budynkach?

- Nie - oparła stopy na kanapie i podciągnęła kolana pod brodę. - Ale robiłam z tego relację. Rozmawiałam z ludźmi z Los Angeles, którzy stracili tam przyjaciół albo krewnych.

Znów nawiedziło ją odstręczające uczucie z owego tygodnia.

- Było strasznie.

Wpatrywała się w jego twarz. Może majakiś inny powód, żeby ją o to pytać? Wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni.

- A ty?

Patrzył w ogień, a jego oczy były pełne czegoś, czego nie potrafiła określić.

- Byłem wtedy w Reno, w ośrodku Top Gun. Poprzedniego wieczora dzwonił do mnie kumpel, byliśmy razem na kursie pilotów marynarki. Tyle że Benny nie chciał pracować zawodowo jako pilot. Chciał być strażakiem. W Nowym Jorku - zmrużył oczy, jakby od oslepiającej łuny z przeszłości. - Rozmawialiśmy o jego żonie i dzieciach, że mają tam teraz fajną pogodę - uśmiechnął się do niej. - Mówiłem, że powinien się wyrwać do Top Gun i przelecieć się ze mną F-16.

Lauren wiedziała, co usłyszy za chwilę. Ujęła jego palce w swoje dłonie.

- Miał dyżur nazajutrz?

- Tak - Shane znów patrzył w ogień. - Jego żona powiedziała, że dotarł już do 61. piętra, kiedy południowa wieża runęła.

Znów spojrzał jej w oczy.

- Nie znaleźli jego ciała.

Odczekała dłuższą chwilę, pozwalając tej historii zapaść w swoje serce.

- Bardzo ci współczuję.

- Dzięki - lekko uściśnął jej palce. - Bardzo dużo myślałem o pokoju. Możesz mi nie wierzyć, ale zgłębiałem temat nawet podczas studiów.

- Naprawdę?

Po jej tonie poznał, że delikatnie się z nim przekomarza. Próbowała wyobrazić go sobie w gronie kolegów ze swych własnych studiów, studentów dziennikarstwa.

- Nosiłeś na studiach batiki i sandały, co?

- Prawie trafiłaś - zaśmiał się. - Sandały w każdym razie tak.

Wyciągnął rękę na oparciu kanapy i przebierał palcami po jej ramieniu.

- Nie chciałem tego, co mieli rodzice. Materializmu, inwestycji i życia za plastikową fasadą. Tego byłem pewien - spojrzał na nią z powagą. - Studia to był ciekawy okres. Zadawałem dużo pytań, studiowałem historię cywilizacji i badałem, co właściwie składa się na pojęcie pokoju.

Była pod wrażeniem. Znaczne grono jej liberalnych przyjaciół nie zdobyło się na coś podobnego. Owszem, miała poglądy takie jak oni, ale nie oznaczało to, że ich przekonania opierały się na faktach. Jej - tak. Rozmawiała z ludźmi całymi dniami. Jeśli w ogóle był taki ktoś, kto dysponował faktami co do tego, czy warto toczyć wojny, to tym kimś była ona.

Shane widać dostrzegł, że temat ją interesuje, bo ciągnął dalej.

- Lauren, ja raz po raz przekonywałem się o jednym - wzrokiem błagał ją, żeby go słuchała. Naprawdę słuchała. - Przekonywałem się, że pokój można osiągnąć tylko siłą.

Kolejny frazes wojskowych. Frazes, który klepano w jej obecności o wiele za często. Mimo to powstrzymała się przed reakcją.

- Co masz na myśli, Shane? Pokój dzięki użyciu siły?

Zastanawiał się przez chwilę.

- Coś w tym rodzaju. Straciliśmy w tej wojnie mnóstwo ludzi i to jest tragedia. Już jedno stracone życie to tragedia. Ale kiedy patrzę na plany, jakie terroryści mieli dla tego kraju, to dostrzegam zalety siły. Zalety niosące pokój.

Pogładził kciukiem grzbiet jej dłoni.

- Lauren, oni mieli bardzo szczegółowe plany. Widziałem je na własne oczy. 11 września miał według nich być jedynie skromną przygrywką.

Pomimo całego życia spędzonego po drugiej stronie barykady starała się go zrozumieć. Gdyby niegdyś sprawy ułożyły się inaczej, nie byłoby tej rozmowy. Na pewno stałaby po jego stronie, starając się usprawiedliwić rzeczy, w które by szczerze wierzyła. A więc...

Spuścił ręce po bokach i unióśł głowę.

- Oni po raz drugi już nie uderzyli, Lauren. Ich plany poszły w rozsypkę. Sami znaleźli się w rozsypce.

- Zadarli z niewłaściwymi ludźmi, tak? - znów bardzo się starała okazać otwarty umysł, zainteresowanie. Nie potępienie. - To chcesz powiedzieć?

- Coś w tym rodzaju. Lauren, przecież ty tam żyjesz. Chodzisz tymi ulicami, robisz zakupy po wioskach, widzisz się z ludźmi... - urwał. - Kiedy ostatni raz byłaś świadkiem nalotu z powietrza, ataku dokonanego przez amerykańskiego pilota? - na jego ustach błąkał się ledwie dostrzegalny uśmiech. - Jesteśmy tam tylko po to, żeby pomóc umocnić się nowym władzom. A to chyba jest cel pokojowy, co? Możemy się wycofać - i dobrze wiesz, jakie piekło się rozpęta.

Pomyślała o sierocińcu.

- Już się rozpętało. Shane, ja tego artykułu nie zmyśliłam - westchnęła. - Ludzie, z którymi rozmawiam, żyją w strachu i większość czasu spędzają w domach.

- Tak - w jego głosie pojawiła się nuta zniechęcenia. - Bo z takimi właśnie ludźmi twoja gazeta chce mieć rozmowy.

- No dobra - spuściła nogi na ziemię, ale nie przestała patrzeć mu w oczy.  
- Uważasz, że mamy pokój dzięki sile, dzięki temu, że naprężyliśmy muskuły tak? Pokazaliśmy im? Jeśli wydawało im się, że nam pokażą, to się srodze rozczarowali. Tak? - wypowiadała te zdania nieco zbyt głośno. Powoli nabrała powietrza, żeby się opanować. - Ale czy przez to nie stajemy się zwykłymi tyranami?

- Lauren - chwycił ją za dłonie. - Czy naprawdę chcesz dzisiaj o tym rozmawiać?

- A ty naprawdę tego nie chcesz? - odpowiedziała bez namysłu i zaraz pocałowała. Bo pragnęła tylko tego, żeby być blisko, zatracić się w jego ramionach i całować go przez całą noc. - Przepraszam...

Pociągnął ją ku sobie, przysunęła się bliżej.

- Ty widzisz rzeczy po swojemu, a ja po swojemu. Czy nie możemy na razie pogodzić się z tym?

- Dobrze - patrzyła na niego. Ich twarze znów były tuż obok siebie. - Na razie.

- To znaczy? - nachylił się ku niej i gładził ją po policzku.

- To znaczy, Shane, że nie będziemy o tym rozmawiać w tym tygodniu. Możemy zastanawiać się nad tym później, kiedy będzie trzeba wracać do domu.

Pocałował ją wtedy, i zanim się obejrzała, powróciła dawna namiętność.

Odsunął się od niej i wziął głęboki oddech. Wtedy zwróciła uwagę na jego oczy. Oczy siedemnastolatka, którego obiecała kochać na zawsze.

- O jednym zapomniałaś.

- O czym? - nie miała ochoty na rozmowę. Chciała skryć się w jego objęciach, rozpaczliwie szukając powrotu do tego, co przeżywali wcześniej.

- Zapomniałaś, że to właśnie jest dom. Tutaj - znów ją pocałował i jeszcze raz. - O tu, ze mną.

Chciała mu wierzyć. Chciała ponad wszystko. Ale nie mogła. Mylił się. Jej domem było mieszkanie w Afganistanie, w którym pisała artykuły, wyjaśniające, dlaczego wojna nigdy nie przyniesie pokoju. Jej domem była jazda po zakurzonych drogach ze Scanlonem obok, z jego wielką płócienną torbą na aparat ustawną na siedzeniu pomiędzy nimi. Ale tego nie mogła powiedzieć.

Przecież następny tydzień miała spędzić na udawaniu, że Shane ma rację.

## Rozdział 27

Emily zbudziła się na urywany dźwięk syreny. Od razu usiadła i spojrzała na budzik na toalecie. Szósta rano. Za oknem błyskały światła - i nagle rozbudziła się na tyle, by zrozumieć, co się dzieje. Miała wrażenie, że serce za chwilę wyskoczy jej z piersi. Coś musiało stać się z dziadkiem.

Mama spała w biurze, tata na kanapie w salonie. Wpadły na siebie z matką w korytarzu i zbiegły w dół schodami. Były w połowie drogi, kiedy zobaczyły Billa na noszach, wynoszonego przez drzwi na zewnątrz. Angela mówiła:

- Za sekundę będę gotowa. Chcę jechać z nim.

Rzuciła im szybkie spojrzenie.

- Miał atak apopleksji. Chcą go zabrać do szpitala, może coś uda się zrobić.

Przy bocznym wejściu do salonu pojawił się Shane, potrząsając głową.

- Pani Angelo, jak mogę pomóc?

- Przyjdźcie wszyscy - Angela wybiegła do sieni z dwoma kocami pod pachą. Na krótko chwyciła Shane'a za przegub i obrzuciła wszystkich wzrokiem. - Stan jest stabilny. Na razie wszystko w porządku. Przyjdźcie później, dobrze?

Emily zeszła w dół, podbiegła do babci i uściśnęła ją. Nigdy dotąd w życiu tak się nie bała.

- Powiedz mu, że się modlimy.

- Powiem... - urwała nagle, a Emily zdawało się, że za chwilę zasłabnie.

- Lekarz mówił, że ataki wskazują, że koniec jest blisko.

Postąpiła krok w kierunku drzwi.

- Chyba lepiej, żebyście wiedzieli.

Pożegnała się i wyszła.

Cała trójka stała w sieni, słuchając silnika odjeżdżającej karetki. Co kilka sekund dobiegał ich pojedynczy dźwięk syreny - prawdopodobnie starano się możliwie najmniej zakłócać nocną ciszę.

Emily ścisnęła go w gardle.

- Nie zasną teraz.

- Nie - jej matka powoli wyszła na próg. Miała na sobie biały T-shirt i czarne spodnie przypominające dresy. - Siądźmy na ganku.

Emily nie mogła nie zauważyć, jak matka podeszła do ojca, wsunęła rękę pod jego ramię i oparła ją o jego plecy. Emily zastanawiała się, do czego doprowadzi ich sam na sam we dwoje - i miała już odpowiedź. Byli szczęśliwi, zakochani i zapewne planowali ślub. Tak jak zawsze marzyli.

Był tylko jeden problem. W jej marzeniach dziadek nie był o krok od śmierci, i to akurat w chwili, gdy wszystko zaczynało się układać.

Usiedli na kanapie - ojciec pośrodku - i przez następne dwie godziny trochę rozmawiali, a trochę drzemali, opierając sobie wzajemnie głowy na ramionach. O ósmej Shane wstał i przeciągnął się.

- Idę wziąć prysznic.

Spojrzał na zegar niedaleko drzwi wejściowych.

- Może spróbujemy wyjechać za godzinę?

Kiedy wyszedł, Emily przysunęła się do matki. Była przerażona tym, co stało się z dziadkiem, a zarazem nie mogła się nacieszyć czasem spędzonym razem z nią. Przez kilka chwil siedziała tak oparta o nią, z głową na jej zdrowym ramieniu. Potem wyprostowała się i spojrzała na matkę z nadzieją.

- I jest taki, jak go zapamiętałaś?

- Shane?

Cóż za dziwna odpowiedź. Matka uśmiechnęła się, ale nie pojaśniała tak, jak by się można spodziewać.

- Jest bardzo przystojny, o to ci chodzi?

- No, rzeczywiście jest - Emily zachichotała. - Ale chodzi mi o co innego - uniosła nieco barki. - Myślisz, że po tym wszystkim będziecie mogli być ze sobą?

Matka spojrzała na nią, po czym westchnęła, smutno, z przygnębieniem.

- Skarbie, zobaczyć go znów... ten czas jest cudowny. Ale - jej głos zmiażdżył - nie obiecuj sobie za wiele - westchnęła i wzięła ją za rękę. - Przez te 18 lat mocno wydorosleliśmy.

Emily starała się oddychać spokojnie. Zastanawiała się nad tym już wcześniej, ale bała się pytać. To, czym zajmowali się zawodowo, było tak kompletnie różne, że na pewno musieli stać po przeciwnych stronach barykady.

- Chodzi o wojnę, tak?

- To też - odpowiedź padła szybko i zachwiała pewnością Emily - Bardzo wiele nas dziś dzieli.

- Nie sprawiacie takiego wrażenia. Przynajmniej gdy na was patrzę. Lauren uśmiechnęła się.

- Lubię z nim przebywać. Tu akurat nie ma żadnych problemów.

- No to... może z czasem wszystko się ułoży.

- Emily - matka opuściła nieco głowę, dając swym wyglądem jasno do zrozumienia, że rozmowa skończona. - Cieszymy się tym tygodniem, dobrze? Jej uśmiech zbladł.

- Teraz trzeba myśleć o dziadziu. To jest w tej chwili najważniejsze, prawda? Odpowiedź nie przyszła jej łatwo.

- W porządku.

Miała ochotę krzyknąć, biec gdzieś, zatrzymać ich w tym domu aż do końca czasów. Ale żadna z tych rzeczy nie mogła sprawić, żeby rodzice byli tacy jak niegdyś, gdy nie dzieliły ich polityka i różnice poglądów.

Tego mógł dokonać tylko Bóg.

Pytania Emily na cały dzień wytrąciły Lauren z równowagi. Ale nie mogła poświęcić zbyt dużo czasu na rozmyślanie o Shane'ie i zastanawianie się, jak się zmienili i czy gdy skończy się ten tydzień, będą mogli znów odnaleźć coś wspólnego. Ojciec był zbyt chory, by można myśleć o czymkolwiek innym niż on, matka i jak szybko nastąpi koniec.

Razem z Shane'em i Emily przyjechali do szpitala tuż po dziewiątej. Matkę spostrzegli na korytarzu przed jego salą. Lauren pobiegła do niej pierwsza. Chwyliła jej dłonie.

- I jak?

- Bardzo szybko się pogarsza. To może być w każdej chwili - spuściła głowę i zetknęły się czołami.

Lauren słysząc to, chwyciła matkę za ramię.

- Nie...

Za szybko. Nie miała czasu z nim porozmawiać ani przekonać się, ile straciła przez te wszystkie lata. W najcięższych chwilach na Środkowym Wschodzie zawsze wydawało jej się, że kiedy tylko zechce, w każdej chwili może wrócić do domu. Ojciec zawsze ją przyjmie. Ale za chwilę go zabraknie, a pewne miejsce w jej sercu już nigdy nie będzie takie samo.

Matka trzęsła się, zapewne ze zmęczenia, przerażenia i wysiłku, żeby się nie załamać. Za chwilę dołączyli do nich Emily i Shane, obejmując je ramionami.

- J e s t p r z y t o m n y ? - w głosie Shane'a brzmiało współczucie. - Chciałbym do niego pójść. Może pomodliliśmy się razem.



- Jest przytomny - Angela pociągnęła nosem i wyprostowała się nieco.  
- Wszyscy powinniśmy do niego pójść. Pytał o was.

Dlaczego tak wtedy uciekła? Mogła chociaż zadzwonić! Jeden telefon, a odzyskałaby Emily i rodziców. Wspólnie może nawet odnaleźliby Shane'a. Może pisałyby do „Chicago Tribune” w jakimś dziale obyczajowym albo rozrywkowym, o czymś, co nie rozwalałoby życia tak jak wojna.

Weszła za innymi do sali. Czuła się tak, jakby jej serce opornie ciągnęło się za nią na łańcuchu. Czy to ona zrobiła to ojcu? Czy to ten żal, tęsknota, brak jej osoby doprowadziły go do tej śmiertelnej choroby?

Nie, nie może myśleć w ten sposób. W każdym razie nie teraz, kiedy on potrzebuje obok siebie jej uśmiechu. Witał się akurat z Emily. Patrzyła, jak córka kładzie głowę na jego piersi.

- Dziadziu, możemy tu zostać przez cały dzień, co?

- Przepraszam... że jestem chory - spróbował się uśmiechnąć. Potem obrzucił wzrokiem pozostałych. - Trudno to nazwać dobrą zabawą... co?

Emily potarła twarzą o jego twarz.

- Niepotrzebna nam zabawa, dziadziu. Potrzebujemy ciebie.

Shane obejrzał się na Lauren i dał znak ręką, żeby podeszła bliżej. Zrobiła to bez wahania, nie przestając wpatrywać się w ojca i Emily, w to, co ich łączyło. Emily powiedziała jej, że jej ojciec się zmienił, że nie jest już taki jak kiedyś, nie jest tym człowiekiem, który zadał jej taki ból. Teraz patrząc na tych dwoje, na to, jak ojciec trzyma Emily za rękę i mówi coś do niej cicho, wiedziała już na pewno. Jej córka ma rację.

W pewnym sensie to była kolejna strata. Gdyby wróciła do domu wcześniej, sama miałaby okazję doświadczyć tej czułej bliskości z nim. Emily uściśnęła go raz jeszcze i odstąpiła na bok. Potem Shane położył dłoń na ramieniu ojca Lauren.

- Bóg ma w tym wszystkim jakiś plan - jego głos brzmiał mocno, ale ze współczuciem, a jego ton niósł w sobie wielką troskliwość i brak jakiegokolwiek urazy. - Proszę o tym nie zapominać.

Bill wpatrywał się w Shane'a.

- Moje dziewczyny będą cię potrzebować.

- Tak - zadrżał mu podbródek, ale Shane zacisnął szczęki i skinął głową.  
- Wiem.

- Nie zostawiaj ich, dobrze? - rzucił okiem na kobiety i zatrzymał wzrok na Lauren. Nie była pewna, do kogo są skierowane jego następne słowa. - Potrzebują ciebie... nawet jeśli sądzą, że tak nie jest.

Shane obrócił się i chwycił Lauren za rękę.

- Tak, proszę pana. Nigdzie nie odejdę.

Oparł się o ścianę i spojrzął na Lauren tak, że wszystko w niej stopniało. Teraz przyszła kolej na nią. Podeszła do ojca.

- Cześć, tato.

- Cześć, dziewczynko.

Jej oczy były suche, ale gardło ścisnął szloch. Pamiętała te tysiące razy, jak witała się z nim właśnie w ten sposób, zanim jeszcze stało się to z Shane'em. Wtedy gdy jeszcze wyobrażał ją sobie jako dziewczynkę, która nigdy nie pozwoli sobie na nic złego. W pewnym sensie teraz było jednak lepiej. Bo znał już prawdę. Bardzo daleko było jej do doskonałości, mimo to w jego oczach wyczytała, że kocha ją tak samo. Może nawet bardziej niż kiedykolwiek. Jego dłoń w jej dłoni była szorstka. Szorstka, sucha i zimna, tak jakby śmierć już zgłosiła się po niego.

Pochyliła się i ucałowała jego palce.

- Potrzebujemy więcej czasu.

- Tak - jego głos był chropawy i tak cichy, że nie sposób było usłyszeć nie nachylając się niżej. - Wiesz, co chciałbym ci teraz powiedzieć.

Zmarszczyła nos, zbita z tropu.

- Nie wiem, tato.

Serce w niej zamarło. Czy przypomni jej, że ta tragedia to jej wina, że po pierwsze, nie powinna była wtedy iść z Shane'em do łóżka? Nie, przecież nie powie chyba teraz czegoś takiego! Odpędziła lęk.

- Co chcesz mi powiedzieć?

- O Shane'ie - z trudem wypowiadał słowa. - Ten młody człowiek zawsze cię kochał... - urwał, żeby odpocząć, i przez chwilę tylko oddychał. - I dalej cię kocha - wpatrywał się w nią z uwagą. - I ty też go kochasz. Ja... to wiem.

Poczuła szczypanie w oczach. Całe lata zmuszała się do tego, żeby nie płakać. Ale teraz płacz był czymś równie naturalnym jak oddychanie.

- Tak - nie obejrzała się i nie popatrzyła na Shane'a. Nie była nawet pewna, czy on słyszy. - Shane mnie kocha.

- Nie daj... nie daj mu już nigdy odejść. Miłość to nie znaczy... że na wszystkim patrzy się tak samo.

Czyżby ojciec zdawał sobie sprawę, co się wokół niego dzieje? Czyżby naprawdę wiedział, że to, kim z biegiem lat stało się każde z nich, może już za tydzień doprowadzić do ich rozstania na dobre i zamknięcia przeszłości na zawsze? Bolała ją nawet sama myśl o tym - ale jakie było inne wyjście? Wzięła głębokimi oddech.

- Tato, ja...

- Ciii... - przytknął jej dłoń do swojego policzka i mrugnął do niej. W jego wzroku było podniecenie, pierwszy raz, odkąd weszli do tej sali. - Nie rozdzielaj włosów na czworo. Nie myślę się tutaj - jego oddech stał się jeszcze bardziej świszczący. - Lauren, tyle już straciłaś. Nie trać tego, co Bóg chce ci teraz dać.

Poczuła, że jej własna mądrość daje za wygraną. On ma przecież rację. Straciła bardzo dużo. Wszystko. A stracić Shane'a teraz to byłaby tragedia. Choć na

razie nie widziała żadnej możliwości, jak ułożyć wszystko między nimi. Pochyliła się i oparła policzek o jego twarz.

- Tatusiu! - uścisnęła go, żałując, że nie będzie mogła tego zrobić jeszcze tyśiąc razy. - Jak to możliwe, że wciąż tak dobrze mnie znasz?

- Ponieważ - potarł swą szorstką nieogoloną twarzą o jej twarz, tak jak to robił niegdyś, kiedy była mała - tatusiowie nigdy nie zapominają o swoich dziewczynkach.

Spglądał na nią z bliska, ale z takiej odległości, żeby móc patrzeć jej w oczy.

- Kiedy będę już w niebie... nawet wtedy o tobie nie zapomnę. Będę czekał... na ciebie. Wierzył, że pewnego dnia cię zobaczę. Tak jak wierzyłem... przez 18 lat... że jeszcze kiedyś cię zobaczę.

Nie mogła mówić, nie mogła wydusić ani słowa przez uczucia, które ścisnęły jej gardło. Obejmowała go tylko, pragnąc wrócić mu życie. Był łagodny, mądry i miły - i kochał ją, zawsze. Nawet jeśli nie zawsze jego decyzje były rozsądne, zawsze ją kochał. Teraz chciałaby przeżyć z nim kolejne 30 lat. Przynajmniej tyle.

- Proszę... proszę...

Nie wiedziała, kogo prosi, ale to nie miało znaczenia. Musiała spróbować. Tuliła się do niego, choć kolana mdlały od niewygodnej pozycji. Nie ruszyła się jednak, do chwili aż przy drzwiach rozległ się jakiś hałas. Dopiero wtedy wyprostowała się i spojrzała poza wszystkie minione lata prosto w jego duszę.

- Tatusiu, Kocham cię.

Znów lekko uścisnął jej dłoń.

- Kocham cię, maleńka.

W tym momencie w drzwiach stanęło dziwnie znajomo wyglądające małżeństwo w wieku pięćdziesięciu kilku, może sześćdziesięciu lat. Lauren spojrzała na nich i zmarszczyła brwi. Znała ich skądś. W ich oczach dostrzegła uderzającą mieszankę poczucia winy i strachu, tak jakby wchodzili do miejsca, gdzie być może nie będą mile widziani. Shane szybkim krokiem podszedł do nich - i w ułamku sekundy zrozumiała.

Sheila i Samuel Galanterowie. Rodzice Shane'a. Ludzie, którzy byli niegdyś najbliższymi przyjaciółmi rodziców. Ludzie, którzy odebrali jej Shane'a. Poczwała, jak trzęsą się jej kolana, chwyciła się ramy szpitalnego łóżka. Po co przyjechali? Co mogą w tej chwili powiedzieć? Przez chwilę nie wiedziała, co robić - przeprosić i wyjść z sali czy zostać i posłuchać, co mają do powiedzenia? Z walącym sercem spojrzała na podłogę i podjęła decyzję. Zostaje. Bez względu na to, co się teraz wydarzy, chce to oglądać z pierwszego rzędu.

Angela słańska się na nogach. Stała po drugiej stronie łóżka Billa, naprzeciwko Lauren, kiedy w drzwiach pojawił się najpierw Samuel, a potem Sheila. Z początku nie wierzyła własnym oczom. Stres związany z chorobą Billa, cud

obecności Shane'a i Lauren - wszystko to sprawiało, że czuła się trochę jak we śnie.

Ale wtedy podszedł do nich Shane.

- Dzień dobry, mamó. Dzień dobry, tato - uścisnął ich po kolei i cofnął się o krok.

Angela nie widziała jego twarzy, ale zorientowała się, że nie był zaskoczony. Czy to on ich wezwał, poprosił o przyjazd? Po drugiej stronie sali Emily podeszła do Lauren i szeptała jej coś. Lauren skinęła głową z pobladłą twarzą.

Tuż obok Angeli Bill podciągnął się nieco wyżej na poduszce

- To niemożliwe - powiedział cicho, patrząc na nią. Galanterowie wciąż rozmawiali z Shane'em przy drzwiach i nie mogli go słyszeć. Bill położył dłoń na jej dłoni. - Wiedziałaś o tym?

Potrząsnęła głową. Poczowała lęk i przerażenie. Co ich czworo miałoby sobie do powiedzenia teraz, po tylu latach, tylu cierpieniach? Nie spuszczać wzroku z Billa, odpowiedziała drżącym szeptem:

- Już myślałam, że mi się przywidziało.

Galanterowie wykonali pierwszy ruch. Sheila postąpiła kilka kroków w głąb sali. W jej oczach było cierpienie i coś... co to takiego? Czyżby wyrzuty sumienia? W duszy Angeli zaczęła kiełkować nadzieja.

Sheila, stojąc teraz już tylko parę metrów od Billa, spojrzała na niego, a potem, po długiej chwili przeniosła wzrok gdzie indziej. Angela z trudem przełknęła ślinę, bo napotkała wzrokiem oczy swej dawnej przyjaciółki.

- Angelo. Ja... popełniłam wielki błąd.

Angela nie mogła wydobyć słowa ani się poruszyć. Nie śmiała nawet nabrać powietrza ani ruszyć powieką, dopóki te słowa nie trafiają jej do serca. Sheila tu jest i żałuje? Czy to prawda?

- Bill, Sheila ma rację - Samuel podszedł krok bliżej i oparł dłoń na ramie łóżka. - My... - spuścił wzrok, a Sheila wzięła go za rękę. Kiedy podniósł oczy, płonęły w nich emocje. - Myliliśmy się. Jesteśmy wam winni przeprosiny.

Wszystko to działo się w ciągu kilku sekund i jak dotąd Angela i Bill nie wypowiedzieli ani słowa. Oczy Angeli wypełniły się łzami, zamazującymi obraz. Co można powiedzieć po tylu latach?

Shane wycofał się i stanął obok Emily i Lauren. Cała trójka próbowała jak najbardziej wtopić się w tło.

A Samuel chrząknął i mówił dalej.

- Myliliśmy się, kiedy podejmowaliśmy decyzje w sprawie naszych dzieci - zmrzążył oczy i było widać, jak poruszają się mięśnie w dole jego twarzy. Mocno potrząsnął głową. - Myliliśmy się w tylu sprawach, że trudno je wyliczyć.

- Wiedzieliśmy, że Shane tu pojechał - Sheila postawiła kolejny krok w ich stronę. - Wiedzieliśmy, że zachorowałeś. Musieliśmy przyjechać. Straciliśmy już zbyt wiele czasu.

Angela na chwilę zwiesiła głowę. Nogi już nie ugiwały się pod nią, ale całe jej ciało trzęsło się. Przez całe lata wierzyła, że pewnego dnia zobaczy jeszcze Lauren i być może nawet Shane'a. Ale ani razu nie pomyślała, że zobaczy to - dawnych przyjaciół powracających na dawne miejsce. Podniosła oczy i napotkała wzrok Sheili.

- Ja... nie potrafię uwierzyć, że przyjechaliście.

- Jest nam strasznie przykro - Samuel objął Sheilę w talii. W swoim czasie był bezwzględny człowiekiem interesu, mężczyzną, który rzadko się śmiał czy choćby uśmiechał. Teraz - jeśli sędzić po szczerości jego spojrzenia - stał się innym człowiekiem.

Sheila wyciągnęła rękę.

- Angelo... przebac mi. Proszę.

Angela poczuła, że topnieje, że słowa Sheili w końcu znalazły drogę do jej serca. Łzy na jej policzkach były gorące i płynęły szybko, gdy wyciągała ręce do utraconej przyjaciółki.

- Sheilo... oczywiście że tak. To była nie tylko wasza wina. My wszyscy... wszyscy byliśmy winni - objęła Sheilę, całkiem już uspokojona. Nie da się cofnąć czasu, odzyskać utraconych lat, nie da się odwrócić krzywd, jakie wyrządzili dzieciom. Ale teraz, tutaj działo się przebaczenie - i to było coś najpiękniejszego na świecie.

Cofnęła się nieco i westchnęła.

- Dlaczego byliśmy tacy uparci?

- Nie wiem - Sheila pociągnęła nosem i uśmiechnęła się przez łzy. Ten uśmiech pokazywał, jak serio traktowała swoje przeprosiny, jak bardzo żałowała za wszystko, co się między nimi wydarzyło.

Serce Angeli unosiło się radością tej chwili. We czwórkę ułożyli niedyś plan, który zniszczył ich przyjaźń. Ale nie tylko to. Ich decyzje przekreśliły całą przyszłość Lauren i Shane'a, ich rodzinną przyszłość razem z Emily Koszt zbyt wysoki, by go nawet szacować.

Samuel dotarł do łóżka Billa. Obiema rękami chwycił jego wyciągnięte palce.

- To trwało za długo, Bill.

- Tak - Bill przez długą chwilę pozwalał mu trzymać się za dłonie. Chwilę na tyle długą, by rozplynęły się różnice, które doprowadziły ich do tego punktu. Kiedy podniósł wzrok, drżał mu podbródek. - Teraz ważne jest tylko to, że tu jesteście. I żebyście rozumieli jedną rzecz.

- Co takiego? - Samuel z trudem panował nad emocjami.

- Że nam jest tak samo przykro jak i wam. To, co zrobiliśmy... - spojrzął w innym kierunku, w stronę Lauren, Shane'a i Emily - co zrobiliśmy tym dzieciom, było złe.

- Tak - Samuel spojrzął na Lauren. - Przebaczcie mi. Myśmy... my nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, co robimy.

Angela przypatrywała się Lauren, widziała zwątpienie w jej oczach i wahanie w wyrazie jej twarzy. Przeprasiny to wspomniała rzecz, ale to, co zrobiono jej i Shane'owi, zmieniło ich całe życie.

Przebaczenie potrzebuje czasu.

Lauren sztywno skinęła głową w stronę Samuela.

- Tak, wiem - lekko uściśnęła Emily i wyciągnęła rękę, żeby oprzeć ją na ramieniu Shane'a. - Wszyscy postąpilibyśmy inaczej, gdyby dano nam drugą szansę.

Nie wierzyła własnym oczom. Wciąż trawiła scenę, jaka rozgrywała się w szpitalnej sali. Teraz znów przeproszał ojciec Shane'a. Emily tuż obok niej przytuliła się mocniej.

- Następnym cud - szepnęła. - O to też się modliłam.

Ale Lauren nie była tego taka pewna. Cóż w tym za cud, że ludzie, którzy rozdzielili ją i Shane'a, nagle się tu znaleźli? To bardzo intymna chwila, jej ostatnie parę godzin z ojcem. Miała ochotę powiedzieć Galanterom, żeby sobie poszli i wrócili za rok albo jakoś tak. Kiedy już przemyśli to wszystko, co się dzieje.

Tymczasem przeprosinom wciąż nie było końca. Po kilku minutach dwa starsze małżeństwa odnalazły dawną nić porozumienia, jak starzy, dawno niewidziani przyjaciele. Pomimo różnic, przez które stracili pół życia, pomimo że Lauren nieszczególnie się to podobało.

Przez cały ten dzień ona, Emily i Shane trzymali się razem. Razem poszli do stołówki na lunch, dając przyjaciołom szansę nadrobienia straconego czasu. Przez dwa dni prawie wcale nie wychodzili ze szpitalnej sali. Były to wzruszające, czułe chwile, zakłócone jedynie powtarzanymi co jakiś czas informacjami lekarzy, że nic już nie da się zrobić. Billowi nie zostało wiele czasu. Rozważano przewiezienie go z powrotem do domu, w końcu jednak zdecydowano, że przenosiny byłyby dla niego zbyt bolesne.

W szpitalu miał w miarę wygodnie. Środki przeciwbólowe podawano mu dożylnie akurat w dawce umożliwiającej rozmowy z Lauren, Shane'em i Emily, z Galanterami, a przede wszystkim z Angłą.

Raz w poniedziałkowe popołudnie Lauren i Shane spędzili godzinę sami w stołówce. Ich rozmowy obracały się ciągle wokół jej ojca, i jak dotąd nie mówili zbyt dużo na własny temat.

- Czyli co? - Shane siedział przy stoliku naprzeciwko niej i trzymał jej rękę w swych dłoniach.

Wiedziała, o co pyta, zawsze wiedziała takie rzeczy. Mieli zabukowane loty pod koniec tygodnia, a wciąż jeszcze nie znaleźli rozwiązania. W każdym razie sensownego. Patrzyła mu prosto w oczy

- Co z nami, tak?

Otulił palcami jej dłoń.

- Słyszałem, co twój tata mówił ci wczoraj rano.

- Nie byłem pewna - serce bolało ją już na sam jego widok. W jego oczach była taka głębia, że aż zapierało jej dech. Był konserwatystą, wojskowym, zdeklarowanym zwolennikiem tej wojny, ale w niczym nie przypominał tych propagandzistów wojennych, z którymi miała dotąd do czynienia. Ale dlaczego? Dowódcy marynarki nie powinni przecież chyba myśleć w ten sposób. Tylko co ona ma właściwie powiedzieć? Że przeniesie się do Reno w Nowadzie, jakby już nie było lepszych miejsc? Że zamieszka w okolicy bazy marynarki wojennej w Fallon i będzie się podniecać myślą, że on szkoli kolejne pokolenie pilotów myśliwców?

Spojrzała na ich splecione dłonie. Może jeśli nie powie nic, to będą tak siedzieć już całą wieczność, trzymając się za ręce i udając, że wszystko jest tak samo jak wtedy, gdy byli dziećmi?

Odezwał się znowu.

- Czy wolno mi zauważyć, że się z nim zgadzam?

Mówił lekkim tonem, ale wydały go jego oczy.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc uciekła się do pomocy swego najwierniejszego sojusznika - żartów.

- Na jaki temat? Na temat nieba?

- Tak jest - z zadumą skinął głową. - Na ten temat też - nie spuszczał wzroku z jej oczu. - Ale głównie na ten temat, że miłość nie oznacza patrzenia na wszystko w taki sam sposób.

Przekrzywiła głowę, chcąc, żeby pojął w końcu, na co się porywają.

- Shane, ja jestem jedną z czołowych reporterek w jednym z czołowych magazynów w tym kraju. A mam tę pozycję dzięki moim tekstom o wojnie na Środkowym Wschodzie.

Smutek wpełzał pomiędzy każde jej słowo. Smutek, tęsknota, rezygnacja.

- W tym kraju nie ma czytelnika, który nie znałby moich poglądów - spuściła nieco głowę i starała się mówić beztróskim tonem. - A z drugiej strony jesteś ty, po przeciwnej stronie stolika.

- Kapitan marynarki, zwolennik Republikanów, fan prezydenta - jego wzrok tonął w jej oczach. Pogładził kciukiem grzbiet jej dłoni.

Ten jeden ruch podważył cały fundament jej mocnego postanowienia.

- No właśnie.

- Czyli...

Ludzie przy innych stolikach rozplłynęli się gdzieś w polu widzenia, rozmowa była zbyt absorbująca, by cokolwiek mogło ją zakłócać.

- Prowadzilibyśmy ciekawe rozmowy przy kolacji, co?

Posłał jej swój chłopiący uśmiech, ten sam, który śnił jej się po nocach przez 10 pierwszych lat po rozstaniu.

- A co, to byłoby takie złe?

- Shane - czuła, że mięknie. - No naprawdę, zastanów się. Co byśmy robili? Pobralibyśmy się i zamieszkali w kwaterach Top Gun? Żeby mogła pisać artykuły potępiające wojnę wprost z głównego ośrodka dowodzenia?

Wzruszył ramionami.

- Od razu wiedziałabyś, jakie są reakcje czytelników.

- Dobra, zostawmy to - nie byłaby w stanie dłużej mu się opierać. Sałatkę już zjadła, odsunęła więc tacę i przesiadła się na jego stronę stolika. - I jak, smakowało?

- Zmieniasz temat? - wsunął zgięty palec pod jej brodę i przesiadł się bliżej.

- Szybki jesteś, Shane - wyszeptła te słowa tuż przy jego podbródku, z ustami blisko jego ust. - Zawsze mi się to podobało.

- Co ty nie powiesz - dotknął ustami jej ust i przejechał palcami wzdłuż jej kości policzkowej. Pocałunek nie był długi, ale i tak zakręciło jej się w głowie. Odsunął się z powrotem. - Pomyślałem, że to ci się spodoba - pocałował ją znów. W jego oczach było światło, miłość i humor. Były takie, jak je zapamiętała. - Poza tym nie byłibyśmy pierwszym małżeństwem, które dzieli polityka. Masz Schwarzeneggera i Shriver. Albo Mary Matalin i Jamesa Carville'a.

- Wiem - westchnęła ciężko. Nie ułatwiał jej zadania. Jeśli posiedzą tu jeszcze chwilę, jego argumenty zaczynają się w końcu wydawać sensowne. Jej serce przeszedł miły dreszczyk na tę myśl, ale odrzuciła ją. - Tylko że oni nie mieszkali w innych krajach.

Miał wyraźnie ochotę odbić piłeczkę, ale nie zrobił tego. Za to zamknął usta i zająztał głębiej w jej serce, do tych zapomnianych miejsc, gdzie niegdyś królowały wspomnienia o nim.

- Lauren, zawsze jest jakieś wyjście.

Myśli o ojcu przesunęły się przez jej umysł, a za nimi myśl o tym, że za jakiś tydzień te chwile spędzane razem z Shane'em będą zapewne już tylko cudownym uwieńczeniem długich lat niepewności. Choć niczego nie rozwiązały, była mu wdzięczna, zadowolona, że rozmowa z nim jest lekka, beztronna, nawet pełna nadziei. Teraz, kiedy czasu było tak rozpaczliwie mało, najbardziej potrzebowali właśnie tego.

Kiedy wracali do sali ojca, z galanterią przeprowadził ją przez drzwi.

- Hej-hej - to wyszeptane słowo było jak tchnienie, gdy musnął twarzą jej twarz. Pocałował ją jeszcze raz, a gdy się odsuwał, rzucił: - Robię dobry PR dla armii.

Już miała na końcu języka jakąś poważną odpowiedź, coś o delikatności uczuć i oczywistych różnicach, jakie ich dzieli. Ale nie powiedziała nic. Bez słów odwzajemniła pocałunek, tracąc dech, jak zwykle przy nim. Kiedy w końcu nabrała powietrza, była w stanie już tylko uśmiechać się do niego.

- Wiesz co? - spytała.



Znów przytknął usta do jej ust, a potem spojrział jej w oczy.

- Co? - w jego głosie było pożądanie.

- Jesteś w tym dobry.

Stan ojca raptownie się pogarszał. Nazajutrz był już tak słaby, że mógł jedynie patrzeć na nich swymi zmęczonymi oczami. Dwa razy tego ranka w szpitalu pojawili się jacyś przyjaciele rodziców z kościoła. Stali wokół łóżka, trzymali się za ręce i modlili się. Z początku Lauren nie chciała przy tym być.

- Zaczekam na korytarzu - uśmiechała się grzecznie, wykorzystując te chwile na wizyty w toalecie czy wypicie szklanki wody z dystrybutora.

Ale kiedy wychodziła za pierwszym razem, zaintrygował ją głos pastora. Zawahała się, stojąc na korytarzu i słuchając w zdumieniu. Przecież ona sama też tak się kiedyś modliła. Kiedy z Shane'em było im tak przykro, że ze sobą współżyli.

W ciągu tego dnia przypomniało jej się wiele własnych modlitw. Błagała Boga, żeby ocalił życie Emily, i błagała Go, żeby pomógł jej odnaleźć Shane'a. Dopiero w południe uderzyła ją ta myśl. Emily ma rację. Bóg zrobił i jedno, i drugie. Może nie w takim czasie, jak się spodziewała, ale czy nie uczono ich zawsze, że Bóg robi rzeczy po swojemu, że jego sposoby są lepsze niż nasze, nawet kiedy na to nie wygląda?

W sali ojca znowu się modlono, więc oparła się o ścianę i próbowała sobie przypomnieć... Jak do tego doszło? Jak to się stało, że ona i Bóg tak się od siebie oddalili? Odpowiedź była prosta. Ujrzała samą siebie nad szpitalnym łóżeczkiem, w którym leżała Emily, rozpalona, z trudem łapiąca oddech. Lekarz powiedział, że Emily ma znikome szanse na przeżycie, Bóg więc był jedynym ratunkiem w tej sytuacji. Lauren błagała Go, żeby pozwolił Emily żyć.

I przypominała sobie, jak poczuła się kilka godzin później, gdy pielęgniarka powiedziała jej, że Emily odeszła. To łomotanie w klatce piersiowej, przerażenie płynące w żyłach. No tak, zgoda, Bóg pozwolił jej córce żyć. Ale czyż nie pozbawił Lauren szansy na obserwowanie jej dorastania, uczestniczenie w jej życiu?

A Shane? Bóg wiedział przecież, jak bardzo ona pragnie go odnaleźć. Gdyby go znalazła, czułaby, że musi wrócić do domu, a tam znalazłaby Emily. Już 10 lat temu, może nawet jeszcze wcześniej. Czy i tutaj Bóg nie zawinił?

Kiedy rozpoczęła nowe życie w Los Angeles, Bóg stał się jednym z wielu elementów przeszłości, jedną z wielu osób, od których odeszła. A potem, kiedy zajęła się dziennikarstwem politycznym i dostała się do zespołu „Time'a”, zaczęła wierzyć w to samo, co wielu jej kolegów. Że chrześcijanie to hipokryci. Wystarczyło zajrzeć do skrzynki e-mailowej, żeby się o tym przekonać. Najpodlejsze, najprzykrzejsze listy przychodziły często od czytelników deklarujących się jako wierzący. Ale nie tylko to. Lauren nie mogła też pojąć, jak ktoś wierzący w Chrystusa mógłby zarazem popierać wojnę.

Zwiesiła głowę i przysłuchiwała się modlitwie w sali ojca. Modlitwa niczego nie załatwi. Nie wróci ojcu życia. I nie odpowie na pytania, które coraz bardziej ją nurtują.

Wtem dobiegł ją czyjś podniesiony głos, wypowiadający słowa tak wyraźnie, że słyszała je tak, jakby była tam w sali, nie na korytarzu.

- Panie Boże, wiemy, że wszystko ma swój sens, nie znaczy to jednak, że go rozumiemy. Prosimy Cię, bądź z naszym przyjacielem Billem, przeprowadź go łagodnie z tego świata do tamtego. Wiem, że będziesz na niego czekał w tym pięknym miejscu, w miejscu, które dla niego przygotowałeś. Dziękujemy Ci za jego życie, za każdy dzień, który przeżył razem z nami i ze swymi bliskimi. Prosimy, daj im...

Lauren skuliła się, obejmując się za brzuch. Walczyła sama z sobą, czy nie odejść z korytarza i nie dołączyć do tamtych. Ale dlaczego? Potrząsnęła głową. Wyrzuty sumienia. Oczywiście. Co musi czuć ojciec, gdy patrzy wokół i widzi matkę i Shane'a, i Emily, bliskich przyjaciół z kościoła, a nawet rodziców Shane'a?

Tylko nie ją.

Był taki pewny swego, gdy rozmawiali poprzedniego dnia. Że kiedy ona znajdzie się w niebie, on tam będzie na nią czekał, tak samo jak czekał tyle lat, gdy odeszła z domu. A jeśli on ma rację, jeśli jest jakieś niebo, to będzie tam i matka, i Shane, i Emily. Wszyscy, których kocha. A ona? *Aja, Boże?* Przygryzła wargi. Czy Bóg karze śmiercią za ironię? Ale właściwie dlaczego miałyby to robić?

Przecież nie odpowiedział na jej modlitwy. Lecz ta sama uczciwość, która w pracy skłaniała ją do sprawdzania wiarygodności źródeł, teraz uderzyła ją nagłym odkryciem.

„Ależ odpowiedział. Tylko nie w taki sposób, jak chciałam. Więc odeszłam”. W tym była dobra.

Biorąc głęboki oddech, zerknęła do sali. Dalej się modlili, z przymkniętymi oczami i spuszczonejmi głowami. Tylko nie Shane. Widać musiał ją usłyszeć, bo miał jedno oko otwarte i lekko kiwnął do niej głową, żeby do niego przyszła. Obešla cichutko krąg zebranych i wsunęła się między Shane'a i Emily.

Ktoś modlił się:

- Dziękujemy Ci przede wszystkim za pokój, jaki dałeś tej rodzinie. Twój pokój przewyższa nasze zrozumienie, bo nastaje wewnątrz nas, tam gdzie jest nasze serce. Nie na zewnątrz, gdzie życie bywa takie trudne. Taki właśnie pokój wewnętrzny im dałeś. Zgoda, uzdrowienie, odkupienie - wszystkiego tego Andersonowie doświadczyli w ostatnich dniach. Twój pokój powinien być celem każdego wierzącego, a dziś moglibyśmy się tego uczyć od Billa i Angeli, i ich rodziny.

Lauren poczuła, że znów puchną jej zatoki. Co to za ludzie? Mówią jakoś inaczej. Na pewno nie przypominają tych chrześcijan, których dotąd znała. Ale to bez znaczenia. Bo jej uwagę przykuło coś w modlitwie tego człowieka. Wspo-

mniał o pokoju. Ale nie o takim pokoju, o którym ona rozmyślała całymi dniami, nie o takim, który miał zakończyć wojny w Iraku i w Afganistanie. Co on powiedział? Że pokój od Boga nastaje wewnątrz, tam gdzie jest serce, tak? Nie na zewnątrz, gdzie życie bywa ciężkie.

Mocniej wcisnęła ręce w dłonie Emily i Shane'a. Czy to nie takiego pokoju szukała całe życie? I choć nadal nie była pewna, jak go znaleźć ani sprawić, by nastał w jej wnętrzu, to nagle, w tej właśnie chwili, stojąc obok tych, których kochała najbardziej na świecie, pomyślała, że to możliwe. I stojąc pośród modlących się, poczuła falę miłości i życzliwości, ogarniającą ją uczuciem, jakiego dotąd nie знаła. To uczucie trwało, nawet gdy modlitwa się skończyła, a znajomi z kościoła wyszli. To musiało mieć coś wspólnego z modlitwą.

Godziny upływały powoli. Ojciec już prawie nie reagował, a późnym wieczorem zapadł w śpiączkę. Poczucie osamotnienia było nie do wytrzymania. Mimo że Shane, Emily i matka stanęli tuż przy niej, czuła się tak, jakby wypadła z samolotu bez spadochronu. Przez wszystkie te lata przekonywała samą siebie, że rodzice popełnili błąd i że wskutek ich poczynań straciła całe życie, jakie mogłaby spędzić z Shane'em i Emily. Tylko że zapomniała, jakimi naprawdę byli ludźmi.

Ojciec, który biegał przy niej, gdy uczyła się jeździć na rowerze, który gdy była w gimnazjum, w weekendy biegał o poranku razem z nią i który w drodze powrotnej do domu zatrzymywał się na chwilę, żeby zerwać jej bukiet polnych kwiatów. Kochał ją, to pewne bardziej niż cokolwiek na świecie. To rzeczywiście miłość skłoniła go do decyzji, jakie podjął, gdy była w ciąży z Emily. Miłość czy sta, choć błędząca.

Teraz, gdy wróciła do domu, ujrzała te dobre czasy z całą wyrazistością. Ojciec był życzliwym, miłym człowiekiem, jego poczucie humoru i miękkie serce były jak balsam na rozdartą ranę, która nigdy nawet nie próbowała się zagoić. Tym razem gdy we czwórkę zaczęli się modlić, Lauren zrobiła coś, czego nie robiła nigdy, odkąd opuściła dom - przyłączyła się.

- To już niedługo - powiedział lekarz. - Tej nocy nie przeżyje.

Nie pomylił się.

O pierwszej w nocy oddech ojca stał się wolniejszy. Lauren patrzyła na monitory, obserwując, jak spada ilość tlenu wdychanego przez ojca. 80... 70... 55... 40...

Pół godziny później było już po wszystkim. Oddech ustał całkowicie.

Lauren patrzyła skamieniałym wzrokiem, z niedowierzaniem, na nieruchomy kształt na łóżku. Potem odwróciła się i przytuliła do Shane'a i Emily. Przycisnęła ich do siebie, kryjąc w nich twarz i nie wiedząc, czy szloch rozlegający się w sali jest jej, czy ich szlochem. Puściła ich i odwróciła się do matki, wyciągając ramiona i obejmując ją, żeby razem płakać.

Galanterowie też tam byli, objęci, cicho szlochając.

Czy to możliwe? Czy jego już nie ma? Jeszcze parę dni temu siedział razem z nimi, rozmawiali, trzymali się za ręce. Wszystko poszło przeraźliwie szybko, zupełnie inaczej Lauren wyobrażała sobie raka. Ale z drugiej strony tak było lepiej - nie cierpiał zbyt długo, nie było operacji, tej strasznej chemioterapii, naswietlań. Gdybyż tylko mogło ją to pocieszyć.

Ale nie pocieszało. Wiedziała jedno - ojca już nie ma, a ona straciła zbyt wiele lat, które mogła z nim spędzić.

Zanim wyszli ze szpitala, matka spojrzała na każde z nich, ciągle zapłakana.

- Od tygodni modliłam się, żeby twój ojciec wyzdrowiał - mocno objęła się za brzuch. - Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego Bóg mnie nie wysłuchuje, dlaczego nie usuwa tego raka. Bóg jest Uzdrowicielem, potrzebowaliśmy Jego pomocy - patrzyła z uwagą na Lauren i Shane'a, i Emily, przenosząc wzrok z jednego na drugie. - Kiedy się dziś modliliśmy, Bóg uświadomił mi, że jednak mnie wysłuchał. Bo twój ojciec i twój dziadziu został uzdrowiony z czegoś znacznie gorszego niż rak - uśmiechnęła się przez łzy. - Kiedy odnaleźliśmy ciebie, Lauren, i ciebie, Shane... kiedy patrzyliśmy, jak oboje odkrywacie Emily... Bill został uzdrowiony. Zostało uzdrowione jego złamane serce.

Smutek i pokój nałożyły się na ból. Lauren uchwyciła się ramienia Shane'a. Gdyby mogła być z ojcem jeszcze kilka tygodni. Choćby jeszcze jeden dzień. Może porozmawialiby o tym uzdrowieniu, o którym mówiła matka. Lauren zacisnęła powieki i oparła głowę na ramieniu Shane'a. „Tato... to niemożliwe, że cię nie ma... dopiero co odnaleźliśmy się”. Ból był tak przejmujący, że miała ochotę upaść na kolana. Ale jeśli matka miała rację, to nie wszystko było smutkiem. Nie mogło być.

Ojciec został uzdrowiony w takim sensie, że wciąż wydawało jej się to niwiarygodne. A to rodziło jakąś nadzieję, która dodawała jej sił, dzięki której mogła utrzymać się na nogach. Tuż przy niej Emily obejmowała ich oboje. Jej łzy płynęły teraz rzęsiściej, ale było w tym coś dziwnego. Jej szloch wydawał się niemal radosny. Spojrzała na matkę, a wtedy więź, jaką Lauren wyczuwała między nimi, zdała się silniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. I nagle Lauren zrozumiała radość we łzach Emily. Uśmiechnęła się do córki i poczuła, że na jej własnej twarzy maluje się coś pośredniego między smutkiem a triumfem. Ponieważ uleczone zostało nie tylko złamane serce jej ojca.

Uleczeni zostali oni wszyscy.

## *Rozdział 28*

Pomimo tego, co stracili, i tego, co odzyskali, koniec końców wszystko wróciło do punktu wyjścia.

Shane nie mógł się z tym pogodzić, ani podczas wzruszającego pogrzebu Billa Andersona, ani w ciągu następnych dni. Nadeszła sobota. Gdy tak stał koło kas biletowych na chicagowskim lotnisku O'Hare, z Emily i Lauren u boku oraz matką Lauren i własnymi rodzicami opodal, ta smutna prawda objawiła mu się z całą siłą. Znajdowali się dokładnie tam, gdzie blisko 19 lat temu - tuż przed momentem pożegnania. Samolot rodziców Shane'a miał odlecieć pierwszy. Potem Lauren, a po kilku godzinach jego. Podeszli jak najbliższej kontroli bezpieczeństwa i wtedy jego matka odwróciła się do Angeli. Objęły się i stały tak długą chwilę. Kiedy się rozdzieliły, jego matka powiedziała:

- Pomyśl o tym, Angelo, dobrze? Nie wierzę, że Bóg nie chciałby nam dać jeszcze jednej szansy na bycie sąsiadami.

- Zrobię to - matka Lauren miała podkrążone, opuchnięte oczy i twarz zapadłą z bólu. Ale pomimo tego przez jej rysy przebijał nadnaturalny spokój. - Trzeba uporządkować rzeczy i sprzedać dom - spojrzała na Emily, uśmiechnęły się do siebie smutno. - Jesteśmy gotowe do przeprowadzki. Emily w każdym razie chce skończyć college na Zachodnim Wybrzeżu. Już nic nas nie trzyma w Illinois.

Emily spojrzała na Lauren, a Shane'owi ścisnęło się serce. Jego córka wyglądała jak mała zagubiona dziewczynka, przytłoczona nadmiarem emocji

i zmian, jakich nikt nie potrafiłby znieść w ciągu tygodnia. Uśmiechnęła się smutno do Lauren.

- Szepniesz za mną słówko w USC<sup>10</sup>, co?

- Jasne.

Lauren nie składała dotąd nikomu z nich żadnych obietnic poza tą jedną oczywistą: że będzie w stałym kontakcie z Emily. Wyglądała na wyczerpaną, przytłoczoną brzemieniem pożegnań, które ją czekały. Otoczyła ramieniem Emily i przyciągnęła ją do siebie.

- Ale im dobrze, że będą mieć cię u siebie.

Shane, stojący po drugiej stronie Emily, uśmiechnął się do niej.

- Jak już przeniesiesz się na zachód, będziemy się widzieć cały czas. LA to tylko dzień drogi z Reno, a samolotem godzina. Gładził ją z tyłu po głowie, jej jedwabiste ciemne włosy. Bardzo boleśnie przeżyła utratę Billa. Shane wyczuwał, jak bardzo potrzeba jej ojca w tej właśnie chwili, kiedy najważniejszego mężczyzny w jej życiu już zabrakło.

Jego rodzice przytaknęli.

- Tyle lat przeżyliśmy bez ciebie - Samuel wyciągnął do niej rękę i Emily podeszła do niego. - Teraz możemy tylko spróbować to nadrobić.

- Zgadza się - Emily objęła drugą ręką także matkę Shane'a i stali tak pograżeni w jakimś smutnym spokoju. W końcu Samuel spojrzął na zegarek.

- No, to zbierajmy się.

Shane podszedł i uściśnął każde z nich. Choć błędy popełnione przez jego rodziców nie skończyły się zerwaniem stosunków między nimi, tak jak to się stało z Lauren i jej rodzicami, to jednak gdzieś pod powierzchnią czaiło się uczucie zaprzepaszczenia czegoś. Nigdy jednak o tym nie rozmawiali. Ale to miało się zmienić. Shane był pewien. Wyczuwał nową treść w ich wzajemnych stosunkach. Kolejny mały dowód, że uzdrowienia doznał każdy z nich.

Stanął obok Emily i uniósł rękę.

- To zobaczymy się jakoś w przyszłym tygodniu.

Nastąpiły kolejne pożegnania i wkrótce cała czwórka patrzyła, jak rodzice Shane'a przechodzą przez jakieś drzwi i idą do kontroli bezpieczeństwa. Kiedy zniknęli im z oczu, Shane poczuł nagle ból gdzieś w środku. Najcięższe chwile miały dopiero nastąpić.

Emily nadal tuliła się do Lauren, ale spuściła głowę, tak jakby nie mogła patrzeć na to, co ich czeka. Lauren wyciągnęła rękę do swojej matki. Angela nie zwlekała. Podeszła i trzy pokolenia kobiet Andersonów utworzyły ściśle spleciony krąg łez. Shane miał ochotę dołączyć, ale pomyślał, że potrzebują tej chwili tylko we trójkę. Były jak symbol więzi między matką i córką. Słyszał, co mówiły, a ich słowa zapadały mu w duszę.

<sup>10</sup> University of South California - renomowana uczelnia prywatna (przyp. tłum.).

- Przebaczysz mi? - Angela oparła głowę o głowę Lauren. - Tak bardzo żałuję, skarbuniu. Nawet nie wiesz...

- Oczywiście, że ci przebaczyłam. Ale to była też moja wina - Lauren mówiła ochryplym głosem. Jej ramiona drżały, kiedy wypowiadała te słowa. - Tak bardzo żałuję, że nie wróciłam wcześniej do domu!

- Zawsze będę nas wspominać takimi jak wtedy, w salonie tamtego wieczoru - Emily uśmiechnęła się przez łzy. - Dziadziu z tym swoim uśmiechem od ucha do ucha, no i my wszyscy, po raz pierwszy razem - wydała dźwięk, który zabrzmiał prawie jak śmiech. - Mam rodziców, dziadków, a historia mojego życia to historia takiej miłości, że należałoby napisać o tym książkę! Mam nawet osobistego dziadka w niebie, który czeka tam na mnie. Czego można chcieć więcej?

Oczywiście było coś takiego, ale Emily najwyraźniej postanowiła o tym nie wspominać. Poprzedniego wieczora natknęła się na Shane'a i Lauren siedzących na kanapie w salonie. Rozmawiali. Wsunęła się pomiędzy nich i oznajmiła:

- Uważam, że powinniście się pobrać.

- Tak sądzisz? - Lauren wyglądała na zaskoczoną, ale swoje uczucia zachowała dla siebie.

- No tak. To znaczy - spojrzała na Shane'a - przecież już poprosiłeś ją o rękę.

Shane zrobił wielkie oczy ze zdumienia.

- T a k ?

Emily szturchnęła go łokciem.

- Osiemnaście lat temu, głuptasie.

- Ach tak - Shane rzucił Lauren krótki uśmiech. - Trudno odmówić jej racji. Potem Emily przeniosła wzrok na Lauren.

- A ty już się zgodziłaś.

Shane z trudem powstrzymał uśmiech, gdy uniośł palec i powiedział:

- Też racja.

Ale Lauren spojrzała na nich tylko w zamyśleniu.

- Gdyby tylko to było takie proste.

Emily nie naciskała, ale zanim położyła się spać, odciągnęła Shane'a na stronę.

- Nigdy nie przestanę się o to modlić.

Mrugnął do niej.

- A n i j a.

Nic więc dziwnego, że tym razem, pośród tylu pożegnań, Emily w ogóle nie wspominała o sprawie. Zrobiła tyle, ile mogła. Reszta zależała od Lauren i od Boga. Głównie od Boga.

Kiedy kobiece objęcia dobiegły końca, wszystkie trzy rozstały się. Lauren spojrzała na niego przez ramię i wyciągnęła rękę. Ujął ją, rozkoszując się dotknięciem jej skóry.

Angela tymczasem pytała:

- Zostaniesz dłużej w Afganistanie?

- Na razie tak - odpowiedź była krótka, ale zraniła Shane'a do żywego. Próbował złapać z Lauren kontakt wzrokowy, ale ona unikała spojrzeń zarówno jego, jak i Emily. - Kocham swoją pracę.

W końcu jednak spojrzała na Emily i wyraz jej twarzy złagodniał.

- Mogę często przyjeżdżać.

Shane miał ochotę zawołać: „A ja? A co z nami?”.

Ale to musiało poczekać do chwili, aż zostaną sami. Wziął głęboki oddech i popatrzył na otaczające go twarze.

- Będę już musiał iść.

- Ja też - Lauren podniosła torbę i zarzuciła ją sobie na ramię.

- No dobrze, to idźcie już - Angela wyciągnęła ramiona i uściskała najpierw Shane'a, potem Lauren. Z córką pozwoliła sobie na dłuższe objęcia.

- Uważaj tam, Lauren. Bardzo cię proszę.

- Dobrze, mamo - Lauren pocierała swoje lewe ramię, to, które jeszcze nie do końca się zagoiło. - Szczególnie teraz.

Przyszła kolej na Shane'a. Uścisnął matkę Lauren, a potem Emily. Przez chwilę jedną dłonią ujmował z boku jej twarz. Patrzył w dół w jej ciemne oczy, nie mogąc się nadziwić.

- Bardzo jestem dumny z takiej młodej kobiety.

Czas już nigdy ich nie rozdzieli, w każdym razie nie tak jak przedtem. W chwili, gdy tylko ją ujrzał, gdy trzymał ją w ramionach, stała się częścią jego samego. Tak bardzo, że czuł się zupełnie rozdarty, zostawiając ją tu.

- Bardzo żałuję, że nie było mnie, kiedy dorastałaś.

Położyła dłoń na jego dłoni i mocno do niej przylgnęła.

- Nie wiedziałeś.

- Ale teraz wiem.

Ucałował ją w policzek i zsunął rękę z jej twarzy na ramię.

- Przed nami jeszcze całe mnóstwo dobrego, maleńka.

- Jasne - znów uścisnęła go.

Patrzyli sobie w oczy, gdy od niej odstępował. Potem Emily spojrzała na Lauren.

- Mamo...

Połączyły się w ostatnim już uścisku, a Shane'owi ścisnęło się gardło. Tak, będą telefony, e-maile, odwiedziny, jeśli Bóg da. Ale skoro Lauren mieszka na Środkowym Wschodzie, każde pożegnanie może okazać się ostatnim.

Patrzył na nie, wiedząc, że są zbyt wewnętrznie rozdarte, by jeszcze coś mówić. W końcu Angela otoczyła ramieniem Emily i obydwie pomachały na pożegnanie. Potem odwróciły się i poszły w stronę wyjścia. Shane i Lauren patrzyli za nimi, aż znikły im z oczu.



Wtedy, bez słowa, Lauren padła mu w ramiona.

- Nie chciałam, żeby ten tydzień się kończył - wymamrotała w jego koszulę.

- Nie musi się kończyć - ucałował czubek jej głowy.

Nie odpowiedziała nic, więc po kilku sekundach wzięła jej torbę i oboje minęli drzwi i doszli aż do kolejki do kontroli bezpieczeństwa. Idąc do jej przejścia, trzymali się za ręce. Samolot Lauren już przyjmował pasażerów na pokład.

Shane stanął naprzeciwko niej i palcami uniósł jej podbródek.

- Usłyszałaś, co powiedziałem przed chwilą? Co mówiłem przez cały tydzień?

W jej oczach była jakaś męka, której wcześniej nie dostrzegł, tak jakby walka w jej wnętrzu była znacznie bardziej przerażająca niż ta, o której zamierza pisać. Przybliżyła się o krok, tak że stykali się nogami.

- Tak - w tym słowie brzmiało napięcie. - Tak. Słyszałam.

- A więc... - starał się mówić lekkim tonem, powoli. Nawet jeśli miałby nie przeżyć tego pożegnania z nią po odnalezieniu jej po latach, nie będzie wygłaszał żadnych tekstów marketingowych, które by ją mogły skłonić do pozostania. Serce go bolało, miał ochotę płakać, ale chwila nie była na to odpowiednia. Za to sięgnął głębiej i wykrzesał odrobinę humoru.

- Czy to ma oznaczać, że zrywasz nasze zaręczyny?

Mimo woli parsknęła śmiechem i znów oparła czoło na jego piersi.

- Shane - podniosła wzrok. - Bądź poważny.

Zawahał się.

- A po co, Lauren? - czuł, jak uśmiech znika z jego twarzy. Nie przestając wpatrywać się w jej oczy, przejechał palcami wzdłuż jej twarzy i szyi. - Czy wtedy zostałąbyś ze mną?

Ujęła w dłonie jego twarz i z nową partią łez wzbierającą w oczach pocałowała go. Miał to być już ostatni pocałunek. Kiedy cofnęła się, zabrakło jej tchu i nie potrafiła ukryć emocji.

- Pomyślę o tym, Shane. Tylko że - potrząsnęła głową - nie mam pojęcia, jakby to można zorganizować.

Rozumiał. Wpatrując się jej w oczy, modlił się tak, jak modlił się ciągle od czasu ich pierwszej rozmowy w minionym tygodniu. *Boże, proszę... pokaż nam, jak moglibyśmy razem żyć.* I w jednej chwili pojął coś. *Że różni ich nie tylko polityka. Także wiara. A jeśli ta ich nie łączy, Lauren może ma rację. Boże, potrzebujemy Cię... ona Cię potrzebuje.*

- O czym myślisz? - spytała ściszym głosem, wpatrując się mu w oczy

Wplótł palce w jej włosy i jeszcze raz ją pocałował.

- Staram się nie myśleć.

„Uwaga, pasażerowie - z głośników popłynął metaliczny głos. - To ostatnie wezwanie na pokład lotu numer 92 do Nowego Jorku. Wszystkich pasażerów z biletami prosimy bezpośrednio do przejścia C20 oraz o natychmiastowe wejście na pokład”.

Shane cofnął się o krok i poczuł przeszywający ból, jakby jego serce rozdarło się na pół. Nabrał powietrza i zmusił się do uśmiechu, do odezwania się.

- No, lepiej już idź.

Skinęła głową, zbyt oszołomiona, żeby mówić. Po ruchach ust poznał, że powiedziała:

- To na razie, Shane.

I patrząc jeszcze na niego po raz ostatni, odwróciła się i poszła w stronę rękawa.

Nie było żadnych rozpaczliwych deklaracji, obietnic, że będzie dzwonić, pisać, że będzie w kontakcie. Po prostu odwróciła się - i już jej nie było.

Z trudem przełknął ślinę, utkwivszy niewidzący wzrok w jednym punkcie terminala. Rzesze ludzi przeciskały się obok, ale nie zwracał na nich uwagi. Stał tak, nie potrafiąc oddalić się choćby na krok od tego przejścia, nie chcąc być tym, który powiększy dystans między nimi.

W końcu nogi same go poniosły. Przesunął się w stronę okna i patrzył, jak samolot cofa się, manewruje, zajmuje pozycję na pasie startowym. Wciąż miał przed oczami jej twarz, jasne włosy, niebieskie oczy. Czy ona też ma go przed oczami? Czy czuje to co on? Że chociaż wyjeżdża, ich serca wciąż są jednym? Że zawsze będą jednym?

*Boże Ojczy... ratuj.*

W minionym tygodniu wszystko ułożyło się dobrze dla wszystkich. Emily poznała rodziców, Bill znalazł się w niebie. Jego rodzice i rodzice Lauren zyskali przyjaźń i wewnętrzne uzdrowienie i żadne z nich po tym wszystkim nie miało być już takie samo. Tak, wszystko ułożyło się dobrze dla wszystkich.

Tylko nie dla Lauren i dla niego.

Nie spuszczał wzroku z samolotu, bez względu na rosnącą odległość patrząc wciąż na jedno okno, to, w którym - jak był przekonany - dostrzegł ją. W końcu samolot kołując dojechał na miejsce i po krótkiej przerwie potoczył się pasem startowym i przez dziurę w powietrzu uniósł się w niebo.

Zabierając ze sobą Lauren.

Dopiero wtedy Shane usiadł na najbliższym fotelu, ukrył twarz w dłoniach i pozwolił łzom popłynąć.

## Rozdział 29

Lauren jako jedna z pierwszych wysiadła z samolotu. Zabrała bagaże i poszła w stronę hali przylotów, niezupełnie świadoma tego, co dzieje się dookoła. Jej myśli zajmował Shane, wspólnie spędzone chwile i wszystko to, czym wzgardziła. Jak mogła dopuścić do tego, że wszystko poszło tak źle?

Przez ostatnie sześć godzin nie robiła nic innego, tylko przeżywała na nowo każdą cudowną chwilę z nim i zestawiała to z życiem, jakie wiodła w Afganistanie. Od Chicago do Nowego Jorku, gdzie miała się przesiąść, powtarzała sobie wciąż to samo: przecież tego nie da się zrobić.

Nie da się. Bo niby jak? Jak mogłaby wierzyć w to, w co wierzy, opisywać wojnę tak, jak zawsze ją opisywała, a po godzinach spędzać czas z instruktorem pilotów marynarki w szkole Top Gun. A ich przekonania? On na każdym kroku mówi o Bogu, a ona... a ona jak na razie usiłuje temu Bogu wybaczyć.

Ona i Shane razem? Ten pomysł wydawał się niedorzeczny. Ale gdy doleciała do Nowego Jorku, nie potrafiła już zaprzeczyć jednej oczywistej prawdzie. Bardziej jeszcze niedorzeczne było zostawienie Shane'a.

Kiedy samolot podjechał do rękawa, wyszła pośpiesznie i podeszła do kobiety za kontuarem. Tak - odpowiedziała kobieta. To możliwe, tak, i bagaże też mogą lecieć za nią. Ale ma tylko pół godziny, jeśli chce zdążyć na ten samolot.

Lauren zapłaciła, a potem wyjęła z kieszeni komórkę i wybrała numer oddziału „Time'a” w Los Angeles. Kiedy połączyła się z naczelnym, musiała rozpoznać od beztrioskich śmichów-chichów.

- Słuchaj, wiesz co, miałabym do ciebie prośbę.
- Co tylko sobie życzysz, Gibbs - współpracowała z nim już od trzech lat.
- Mamy tylko nadzieję, że niedługo wracasz. Gazeta cię potrzebuje.
- Wracam - przełknęła ślinę, sama nie mogąc uwierzyć, na co się zdobywa.
- Ale muszę trochę odpocząć od Afganistanu. Chciałabym dostać czasowo jakąś inną robotę. Oczywiście jeśli to możliwe.
- Jasne - naczelny nawet się nie zawahał. - Zapracowałaś sobie na to. No... a dokąd chcesz jechać?

Przymknęła oczy i uniosła głowę.

- Do Reno w Nowadzie.
- Do Reno? - po drugiej stronie zapanowała chwila milczenia. - Czyś ty oszalała?

Uśmiechnęła się.

- Tak - kolejne śmichy-chichy. - I wiesz co? To wprost cudownie!

Mając obietnicę naczelnego, że wszystko załatwi, Lauren przebiegła z jednej hali do drugiej i ledwie zdążyła na samolot. Jeśli nie będzie żadnych opóźnień, jej samolot wyląduje na kwadrans przed jego.

Lot upłynął szybko i ani się obejrzała, jak weszła do hali portu lotniczego w Reno. Szła coraz szybciej, w końcu na pięć minut przed czasem znalazła sobie miejsce przy przejściu. Jego przejściu. Z bezpośrednim widokiem na wyjście z rękawa. Upewniła się, czy ma dość czasu, i poszperała w torbie. Znalazła. Małe tekturowe pudełeczko, które zawsze miała w zasięgu ręki.

Przez cały tydzień, ilekroć była z Shane'em sam na sam, chciała wyjąć je z torby i pokazać. Bo gdyby to zrobiła, on by już wiedział. Ona nigdy nie zapomniła. Ani na studiach, ani w żadnym miejscu, gdzie jechała jako reporterka. Tylko chwila nigdy nie wydawała się odpowiednia.

Teraz patrzyła na wyblakłe, porysowane zdjęcia i uważając, żeby ich nie uszkodzić, wyjęła pierścionek. Wciąż poruszał jej uczucia, wspomnienia miłości, z którą nie mogło się równać nic innego w życiu. Z namaszczeniem wsunęła go na mały palec, zamknęła pudełeczko i włożyła je z powrotem do torby. Nie mogła wyjąć go wcześniej. Dzięki temu miała czas, żeby wszystko przemyśleć. To prawda, nie wszystko ich łączy. Ale łączy ich to, co na razie jest najważniejsze. Z czasem zobaczą, czy reszta też się ułoży, czy nie.

Twarz Emily unosiła się w jej myślach, a łzy szczypały oczy. Mieli córkę, najdroższą dziewczynkę, już całkiem dorosłą i spragnioną miłości. Mieli wspólną przeszłość i uczucie, które nie zważało na różnice w wierze czy poglądach politycznych.

Była całkiem pewna, że w gruncie rzeczy wierzy w Boga. A jeśli On istnieje, no to... ona i Bóg będą mieli trochę przeszkód do pokonania. Ale przeszkody są przecież po to, żeby je pokonywać. A co do polityki, to... no cóż, Shane ma rację. Skoro inni mogą zawierać małżeństwa z wrogim obozem, to czemu im miałyby się to nie udać?

Za kontuarem przy przejściu zrobiło się ruchliwie, a za oknem ukazał się samolot. Serce Lauren waliło tak mocno, że bała się, że wyskoczy jej z piersi. Na szczęście nie było już złamane.

Wstała, trzymając torbę na ramieniu, i obserwowała ludzi wychodzących zza drzwi. Matka z dwoma niemowlakami, grupa przedsiębiorców, dwa małżeństwa, opalone i roześmiane, idące wolnym krokiem, rozmawiając i trzymając się za ręce...

I on. W przejściu.

Zaczęła się trząść. Uczucia owładnęły nią całą, krążąc w żyłach i przejmując dreszczem dłonie i stopy. Było jej gorąco i zimno jednocześnie. Chyba osunęła się na ziemię, zasłabnie z tych emocji. *Boże, jeśli istniejesz... Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje.*

Co to za dziwne uczucie? Nie była pewna, co zdumiało ją bardziej: jej reakcja na widok Shane'a czy to, że powiedziała o tym Bogu.

Wciągając powietrze do nozdrzy, postawiła krok, potem następny. Shane szedł za innymi, z wzrokiem wbitym w ziemię. Wydawał się taki... bardzo nieszcześliwy. Przybity.

*Boże, to przeze mnie. Tak bardzo żałuję... Tak bardzo go kocham!*

Jakby usłyszał ten wewnętrzny okrzyk skruchy, Shane przystanął nagle - i podniósł wzrok. Patrzyli sobie w oczy. Dostrzegła, że rzeczywistość uderzyła go z niemal fizyczną siłą, widziała błysk uczuć w jego oczach. Niedowierzenie i szok, i zdumienie. A potem, jaśniejąca tak mocno, że całą ją ogarnęła - miłość. Miłość przepełniająca Lauren wrażeniem, że zaraz poszybuje w powietrzu.

Ruszył się. Wpierw powoli, ale zaraz z pośpiechem, który prędko pokonał dzielącą ich odległość. Nie zdążyła nawet nabrać tchu, gdy otoczyły ją jego ramiona. Kołysali się lekko, tuląc się do siebie tak, jak tego całym sercem pragnęła każdej chwili, gdy byli z dala od siebie. Nie była pewna, jak długo stali, w końcu jednak zeszli na bok, usuwając się z drogi innym pasażerom. Wpatrywał się jej w oczy.

- C o . . . Jak to...?

Uśmiechnęła się szeroko.

- Zadzwońłam do naczelnego - jej oczy błyszczały z ekscytacji, czuła, jak jego radość spływa prosto do jej serca. - Powiedziałam, że wolałabym przez jakiś czas pracować w Reno.

- Tak zrobiłaś? - objął ją w talii, mocno przytulając. W jego głosie pojawiła się znajoma nuta żartu. - A niby czemu?

Ruszyła jednym ramieniem.

- Doszłam do wniosku, że masz trochę racji - parsknęła śmiechem z głębi swego rozradowanego serca.

- Trochę?

- Tak - nachyliła się i pocałowała go, pocałowała tak, że nie było najmniejszej wątpliwości co do jej uczuć. - Dziennikarze powinni być bezstronni, zgadza się?

- Zgadza - znów zbliżył usta do jej ust, ujmując jej twarz w dłoń. - No i co?

- No i może dla odmiany poświęcę nieco czasu PR-owi wojskowemu.

Zaśmiał się, a za chwilę wręcz nie mógł pozbierać się ze śmiechu. Cały czas obejmował ją mocno, odchylając głowę w tył i rozkoszując się tą chwilą.

Kiedy przestał się śmiać, zsunęła pierścionek z małego palca.

- Proszę - wręczyła mu, czekając, aż go rozpozna. - Czy to nadal aktualne?

Spoglądał na nią, nieprzytomnie zapatrzony w jej oczy. Potem ujął jej lewą rękę i z ujmującą szczerością wsunął pierścionek na serdeczny palec.

- Kocham cię, Lauren.

- Ja ciebie też.

Wstrzymała oddech. Nie poprosił ją o rękę, ale nie szkodzi. Może jeśli kolejny okres w ich życiu upłynie tak, jak zaplanowała, to przyjdzie moment na to pytanie. Na razie mogą chociaż spróbować, będzie na to czas. Cudowny, bezcenny czas.

Wciąż trzymał ją za rękę.

- Bóg nas połączył i nic już nas nie może rozdzielić. Nikogo nigdy nie będę kochać tak jak ciebie, w taki sposób jak ciebie. Pomimo wszystko.

Ucisnęła go - i nagle unióśł ją w górę i okręcił naokoło. Kiedy postawił ją na ziemi, unióśł w górę zaciśniętą pięść i zawołał:

- Dzięki Ci, Boże!

Ludzie przechodzący obok popatrywali na nich, niektórzy uśmiechali się. W tym momencie Lauren potrafiła już nazwać to uczucie w środku, to, które wciąż przepełniało ją ciepłem. Pokój. Nie taki, o którym tyle rozmyślała przez wszystkie te lata, ale głębszy, trwalszy. Pokój, który pragnęła odczuwać do końca życia.

A Shane właśnie wyciągał komórkę z kieszeni, otwierał klapkę i szczyrzył zęby do Lauren.

- Co robisz? - chwyciła go pod rękę, obserwując i uśmiechając się tak szeroko, że aż bolały ją usta.

- To, co bardzo chciałem zrobić, kiedy tylko cię tu zobaczyłem - wciskał ją kcięk klawisze. - Dzwonię do naszej córki.

Emily rozłączyła rozmowę z ojcem i pomknęła przez dom, obwieścić babci nowinę. Mama i tata znowu razem! Tak, muszą sporo nad sobą popracować - tak twierdzi tata - ale są razem. A tylko to się liczy.

Babcia była tym równie podekscytowana jak ona, ale Emily nie mogła teraz o tym z nią rozmawiać. Najpierw musiała zrobić coś ważnego. Wróciła do kuchni, wzięła książkę telefoniczną i poszukała numeru Wheaton College. Czas wiązać się z pewnej wyjątkowej obietnicy.

Bóg dał jej cud, o który prosiła - w każdym najmniejszym szczególe. Zawsze będzie im brakować dziadka, a jednak wygląda na to, że przyszłość będzie właśnie taka, jaką sobie wymarzyła. Prosiła Boga, żeby uczynił ją narzędziem swojego pokoju. Jej rodziny wszystkich rozdzieliły, ale w ciągu minionych kilku tygodni Bóg posłużył się nią, aby na nowo połączyć całą rodzinę. Nie, ostatni rozdział nie został jeszcze napisany. Ale była przekonana, że zostanie. Że ten sam Bóg, który dopilnował wypełnienia się każdego szczegółu swego cudu, poprowadzi również jej rodziców przez kolejny okres ich życia.

Musiała tylko jeszcze zrealizować to, co Mu obiecała. Znalazła numer telefonu na uczelnię, wstukała go i poprosiła do telefonu wykładowczynię dziennikarstwa. Recepcjonistka na moment przełączyła ją na tryb oczekiwania, ale już zaraz w słuchawce rozległ się znajomy głos.

- Słucham?

Emily myślała, że serce wyskoczy jej z piersi.

- Pani Parker?

- Tak, słucham?

- Mówi Emily Anderson. Ja... miałam w domu trochę spraw osobistych do załatwienia, ale chciałam pani powiedzieć, że wracam na początku semestru.

- Wiem, zmarł twój dziadek - głos brzmiał ciepło, ze współczuciem. - Twoja babcia dzwoniła, zostawiła wiadomość... - zawahała się chwilę. - Bardzo mi przykro, Emily.

- Tak - przełknęła ślinę. - Tak, mnie też.

Na kawałku murawy, gdzie stopniał już śnieg, przysiadł drozd. Poskakał tu i tam, znalazł jakiegoś robaczka i odleciał. Takie właśnie jest nowe życie, czeka gotowe tuż pod zmrożoną powierzchnią.

Emily zamrugała powiekami i mocniej ścisnęła słuchawkę.

- Czy mogę mieć do pani prośbę?

- Oczywiście. Co mogę zrobić dla ciebie?

- Czy mogłaby pani zarezerwować dla mnie trochę miejsca na opowiadanie w magazynie literackim? Wiem, że w tym tygodniu planuje pani zawartość, a ja mam coś szczególnego. Historię, którą chciałabym przedstawić całemu światu.

- Tak? - zainteresowała się wykładowczyni. - A o czym?

- O życiu i o miłości. I o cudach - uśmiechnęła się. To uczucie radości było po prostu cudowne. - Zatyłowałam to *Pomimo wszystko*.

## *Od autorki*

Drodzy Czytelnicy i Przyjaciele.

Jakiś czas temu poczułam, że Bóg układa w moim sercu opowieść o pokoju. W tych czasach temat pokoju jest oczywiście w naszym kraju roztrząsany w codziennych rozmowach i dyskutowany przez ekspertów w całym kraju. Tam, gdzie granicą między poglądami był niegdyś drewniany płot, dziś staje się nią często mur z solidnej cegły wyposażony w drut kolczasty.

Przyczyniła się do tego wojna na Środkowym Wschodzie, a także siła sympatii i antypatii względem naszego obecnego przywódcy, prezydenta George'a Busha. Nie tak dawno w wiadomościach podawano, że pewna kobieta spotkała się z dyskryminacją, a nawet śmiertelnymi pogroźkami za to, że ma na samochodzie nalepkę popierającą prezydenta.

Kwestie związane z operacją Enduring Freedom są złożone. Jedną z dobrych stron pisania o bohaterce takiej jak Lauren Anderson była sympatia, jaką odczuwam do osób stojących po tej właśnie stronie barykady. Lauren nie ma nic przeciwko amerykańskim żołnierzom. Uważa jedynie, że pokój można osiągnąć tylko drogą pokojową. Shane też budzi sympatię. Nie jest osobą spragnioną wojny, z pewnością nie ma w nim żądzę krwi. Mimo to uważa, że pokój można osiągnąć siłą. Nie chce osieroconych dzieci, zabitych żołnierzy. Chce tylko chronić i bronić.



Dzięki tym dwóm postaciom pisząc *Pomimo wszystko*, nauczyłam się czegoś. Nauczyłam się, że od pewnego czasu obydwie te strony są sobie bliższe, niż im się wydaje. Szczególnie jeśli pojawia się wiara jako wspólny mianownik. Są to sprawy skomplikowane, dlatego sądzę, że czasami najlepszym sposobem na rozwiązywanie problemów jest... ich nierozwiązywanie. Jeśli ty i ktoś, kogo kochasz, różnicie się poglądami w jakiejś sprawie, to może najlepiej będzie zostawić to tak, jak jest. Szanujcie wzajemnie swoje prawo do własnych poglądów. I szanujcie się nawzajem. Zgódźcie się na niezgadanie się - jak mawiał mój tata.

Kiedy ludzie postępują w ten sposób, to jak zauważyłam - skutek jest zdumiewający: rodzi się miłość. Ludzie zaczynają dostrzegać to, co ich łączy, i kochać drugą osobę tylko za to, że jest bratem, ojcem, ciotką czy kuzynką. Oczywiście istnieją pewne różnice w poglądach, wynikające z tego, że ktoś kieruje się zasadami Pisma Świętego, a ktoś inny nie. W takich przypadkach nie wahajcie się opowiedzieć za prawdą. Jezus tego od nas oczekuje. Ale czyńcie to z miłością. Czasami trzeba powiedzieć: „Nie zgadzam się z takich to a takich powodów. Ale bardzo cię kocham. Chodźmy na obiad”.

Takie rozmowy będą budować pomosty pomiędzy wami a tymi, z którymi jesteście w konflikcie. A częstokroć, jeśli kochamy ludzi, pomimo że się z nimi nie zgadzamy, dajemy im szansę wejścia na ten sam pomost. I w rezultacie może się okazać, że łączy nas więcej niż kiedykolwiek dotąd.

Z wielką przyjemnością pisałam o Lauren i Shane'ie, ponieważ prawdziwego pokoju nie można osiągnąć żadną z metod, które oni proponują. Nie osiągnie się go ani protestami antywojennymi, ani zrzucaniem bomb - choć czasami oba te narzędzia mogą się okazać uzasadnione, pod warunkiem, że nasze wojska cięższą się naszym poparciem. Oto prawda, którą tak dobrze rozumiała Emily: prawdziwy, trwały pokój można znaleźć jedynie poprzez życiodajną więź z Jezusem Chrystusem. Taka jest prawda.

Poznanie Chrystusa oznacza, że tuż za naszymi drzwiami - a może nawet w środku - może walić się cały świat, a jednak ten wewnętrzny pokój, wewnętrzne przeświadczenie, pozostają niewzruszone. Prosty przepis dla każdego z nas jest następujący: Czy twój świat zdaje się wymykać spod kontroli? Brakuje ci pokoju w małżeństwie, w finansach, w zdrowiu, w stosunkach z innymi ludźmi?

Dodaj Chrystusa.

Dodaj modlitwę i studiowanie Biblii, i rozmowy z innymi osobami, które dzielają twoją wiarę.

Twój umysł ma ograniczoną pojemność. W takim zakresie, w jakim jest zajmowany przez Chrystusa, nie ma w nim miejsca na niepokój, zamartwianie się, przygnębienie czy brak nadziei.

Jeśli czytasz o Jezusie po raz pierwszy w życiu, to bardzo proszę, poświęć kilka minut i po cichu, własnymi słowami, poproś Go, żeby wszedł do twojego życia i posprzątał w nim. Poproś, żeby odtąd On się tobą zajmował, i pozwól Mu być nie tylko twoim Zbawicielem, ale i Panem, i Mistrzem.

Jeśli podejmiesz taką decyzję po raz pierwszy w życiu, tu i teraz, skontaktuj się z kościołem, w którym wierzy się w to, co mówi Biblia. Porozmawiaj z duszpasterzem, zapisz się do jakiejś grupy dla początkujących i rozpocznij największą podróż swojego życia. Jeśli nie jesteś w stanie tego zrobić, wyślij mi e-mail (tylko w języku angielskim), wpisując w temacie „NEW LIFE”<sup>11</sup>. Mój adres to [rtnbykk@aol.com](mailto:rtnbykk@aol.com).

Uwielbiam dostawać wiadomości od moich czytelników. Ostatnio otrzymałam bardzo smutny list. Pewna kobieta została sama, bo opuścił ją mąż. Postanowiła odebrać sobie życie. Zazdrościła tym, którzy już umarli, bo przynajmniej mają już spokój. Byłam wdzięczna za sposobność powiedzenia jej, że zawsze warto jest żyć. Bez względu na sytuację, w jakiej się znajdujemy, Bóg ma w niej jakiś plan, jakiś cel, jakiś powód, dla którego twoje życie jest potrzebne. Często ludzie, których nawiedzają podobne myśli, potrzebują pomocy specjalisty i porady lekarskiej. W wielu jednak innych przypadkach należałoby dodać znacznie więcej Boga do codziennego planu zajęć. Wolontariat, szkoła niedzielna, rozmaite akcje prowadzone przez kościół. W wielu kościołach powinno być więcej Boga w modlitwie, więcej Boga w studiowaniu Biblii i więcej Boga w działalności. Pamiętajmy - więcej Boga to więcej pokoju. Innymi słowy - nie ma Boga, nie ma pokoju. Poznaj Boga, poznasz pokój.

W naszym szczęśliwym domu życie toczy się bardzo pomyślnie, choć gorączkowym rytmem. Mąż rozważa roczny urlop bezpłatny od swojej pracy dydaktycznej, tak żeby poświęcić go na naukę naszych chłopców w domu. Sytuacja jest zabawna, bo uwielbiamy tutejsze szkoły publiczne. Są naprawdę wspaniałe, z wieloma dobrymi staroświeckimi cechami, które zbyt wiele szkół pochoinnie zarzuciło. Mimo to jesteśmy bardzo ciekawi, co przyniesie taki „Rok z Tata”. Będziemy też mieli więcej czasu dla siebie jako rodzina, ponieważ książki, które Bóg mi zleci, będę mogła pisać w tym czasie, kiedy oni będą mieli lekcje.

Proszę, dalej módlcie się za nas. Doceniamy waszą miłość i troskę i co rusz odczuwamy siłę waszych modlitw.

Jeśli już otrzymujecie ode mnie cykliczne listy e-mailem, kolejny przyjdzie wkrótce! Jeśli chcielibyście je otrzymywać, zajrzyjcie na moją stronę internetową [www.KarenKingsbury.com](http://www.KarenKingsbury.com) i wpiszcie swój adres e-mailowy.

<sup>11</sup> „nowe życie”.

Jak zawsze z przyjemnością będę czytać listy od Was. Modłę się, żebyście miło spędzili okres Świąt i cały czas pamiętali o wezwaniu do wzajemnej miłości, nawet względem ludzi po przeciwnej stronie barykady.

Do następnego razu...

W Jego świetle i miłości,

*Karen Kingsbury*